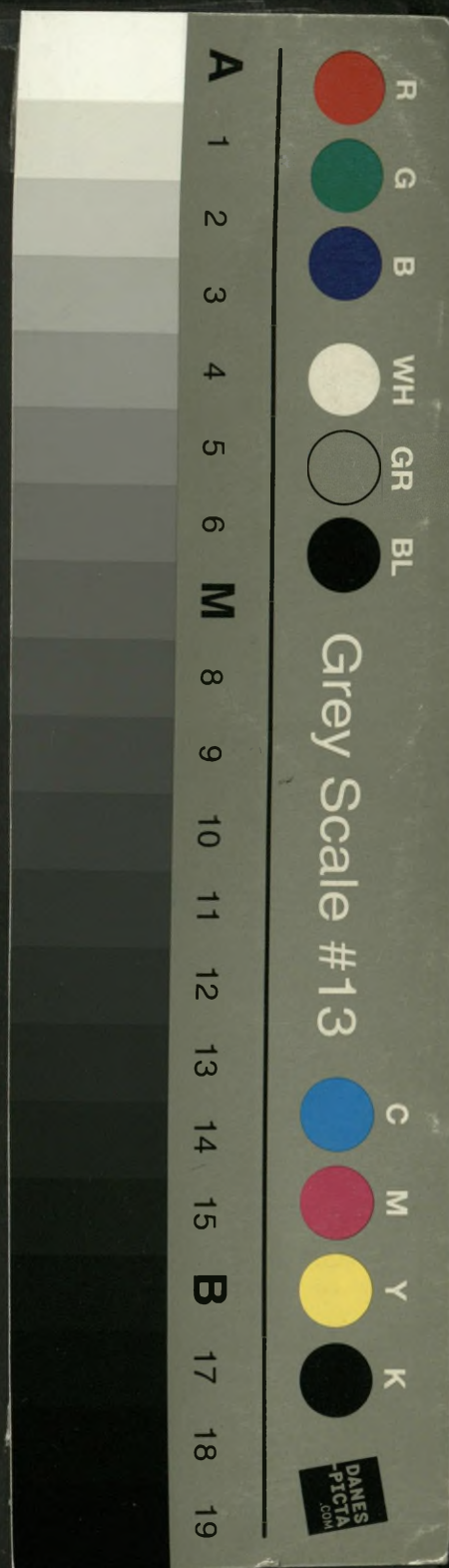
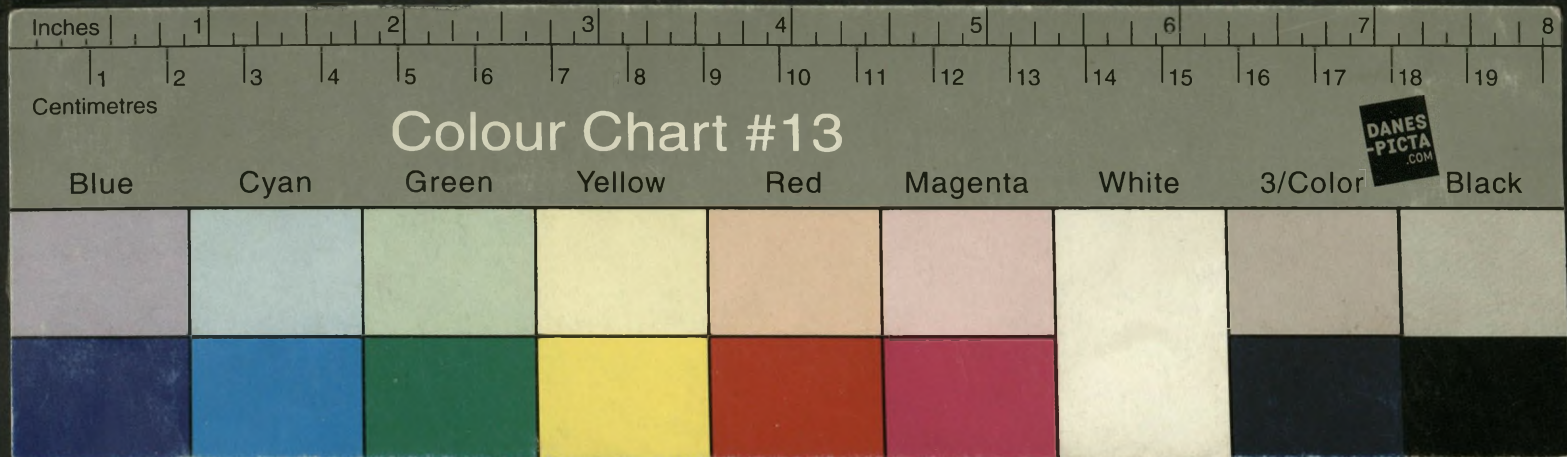






MOJĄ PRACĘ W BRIGADZIE

WYDAWNICTWA INSTYTUTU BADANIA
NAJNOWSZEJ HISTORJI POLSKI:

Wspomnienia legionowe. — Tom I. Pod redakcją Janusza Jędrzejewicza. Warszawa 1924. (Wyczerpane).

Wspomnienia legionowe. — Tom II. Pod redakcją Stanisława Falkiewicza i Janusza Jędrzejewicza. Warszawa 1925. (Wyczerpane).

Józef Piłsudski. Rok 1920. — Wydanie II. Z przedmową autora i przypisami. Warszawa 1927. (Wyczerpane).

Niepodległość. — Czasopismo poświęcone dziejom polskich walk wyzwoleniczych w dobie powstaniewej. Pod redakcją Leona Wasilewskiego. Ukazały się zeszyty od 1 do 13. Warszawa 1929—1932.

Józef Piłsudski. — *Pisma, mowy, rozkazy.* — Wydanie zbiorowe w ośmiu tomach. Ukazały się tomy: 1, 2, 3, 4, 6, 7, 8. Warszawa 1930—1932.

Polska Organizacja Wojskowa. Szkice i wspomnienia. — Pod redakcją Juliana Stachiewicza i Wacława Lipińskiego. Warszawa 1930. (Na wyczerpaniu).

3762
~~2398~~
15.

SŁAWOJ FELICJAN SKŁADKOWSKI

MOJA SŁUŻBA W BRYGADZIE

PAMIĘTNIK POŁOWY

8488
TOM I
948.

W A R S Z A W A — 1 9 3 2

INSTYTUT BADANIA NAJNOWSZEJ HISTORJI POLSKI

93(438)/11 : 355.41(438) e ; 92(438)/11
355.41(438) a

SŁAWOJ FELICJAN SKŁADKOWSKI

MOJA SŁUŻBA W BRYGADZIE

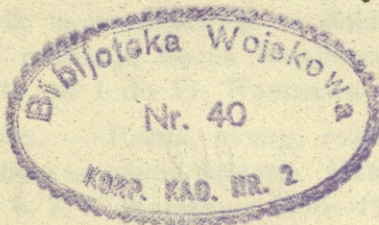
PAMIĘTNIK POŁOWY

Wszelkie prawa przedruku zastrzeżone.

COPYRIGHT BY SŁAWOJ FELICJAN SKŁADKOWSKI,

WARSAW 1932

Lic. nr. 3398



31961/2

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona”, Nowolipie 2.



Obywatelowi

Komendantowi Głównemu

C Z E Ś Ć!

Zacisze	1
Okres kielecki	17
Obrona Wiedzy	35
Okres litewy pod Łaniami	43
Boje na Uling	54
Wojna w Podkarpaczu	71
Boje pod Łowoszczami	85
Obóz w 1 pułku 1 batalionu	113
Wojna polsko-ukraińska	141
Wojna pod Konarami	201
„Przebieg Wiedzy”	277
Wojna w Lubelskiem	287

Olden
Kommunikation
1925

SPIS RZECZY:

	str.
Zaciąg	1
Okres kielecki	17
Obrona Wisły	33
Okres bitwy pod Laskami	45
Marsz na Ulinę	61
Walki na Podkarpaciu	71
Bitwa pod Łowczówkiem	95
Odpoczynek w Lipnicy i Kętach	115
Walki pozycyjne nad Nidą	141
Walki pod Konarami	221
„Przejdziem Wisłę“	277
Walki w lubelskiem	297

Z A C I A ą G

0A10A3

STRESZCZENIE ZAGUBIONYCH KARTEK PAMIĘTNIKA OD 13 DO 18 SIERPNI 1914 R.

W chwili wybuchu Wojny Światowej, miałem lat 29, byłem lekarzem w Sosnowcu. Tam też zastał mnie początek wojny.

Pierwszą oznaką działań wojennych było wysadzenie w powietrze przez Moskali, mostu kolejowego na rzece Przemszy i ucieczka ich z Sosnowca. Na drugi dzień wkroczyli do miasta Niemcy. Weszli plantem kolejowym od Katowic — ciężcy, zmęczeni, milczący i karni. Niezwłocznie zaczęli urzędowanie w mieście. Za miastem na wzgórzach stanęły placówki, które na próżno wyglądały Moskali.

Zostaliśmy w Sosnowcu zupełnie odcięci od świata i wiadomości. Zamiar mój wstąpienia do Strzelców Piłsudskiego schodził z dnia na dzień, naskutek braku jakichkolwiek wiadomości z Krakowa.

Mówiono po cichu, że Austriacy odmówili wydania strzelcom broni, że Niemcy aresztują strzelców, którzy udają się do Krakowa, jednym słowem — żadnej „orientacji w sytuacji“. Nie, — była orientacja — orientacja prorosyjska.

Ustąpienie Moskali uważano, jako chwilowe i święcie wierzono słowom oficera żandarmów, który, wyjeżdżając, wychylał się z okien wagonu, krzycząc do swych przyjaciół: „Do widzenia, w kabarecie w Berlinie!“ Nie uważano, że jednocześnie pociąg uwoził

buńczuczne go żandarma w kierunku na wschód — raczej do Moskwy, jak Berlina.

W tych „słowiańskich“ nastrojach, zamiar mój wstąpienia do strzelców przyjęty został przez ogół wrogo. Mówiono, że „to żydowska robota“, że to zgubi Polskę, że zemsta Rosjan będzie straszna, że biorę na siebie wielką odpowiedzialność, bo, jako człowiek „poważny“, mogę swym zgubnym przykładem pociągnąć młodzież. Mówiono, że takim „panom“ jak ja, gdy wrócą „normalne“ czasy, „nikt ręki nie poda“.

Oczywiście w tych warunkach trudno było mieć wiadomości o Piłsudskim. Na szczęście, udało mi się dowiedzieć, że w Sosnowcu jest oficer strzelców po cywilnemu w misji sekretnej od Piłsudskiego. Był to ob. Sław-Zwierzynski, późniejszy dowódca bataljonu. Umówiliśmy się z nim i z młodym Dąbskim, podówczas harcerzem, że razem dostaniemy się do Miechowa, gdzie miał znajdować się Piłsudski. Jak jednak wy dostać się z miasta, co powiedzieć Niemcom? Postanowiłem prosić o przepustkę do Miechowa, tłumacząc się, że w Sosnowcu nie mam praktyki. Niemcy „chcieli“ w to uwierzyć, bo chętnie wyzbywali się ludzi z miasta, gdzie zaczynało brakować środków żywności i drożyzna nagle kazała ludziom żałować odejścia Moskali.

Pierwszy raz utworzył się długi „ogonek“, chcących dostać przepustki. Podoficer niemiecki, siedząc przy stole w czapce, wypisywał przepustki przed domem komendantury wojskowej, a wszyscy w „ogonku“ stali, mimo palących promieni słońca, z gołymi głowami. Musiałem i ja robić potulnego „cywila“ w czasie wojny. Gdy czekałem na swoją kolej, ujrzałem, jak do oficera niemieckiego podjechał na rowerze zmęczony żołnierz z meldunkiem. Oddał jakąś kartkę oficerowi, który powiedział: „Jesteście bardzo zmęczeni, musicie jeszcze wracać, ale przecież, wytrzymamy wszystko, bo jesteśmy Niemcami!“

— Ja wohl Herr Leutenant! — wrzasnął ze spiekłej gardzieli żołnierz i odjechał, widocznie pokrzepiony.

Zazdrość wżarła się w serce, że oto oni, ci nowi na-jeźdźcy, mają swoje wojsko, rozumieją się, są dumni ze swej narodowości, a ja muszę ukradkiem, prawie chowając się przed rodakami, szukać możliwości, coś zrobić, coś zaważyć z bronią w ręku w zapasach tylu wolnych narodów.

Wreszcie — jest przepustka. Umówiliśmy się ze Sławem i Dąbskim wyruszyć 12 sierpnia i rzeczywiście, we trzech opuściliśmy tego dnia Sosnowiec pieszo, bo koleje ani furmanki nie chodziły. Ubiór nasz bynajmniej nie budził zaufania. Sław miał na sobie pół-cywilny garnitur i cyklistówkę, Dąbski — ubiór skauta „ucywilniony“, ja ubrałem się w mój garnitur do konnej jazdy. Do małej walizeczki chirurgicznej włożyłem gazy, waty, bandaży, jodyny, trochę leków i instrumentów, by móc nieść pomoc lekarską.

Wychodziliśmy z Sosnowca w dobrym nastroju. Mi-nęliśmy, po wylegitymowaniu się, placówki niemiec-kie i weszliśmy w pas „niczyj“, ciągnący się od Sosnowca do Miechowa. Moskale cofnęli się, ale każdej chwili mogli wrócić. To też obok przepustek niemiec-kich, wzięliśmy paszporty rosyjskie.

Dziwne uczucie mieliśmy, idąc szosą, a będąc jeszcze pod ostrzałem Niemca. Przecież ten człowiek mógł dla swej fantazji czy, wprost, zwrócenia na siebie uwagi przełożonych, strzelić do nas pod jakimkolwiek pozorem i nie by mu za to nie było.

Ale koniec ze strachami cywilów! Sław grzecznie, lecz stanowczo obejmuje kierownictwo naszego marszu. Reguluje tempo: 3 kwadranse marszu, kwadrans spoczynku.

Zapowiada, że w razie ukazania się jakiegokolwiek oddziału wojska zrobimy wszystko, by ująć jego uwagi. Rzeczywiście, przy spotkaniu straży pogranicznej lub

kozaków, napewno niczego dobrego nie mogliśmy oczekiwać.

Po paru godzinach marszu przez milczące wsie i miasteczka, strzeżone przez, zorganizowaną świeżo, milicję, urządzaliśmy odpoczynek. Męczyliśmy się szybko, z braku przyzwyczajenia, z upału i złego obuwia. Moje buty, niestety, nieco ciasne, dawały się we znaki w czasie marszu pieszego. Sław i Dąbski również nie mieli odpowiedniego obuwia do marszu po szosie. To też cierpieliśmy wszyscy. Mimo to pod wieczór doszliśmy do Olkusza, gdzie, po przekonaniu się, że Moskale „poszli“, Sław zarządził nocleg. Spaliśmy na bilardach w miejscowej restauracji, czy klubie. Zarządca, komendant milicji miejskiej, przyrzekł obudzić nas, w razie przyścia do miasta Moskali, i dał nocleg bezpłatnie, gdyż jak stwierdził: „Zaraz widać, że panowie podróżują nie w swoich prywatnych sprawach“. Sław potaknął ogólnikowo, ale celu naszej podróży nie wyjawiał.

Po tym pierwszym dniu marszu pieszego usnęliśmy kamiennym snem.

Nazajutrz, 13 sierpnia, wczesnym rankiem, wyruszymy w drogę. W lesie zaopatrujemy się w grube kije dla obrony od psów po wsiach, a więcej dla dodania sobie „powagi“ wobec różnych indywiduów kręcących się, nieraz po kilku, w obszarze pozbawionym policji i wojska. Innej broni nie mieliśmy. Posiadanie jej groziło więzieniem, a nawet rozstrzelaniem.

Upał dokucza, podobnie jak dnia poprzedniego. Po drodze korzystamy z paru przygodnych furmanek i, przed wieczorem, docieramy do Miechowa, gdzie w budynkach dawnego „monopolu“ wódczanego rosyjskiego byli strzelcy. Serce zabiło, gdy zobaczyłem, pierwszy raz w życiu polski posterunek wojskowy z bronią w ręku. Był to młody chłopiec z karabinem, na którym lśnił wielki bagnet.

Zapisałem się w biurze, jako obywatel „Podkowa“, dano mi zaraz czapkę maciejówkę z orzelkiem strzeleckim i karabin systemu Werndla z bagnetem i dziesięciu nabojami, oraz plecak. Dowiedziałem się, że „na przodzie“ przed nami jest Piłsudski z trzema bataljonami, że tu w Miechowie jest tylko etap, że tego wieczora wyruszy transport z żywnością do Jędrzejowa, do ochrony którego mam być użyty między innymi, i ja. Pożegnałem się ze Sławem i Dąbskim i zająłem się przystosowaniem kroju mej kurtki do wyglądu munduru strzeleckiego. Krawiec przerobił ją, jak tylko było można, za co otrzymał ode mnie walizkę chirurgiczną, ja zaś z dumą przełożyłem moje utensylja lekarskie do plecaka. Uwijający się po podwórzu nowozacieczni strzelcy byli poubierani w najróżnorodniejsze ubiory, ale wszyscy, jak ja, nosili z dumą maciejówki z orzelkiem.

Po kolacji, gdy zapadł zmrok, zaczęły zajeżdżać rekwirowane fury z żywnością. Ustawiał je, liczył i segregował strzelec w mundurze z zielonym sznurkiem przy gwizdku, co oznaczało godność podoficerską. Podszedłem do niego i oznajmiłem, że przeznaczony jestem do transportu. Kazał mi stanąć przy jednej z fur, na której miałem jechać, celem ochrony. Usiłowałem nawiązać rozmowę z włościaninem, właścicielem fury, ale ten był nierozmowny, wyrzekał na wojnę, że ledwie „nasi“ (Moskale) puścili go z pod Kielc do domu z podwody, a tu znów go „pognali“. „Kiedy się to skończy“, lamentował.

Wyjaśniłem mu, że wojny współczesne kończą się szybko, ze względu właśnie na ich natężenie i, że na Boże Narodzenie napewno będziemy już w wolnej Ojczyźnie. Kmiatek słuchał mej gorącej propagandy z niedowierzaniem i obojętnością.

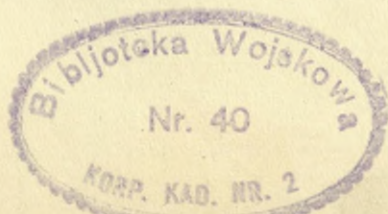
Mijały godziny, a my wciąż siedzieliśmy przy furze. Zaczęły wschodzić gwiazdy, chłód nocy pociągał po plecach, a my ciągle jeszcze byliśmy na miejscu. Ja

stale byłem przy furze, gdzie mi kazano, ale reszta strzelców, młodych chłopców, zachowywała się mniej sztywno. Biegali oni co chwila napić się kawy z kuchni, albo kupić coś od przekupniów. Oburzałem się na tę ich płochość, nawet próbowałem strofować, ale wkrótce, zrezygnowany, umilkłem. Wreszcie, po szeregu krzyków, sprawdzań i nawoływań, pierwszy wóz ruszył, a za nim cała kolumna wyjeżdżać zaczęła z podwórza. Ruszył i mój woźnica, ale zupełnie bez zapału, ociężale.

Nie tak to przedstawiałem sobie początek mej służby wojskowej. Zamiast walczyć w „pierwszej linii“, pilnować muszę chłopca i wozu, gdzieś kilkanaście kilometrów za polem walki. Liczyłem jednak, że może na transport napadną kozacy, kręcący się w lasach, że odeprzemy ich atak i już, jako zwycięzcy, dojedziemy do Jędrzejowa.

Rzeczywistość potoczyła się zupełnie innemi tory. Za miastem, póki było względnie widno, jakoś szło. Dowódca transportu z energją biegał wzdłuż kolumny i porządkował wozy. Wjechaliśmy jednak wkrótce do lasu i piekielne ciemności fatalnie wpłynęły na dyscyplinę marszu. Jakiś wóz przed nami zatrzymał się, reszta zaczęła w ciemności najeżdżać na siebie, powstał krzyk, wymyślania sobie woźniców, klątwy i złorzeczenia. Wiele chwil minęło, nim zreperowano wóz i jakoś ruszyliśmy. Przyznam się, że w czasie tego zamieszania przestałem życzyć sobie starcia naszego taboru z kozakami. Gdy wyjechaliśmy wreszcie z lasu, spostrzegłem, że wszyscy woźnice i większość strzelców śpi na furach, a tabor wlecze się noga za nogą, bez zachowania jakichkolwiek ostrożności.

Tak dojechaliśmy nad ranem do Wodzisławia. Było jeszcze ciemno, gdy stanęliśmy na rynku. Komendant taboru kazał mi iść rekwirować owies dla koni. W bocznej ciemnej uliczce odszukałem mieszkanie sołtysa. Długo wstawał, stękał i narzekał na moje na-



tarczywe stukanie do okna. Wreszcie wyszedł i zaczęliśmy urzędować. Najtrudniej było dobudzić się ludzi. Potem już szło żwawo.

Był to początek wojny i ludność dostarczała chętnie wszystkiego. To też, w niespełna godzinę, wróciłem na rynek, eskortując dwóch ludzi z workami owsa. Konie zarżały na nasz widok. Po napaszeniu koni, już rankiem, ruszyliśmy i na szóstą rano dotarliśmy do Jędrzejowa.

Tu komendant transportu kazał mi się zameldować w komisarjacie wojskowym. Do godziny ósmej zjadłem śniadanie, które warzyły w kotłach niewiasty. Wśród nich zapamiętałem energiczną ob. Teklę Dułińską. Po śniadaniu udałem się do domu b. zarządu powiatu rosyjskiego, gdzie mieścił się komisariat. W komisarjacie urzędowali Emil Bobrowski i Daszyński. Bobrowski kazał mi stać na rynku i uważać, czy który z przechodzących bataljonów nie potrzebuje lekarza. Powiedział mi, że niedługo nadejdą bataljony IV i V.

W międzyczasie pozwolił mi uzbroić się w szablę rosyjską, stojącą w kącie kancelarii. Siadłem tedy przed „powiatem“ i, grzejąc się na słońcu, czekałem, drzeмиąc, na „wolny“ bataljon.

Wreszcie, ulicą od Miechowa wchodzić zaczął oddział wojska. Serce mi zabiło — pierwszy to oddział wojska polskiego, który widziałem w mojem życiu. Żołnierze szli, śpiewając i ostro znacząc krok. Prowadził ich, jadący na czele kolumny na koniu, wysoki, suchy młodzieniec. Byli czarni od kurzu, spoceni. Wielu miało ubranie cywilne, obuwie popękane, karabiny często na sznurkach. Uginali się pod plecakami, ale patrzyli śmiało i zaczepnie.

Na moje pytanie, czy mają doktora, powiedzieli, że mają. Rzeczywiście na końcu bataljonu szedł znajomy, dr. Sokołowski, z torbą przez ramię i długim rapierem u boku. Na moje pytania, oświadczył mi, że ma

na wozie nosze i opatrunki, że szuka podwody pod rannych, którzy mogą być niedługo, że naczelnym lekarzem jest dr. Stanisław Rouppert i że powinienem zameldować się u niego, gdy nadejdzie.

Dowódca, mimo zmęczenia żołnierzy, naglił do pospiechu i wkrótce bataljon zniknął w uliczce wiodącej do Chęcin. Zostałem znów sam z mojem pragnieniem, by przydać się na coś. Po paru godzinach nadciągnął bataljon V i tu, na szczęście, nie było lekarza. Komendant bataljonu „przyjął” mię na lekarza, jako „obywatela Podkowę”, w czasie, gdy żołnierze odpoczywali na rynku. Kazał mi maszerować za bataljonem, by móc nieść pomoc osłabionym z gorąca i mającym odparzone nogi.

Była to dla mnie pierwsza prozaiczna propozycja pracy w czasie wojny. Wyobrażałem sobie, że będę tylko opatrywał wielkie rany, w ogniu bitwy, walcząc również, w przerwach mej pracy lekarskiej. Tu zaczęło się od... nóg odparzonych.

Gdy miałem już odmaszerować, ujrzałem przy drzewie, obok „powiatu”, przywiązane niewielkiego skarogniadego podjezdka ze zniszczonem siodłem. Dr. Bobrowski był przed domem i spytałem go, czy nie mógłbym wziąć sobie tego konia.

O radości! pozwolił i za chwilę, siedziałem już na siodle i człapałem za „moim” bataljonem. Ruszyliśmy szosą na Chęciny.

Jadąc w kurzu za kolumną, obserwowałem żołnierzy. Byli to wszystko młodzi chłopcy. Rozmawiali o upale, o tem co robi w Kielcach Komendant Główny, gdzie jest Kadrówka i kiedy dopadniemy Moskali. Po przejściu kilku kilometrów zatrzymaliśmy się i żołnierze pokładli się w rowach na zapyłonej murawie. Z chwilą, gdy dowiedzieli się, że jestem lekarzem, gremjalnie zwrócili się o moją pomoc. Najwięcej było odparzeń nóg z bąblami. Inni zgłaszali się po krople, bo ich „mdli”...

Nie byłem przygotowany na tak obfitą „praktykę”. Szybko wyczerpałem mały zapas posiadanych maści, a uszczupliłem wybitnie zapas mej gazy, którą przecież przeznaczyłem na opatrywanie ran w bitwie. Nagle do komendanta bataljonu podjechał od strony Chęcin samochód i od „czoła” zaczęto wołać: „Doktór do bataljonowego, doktór do bataljonowego!”...

Zostawiłem konia pod opieką jednego z żołnierzy i stanąłem przed komendantem bataljonu.

„Doktorze, czy macie opatrunki, bo tam na przodzie jest ranny, trzeba go opatrzyć”. Odpowiedziałem twierdząco, wsiadłem szybko do samochodu z jakimś obywatelem, mającym na kurtce czerwony sznurek i pomknęliśmy. Czułem wzrastające moje znaczenie, jako lekarza. Nareszcie praca poważna, do której przygotowywałem się na klinice profesora Kadera w Krakowie. Opatrywanie pęcherzy na nogach wydawało mi się czemś zbyt drobnem i za mało „wzniosłem”.

Ujechaliśmy około pięciu kilometrów i na lewo od szosy, we wnęce terenu zobaczyłem „zmasowany” pułk dragonów austriackich, którzy, jak widać, zaryzykowali aż tu dojechać. Słońce grało na kaskach, szablach i mundurach. Zdawało się, że pułk ten rozniósłby wroga, gdyby mu go tylko pokazać. Obok rowu, na ziemi leżał ranny dragon, blady, otoczony przez cały sztab pułku. W chwili, gdy dobywałem mych opatrunków, podszedł do mnie obywatel z dużymi wąsami, o wyglądzie nakazującym posłuch, którego Austriacy salutowali.

„Doktorze, dacie sobie radę z tą raną?” — spytał mnie.

— Tak jest, odpowiedziałem nie bez dumy, jestem specjalistą chirurgiem.

Rozciąłem czerwone spodnie dragona i opatrzyłem ranę postrzałową uda. Oficerowie przyglądali się mej

pracy. Jakie szczęście, że nikt nie dał mi opatrunku polowego, bo wtedy nie umiałbym go jeszcze użyć.

Nieznany obywatel odjechał samochodem w kierunku Kielc i wtedy zrozumiałem, że to był Komendant Główny — Obywatel Mieczysław. Józef Piłsudski.

Po opatrunku poleciłem dragona przewieźć wozem do szpitala, a sam, piechotą, wróciłem do mego bataljonu. Droga powrotna wydała mi się długa i męcząca, to też z radością zobaczyłem zdaleka spoczywający jeszcze bataljon. Na szczęście, konia znalazłem skubiącego trawę, tam gdzie go zostawiłem. Opowiedziałem oficerom, gdzie byłem, co robiłem i ułożyłem się w rowie. Większość żołnierzy spała, mimo upału i prażącego słońca. Po południu ruszono nas i pod wieczór doszliśmy do jakiejś wsi, niedaleko Chęcin. Rozkwatrowano nas po chałupach i stodołach.

Poszedłem do bataljonowego, by mi przydzielił sanitariuszy. Dał mi dwóch chłopców... najsłabszych. Jeden z nich był skautem i dlatego znał się na niesieniu pierwszej pomocy. Miał nawet na ramieniu opaskę czerwonego krzyża. Drugi oświadczył, że jest wolnym obywatelem i „łapiduchem“ być nie chce, bo wyszedł bić się za Polskę, a nie być sanitariuszem. Został, na wyraźny rozkaz, ale w jakiś czas potem musiałem go zwolnić do kompanji. Ze skautem usiłowaliśmy zrobić nosze z prześcieradła wiejskiego, które kupiłem i dwóch drążków. Niestety drążki sosnowe były ciężkie i gięły się bardzo pod ciężarem człowieka. Lepszych noszy jednak nie było.

Wieczór zeszedł na opatrywaniu „bąbli“ i oczekiwaniu wieczerzy. Nie mieliśmy kuchni polowej, trzeba więc było, dopiero po przybyciu na miejsce, zdejmować z wozu kotły, rozpalać ognisko, grzać wodę i gotować zupę. Trwało to nieraz do północy, gdy żołnierze już spali i trzeba było budzić ich do jedzenia. W pierwszych dniach wielu z nas dokupywało coś do

zjedzenia, wkrótce jednak, po wyczerpaniu się gotówki, byliśmy zdani tylko na jedzenie z kotła, bez różnicy stopnia.

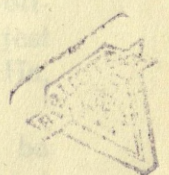
Najbardziej starannie, najszybciej i najsmaczniej przygotowywała jedzenie obywatelka Ludka, jako sierżant prowiantowy jednej z kompanij bataljonu. Za swój punkt honoru uważała, by chłopcy nie byli głodni i osiągała ten cel nieraz po wielu trudach i ofiarach. Żołnierze czują nad sobą jej opiekę — lubią ją i, co ważniejsze, szanują.

OKRES KIELECKI

OKRES KIELECKI

Najazdca, 15 sierpnia, przemarszowałszy pod Białą, mając ciągle na oczach ruinę zamku Chęcińskiego. Tu, bocznemi drogami, wiodł lasów było nie lepiej niż twanda, skwarą orzą. Zakwaterowani byliśmy ciśnień, gdyż w okolicy wziętych był cały oddział strzelców.

Bataljon nasz otrzymał nowego komendanta. Został nim ok. K. **OKRES KIELECKI** *Wojna Nowa*, z dawny komendant batalionu odszedł z powodu, że placówki nasze w nocy postrzelali konie jakiegoś na jego myślenie, że to konie. Poza tem Obywatel Szani zrobił przegląd amunicji w jednej kompanii i nie znalazł nakazanej ilości. Był z tego powodu wielki gwałt w całym batalionie. Naboje są wielkie a żołnierze nie mają ich w całym woście. Kiszzenie i torby płocienne drą się i tak, ginie w ukamien amunicji. Ładownie niema w dostatecznej ilości.

Nowy komendant jest „w cywile” — medykiem i oficerem armji austriackiej. Żołnierze mówią, że jest perwidy, żeby „dać szkołę” ze postrzelone konie. 

Wczoraj nie poznaliśmy szosą wprost na Kielce, bo IV bataljon zalał miwę pod Brzegami nad Nidą i w tej bitwie był też rumny, zapewne opatrywany przez mnie dragon. Mielko, podobno, się ucinęli. Jan, ba-

OKRES KIELECKI

OKRES KIELECKI.

Nazajutrz, 15 sierpnia, przemaszerowaliśmy pod Bolmin, mając ciągle na oczach ruiny zamku Chęcińskiego. Tu, bocznymi drogami, wśród lasów szło się lepiej niż twardą, skwarną szosą. Zakwaterowani byliśmy ciasniej, gdyż w okolicy ściągnięty był cały oddział strzelców.

Bataljon nasz otrzymał nowego komendanta. Został nim ob. Karasiewicz, podobno srogi i służbista. Mówią, że dawny komendant bataljonu odszedł z powodu, że placówki nasze w nocy postrzelały konie, pasące się na łące, myśląc, że to kozacy. Poza tem Obywatel Szeff zrobił przegląd amunicji w jednej kompanji i nie znalazł nakazanej ilości. Był z tego powodu wielki gwałt w całym bataljonie. Naboje są wielkie a żołnierze nie mają ich w czym nosić. Kieszenie i torby płóciennie drą się i, tak, ginie w marszu amunicja. Ładownic niema w dostatecznej ilości.

Nowy komendant jest „w cywilu“ — medykiem i oficerem armji austriackiej. Żołnierze mówią, że jest przysłany, żeby „dać szkołę“ za postrzelone konie. Ha, zobaczymy!

Wczoraj nie poszliśmy szosą wprost na Kielce, bo IV bataljon miał bitwę pod Brzegami nad Nidą i w tej bitwie był też ranny, zapewne opatrywany przeze mnie dragon. Moskale, podobno, się cofnęli. Inne ba-

taljony już się biją, a my ciągle gdzieś łazimy po lasach i piaskach.

Po południu, korzystając z wypoczynku, przemówiłem do zebranych na łące żołnierzy, jak mają zachowywać się w wypadku zranienia. Przemówienie moje było może trochę zbyt „kliniczne”. Zaleciłem żołnierzom w razie zranienia nie ruszać się z miejsca, czekać na sanitariuszy i t. d. Obecny przytem jeden z kompanijnych wygłosił zaraz po mnie grzmiące, patetyczne przemówienie, że żołnierze mają biec w ogień nawet po zranieniu, nie słuchać ostrzeżeń i t. d. Byłem na niego zły, ale powiedziałem sobie: „Zaczekaj, zobaczymy, jak będziesz biegł w ogniu!” Niestety, oficera tego w ogniu później nigdy nie spotkałem... Inni, którzy słuchali i nie chwalili się, dokonywali później cudów odwagi.

18 sierpnia. — Od paru dni stoimy w Rykoszynie pod Piekoszowem, 17 wiorst od Kielc. Niektóre bataljony są już w Kielcach. Myśmy szli bocznymi drogami, naokoło i teraz parę dni organizujemy się.

Jest tu główny sztab wojska, obywatel Ryszard i sztab lekarski. Wiedziałem, że dr. Rouppert jest w pobliżu, ale nie szedłem do niego, bo nie chciałem narzucać się niewzywany. Dzisiaj, jednak, nie mając już żadnych leków, głównie maści do odparzeń, udałem się do sztabu z prośbą o pomoc. W sztabie lekarskim, prócz dra Roupperta zastałem dra Piestrzyńskiego i kilku starszych słuchaczy medycyny, jak Janek Gołąb oraz Lach i t. d. Dr. Rouppert zrobił mi wykład, że nie przybyłem dotąd zameldować się i zdać raportu z mych czynności, ale kazał dać nosze bambusowe, leków, maści, opatrunków i. o radości, wóz z końmi, na którym przywozłem to wszystko do bataljonu. Wtedy też na kartelusku wypisywałem pierwszy mój raport. Wszystkie te cenne rzeczy otrzymałem wprost z ręki do ręki, bez pokwitowania. Jednocześnie ob. Gołąb, który był dotychczas w innym

bataljonie i paru medyków zostało przydzielonych mi do pomocy. Od tej chwili zacząłem tworzyć oddział sanitarny przy bataljonie. Należała do niego również bardzo pracowita i dzielna obywatelka Wisłocka.

Sztab lekarski był obficie zaopatrzony w leki i opatrunki. Dr. Rouppert posiadał ze sobą kilka wozów, ładownych materiałem sanitarnym, a nawet karetkę pogotowia, zaprzężoną w cztery konie, przeznaczoną do przewożenia rannych. Dostałem tam również chorągiew czerwonego krzyża i opaski na ramię dla mnie i sanitariuszy. Chorągiew odtąd wywieszana była stale w drzwiach domu, gdzie przyjmowałem chorych.

Tegoż dnia miałem „nieszczęście“, które zakończyło się szczęśliwie. Oglądając karabin „Werndla“, odwiódłem kurek i spowodowałem wystrzał w sieni jednego z domów, na szczęście w ziemię. Było jednak dużo huków i kpin z „łapiducha“.

Wogóle, ze znajomością wojska na początku było nieszczególnie. Naprzykład, Janek Gołąb musiał mnie namawiać, bym zaczął chodzić na odprawy bataljonowe, gdyż nie wiedziałem, że jest to moim obowiązkiem, stąd nie miałem śmiałości iść.

19 sierpnia. — O godzinie 5 rano wyruszamy, i szybkim marszem przez Piekoszów i Tumlin idziemy do wsi Humer. W Tumlinie zachorował pierwszy strzelec na czerwonkę. Rekwiruję podwodę i odsyłam go do szpitala.

20 sierpnia. — Zostajemy w Humerze, wsi, otoczonej lasami. Podobno nasz ruch okrążający Kielce nie dał wyników, gdyż kozacy są już za Zagnańskiem. Pomimo to zachowujemy wielkie ostrożności, gdyż drobne oddziały mogą jeszcze plątać się w lasach okolicznych.

Wywiesiłem moją chorągiew Czerwonego Krzyża wysoko nad dachem domu. Komendant Główny przechodził przypadkowo drogą i kazał mi ją umieścić niżej, mówiąc, że jest zbyt widoczna w miejscowości,

naokoło której kręcą się patrole jazdy nieprzyjacielskiej. Poznałem już teraz Obywatela Mieczysława, zasalutowałem i zawołałem: „Tak jest! zaraz sprzątnę“.

21 sierpnia. — Stoimy ciągle w Humerze. Żołnierze jedzą niedojrzałe gruszki i surowe jarzyny, to też uczynają pokazywać się przypadki czerwonki. Zresztą, niema dobrej wody do picia. Wczoraj odesłałem ośmiu chorych z medykiem ob. Lachem do Kielc, a dzisiaj znów mamy dwóch z czerwonką. Rano były ćwiczenia bataljonu. Ob. Edward przywiózł w nocy różne zakupy z Kielc. Mamy tam wreszcie iść. Tu już strasznie nudno.

22 sierpnia. — Dziś, o godzinie 6 rano wymaszerowaliśmy do Kielc. Około 9 weszliśmy ulicą Staro-Warszawską do miasta. Przed miastem wszyscy doprowadzili rynsztunek do porządku i opuścili pod brodę podpinkę czapek, by wyglądać bardziej wojowniczo. Ludność spotkała nas dość obojętnie. Pojedynczy ludzie witali nieśmiało. Zresztą strzelcy byli już w mieście, tak, że nie byliśmy nowością. Przemaszerowaliśmy przez miasto i zajęliśmy koszary 6-go rosyjskiego pułku strzelców na Wietrzni.

25 sierpnia. — Po wejściu do Kielc odczytano nam rozkaz Komendanta Głównego, w którym mówi, że wystąpieniem naszym na wojnę rzuciliśmy „iskry na proch“. Dalej jest mowa o Naczelnym Komitecie Narodowym w Krakowie i o Legjonach. Pod rozkazem podpisany Obywatel Szeł Sosnkowski. Kielce i koszary znam doskonale, gdyż w Kielcach skończyłem gimnazjum. Po wejściu do koszar przez parę dni nie wolno było wychodzić na miasto, teraz już wolno. Rano zwykle są ćwiczenia, ja robię wizytę lekarską, a po południa są wolne. W koszarach i w mieście odbywają się poszukiwania za bronią i rzeczami zostawionymi przez Moskali. Całe miasto zmieniło swój wygląd, gdyż nasz komisarz kazał pozamalowywać napisy rosyjskie. Niektórzy zrobili to szczerze — solidnie.

Większość, troszeczkę zamazała wapnem, tak, by w każdej chwili można było odmyć.

Cały oddział sanitarny śpi razem w dawnej jadalni żołnierskiej na posadzce przykrytej słomą. Prześcieradeł, ani poduszek nie mamy. Jadam przy trzeciej kompanji, gdzie komendantem jest ob. Wir, a sierżantem prowiantowym obywatelka Ludka. Obywatelka Wisłocka jest, również, podoficerem w naszym bataljonie. Dowodzi patrolem sanitarnym, jako medyczka IV roku. Jest zręczna, poważna i sumienna.

Ponieważ w Kielcach nie byłem już od kilku lat, niewielu więc miałem znajomych. Ludność, naogół, myśli, co będzie, jak „nasi“ — Moskale wrócą. Stąd traktuje nas przeważnie z rezerwą. Wyjątek stanowi kilka rodzin, jak np. dom pp. Pytlewskich, dawnych znajomych, którzy dali do strzelców dwóch synów i córkę, jako sanitariuszkę. Poza tem w Lidze Kobiet, która pracuje w dawnym rosyjskim internacie gimnazjum męskiego, można zawsze spotkać pomoc dla żołnierza. Jest tam szwalnia, pralnia, zbiórka środków opatrunkowych, ryszunku itd. Dostałem stamtąd, dzięki obywatelce Kossuthównie, dużą pakę opatrunków, którą umieściłem, jako żelazną rezerwę na mym wozie sanitarnym, by ratowały sytuację w chwilach gwałtownego napływu rannych i chorych chirurgicznych.

Naogół biorąc, w opowiadaniach o bogactwie rzeczy, pozostawionych przez Moskali, jest masę przesady. Ale cuda, cuda opowiadają żołnierze o rzeczach po Moskalach, nagromadzonych w magazynach wojskowych obok więzienia. Urzęduje w tych składach inżynier Moraczewski. Są tam, podobno, ładownice, torby sanitarne, pasy, bielizna i opatrunki. Inne bataljony już dostały sporo tego dobra. Spróbuję i ja szczęścia. Wszyscy mię namawiają, by coś „zafasować“, bo, jako doktorowi, to nikt nie odmówi.

27 sierpnia. — Byłem więc dzisiaj w magazynach u ob. Moraczewskiego. Wybrałem się wozem i z wor-

kami na lupy wojenne, ale — niech to djabli wezmą! Wóz zostawiłem koło Sztabu Głównego (w pałacu dawnym gubernatora) a sam z workami wszedłem odważnie do wnętrza. Jeszcze nic nie dostrzegłem po wejściu ze światła do ciemnego baraku, gdy zagrział nadę mną głos piorunujący: „Obywatelu, a czego wy tu chcecie?“ Odpowiedziałem, kierując mój głos w ciemność, że przychodzę po rzeczy i bieliznę dla oddziału sanitarnego V bataljonu.

„Obywatelu, co mnie sanitariat, do mnie tu przychodzą tylko całe bataljony po rzeczy. Tak, każdyby przyszedł! Nie dostaniecie nic!“.

Co było robić?

Zły wyszedłem szybko, „zabierając“ w pośpiechu doskonałe spodnie skórzane, które ofiarowałem jednemu z oficerów. Taką była moja zemsta na ob. Jędrzeju, a, przynajmniej, nie wróciłem do bataljonu z całkiem próżnymi rękami. I tak śmieli się ze mnie, że mało przyniosłem.

Dostałem zato leków, toreb, noszy i opatrunków u lekarza naczelnego, ob. Roupperta, który miał swój oddział sanitarny w b. kasie skarbowej rosyjskiej. Jednocześnie otrzymałem wzór na sporządzenie raportu codziennego chorych. Przyznam się, że zabolalo mię to, że już zaczynamy prowadzić kancelarję, którą uważałem za zbyteczną.

Chorych na czerwonkę przybywa tymczasem codziennie. Odsyłamy ich do szpitala w mieście, a słomę, na której spali, palimy. Spiących obok — poddajemy obserwacji i izolujemy. Poza temi wypadkami nic nie wiemy i nie mamy wiadomości.

Tak przechodzą, jeden za drugim, dni życia w garnizonie.

28 sierpnia. — Dziś w nocy, za koszarami koło prochowni, rozstrzelali żandarmi strzelca, skazanego na śmierć sądem wojennym. W bataljonie zwracają dużą uwagę na „podciągnięcie“ dyscypliny zewnętrznej.

Szeregowcy mają obowiązek salutowania oficerów i podoficerów również poza służbą. Ob. Gołąb, Lach i Edward wyjechali do Krakowa.

Piszę dzisiaj pamiętnik w prochowni, położonej 2 kilometry od koszar, gdzie przeszukujemy studnię w której, podobno, są wrzucone rosyjskie karabiny maszynowe. Znaleźliśmy, niestety, tylko parę zwykłych karabinów rosyjskich i kilka skrzynek z amunicją. Ha, dobre i to dla naszych rekrutów z Kielc.

Niedaleko, pod lasem, zwanym Telegraf, w koszarach rosyjskiej artylerji konnej umieszczona jest kawalerja Beliny. Robią oni dalekie wywiady, aż pod Radom, by nas ustrzec od nagłego napadu Moskali.

30 sierpnia. — Dzisiaj mamy paradę kościelną. Wszyscy wyruszyliśmy na plac koło katedry. Bataljon w nieobecności ob. Karasiewicza, poprowadził ob. Sław-Zwierzyński. Wystąpił on konno w białych rękawiczkach. Opowiadał mi z entuzjazmem, że oficerowie japońscy w pierwszą bitwę szli w białych rękawiczkach, jako na wielkie święto, że on robi to samo. Byłem z nim później w wielu bitwach, był już bez białych rękawiczek, ale być z takim dowódcą w bitwie, było naprawdę świętem.

Maszerowałem za bataljonem z wielkim austriackim pałaszem ułańskim, na który wymieniłem u ob. medyka Wertheima moją rosyjską „szaszke“, otrzymaną w Jędrzejowie od Bobrowskiego.

Mszę św. i kazanie odprawił X. kapelan Kosma Lenczowski na placu, gdyż biskup kielecki Łoziński nie chciał dać mu pozwolenia na odprawienie nabożeństwa w katedrze, uważając nas jako buntowników przeciw cesarzowi rosyjskiemu. Ołtarz stanął u podnóża wieży katedry. Cały plac był wypełniony strzelcami i ludnością cywilną. Niemcy przysłali dwóch oficerów w piketach, jako delegację od ich bataljonu, który przed kilku dniami nadszedł do Kielc. Z początku byli bardzo butni, teraz zmiękli, gdy Moskale odebrali im Łódź

Widziałem dawnego mego kolegę z gimnazjum w Kielcach, Kazika Warchalskiego, który siedział tu w więzieniu przed kilku laty za „robotę“ w gimnazjum.

31 sierpnia. — Piszę w czasie odpoczynku koło mły-
na, kilka kilometrów na południe od Kielc, dokąd wy-
szliśmy dziś o godzinie 3.30 po północy w poszukiwa-
niu patroli kozackich, które widziano tu przed paru
dniami. Kozaków nie znaleźliśmy. Skonfiskowaliśmy
rządową broń leśniczemu. Ja dostałem duży browning.
Niestety, mam bardzo mało, zaledwie kilka nabo-
i.

Cały czas szliśmy po kamienistych bocznych dro-
gach i koń mój okulał. W taborze mówią, że nieprę-
d-ko będzie można na nim jeździć, że to nie jest koń pod
wierzch, że ma miękki róg na kopytach, że kopyta bę-
dą mu ciągle pękać. Proszę więc o jakiego innego ko-
nia; adjutant bataljonu ob. Kamyk obiecał mi wysta-
rać się o większego i lepszego. Bez konia trudno peł-
nić służbę w marszu. Trzeba się zatrzymać z jakim
maruderem, a kolumna przez ten czas już kilometr od-
waliła.

Na wywiadzie było dwie kompanje piechoty i pię-
ciu kawalerzystów. Wróciliśmy późnym wieczorem do
koszar. Ten dzień marszu w lasach przypomni mi,
czytane opisy z powstania.

2 wrzesień. — Coraz częściej słyhać o zbliżaniu się
Moskali. Bataljon wychodzi na kopanie okopów na
stoku wzgórza w SzydłóWKu, na północ od Kielc. Cięż-
ko tam kopać w kamienistym gruncie, chłopcom się
to nie podoba. Mówią, że nie poto wyszli na wojnę.
Woleliby iść się bić, niż grzebać się w ziemi. Będzie pe-
wnie niedługo i bitwa.

4 wrzesień. — Dziś odbyła się przysięga. Dowie-
dzieliliśmy się o niej dopiero wczoraj. Bataljonowy po-
wiedział, że daje się wolność każdemu, jeżeli nie chce
przysięgać, wystąpić ze Strzelca.

Debatowaliśmy nad tem niedługo. Komendant Główny robi tak, jak widać trzeba. Nie jest to wesołe, ale rady niema. Wyprowadzili nas za miasto i... niebo nawet płakało nad tą naszą przysięgą. Przemokliśmy do suchej nitki. Generał austriacki mówił, że trzeba „wroga młócić“. Słuchaliśmy go w grobowem milczeniu. Potem obiecał „manlichery“ i płaszcze dla „1-go Pułku Legjonów“. Wróciliśmy do koszar, nie zgnębieni, ale jakby zdrętwiali. Ludzie klną na tą nazwę legjonów. Chcą zostać jak byli „strzelcami“. Najgorzej było patrzeć, jak taki czerwony Austriak do nas przemawia, jako przełożony. Mówią, że będzie dużo pułków legjonu polskiego, że na tyłach formują się już dalsze oddziały.

5 *wrzesień*. — Był fałszywy alarm w mieście, że Moskale pod miastem. Austriacy i Prusacy spakowali się na wozy i stanęli na krakowskiej roгатce. W chwili większego hałasu w mieście Prusacy zeskoczyli z wozów i wzięli już karabinki na „gotuj broń“.

Pod Szydłówkiem był „kawał“ z austriackim pułkownikiem. Jechał samochodem i nie chciał zatrzymać się przed placówką na szosie, dopiero, gdy na alarm posterunku wybiegli chłopcy i wzięli go na cel, zatrzymał się, kląć i wylegitymował się przed naszym podoficerem. Wszyscy są kontenci, że ma nauczkę co to strzelcy.

6 *wrzesień*. — Mieliśmy dziś rano alarm w koszarach. Oddział sanitarny i moja fura były gotowe bardzo szybko, ale zameldowałem o tem bataljonowemu ostatni z pośród oficerów, bo nie wiedziałem, że trzeba iść meldować gotowość i zostałem przy oddziale. Gołąb robił mi z tego powodu wymówki. Okazało się, że alarm był próbny. Wróciliśmy z niechęcią do brudnych koszar. Myśleliśmy, że już idziemy bić się.

8 *wrzesień*. — Dzisiaj, o godzinie 4.30 rano był znów alarm, tym razem prawdziwy. Szybko stanęły kompanie na dziedzińcu koszar, zajechały wozy. Szarże in-

spekcyjne sprawdzały, czy co nie zostało, poczem tabory poszły na rogatkę krakowską, gdzie uszykowały się z taborami innych bataljonów. Kompanje poszły na pozycję pod Szydłówkiem i zajęły odcinki okopów. Za okopami na zboczu wzgórza ustawiona była... armata, wykonana z kłosa drzewa, ułożonego na kółkach. Stała zdala od szosy, tak, że szpiedzy rosyjscy mogli ją wziąć za prawdziwą. Jedna kompanja stała na zmianę w okopach, reszta bataljonu w koszarach w ostrem pogotowiu. Tabory odeszły szosą na Pińczów. Odszedł z niemi i mój wóz sanitarny.

Ob. Kamyk dotrzymał słowa i dał mi pod wierzch wysokiego gniadego konia, który nazywał się Topaz. Niestety, nie chodził jeszcze pod wierzchem i lękał się wszystkiego, co nie było rzeczą obojętną dla tak początkującego jeźdźcy, jak ja.

11 września. — Dwa dni przeszło w naprężonem oczekiwaniu Moskali. Nadciągają, podobno, od Opatowa i my mamy iść przebojem do Wisły. Jeszcze raz wyszliśmy do okopów pod Szydłówek, a po południu wróciliśmy przez miasto i stanęliśmy na krakowskiej rogate. W mieście popłoch i zamieszanie.

Już od paru dni „deszcz“ co noc zaczął odmywać rosyjskie napisy. Teraz już bez żenady ludność je odmywa, lub zawiesza uprzątnięte. Wszyscy boją się, jak zemszczą się na ludności miasta Moskale za pobyt strzelców. Najbardziej „skompromitowani“ — naszym pobylem opuszczają razem z nami miasto. Los ich nie jest do pozazdroszczenia. Nasi sympatycy i sympatyczki idą na piechotę lub na wozach szosą na Pińczów.

Co z nimi będzie dalej? Muszą iść na wygnanie, by nie wpaść w ręce Moskali. Bataljon rekrutów kieleckich wymaszerował już przed dwoma dniami.

W czasie czekania w kurzu za krakowską rogatką przy szosie do Pińczowa — omawiamy, jak umiemy, sytuację. Chłopcy nie wierzą, żebyśmy szli się bić,

kiedy tabory poszły naprzód, a nieprzyjaciół ma być na przedzie.

Wreszcie przeszedł rząd wozów, za nim bataljon Niemców, a my wciąż czekamy.

Nadjechał Komendant Główny i ruszyliśmy. Było piekielnie gorąco, a nad szosą tłukły się tumany kurzu po przejściu wozów. Maszerowaliśmy szybko, to też często zmęczony żołnierz, ociekający potem, blade, słał się w kolumnie. Nieprzywykli do marszu żołnierze kładli się w rowie, mimo iż wiedzieli, że za nami są Moskale. Na szczęście mieliśmy zarekwirowane wozy, na które poszedł rysztyunek i najslabsi z żołnierzy.

Szedł z nami oddział wywiadowczy ob. Świętopełka i żandarmerja.

W nocy już doszliśmy do Morawicy i tu zano-cowa-liśmy. Zrobiliśmy 20 kilometrów w tempie bardzo szybkim, żołnierze byli jak ścięci. Śpiewali mimo to.

Mój koń od chwili zmroku rzucał się co chwila we wszystkie strony. Bał się ognisk, oddziałów maszerujących, nawet wozów. Zmęczyłem się też na nim setnie, a co gorsza, zasłużyłem sobie na zlorzeczenia potracanych w tłoku żołnierzy. Wymyślali nie koniowi, tylko mnie.

12 września. — Wczesnym rankiem — odmarsz na Chmielnik, gdzie zatrzymujemy się na dłuższy odpoczynek. Sztab bataljonu odpoczywa w biurze opuszczonej poczty.

Dalej zeszliśmy z szosy i drogą piaszczystą, wśród lasów, maszerowaliśmy do małej wsi Grabki. Tu mamy bardzo ciasne kwatery. Stąd mieliśmy zatarg o chałupę z oddziałem cyklistów. Jeszcze gorzej, niż ze spaniem, jest z jedzeniem. Wozy kuchenne, to znaczy wozy, na których wieziemy kotły, przybywają, wprowadzicie razem z kolumną, ale nim kolacja zostanie przygotowana, nim się zagotuje woda, nim uwarzy się zupa, zmęczeni żołnierze idą spać głodni. Bu-

dzi się ich dopiero koło północy na kolację. Niektórzy rozespani chłopcy nie chcą wstać, gdyż są to jeszcze prawie dzieci. Śpią snem kamiennym, gdy tylko złożą głowę na plecaku. Tymczasem wieczerza nie czeka do rana, gdyż w kotłach muszą zagotować nad ranem kawę, a potem mają one być próżne na wozach przed odmarszem. To też z dnia na dzień trapi głód naszych żołnierzy. Wszystko to z powodu braku kuchen polowych.

Mimo głodu wszyscy pragną wreszcie spotkania z Moskalami.

13 wrzesień. — Do zebranych, rankiem, zmęczonych oddziałów przemówił Komendant Główny, Obywatel Mieczysław, mówiąc, że stoimy wobec możliwości zetknięcia się z nieprzyjacielem, że wymaga od nas napięcia sił fizycznych i moralnych, gdyż czekają nas ciężkie przejścia. Pamiętam, wszyscy ucieszyliśmy się z zapowiedzi tych możliwości, to znaczy spotkania z nieprzyjacielem.

Słowa Komendanta podniosły ducha zmęczonych żołnierzy. Przyszły bardzo na czasie. Siły moralne i fizyczne były na wyczerpaniu. Wszyscyśmy szli na wojnę, myśląc, że będziemy bić się na śmierć i życie, a tu niema bitwy tylko straszne wyczerpanie maszerowaniem, upałem i często.. głodem.

Mimo to szliśmy z otuchą, śpiewając, że spierzemy Moskali. Nasz bataljon nie zetknął się z nieprzyjacielem. Pod wieczór, idąc wciąż marszem bojowym, doszliśmy przy ulewnym deszczu do Stopnicy. Wszyscy byli przemoczeni, bo nie mieliśmy jeszcze płaszczy.

Podobno, na lewem skrzydle w czasie marszu były potyczki straży bocznej z Moskalami, ale ci nie kwapili się nacierać na naszą kolumnę. W Stopnicy zano-cowaliśmy na poczie, wśród porozbijanych sprzętów biurowych.

14 wrzesień. — Ponieważ żołnierze posnęli przemoczeni, a deszcz padał w dalszym ciągu, bielizna nie

schła, postanowiłem wystarać się w mieście przynajmniej o suche onuczki dla żołnierzy. Rano udałem się do miejscowych pań i przedstawiłem im konieczność pomocy dla naszych chłopców. Zakrzętnęły się tak chętnie i żwawo, tak przejęły się swą rolą pomocy dla polskich żołnierzy, że w ciągu godziny zebrałem suche onuczki dla całego bataljonu. Było to o tyle bardziej wzruszające, że byliśmy żołnierzami bez Ojczyzny, wyjętymi z pod prawa. Przecież wiedziały te kobiety, że idą za nami Moskale, że nawet ofiarowanie tych onuczek „miateżnikom“ będzie srogo pomszczone.

Rozesłałem onuczki przez sanitariuszy do kompanij. Przemoczeni żołnierze chwyтали z zapalem płaty suchego płótna. Było wiele radości. Dostałem pochwałę od bataljonowego i zdobyłem pierwszy załazek sympatji żołnierzy do bataljonowego „łapiducha“. Poza tem wszędzie w Stopnicy zapraszano nas na obiad, przed którym, niestety, opuściliśmy to miasto, zostawiając ludność w strachu przed powrotem Moskali. Wyszliśmy wśród deszczu, mniejszego jednak niż wczoraj.

W Pacanowie ludność na wieść o naszym przybyciu pozamykała wszystkie sklepy. Nie można było niczego dostać. Dopiero energiczna interwencja szefa żandarmerji, ob. Kostka, zmusiła wylękłych do otwarcia sklepików.

Tu, w Pacanowie, spotkałem mój wóz sanitarny, który w czasie odwrotu z Kielc poszedł naprzód z taborami.

Jechałem konno za bataljonem z ob. Hettim, pełniącym w tej chwili obowiązki adjutanta bataljonu. W kilka godzin po wymarszu z Pacanowa przechodzimy przez most na Wiśle pod Szczucinem, razem z kawalerją austriacką i przez Szczucin maszerujemy na nocleg do Lubaszewic.

Tu spotykamy po raz pierwszy prawdziwych „legjonistów“, N. K. N-owskich. Mieli czapki, przezw-

ne przez naszych „habsbursko-jagiellońskimi“, to jest austriackie „kapuce“ ale z różkami polskimi. Poza tem na rękawie lewym — czarno-żółta opaska landsturmisty austriackiego.

Biedacy przyszli jako uzupełnienie do nas. Są wyraźnie „speszeni“ przyjęciem, jakie gotują im przechodzący żołnierze. Wiara ryczy na ich widok: „Oddaj czapkę! oddaj opaskę, widzieliście „cysarza?“! Obywatelu wystroiliście się, jak družba na wesele!“.

„Legjoniści“ szybko zerwali opaski, a z taborów dostali maciejówki. Od tej chwili „razili“ tylko swemi nowemi mundurami i całemi butami, ale to już można było im „wybaczyć“.

OBRONA WISŁY

OBRONA WISŁY

GERONIMO WISLEY

OBRONA WISŁY.

15 wrzesień. — Lubaszew — spoczynek.

Po południu stała się rzecz wielka. Odebrano wielkie, stare „Werndle“ i dano „mannlichery“ wzór 90, ale trafiały się i 95-ki. Wiara szaleje z radości, że wszyscy mają już karabiny, jak „kadrówka“. Całe popołudnie przeszło na wyszukiwaniu 95-ek, ładowaniu, rozładowywaniu i czyszczeniu broni. Obyło się bez wypadku.

16 wrzesień. — Rozchodzą się słuchy, że pójdziemy na tyły, na agitację za wstępowaniem do legionów. Jedni mówią, że do Królestwa, inni że do Małopolski. Mówią też, że idziemy się bić pod Sandomierz. Poza temi „gadkami“ nie robimy nic, wypoczywamy. Tymczasem od strony Wisły dochodzą coraz częściej strzały armatnie i karabinowe.

17 wrzesień. — Jesteśmy przeznaczeni do obrony Wisły przed wtargnięciem Moskali do Galicji. Celem objęcia przeznaczonego nam odcinka obrony maszerujemy do Kozłowa, gdzie nocujemy.

Wszędzie po wsiach śliczne sady z niezwykłym urodzajem śliwek. Ludzie objadają się nimi mimo zakazu w rozkazie bataljonowym. Narazie niema czerwunki, ale w marszu bataljon stale „ubezpieczony“ jest z obydwóch stron przez łańcuch „przykucniętych tyraljerów“. Dziś rano z rozpaczą stwierdziłem, że sanitariusze również ulegli psychozie śliwko-

wej i jedzą aż miło. Ja wstrzymuję się po bohater-sku, ale czy nie ulegnę pokusie?! Jedzenie z kotła jest tak jednostajne, mimo najlepszych wysiłków intendentury. Austriacy proponują nam prowiant ze swych „Staffli“ ale wolimy głodować, jak brać coś od tych drani. Niech wiedzą, że nie jesteśmy ich wojskiem.

18 wrzesień. — Wymarsz do Borusowej celem objęcia obrony Wisły. Wyjeżdżam konno z bataljonowym i kompanijnymi celem obejrzenia odcinka bataljonu. Zostajemy tu na kwaterach. 4-a kompanja rozstawiła na noc placówki naprzeciw Rogowa. Wróciła nad ranem na kwatery.

19 wrzesień. — Cały dzień stoimy na miejscu. Pod wieczór wezwano mię na odprawę do bataljonu. Bataljonowy, ob. Karasiewicz, oznajmił, że obronę Wisły mamy traktować czynnie. Stąd dzisiaj wieczorem część naszych sił przeprawia się na drugi brzeg Wisły, celem dokonania o świcie napadu na Moskali w okolicy Solca. Zabiera z sobą na drugi brzeg 1-ą i 4-ą kompanje. Idę i ja! Pod koniec odprawy przybył Komendant Główny i zwrócił uwagę bataljonowego na współdziałanie z bataljonem Satyra, który ma zająć tyły Moskalom.

W małej chacie nad Wisłą przy świetle lampki odbyła się ta pierwsza nasza odprawa przed bitwą. Jesteśmy wszyscy wzruszeni. Komendant Główny jest spokojny, wydaje rozkazy stanowczo, ale jakoś łagodnie, jakby chciał nas przekonać, że to takie proste iść za Wisłę bić się z Moskalami. Słowa Komendanta wlewają otuchę w nasze rozgorączkowane umysły.

Zaraz po odprawie zaczynamy przygotowania. Wydają nam konserwy, gdyż idziemy zupełnie bez taboru. Biorę do torby najpotrzebniejsze leki i opatrunki. Zbiórka na 9 wieczorem. Już zupełnie ciemno. Palić nie wolno, ale wszyscy „palą się“, by zaskoczyć

Moskali i sprawić im lanie. Kompanje zostające zazdroszczą nam tej pierwszej, spodziewanej bitwy.

Dochodzimy do promu. Wiatr wyje nad rzeką. Przewożą nas powoli cywilni przewoźnicy. Rzeką rwie nas w dół, a tam, podobno, niedaleko już Moskale. Noc ciemna. Po wylądowaniu na drugim brzegu czekamy na resztę. Wreszcie są wszyscy. Bataljonowy idzie w straży przedniej, adjutant i ja obok niego.

Patrole poszły naprzód i za chwilę wsiąkły w mrok gęstej nocy. Kazano nałożyć bagnet na broń i wyjąć zatyczki z luf karabinów. Za patrolami poszli łącznicy łańcuchem. Ruszamy i my. Wszyscy mają nerwy napięte. Trzciny i łozy nad rzeką szumią, zaczyna kropić drobny deszczyk. Mijamy most na Nidzie i przechodzimy czarny, milczący „Nowyj Gorod Korczyn“. Dalej w ciszy suniemy w polu, ledwie znajdując błotnistą boczną drogę. Co jakiś czas na znak łączników zatrzymujemy się. Wokoło cisza, wiatr dmie, szarpiąc drzewami i krzewami. Deszcz coraz większy.

Nerwy nasze hulają. Przez kilka minut stałem przed krzakiem przydrożnym, myśląc, że to kozak na koniu. Wreszcie podeszliśmy z jednym żołnierzem. Nie, to krzak... Patrole wchodzi do wsi przydrożnych i sprawdzają, czy niema Moskali. Po pewnym czasie ruszamy. Tak przechodzimy uśpione nieufnie Grotniki Małe, Górną Wolę i zbliżamy się do Ostrowiec. We wsiach psy ujadają zapamiętałe, co może też zwrócić uwagę Moskali, których od tyłu ma wziąć ob. Satyr.

Czekamy do świtu.

O świcie nastąpiła zaledwie wymiana strzałów patroli, po której Moskale się cofnęły. Tymczasem bataljon Satyra nie nadchodzi. Ob. Karasiewicz wysłał 4-ą kompanję, ob. Sasa, do Zagórzan, leżących za la-

sem. Po jakimś czasie kompanja wraca po wymianie strzałów z ubezpieczeniem rosyjskiej artylerji, która podobno znajduje się w Zagórzanach.

Wstaje powoli słotny dzień jesienny. Wracamy na powrót do Grotnik Małych. Tu zatrzymujemy się, by czekać na I bataljon Satyra. Część żołnierzy drzemie, część przygotowuje konserwy. Wtem elektryzuje wszystkich okrzyk: „kozacy“! Rzeczywiście, w odległości pół kilometra zbliża się do wsi kilku jeźdźców, jadących w linii tyraljerskiej wprost na naszą wieś, Ob. Karasiewicz wydał rozkaz nie strzelać i wpuścić ich do wsi. Obserwujemy ich z okna naszej chałupy, która stoi na podwyższeniu. Jadą wolno, broń mają w pogotowiu. Przez lornetkę widać, że to nie kozacy, lecz żołnierze regularnej kawalerji. Wtem, gdzieś z boku, młody jakiś żołnierz nie wytrzymał, zaczął strzelać. Wywiązała się strzelanina.

Bataljonowy był zły, żeśmy tak zdradzili swą obecność zbyt wcześnie. Było zapóźno się chować, kazał strzelać. Wszyscy z zapalem zaczęli rypać do tych pierwszych wrogów. Z okien naszej chaty, które górowały nad okolicą, zaczęli też żołnierze strzelać. Głuchy huk wystrzałów z „mannlicherów“, trzask repetowania i zapach prochu napełniły wnet izbę. Wtem krzyk kobiecy głośniejszy od strzałów przeszył powietrze. Do chaty wbiegła właścicielka, pyskata baba, rycząc: „Co robicie, o Jezu, to w chałupie chceta strzylać. Idźta do lasu, kiedy chceta robić powstanie, wy pójdzieta, a potem „nasi“ chałupę mi spalą!!!“

Rzucała się przytem na żołnierzy, przeszkadzając im strzelać.

Przyznam się, zem zdębiał. Rozumiem walczyć z Moskalami, nawet odpiąłem już pochwę mego pistoletu z kilkoma nabojami, ale co tu robić z taką babą?

Na rozkaz bataljonowego dwóch ordynansów wepchnęło szamoczącą się babę do ciemnej komórki i tam

zamknęli ją na „skobel“. Darła się i tam jak opętana, że: „bez tych sokołów chałupa z dymem pójdzie“.

Kawalerzyści tymczasem zawrócili i galopem zwiali do lasu.

Za chwilę jakiś głęboki barytonowy dźwięk bum-snął i — trach! — pocisk wyrznął za chałupami, w łączkę, po której spokojnie chodziły gęsi. Za nim drugi i trzeci, już w ogrody i jeszcze i jeszcze!!! Moskale widocznie zauważyli nas we wsi i walą do nas.

Ob. Karasiewicz kazał cofać się ze wsi na Nowy Korczyn plutonami, po ugorze za wsią. Artylerja rosyjska prowadziła nas cały czas swemi pociskami. Trzeba było pod ogniem iść wzdłuż rzeki aż do mostu pod Korczynem. Nadciągnął tam bataljon Satyra. On też nie zastał Moskali, którzy na noc odchodzili w głąb „ładu“ za Wisłę.

Zmęczeni, przemoknięci staliśmy pod chałupami, czekając na przejście bataljonu po palącym się moście na Nidzie. Artylerja rosyjska strzelała celnie. Kulki szrapnelowe spadały po dachu domu, pod którym staliśmy.

Ob. Karasiewicz kazał badać, kto zaczął strzelać bez rozkazu do kawalerzystów, ale chłopcy zwalali winę jeden na drugiego. Nie było winnego. Każdy zaczął strzelać dopiero, jak już „inni zaczęli“.

Przeszliśmy wreszcie przez most, przez brudny, zrujnowany, opuszczony Nowy Korczyn i ciągle pod ogniem artylerji rosyjskiej zdążaliśmy do Wisły. Wtem, co to? Trach!!! Trach! — suchy trzask tuż nad naszymi głowami. To artylerja austriacka z za Wisły, baterja, którą widzieliśmy wczoraj, rypie do Moskali, kryjąc nasz odwrót. Dobrze wiedzieć, przynajmniej tego nie trzeba się bać. Zaraz też wstąpiła w nas otucha, że ktoś za nas mochom odpowiada. (Wyszło słoneczko i ogrzało na chwilę nasze przemoczone plecy). Koło południa zaczęliśmy się przeprawiać przez

Wisłę i na godzinę trzecią byliśmy w Borusowej po tej „ośmnastogodzinnej ofensywie“, jak ją nazwali chłopcy.

Tak przeszliśmy pierwszą naszą „bitwę“ — byliśmy w ogniu. Nie wyszliśmy z niego na sucho. Zginął ob. Kret z III plutonu 1-ej kompanji, wysoki, zgrabny, silny chłopiec, któremu kula kiszki rozerwała, a ranni byli ob. Lehita i ob. Ciemny. Zabraliśmy wszystkich na prawy brzeg Wisły.

Zabity i ranni strzelcy — utyłłani w piachu i błocie Ziemi, za którą walczyli. Rannych odesłałem wozem do Lekarza Naczelnego, D-ra Roupperta. Ob. Kreta pochowaliśmy w ziemi. Pamiętamy dobrze te pierwsze nasze ofiary dla Polski!

22 wrzesień. — Po tym wypadzie za Wisłę siedzieliśmy przez dwa dni spokojnie w Borusowej. Widok rannych i zabitych podziałał tak na chłopców, że zaczęli na potęgę jeść śliwki i jabłka. „Wszystko jedno, mówili, kule gorsze od śliwek!“

Ja myślałem to samo i też jadłem... W myśl cichej amowy zakaz jedzenia owoców uległ zawieszeniu, widocznie aż do chwili całkowitego огоłocenia drzew.

Wszystko przez tę wojnę!

Koło południa otrzymaliśmy z komendy bataljonu następującą kartkę, podpisaną przez adjutanta bataljonu, ob. Hettiego.

Do ob. Kompanijnych.

Dziś wieczór przypuszczalny odmarsz na lewy brzeg Wisły. Stosownie do rozkazu ob. Karasiemicza proszę zarządzić — by ludzie byli wypoczęci, najedzeni, rzeczy spakowane etc.

Borusowa — 22/IX.14 Hetti.

Rzeczywiście, o 5 godzinie popołudniu wymaszerowaliśmy do Ujścia Jezuickiego, gdzie Dunajec wpada do Wisły. Leżeliśmy na brzegu koło ognisk i spaliliśmy

trochę aż do 1 godziny w nocy. Znów piekielne zimno i wiatr hula nad rzeką.

Topaza, mojego konia z Kielc, oddałem, gdyż był zanadto strachliwy. Dostałem zamiast niego bułaną klacz, Kaškę, zgrabną i łagodną, ale odparza mi się pod mojem rosyjskiem siodłem. Załadowano nas z końmi na promy i przeprawiono przez rozlaną rwącą Wisłę na lewy brzeg do Opatowca. Podobno będziemy robić ofensywę, wracamy do Królestwa!

Przespaliśmy się trochę już na lewym brzegu Wisły i rano otrzymaliśmy rozkaz zmienienia w Winiarach bataljonu Wyrwy. Ledwie przyszykowaliśmy się do odmarszu, gdy rozkaz odwołano, bo ofensywy już nie będzie. Austrjacy rozmyślili się. Wolą siedzieć tu za Wisłą.

Tymczasem Moskale mocno naszych napierają. Słychać skotłowany ogień karabinowy i karabinów maszynowych. Trzeba wracać na prawy brzeg Wisły. Do pomocy promom dodali saperów austrjackich z pontonami, i tak 23 września rano wróciliśmy do Galicji. Takie pontony, to nie prom, do połowy zalany wodą. Saperzy wiosłują na komendę i rzną przez Wisłę naskos w prostej linji, choć Dunajec djabelnie znosi wdół, gdy ponton wpadnie na jego wody.

Ostatni przeprowadził się Komendant Główny. Odmaszerowaliśmy na kwatery do Gręboszowa, gdzie zaraz pomęczeni usnęliśmy. Nocowałem u ob. Sława.

24 wrzesień. — Naskutek nieporozumienia między jednym z rygorozantów medycyny, którzy mają prawa podoficerów, a oficerem, rygorozanci żądają posiadania praw oficerskich i meldują się przeze mnie do raportu do ob. Roupperta. Byłem w tej sprawie dziś na plebanji, gdzie mieścił się Sztab Lekarski. Obywatel Rouppert kazał mi zgłosić się z rygorozantami nazajutrz, o ile to będzie możliwe.

25 wrzesień. — Dzisiaj o godz. 11 rano alarmowa zbiórka i odmarsz do Bieniszowa. Ponieważ przyby-

liśmy dosyć wcześnie, wyjechałem więc z rygorozantami furą bataljonową do ob. Roupperta. Rygorozanci żądali czerwonych sznurków oficerskich, motywując to potrzebą służby, a trochę i sytuacją rygorozantów w innych armjach. Dr. Rouppert, przypadkowo obecny bataljonowy ob. Norwid i Dr. Koźniewski dowodzili niemożliwości uważania rygorozantów za oficerów, dopóki są tylko komendantami patroli sanitarnych przy kompanjach piechoty. Ostatecznie rygorozanci żądanych praw nie otrzymali.

Ob. bataljonowy Karasiewicz jedzie na urlop, na skutek słabego stanu płuc, który uległ pogorszeniu w czasie wypadów przez Wisłę. Wyjeżdża bardzo osłabiony, w gorączce.

Była parę dni temu ciężka bitwa pod Winiarami. Brał w niej udział pluton z bataljonu Satyra, którym dowodził Młot. Z 32 ludzi zostało całych 8; reszta zabici lub ranni. Podobno ranni oddawali sami swe ładunki walczącym i kładli się przed nimi, by ich osłonić swemi ciałami, jak barykadami. Wołali przytem: „Jeszcze Polska nie zginęła“... Moskale po wielkich stratach cofnęli się, mimo że mieli karabiny maszynowe. Żołnierze opowiadają sobie o tem z zapalem.

26 wrzesień. — Rano zbiórka alarmowa i odmarsz. Idziemy na wschód w kierunku Dunajca. Przechodzimy przez linję austriackich okopów z mocną obsadą piechoty z karabinami maszynowymi. Groźnie to wygląda... Idziemy bardzo powoli, gdyż cała droga zatarasowana cofającemi się taborami austriackimi, posuwającemi się w przeciwnym niż my kierunku. Szczególnie na skrzyżowaniach dróg panuje zupełny zamęt. Chodzi o to, kto ma przejść pierwszy. Austriakom pilno wiać, to też mogą odciąć od nas nasze tabory, nasze kuchnie polowe, które wreszcie otrzymaliśmy. Austriaccy oficerowie i feldfeble próbują krzyczeć i wydawać rozkazy, ale chłopcy kpią

i gwizdzą, krzyczą, im, że Moskale są nie tam, gdzie oni idą, żeby się nie bali, żeby wrócili, że my ich obronimy. „Siarże“ austriackie, wściekle, wieją!!... Już tabory nasze „walecznie“ przecinają austriacką kolumnę, już dołączają do bataljonu, ale oto — nowe skrzyżowanie dróg. Tu już wozy i kolumny austriackie idą całą szerokością drogi i bokami po polach. Nie widać końca tej masy, rwącej na zachód.

Jest to odwrót armji Dankla z pod Lublina. Niema rady, trzeba czekać. Kładziemy się na polu, pijemy kawę i śpimy.

Budzą nas. Już wozy austriackie mniej liczne idą tylko jedną stroną drogi. Można ruszać. Ale co to zakwita żywymi barwami na horyzoncie? Czy to maki, czy to bławatki? Nie, to spieszeni ułani i dragoni t. zw. Fussulanen - dragonen, po stracie koni tworzą oddziały odwrotu. Idą w swych czerwonych spodniach i niebieskich ułankach, w długich ciężkich butach z ostrogami. Nie mają przeważnie nawet karabinów. Wielkie pałasze niosą (oczywista w pochwach!) na płask na ramieniu. Na pałaszu — juczki od siodła. Nazwalimy ich „speszoną kawalerją“. Żaden oddział piechoty, ni taborów nie sprawił na nas takiego wrażenia klęski Austrjaków, jak ci na wesoło ubrani, ale jakże wynędzniali i pomęczeni, „bezkonni“ kawalerzyści. Nie szli zwartym oddziałem, ale grupkami po paru, po kilku, apatyczni, nie zwracający na nic i na nikogo uwagi. Wreszcie przewlekli się po ściernisku (drogą rypaliśmy my!). Znowu jakieś okopy obsadzone, jakieś baterje odprzodkowanych dział, skierowane lufami w stronę naszego marszu. My „furt“ walimy naprzód. Przechodzimy pontonowy most na Dunajcu, pilnowany przez wystraszonych saperów austriackich, maszerując w myśl dawnej zarzuconej komendy: „Wikłaj krok!“ Konie prowadzimy. Most chwieje się i tańczy pod nami. Chłopcy

robią kawały i przytupują ku utrapieniu poważnych saperów.

Pod wieczór dochodzimy do Sikorzyc, gdzie nocujemy. Kwatery strasznie ciasne, gdyż we wsi pełno kawalerji i artylerji konnej. Godzimy się jednak jakoś. Huzarzy węgierscy wynoszą nam w kociołkach gorącą zupę, częstują jabłkami. Na wozie, nakryty kocami, jedzie jakiś chory czy ranny oficer austriacki. Widząc nas, krzyczy: „Niech żyje Polska“!

Nocujemy w stodole z ułanami austriackimi, między końmi. Dobrze uważamy, by nie stracić naszych koni wśród tej masy kawalerji. Konie mają dobre, ale strasznie wynędzniałe, ledwie stoją. Gotowi więc zamienić nasze, może i gorsze, ale wypoczęte.

robią kawę i przystępują do urzędowania powołanych
specjalistów.

Dość wieloletni doświadczeni do Sikorskiego, gdzie w
jakości Kwatermistrzów służył, gdyż w walce polowej
kwatermistrz jest najważniejszą osobą. Głównym jest
koordynator w tym zakresie. W tym czasie wyznaczono
Huzara, który w tym czasie wyznaczono. Na wojnie
występuje w tym czasie. Na wojnie występuje w tym
czasie. W tym czasie występuje w tym czasie. W tym
czasie występuje w tym czasie. W tym czasie występuje
w tym czasie. W tym czasie występuje w tym czasie.

Naszymi w tym czasie. Naszymi w tym czasie. Naszymi
w tym czasie. Naszymi w tym czasie. Naszymi w tym
czasie. Naszymi w tym czasie. Naszymi w tym czasie.
Naszymi w tym czasie. Naszymi w tym czasie. Naszymi
w tym czasie. Naszymi w tym czasie. Naszymi w tym
czasie. Naszymi w tym czasie. Naszymi w tym czasie.

OKRES BITWY POD LASKAMI

OKRES BITWY POD LASKAMI.

2 października. — Ofensywa! Idziemy naprzód, jesteśmy znów w Królestwie! Piszę na rynku w Wiślicy, gdzie stoimy, właściwie leżymy parę godzin, nie mogąc iść naprzód w odmęcie ludzi z powodu zatarasowania ulic miasteczka taborami i kolumnami wojska. Jest tu śliczny kościół.

Przed dwoma dniami przeprawiliśmy się przez Wisłę po moście pontonowym koło Grotkowic (?) i przeszliśmy napowrót do Królestwa. Idziemy z korpusem Dankla pierwszej armji. Zeszłej nocy spaliliśmy w Konieczmostach. Janek Gołąb służbowo wysłany do Krakowa.

Chłopcy ochoczo rzną naprzód, mimo że drogi nie są świetne. Boczne rozmiękły zupełnie, na szosach leży błoto grubą warstwą. Kolumna idzie zwykle bokiem drogi po polach. Jest pewien trud maszerować po zagonach, ale zato ubita rola jest elastyczna jak guma i łatwiej ciągnąć po niej nogi. Zjeżdżamy się w marszu konno z d-rem Piestrzyńskim, o ile bataljony nasze idą w pobliżu jeden drugiego. Gadamy wtedy całemi godzinami o Polsce i naszej przyszłości. Pogawędki te nazwaliśmy „czarną kawą psychiczną“. Uradziliśmy, że w niepodległej Polsce chcielibyśmy być naczelnymi lekarzami w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie. Naturalnie są to tylko płocze żarty.

Pola wyglądają smutno, ale lasy są cudne, gdyż kolor żółty drzew liściastych odbija od ciemnej zieleni sosen i jodeł.

6 października. — Z Wiślicy poszliśmy na Stopnicę, Oleśnicę obok Staszowa, do Byszowej, koło Klimontowa. Wczoraj przechodziliśmy niedaleko Sandomierza. Widzieliśmy czarną sylwetkę katedry na horyzoncie. Była tam bitwa, widać było na horyzoncie pękające pociski w stronie Sandomierza.

Piszę na kwaterze u kompanijnego Wira, z którym najczęściej nocuję. Przywieźli zakupy z „tyłów“, więc jest wielki bal. Lwowiacy śpiewają swoje „Husia, siusia!“ i „Baw si bracie, póki czas!“. Pieką kotlety wieprzowe, swędzą niemiłosiernie, krzyczą. Wbrew zwyczajowi, popiliśmy... nieco... Ja chciałem koniecznie chodzić po... suficie izby.

9 października. — Jakubowice. Doszliśmy tu wśród strasznej sloty i błota. Zimna coraz dokuczliwsza. Reorganizują się kompanje w bataljonach. Wrócił ob. Mieczysław. Wyjeżdżał w sprawach politycznych. Mamy tu dostać nominacje i żołd. Dotychczas nikt nie chciał nic od Austriaków. Liczyliśmy na społeczeństwo, że Królestwo da środki na wojsko. Żyjemy dotąd bez grosza, i jakoś to szło. Do Zagłębia odchodzą emisariusze, po paru z każdej kompanji, którzy znają miejscowe stosunki, by agitować na rzecz Legionów.

Dziś z przerażeniem stwierdziłem, że mam wszy, tak, jak inni! Już dawno czułem, że coś nie daje mi spać, budziłem się, coś gryzło, ale nie myślałem nigdy, że i ja będę „wszarzem“. Dzisiaj zrzuciłem sweter, zrzuciłem koszulę — wszy!... Żołnierze — w śmiech, powiedzieli, że dawno widzieli, że mam wszy tak, jak wszyscy.

Poszedłem na skargę do Obywatelki Ludki. Przasowała mi bieliznę, pomogło na chwilę. Trzeba będzie się już poświęcić: zaraz obleżą wszy nowe.

12 październik. — Dzisiaj — nominacje. Zostałem podporucznikiem. Obywatelka Ludka naszyła nam odznaki. Mnie wążek czerwony i białą gwiazdkę. Odznaki te istnieją wbrew woli Austriaków, którzy przeznaczili nam umundurowanie, odpowiadające urzędnikom wojskowym.

Odznaki nasze, dane nam przez Komendanta, uważamy jako polskie. Z dumą nosić je będziemy na naszych starych, zniszczonych już mundurach.

13 październik. — Piszę przy ogniu na kuchni w Jakubowicach. Straszna ślota i zimno. Wir chory. Dostał wrzodu w gardle i ma silną gorączkę. Chciałem go odesłać do szpitala, ale nie chce słyszeć o odejściu od kompanji. W marszu jedzie na bryczce. Duża ilość przeziębionych żołnierzy.

17 październik. — Bardziechowice pod Radomiem. Wczoraj przemaszzerowaliśmy pod wieczór przez Iłżę. Wspaniały zamek przygniata całe miasteczko swą dawną potęgą. Szliśmy u jego stóp maleńcy i zmęczeni.

Dziś w nocy pękł wrzód Wirowi. Jest strasznie osłabiony, bo nic nie jadł od kilku dni. Wrzód pękł nagle i spowodował duży krwotok. Teraz będzie mu lepiej.

Wszyscy oczekujemy wejścia do Radomia, bośmy od Kielc nie byli jeszcze w mieście.

21 październik. — Adamów pod Lipinami, między Radomiem a Zwoleniem. Nie poszliśmy do Radomia. Od dwóch dni stoimy tu i słyszymy huk armat z pod Dębłina.

Pierwszy raz mieszkamy w opuszczonym domu. Powyrywane drzwi od stajen, powybijane szyby, słoma zbutwiała na podłodze. Nie my pierwsi tu kwaterujemy, widać przeszły tu przed nami masy wojska, które zniszczyły domy.

Dziś, ze zdziwieniem, widzimy, że Niemcy idą od Dębłina na Radom. Wyglądają wspaniale. Doskonale wyekwipowani, ubrani, karni maszerują w porządku, bijącym w oczy po wojsku austriackiem. Karabiny maszynowe wiozą też na wozach, przypominających jeszcze artyleryjskie. Mówią, że złuzowali ich pod „Iwangorodem“ Austriacy, dlatego wracają do Radomia. Coś tu jest niejasne.

22 październik. — Nagły wymarsz o godzinie 1 w nocy. Maszerujemy na Dęblin, podobno celem osłony 26-ej dywizji austriackiej. Obiad jemy w lesie wypełnionym artylerją. Po obiedzie stoimy, jako rezerwa, na brzegu lasu. Cały dzień toczy się uporczywa bitwa przed nami i na prawo od nas, pod Płachtowem. Pod wieczór obok płonącego dworu wchodzimy do pustej, opuszczonej wsi Laski, gminy Suska Wola. W Suskiej Woli rozwalony pomnik „Caria Oswobodiciela“ — Aleksandra II. Wieś wypełniona rannymi. Z trudem wyszukujemy nocleg w przepełnionej rannymi wsi. Niema kuchen. Idę spać głodny. Po raz pierwszy strzelcy łapią „samotne“ gęsi, chodzące przy świetle pożaru po opuszczonej wsi. Oblepiają gęś bez skubania pierza gliną i pieką. Jestem zbyt zmęczony by czekać na tą pieczeń. Zasypiam.

23 październik. — Kuchnie dojechały. Jemy śniadanie. Jakaś baba wróciła z lasu do wsi i ryczy, że niczego znaleźć nie może w domu. Artylerja rosyjska zaczyna ostrzeliwać wieś. Pierwszy raz widzę dziury od granatów ciężkiej artylerji. Pod gruszą w takiej dziurze leży wgnieciony w ziemię żołnierz austriacki.

W tej chwili granat rozwalił stodołę. Są ranni. Biegnę tam. Z pod belek wystają jakieś nogi. Ciągnę, idzie lekko, wyciągam tylko nogi z częścią jamy brzusznej. Reszta tułowia zmiażdżona. Para idzie z ciepłej jeszcze jamy brzusznej. Drugi Austriak też zabity przez zawalone belki stodoły. Wychodzę ze stodoły. Ogień coraz większy.

Widzę za stodołami Wira z kompanją. Przyłączyłem się do nich. Stoimy tak za stodołami parę godzin. Pod wieczór wracamy do chałupy. Za godzinę zbiórka bataljonu. Wieczorem o godzinie 10 wychodzimy, by zająć okopy rezerwowe. Idę z bataljonowym Karasiewiczem. Kule karabinowe gwiżdżą w sposób uprzykszony. Mimowoli schylam głowę w stronę, która wydaje mi się „najbezpieczniejszą“. Około północy znajdujemy wyznaczone nam okopy i zasypiamy w nich. Ogień artylerji ucichł, tylko kule bzykają nad nami. Jest chłodno, ale na szczęście niema deszczu. Śpimy zagrzebani w piasku.

24 października. — Przyszedł rozkaz, posunąć się do okopów pierwszej linii. Tymczasem artylerja rosyjska wali, kulki piechoty bzykają wciąż. Zaczynamy śpiewać: „Naprzód drużyno strzelecka“!. Zbieramy torby i plecaki. Wyskakujemy z okopu. Biegnę obok Karasiewicza, po drugiej stronie biegnie podporucznik Dojan. Nagle ob. Karasiewicz pada, a Dojan zaczyna biegać w kółko. Obydwaj są ranni: Karasiewicz w lewe płuco, a Dojan w lewe podudzie. Rannych przeprowadzamy do wsi, gdzie ich opatruję, Karasiewicz jest bardzo blady, ma krwotok płucny od zranienia. Dojan, lżej ranny, czuje się dobrze, nawet daje mi ze swej torby kawałek wędzonki, jako „honorarjum“ za pomoc lekarską. Zostawiam rannych po opatrzeniu pod opieką obywatelki Ludki, sam wracam do bataljonu, nad którym dowództwo objął porucznik Sław - Zwierzyński. Gdym wrócił, chłopcy byli już w przednim „okopie“, który był płytkim rowem, zasianym piaskiem. Sław niezwłocznie kazał go pogłębiać i kopać rów dobiegowy. Moskale byli w okopie o jakie sto kroków przed nami.

Wieczorem zostałem wezwany do Naczelnego Lekarza, który był we wsi Łaski, odległej dwa kilometry wtył. Tu podjechały wieczorem kuchnie. Opatrzy-

łem jeszcze raz rany Karasiewicza i Dojana. Ode-
słałem ich wtył pod opieką obywatelki Ludki. Podję-
ła się ona dostawić rannych w miejsce bezpieczne,
najlepiej do Krakowa.

Tymczasem do Głównego Punktu Opatrunkowego,
który założył porucznik - lekarz Rouppert, napływali
ranni ze wszystkich bataljonów. Opatrywaliśmy ich
i odsyłaliśmy do Zakładu Sanitarnego 46-ej Dywizji Pie-
choty austriackiej, rozłożonego za nami w Suskiej Woli.
Dr. Rouppert kazał mi zostać u siebie ze względu na
dużą robotę. Przedstawiałem, że potrzebny jestem
w okopach, że pomyślą, że się „dekuje“, nic nie po-
mogło, rozkaz jest rozkazem.

Zebrani są tu na punkcie opatrunkowym wszyscy
lekarze bataljonowi i lekarz weterynarji Zagrodzki.
Ten ostatni w chwilach wolnych od pomagania ran-
nym chodzi z karabinem na okopy strzelać do Moskali.
Zazdrościmy mu, gdyż nam ob. Rouppert na to nie po-
zwala.

Poza tem na punkcie opatrunkowym pomaga ks.
kapelan Kosma Lenczowski.

Janka Gołąb, który wrócił na samą bitwę, wysłał
Dr. Rouppert z rannymi do Suskiej Woli, każąc mu
przywieźć zpowrotem opatrunki i tornistry sanitarne,
które nadeszły dla nas. Zjadłem kolację i poszedłem
spać. Okna i drzwi pozasłaniane derkami w obawie
przed artylerją rosyjską.

25 października. — Rano wrócił Gołąb z tornistrami.
Moskale bombardują z ciężkiej artylerji wieś i całą
przestrzeń między wsią a okopami. Granat wyrzwał
w róg drewnianego domu, za którym stał Dr. Roup-
pert, X. Kosma i ja. Cały róg wyrwany, tak, że moż-
na wchodzić przez nowe „drzwi“! Wybrałem się z po-
zwolenia Dra Roupperta do okopów. Ponieważ chłop-
cy cierpią tam pragnienie cały dzień, bo kuchnie pod-
jeżdżają dopiero nocą, obwiesiłem się więc manier-

kami z kawą. Droga wydała mi się bardzo długa. Co innego iść w ogniu z kolegami, a co innego samemu. Granaty i szrapnele rypały wokoło. Co jakiś czas wpadałem do dawnych lei, by osobą swą nie „przeszkadzać” wybuchnąć pociskowi. Manierki nie były wtedy w najlepszej sytuacji. Szedłem te dwa kilometry z godzinę. Wreszcie doszedłem.

Kończono rów dobiegowy. Sław doglądał wszystkiego. Tu w okopie było ciszej, niż tam na polu. Kawa moja została rozchwyтана. W okopie byli zabici, ranni, a nawet umysłowo chorzy, którzy nie mogli wytrzymać tej piekielnej kanonady.

Ranni byli doskonale opatrzeni przez podoficerów sanitarnych, będących w okopach, w ich liczbie — obywatelkę Wisłocką. Chłopcy mieli dosyć amunicji, to też cykali całą noc. Komendant kazał strzelać tylko do celów widocznych. To zarządzenie przyczyniło się do opanowania nerwów i spokoju na linii.

Komendant Główny był wszędzie, gdzie czuł, że chłopcy potrzebują otuchy. Był w okopach, na punkcie opatrunkowym, przy rezerwach.

26 październik. — Rano po przespaniu się na punkcie opatrunkowym znów idę do okopów. Nie jest lepiej niż wczoraj. Zastaję tam kilku zabitych. Są nimi: Rytwicz (Batorski Bolesław) — rana głowy szrapana; Maczuga — Siesko — rana głowy, obydwaj z drugiej kompanji. Z trzeciej kompanji zabici byli: Władek — rana serca; Podmagórski i Kwiecień — rany głowy.

Ranni przynoszeni byli lub przychodzili w nocy na punkt opatrunkowy. Z pośród nich prócz ob. Karasiewicza i Dojana zdołałem zanotować następujących. Rany pociskami armatnimi: Stanisław Fleszar, Wroński — Kościeszyn, J. Hurchaz — Jan III; Wiśła. Rany kulami karabinowymi: Sław — Diettrich, Ośda — Hildebrand, Danieluk i Ryszard. Było ich wię-

cej, ale na punkcie opatrunkowym wspólnym mogli być opatrzeni przez innych lekarzy. Psychicznie chorzy albo siedzieli przygnębieni na dnie rowu, albo też rwali się, by pomścić śmierć kolegów i chcieli wyskakiwać z okopów. Odesłaliśmy ich również w nocy na tyły.

Po południu ogień Moskali wzmoógł się na sile. Pod wieczór w Laskach od bombardowania przez Moskali wybuchł pożar w pięciu miejscach. Zapalił się też wiatrak i palił się, jak świeca.

Zapadł ciemny wieczór, nadszedł rozkaz odwrotu.

Dr. Rouppert polecił mi z pięciu podwodami zostać, by bezwzględnie zabrać wszystkich rannych straży tylnej. Janek Gołąb został ze mną. Bataljony już przeszły na Suską Wolę. Strzelanina karabinowa cichła w okopach, ogień pożarów buzował się, my czekaliśmy na kompanję straży tylnej.

Niespodziewanie z mroku wynurzył się Komendant Główny. Spytał nas, czy mamy jeszcze miejsce na rannych, gdyż nie wolno zostawić nikogo. Zameldowałem, że mam jeszcze miejsce na kilku. Wkrótce otrzymaliśmy rozkaz odjazdu. Ruszyliśmy piaszczystą drogą do Suskiej Woli.

Wierzyliśmy jeszcze wtedy w skuteczność znaku Czerwonego Krzyża na wojnie, mieliśmy więc na wozach parę chorągwi. Straż tylna szła tuż za nami.

Nasi wycofali się stopniowo z okopów, podtrzymując do ostatniej chwili ostry ogień. Moskale nie ścigali nas. Weszliśmy w ciszę nocy. W uszach huczało po trzech dniach kanonady.

Księżyc wzeszedł i oświetlił zabudowania folwarczne Suskiej Woli, gdzie dziś rano jeszcze stał Zakład Sanitarny 46-ej Dywizji Piechoty. Teraz wszędzie było pusto i cicho. Ludność uciekła do lasów. Folwark był, jak wymarły. Przejeżdżając koło jednej ze stodół, zauważyliśmy chorągiew czerwonego krzyża, pozo-

stawioną przez Austriaków. Postanowiliśmy ją zabrać na wóz. Ledwie zaczęliśmy zwijać chorągiew, gdy ze stodoły doszedł nas jęk i gwar stłumionych głosów. Wbiegliśmy do stodoły. Janek zaświecił latarką... zdrętwieliśmy. Cała wielka stodoła, wymoszczona słomą, była pełna najciężej rannych, których zostawili tu Austriacy. Nagle w różnych językach: polskim, niemieckim, czeskim, węgierskim poczęto wołać na nas. „Pomocy, wody, ratunku!“ leciało do nas z tego grobu żyjących jeszcze ofiar. Niektórzy ruszyli się ze swych miejsc i zaczęli pełznąć ku nam w słomie. Było tam rannych ze stu, jeżeli nie więcej. Mowy nie było o ich zabraniu.

Uciekliśmy ze stodoły, założyliśmy napowrót chorągiew i pomaszerowaliśmy z naszymi wozami. Był już czas — straż tylna mijała folwark. Nad ranem zameldowałem swoje przybycie Doktorowi Rouppertowi, który niepokoił się już o naszych rannych.

Spałem w stodole zajętej przez III Bataljon we wsi Czarnej. Śpimy jak zabici. Kwatery ciasne. Możliwy napad Moskali, o ile spostrzegli nasz odmarsz.

2 listopad. — Brzechów. Nie pisałem nic przez kilka dni, bo było to niemożliwe. Rypaliśmy po błocie, na deszczu i wichurze po 40 kilometrów dziennie, by zasnąć snem kamiennym wieczorem nieraz bez jedzenia. Co nocy któraś z kompanij musiała okopywać się za wsią, by odeprzeć napad Moskali. Chłopcy zupełnie wyczerpani. Nie mieliśmy czasu ochłonać po ogniu i stratach pod Laskami, gdy przyszły te straszne marsze po rozmokłej ziemi, o chłodzie i głodzie.

Coraz częściej siadają koło drogi maruderzy, apatyczni, obojętni na wszystko, nawet na słowa: „Słuchajcie, obywatelu, wstańcie, Moskale za nami tuż!“

— A niech tam, raz śmierć — odpowiadali. Brało im się rynsztunek na wóz. Szarpałem nimi, zmuszając do marszu. W taborach koło każdego wozu szło

kilku osłabionych, czepiając się kłonic. Paru, zrozpaczonych, poszło śladem austriackich żołnierzy — postrzelali się w rękę. Zostawiłem ich przy taborze, nie odesłałem na tyły. Jak „ręką uciał“ — więcej „wypadków“ z bronią nie było.

Jako lekarz rozumiem ich, są to przecież chłopcy 17 — 18 letni, bohaterowie w walce, ale niezdolni do dłuższego napięcia wysiłku fizycznego po ciężkich przejściach wielkiej trzydniowej bitwy. Krzyczę na nich, potrząsam, kpię z nich i jestem nieubłagany. Inaczej bataljon stopniałby zupełnie.

Żandarmerja zostaje nieraz za strażą tylną, by zapędzać maruderów. Ciężka jest rola naszej żandarmerji. Nienawistna dla żołnierzy jest już sama nazwa, przypominająca żandarmerję rosyjską. Nieraz żandarmi poczynają sobie zbyt obcesowo. Przed paru dniami żandarm na oczach kompanji naszego bataljonu płażował taborytę, by jechał prędzej, nie tarasował drogi. Wywołało to krzyki, groźby i gwizdy kompanji. Jeden chłopiec wyskoczył z czwórki i począł na środku drogi grozić żandarmowi, potrząsając karabinem. Dwóch żandarmów rzuciło się do niego, by go aresztować. W tej chwili jednak najmniej dziesięciu żołnierzy skoczyło z kolumny, osłoniło ucieczkę grożącego i wystawiło kolby na nadbiegających żandarmów. Cała kompanja ryczała i potrząsała nad głowami karabinami. Żandarmi uciekli i dobrze zrobili, bo rozbitoby im głowy kolbami. Chłopcy byli wściekli i złorzeczyli na głos.

Byłem poruszony tym widokiem do głębi. Zameldowałem się do raportu do Komendanta Głównego.

Byłem przy raporcie ze Sławem, jako dowódcą bataljonu, dopiero dzisiaj, bo były ciągle marsze.

Zameldowałem posłusznie Komendantowi, że postępowanie żandarmerji, mające na celu ocalenie kuchen, wywołało wśród żołnierzy fatalny nastrój, że

lepiejby było, gdybyśmy zgubili kuchnię. Komen-
dant wysłuchał raportu i obiecał sprawę zbadać.

Zatargi z żandarmerją ustały. Chłopcy w bataljo-
nie byli mi wdzięczni. Mieli satysfakcję. Maszeru-
jemy w błocie całymi dniami. Jemy najczęściej do-
piero wieczorem. Kraj jest już wyniszczony wojną.
Ludność chowa wszystko, co może. O co tylko zapy-
tać mówią: „Nasi (t. zn. Moskale) zabrali!!!“

Odpowiedź ta jest obowiązująca. Jeden żołnierz
spytał starej baby: „Matusiu, gdzie tu jest wycho-
dek?“ Ta nie dosłyszała i wali: „Nima panoczku, ni-
ma, nasi zabrali!!!“

W odwrocie widzimy porzucone padłe konie, wozy,
jaszczce i amunicję armatnią. W jednej wsi, wyjąt-
kowo, babina wiejska dała nam żuru i ziemniaków
ze słoniną. Gdy zaśpiewaliśmy: „Z trudu naszego
i znoju Polska powstanie by żyć!“ babina rozplakała
się i powiedziała: „O, żebyśta to tę Polskę wyśpie-
wali, ale gdzie to, czy to być może!“ Upewniliśmy ją,
że Polska będzie napewno po świętach. Wogóle nie
wierzymy już, że wojna skończy się na Boże Naro-
dzenie. Najlepszy dowód, że zaczynają wydawać cie-
płe rzeczy na zimę.

Dali nam też trochę jeść w Skarżysku. Piliśmy
z Jankiem nawet herbatę z cytryną, a konie dostały
siana. Zato w Górach Świętokrzyskich przy przejeź-
dzie przez Górę Świętej Katarzyny, obok klasztoru,
czuliśmy taki głód, żeśmy „rozebrali“ babie drobniut-
kie ziemniaki, które już sypała do koryta świniom.
Baba tak oniemiała, że nie broniła ziemniaków, krzy-
czała tylko: „O lo Boga, jeszcze takich żołdatów nie
widziała, co-by świniom ziemniaki wyżerały!“ Każdy
chwycił kilka ziemniaków, nie zatrzymując się
w marszu i za parę minut, zdumiona baba została
z pustym garczkiem nad korytem, do którego zdąży-
ły już zbiec się świni.

Tu, w Brzechowie, już trzeci dzień odpieramy ataki Moskali, zresztą, niezbyt mocne. Moskale ostrze-
liwiają nas artylerją. Nieprzyjemne wspomnienia La-
sek. Na szczęście, nie mamy strat. W tych dniach
odesłałem do szpitala obywatelkę Wisłocką. Była od
kilku dni ciężko chora, gorączkowała, broniła się jed-
nak wszystkimi siłami od wysłania na tyły. Odje-
chała dopiero na wyraźny rozkaz. Straciliśmy w niej
dzielnego podoficera sanitarnego. Napewno, władze
i rodzina już jej drugi raz do oddziału nie puszczą.

3 listopada. — O godzinie drugiej w nocy, wyszły
tabory, a potem i my wymaszerowaliśmy, by iść całą
noc. Zniszczyliśmy trzy mosty na Czarnej Nidzie za
sobą. Nocujemy w Zaborzu, gdzie to piszę. Mieszka-
my u ludzi, którzy pracują w Sosnowcu.

4 listopada. — Piszę po południu w Borczynie pod
Rembowem. Janek Gołąb przyjmuje zgłaszających
się chorych. Dziś w czasie przemarszu pierwszy raz
widzieliśmy zbliżającego samolot rosyjski. Bezczelnie krą-
żył nad naszą kolumną. Kto żył i miał karabin strze-
lał, nawet tabory. Nic mu się nie stało. Zdawało się,
że tak łatwo go zestrzelić, ale — gdzie tam.

8 listopada. — Lgota Wolbromska. Jesteśmy tu w tyl-
nej straży. Przed paru dniami przybyła do nas arty-
lerja — 8 małych armatek górskich. Wczoraj w Szrenia-
wie spotkaliśmy się z kawalerją, która była odkomen-
derowana do Niemców pod Warszawę. Myśleliśmy, że
pójdziemy do Krakowa, ale idziemy wciąż wprost na
zachód, jakby na Śląsk.

W ciągu kilku nocy bitwy pod Laskami wypalili-
śmy wszystkie świece, jakie były w posiadaniu punk-
tu opatrunkowego d-ra Roupperta. Nie mogliśmy do-
stać znikąd nowych, bo po sklepach wiejskich i świe-
ce i zapasy nafty były już zabrane.

Tymczasem w utarczkach odwrotowych z Moskala-
mi mieliśmy rannych. Dnie są krótkie, noce ciemne.

Konieczne jest trochę światła. Wobec tego wybraliśmy się z d-rem Zagrodzkim, lekarzem weterynarji, do paru plebanij i udało nam się uzyskać kilka kilogramów świec woskowych do połowy zużytych. Teraz będziemy mieli czem świecić przy opatrywaniu rannych, których oby było, jak najmniej.

MARSZ NA ULIN

MARSZ NA ULINĘ

МАРСЪ НА УЛИНЕ

MARSZ NA ULINĘ.

15 listopada. — Wieś Zawoja na Podkarpaciu. Nie pisałem cały tydzień, bo tyle, tyle rzeczy zaszło, że pisać nie było gdzie i kiedy.

A było to tak. Z Lgoty Wolbromskiej przyszedliśmy pod Krzywopłoty. Dołączyły się tam do nas II i IV bataljony, co chodziły pod Warszawę i Łódź. Ścisk taki, że stoimy biwakiem i śpimy w lesie, mimo że śnieżek okrył już ziemię i zimno wystarczające. Zakopujemy się w piasek i nakrywamy kocami. Namiotów mamy jeszcze bardzo mało. Wiatr strąca z sosen śnieg na nasze koce i płaszcze, tak, że nad ranem, śpiący bataljon jest przysypany śniegiem. Nikt go nie strząsa, bo jak mówią żołnierze — „śnieg grzeje“.

Moskale podobno idą na Kraków.

My tu mieliśmy bronić Śląska, gdy nagle do bataljonu przyszedł rozkaz, żeby zostawić wszystkich słabych i maruderów w taborze, który zostaje na miejscu, my zaś mamy iść na wywiad sił rosyjskich.

Szybko załatwiamy wydzielenie niezdolnych do marszu. Chcą zostać tylko ciężko chorzy. Reszta wyrwa się iść za wszelką cenę, gdyż w powietrzu czuć bitwę.

Cudny materiał bojowy ci nasi chłopcy. Gdzie wyczerpanie i znużenie z czasu odwrotu? Przecież parę dni temu jeszcze mówili, że z miejsca ruszyć się nie

mogą. Dzisiaj, na pierwszą wiadomość o bitwie — krzyczą, że są zdrowi!

Wnet też niewielki nasz bataljon jest gotów i ruszamy wraz z bataljonami I i III.

Mijamy wieś Strzegową, gdzie pełno kupujących żołnierzy w sklepie Kółka rolniczego, dalej posterunki austriackie za wsią, stojące na wzgórzach i patrzące na nas ze zdziwieniem.

Już są za nami, wchodzimy już „do Moskali“. Jest nas trzy bataljony i kawalerja. Taborów nie mamy, tylko kuchnie. Idziemy rażno, w doskonałych humorach. Komendant Główny jest z nami.

Niema śladu przygnębienia, które było po Laskach. Idziemy znów „naprzód“!

9 listopada pod wieczór, przez Kapiele Wielkie dochodzimy do Poręby Dzierżnej i tu zatrzymujemy się na plebanji. Podobno wszędzie tu byli już Moskale i poszli dalej na zachód. Jesteśmy więc już na ich tyłach.

W nocy odmaszerowujemy do Uliny, gdzie spędzamy dzień 10 listopada. Jesteśmy już strasznie pomęczeni. Kładę się spać na słomę pod stołem. Słoma ta jest pognieciona i zmierzwiona przez Moskali. Wszy oblażą mię w tak straszny sposób, że nawet ja, człowiek cierpliwy, nie mogę wytrzymać. Siadam przed piecem, by je wytępić, lecz ilość jest tak straszna, że, gdy naliczyłem do sześćdziesięciu, wrzuciłem koszulę do ognia. Wielu z naszych żołnierzy zrobiło to samo i chodzimy bez koszul.

Mamy zato świeży chleb. Kawalerja nasza zabrała tej nocy świeżutki, smaczny pytlowy chleb w Wolbromiu, gdy patrolując, weszła do miasteczka. Tam, kozacy kazali sobie napiec kilkaset bochenków białego chleba na umówioną godzinę i wyjechali, zapowiadając solennie swój powrót. Mieszkańcy w strachu zabrali się do pracy i, gdy piekarze napiekli

świeżutkiego chleba, weszli nasi ułani i zabrali zdobycz wojenną... Tak mamy chleb.

Biedni mieszkańcy Wolbromia po wyjeździe ułanów musieli zaczynać od początku owe „świadczenia wojenne“ w postaci pieczenia chleba, gdyż po naszej kawalerji napewno przyszli kozacy.

Chleba dostaliśmy po pół bochenka na głowę i „wcieliśmy“ wszystko.

Koło południa rozległy się strzały tuż pod oknami. To kozacy wpadli do wsi, ale po wymianie strzałów z plutonem służbowym, pilnującym wylotu ulicy, cofnęli się. Musieli zupełnie nie spodziewać się naszej obecności we wsi.

W nocy widzieliśmy też Moskali. — Szliśmy koło jasno oświetlonej stacji kolejowej Wolbrom, gdzie byli Moskale. Widać było manewrowanie pociągów na jasnym tle lamp. My patrzyliśmy na to z dobroczynnej ciemności nocy, która kryła nasze ruchy.

Po dniu przyczajenia się w Ulinie, wieczorem — odmarsz w ciszy. Zbiórka kolumny w błotnistej ulicy wsi, w parowie. Palić i głośno rozmawiać nie wolno.

Kuchnię naszą niszczymy. Rąbiemy szprychy kół a pokrywę kotła wrzucamy do sadzawki. Zabieramy tylko konie.

Nasze wierzchowe konie mamy prowadzić przy pysku. Długo czekamy na ściąganie placówek. Broń rozładowana, „bagnet na broń“.

Przyjemne podniecenie w oczekiwaniu nieznanego, które ma nastąpić. Sław mówi, że będziemy atakować bagnetami. Mamy przedzierać się przez Moskali.

Podobno na skraju wsi nasze placówki usnęły. Komendant Główny obudził żołnierzy szpicrutą, mówiąc, że niegodni są miana żołnierzy, gdyż śpiąc, narażają nie tylko siebie, ale i swoich kolegów. Sprawia to wielkie wrażenie na żołnierzach.

Wreszcie ruszamy. Niefortunne placówki z pod lasu dołączają do nas. Idziemy zwartą kolumną, by się nie zgubić w ciemności. W oddali, na szczęście nie w naszą stronę, zaczynają świecić moskiewskie reflektory. Suniemy cicho, jak duchy. Po paru godzinach marszu w ciemności po nierównej drodze zaczyna nas opanowywać znużenie. Jest to znużenie jeszcze od Lasek, które teraz znowu wyłazi. Powoli, żołnierze usypiają, idąc. Taki śpiący żołnierz natyka się na poprzedzającego, gdy kolumna się zatrzymuje, a stoi, gdy kolumna już rusza. Do snu usposabia i ci-sza. Wszystkie komendy wydawane są szeptem.

Na chwilę też usnąłem, idąc. Patrząc, a ja z koniem zeszedłem z drogi i schodzę wdół jakimś parowem. Kolumna szła już kilkanaście kroków w bok ode mnie. Ogarnął mię strach, że zostanę, gdy stracę ją z oczu. Doganiam kolumnę biegiem i wchodzę na swoje miejsce. Odechciwa mi się snu! Nagle, gdy idziemy jakąś grobelką, wysadzaną wierzbami, pada na nas zbliiska białe, oślepiające światło reflektora. Kładziemy się, padamy raczej, na cichy rozkaz powtarzany od czoła kolumny. Leżymy cicho.

Zboku, po prawej stronie jakaś wieś, psy ujadają. Reflektor „poszedł” w bok.

„Powstań! Maszerować!”

Idziemy znów jak cienie. Wieś z prawej strony skośnie zbliża się do naszej drogi. Nagle jakiś krzyk, strzały. Stajemy na chwilę, potem znów idziemy dalej.

Podobno uciekła placówka rosyjska przed bagnetami przedniej straży bataljonu śmigłego, przy którym jest Komendant.

W niektórych chatach wsi światło. Jakieś cienie w oknach... to Moskale! Mijamy wieś w grobowej ciszy. Za wsią dochodzimy do wąwozu i idziemy nim już spokojnie aż do świtu. Wychodzimy z wąwozu na pole, gdzieś w pobliżu szosy Kraków — Michało-

wice, szybko przecinamy szosę i wchodzimy do lasu. Kładziemy się zmęczeni na ziemię. Jesteśmy podobno w pobliżu Krakowa.

Konie od kuchen dostają w nagrodę przewodnicy, którzy zarobili na nie.

Kawalerzyści nasi, wysłani naprzód w kierunku Krakowa, przyprowadzają siedmiu jeńców czerkiesów, konia, lancę. Zaszli ich ztyłu, gdy patrolowali przeciw załodze twierdzy Kraków.

Kilku kawalerzystów pojechało naprzód do placówek austriackich, by z fortecy nie otwarto na naszą kolumnę ognia. Idziemy przecież od strony Moskali.

Wreszcie wracają.

Ruszamy, mijamy, patrzące na nas ze zdumieniem, placówki austriackie.

Później przechodzimy przez „wrota“ na szosie, z odsuniętych jeźdźców hiszpańskich. Wszędzie przed fortami pełno drutów kolczastych. Wiele drzew, nawet przy drodze wyciętych. Jesteśmy już bezpieczni, w twierdzy.

Komendant pojechał naprzód do dowództwa twierdzy. My wchodzimy wreszcie do miasta.

Tu widzimy, że mamy ojczyznę!

Ludzie na ulicach krzyczą, śmieją się i płaczą. Dochodzimy do „plantów“ koło teatru miejskiego. Tu zatrzymujemy się dłuższą chwilę. Wyznaczają nam „Pałac Spiski“, jako kwaterę, ale Janek Gołąb zaprasza mnie do siebie. Radcostwo Gołąbowie przyjmują mnie serdecznie, „zmuszają“ do zostania u nich. Ulegam odrazu. A więc jest jeszcze życie „normalne“: są całe szyby, klamki przy drzwiach, talerze i prawdziwa kolacja, gdzie każdy je „ile chce“! Potem do prawdziwych łóżek z kołdrami, poduszkami i prześcieradłami. No, i kąpiel, i czysta bielizna!

Gdy my spaliśmy, siostra Janka, panna Jadwiga Gołąbówna prasowała nasze swetry i mundury. Podobno było to wszystko strasznie zawszone...

W tym domu staropolskim po jednym dniu wypoczęliśmy od wszystkich trudów i niewywczasów. Spa-
liśmy ze dwanaście godzin. Koło południa drugiego
dnia wyszliśmy na miasto.

Podobno Austriacy są wściekli z naszego przyby-
cia. Oficjalnie muszą Komendantowi dziękować za
świetny wywiad, ale są zaskoczeni Jego nagłym przy-
byciem do Krakowa. Nawet niektórzy politycy pol-
scy podobno proszą, by nas usunięto z fortecy, bo Mo-
skale w razie jej zdobycia będą się mścić na ludno-
ści za nasz pobyt tutaj. Mimo to byliśmy w Krakowie
od 11 do 14 listopada. Komendant targował się o nas.

Byłem u obywatelki Ludki. Kobieta ta pracuje cią-
gle niezmordowanie dla żołnierzy. Obywatelka Wi-
słocka wróciła do zdrowia i jest lekarzem w szpitalu
Wojskowym. Widziałem też obywatela Karasiewicza.
Jest jeszcze słaby, blady i wycieńczony. Rana jego po-
gorszyła stan płuc i przedtem nieświeży.

Krewni i znajomi zaczynają się dowiadywać o los
naszych żołnierzy. Niektórych trudno odnaleźć,
gdyż na początku słabo było z ewidencją. Dziś np. do-
stałem od obywatela Sława następujący rozkaz:

Kraków

Baon 5.

12.XI.14. 11.20.

Do ob. d-ra Składkowskiego

R o z k a z.

*Sprawdźcie, czy na liście rannych niema ob. Gie-
skora (nazwisko Maczuga) z 2 komp. 5 baonu. W ja-
kim czasie został odesłany i dokąd. Gdzie może się
teraz znajdować. Odpowiedź przed 5 ma być mi do-
starczona.*

*Sławo Zwierzyński,
kdt 5 baonu.*

Biedni, życzliwi: punktualnie o piątej mogli się do-
wiedzieć, że obywatel Gieskor-Maczuga zginął chwa-

lebnie 26 października pod Laskami od rany w głowę. Takich wieści było więcej.

Co chwila w Krakowie mieliśmy starcia na ulicach i w restauracjach z elegancko noszącymi się oficerami austriackimi. Braliśmy się do szabel o byle co. Drażniła nas ich obecność w Krakowie. Ustępowali nam, choć my też drażniliśmy ich widocznie.

Wreszcie załadowano nas do pociągu i wywieziono na Podhale. Wywagonowaliśmy z Suchej. Tu została chwilowo trzecia kompanja naszego bataljonu i Janek Gołąb z nią. My poszliśmy przez góry do Zawoi i dobrnęliśmy tu dopiero na 7 wieczorem, zupełnie już po ciemku.

17 listopada. — Ciągłe siedzimy na odpoczynku w Zawoi. Należy się nam to trochę. Chłopcy obszarpani, bez butów, wynędzniali. Moje buty również rozlażyły się zupełnie, chodzę bosą nogą, choć w butach. Zameldowałem to Sławowi. Kazał mi robić długie buty u miejscowego szewca górala. Dzisiaj mają być gotowe. Będą wspaniałe, z podwójnej skóry, nieprzemakalne i duże. Szewc pracuje z zapałem.

Ludność tu inna, niż w Królestwie. Uważają nas za swoich żołnierzy, pomagają we wszystkim, czem mogą. Chłopcy czują się doskonale na kwaterach. Mają wszędzie za darmo mleko do kawy. Wczoraj wieczorem góral opowiadał długo w noc opowieść o „Torkorzu proroku, co przeżywał i bogatym Warcie“.

Moskale zaleźli już bardzo daleko. Mówią o „rozbiciu“ ich pod Oświęcimem i Niepołomicami. Ładne pocieszenie. Czegoż aż tak daleko ich wpuścili, by „rozbijać“. Można to było wcześniej zrobić. Pewnie nas niedługo ruszą wobec takich „zwycięstw“ Austriaków.

Nietylko ja mam buty do niczego. Wielu oficerów chodzi również oberwanych. Pierwotny zapal oddania całych poborów na potrzeby wojska przechodzi cięż-

ką próbę pod wpływem wymagań życia, które wyłaza dopiero w chwili zatrzymania się na miejscu, a szczególnie w czasie odpoczynku. Brak bielizny, butów, ubrania, często nawet mydła. Szeregowi żołnierze, choć cierpią również braki, ale są zaradniejsi. Tworzą t. zw. „sitwy“ czyli małe spółki, w których każdy „sitwec“ specjalizuje się w zdobywaniu rzeczy. Jeden pierze, inny zdobywa produkty, inny reperuje ubranie i tak sobie radzą. Oficerowie, zwłaszcza po zdobyciu odznak, nie należą do „sitw“, są więc dosyć opuszczeni. A tu teraz stykamy się z ludnością cywilną, która chciałaby widzieć żołnierza polskiego, jak na obrazkach z 1830 roku. Jednym słowem, gdy się nie bijemy, codzienna szarżyzna życia podnosi swój łeb, jak hydra.

Szczególne trudności towarzyskie a nawet służbowe mają nasi oficerowie, gdy odjeżdżają z brygady, np. do szpitala. Chorzy i ranni otrzymują pewną sumę pieniędzy. Krzepimy się myślą o Polsce...

WALKI NA PODKARPACIU

21 listopada. Grzechim pod Makowem. — Już koniec nastrojów wtrwczasów. Zaczynamy sypać okopy. Czyżby Moskałom się udało dojechać aż tutaj? Wszystko możliwe przy Austriakach. Kwaterujemy z kompanią batalijonu w oziębłym domu za Stramieniem.

Już sąm le nowe buty. Górni w Zawoi ogarnęli je już przed odmarszem. Są świetne! Kpię z brata i snieg z Zawoi. Wskazy, kwatera naprzeciw sąsiedzi. Tu było twarde kompanijne i ostre strzelanie. Przydło się, bo many duże taktów, którzy nie byli w ogóle.

Radość, bo odłopcy dostał nowe buty. Wprowadziła nie tyle co potrzeba, ale przynajmniej nie widzieliśmy. Wczoraj, 21 listopada, przemawialiśmy przez Maków 10. do Grzechim.

22 listopada. — Póję w Wilczycach na kwaterze. Słusznie już nie jest komendantem batalijonu, ranny odjechał do szpitala. Stało się tak, że niedługo kopaliśmy nasze okopy w Grzechim. Austriacy patrzyli na nas Moskał, więc nie czekali na nich w okopach. Oto przebieg dni poprzednich.

23 listopada. z Makowa przejeżdżaliśmy koleją do Grzechim Dolnej i wieczorem wmaszerowaliśmy do Jurekowa pod Dobrą. Oczekiwaliśmy trzy stacje kolejowe, a jednak pusto. Przed nami tylko pociąg pociągowy Austriacki dalej tor zerwany.

WALKI NA PODKARPACIU

22 listopada. Grzechinia pod Makowem. — Już koniec naszych wywczasów. Zaczynamy sypać okopy. Czyżby Moskale mieli dojść aż tutaj?! Wszystko możliwe przy Austriakach. Kwaterujemy z komendą bataljonu w oddzielnym domu za Strumieniem.

Już mam te nowe buty. Góral w Zawoi ukończył je tuż przed odmarszem. Są świetne! Kpię z błota i śniegu. Z Zawoi przeszliśmy 20 listopada do Skawicy, kwaterą naprzeciw szkoły. Tu były ćwiczenia kompanijne i ostre strzelanie. Przydało się, bo mamy dużo rekrutów, którzy nie byli w ogniu.

Radość, bo chłopcy dostali nowe buty. Wprawdzie nie tyle co potrzeba, ale przynajmniej nie widać już bosych. Wczoraj, 21 listopada, przemaszerowaliśmy przez Maków tu, do Grzechini.

27 listopada. — Piszę w Wilczycach na kwaterze. Sław już nie jest komendantem bataljonu, ranny odjechał do szpitala. Stało się tak, że niedługo kopaliśmy nasze okopy w Grzechini. Austriacy puścili na nas Moskale, więc nie czekaliśmy na nich w okopach. Oto przebieg dni poprzednich.

23 listopada, z Makowa przejechaliśmy koleją do Mszany Dolnej i wieczorem wmaszerowaliśmy do Jurkowa pod Dobrą. Ostatnie trzy stacje kolejowe zupełnie puste. Przed nami tylko pociąg pancerny austriacki, dalej tor zerwany.

Maszerujemy w okolicy pustej, ogarniętej paniką przed Moskalami. Są gdzieś tuż, tuż, wsiakają wszystkimi drogami i ścieżkami do tego górskiego kraju. Po wywagonowaniu spotkaliśmy na drodze cofającą się kawalerję austriacką. W taborze kolumny zauważyłem furę, wyładowaną siodłami z padłych koni. Jechali na niej Węgrzy. Na migi pokazałem im, że chcę kupić siodło. Zjechali na bok. Jeden z nich szybko zestawiał siodło z najlepszych części i osiodłał mego konia. Dałem mu koronę i 20 halerzy za fatygę. Był kontent. Siodło z kocem za koronę. Nieźle!

W parę godzin po wywagonowaniu III bataljon napadł w Chyżówkach na Moskali i zdobył sześćdziesięciu kawalerzystów z 17 Y na naramiennikach i około 70 dobrych koni. Wpadł do niewoli też dobroduszny (przynajmniej w niewoli) rotmistrz. Mówi, że nie myśleli nigdy, by Austriacy, którzy wiali przed nimi, ośmielili się ich atakować, że w chwili ataku przypuszczali, że to przyszli Niemcy.

My 24 listopada przez Chyżówki maszerujemy do Limanowej. Zimno, śnieg, mróz. Konie prowadzimy, bo ślizgają się w tych górach. Doszliśmy wieczorem. Kwaterujemy u adwokata. Kolację zjedliśmy u dyrektora szkoły.

Spokój był do południa 25 listopada. W południe alarm, kompanje wychodzą za Limanową na pozycję, gdzie okopują się prowizorycznie w śniegu i zmarzniętej ziemi. Punkt opatrunkowy zakładam koło apteki. Wszelkiej pomocy użyć mi wysoki, sympatyczny aptekarz, który spokojnie obserwuje bitwę, mimo ognia Moskali.

Po krótkiej walce cofamy się do rafinerji. Cofa się koło nas duża masa kawalerji austriackiej. Spotykam, jako lekarza wojskowego, kolegę z Uniwersytetu Krakowskiego, doktora Kralla. Cofam się i ja, tuż za kompanje do małego domku koło szosy.

Tu jest „ciepło“. Ogień artylerji nie jest duży, ale kule karabinowe idą ze wszystkich stron, tak, że nie mam gdzie schować moich fur. Jeden podwodziarz, który przyjechał aż z Królestwa, widząc, że niema się gdzie schować, postanowił ocalić choć życie. Zostawił konie i wóz, a sam począł biec z batem, krzycząc, że „zara wróci“ tylko zapomniał coś w sąsiednim domu. Puściłem go, kazałem tylko bat odebrać. Uciekł i więcej nie wrócił. Konie i wóz zostały u nas.

Zaczęli napływać ranni. Opatrzyłem komendanta plutonu, Piotra Stopyrę, ze złamaniem kości ramiennej od pocisku armatniego i Jana Mielewskiego, którego rana ramienia była lżejsza. Obydwaj z 1-ej kompanji obywatela Sawy, która jest w ciężkim ogniu armatnim i karabinowym. Odesłałem rannych do porucznika lekarza Roupperta i, korzystając z chwilo-
wego uspokojenia się strzałów, położyłem się na podłodze i usnąłem. W pół godziny obudzono mię — odmarsz. Kompanje powoli ściągają z linji, idziemy w nocy do Stopnicy Królewskiej.

Spaliśmy tu parę godzin. Nad ranem, już o świcie, dopadli nas znów Moskale. Sztab bataljonu był koło małego domku, obok cmentarza obwiedzonego murem kamiennym. Tu Moskale wystąpili z artylerją i karabinami maszynowymi, których wejście do boju oznacza, że rozwijają większe siły.

Rzeczywiście około południa zaczęła zaznaczać się przewaga wroga. Mielśmy już rannych. Stanisław Gątkiewicz-Lelum, który dostał się pod ogień karabinu maszynowego. To też miał ranę lewego ramienia i lewego uda. Ciężki postrzał szrapnelowy w pierś dostał Władysław Lisowski. Kulami karabinowymi ranni zostali: Jan Zachodny, Andrzej Paciora, Ludwik Banaś i Hube (Kmicie). Jan Nero-Ryżewski, trafiony w wątrobę, skrwawił się przed nałożeniem opatrunku.

Ciało jego zabraliśmy. Ranni nadchodzili ze wszystkich kompanij.

Użyliśmy już wszystkich rezerw, ale Sław chciał się utrzymać do zmroku. Gdy badał pozycję nieprzyjacielską, stojąc pod ogniem, został ranny w okolicę lewego stawu kolanowego. Dokuśtykał z nami do najbliższej chaty. Zbladł, ale nie chciał myśleć o odejściu. Kazał się opatrzyć. Rana była tuż w okolicy stawu kolanowego, może w samym stawie. Unieruchomiłem staw zapomocą tektury, wziętej z jakiegoś obrazu w domu, gdzie byliśmy.

Tymczasem, Moskale napierali ze wszystkich wzgórz okolicznych. Z prawej strony odezwał się już zupełnie blisko karabin maszynowy moskiewski. Akurat skończyłem opatrunek. Wyszliśmy przed dom. Szarżało już Sław chciał iść, ale osunął się na nas z bólu. Szybko położyliśmy go na nosze. Karabin maszynowy siekł nad naszymi głowami. Nadbiegł łącznik z prawoskrzydłowej kompanji, że Moskale obchodzą nasze prawe skrzydło. Sław wezwał do siebie kompanijnego Wira i nakazał odwrót. Już nasza tyraljera szybko schodziła z wzgórz i chyłkiem biegła pod tym piekielnym karabinem maszynowym. Przechodzili koło nas grupkami, gestykułując i tłumacząc, dlaczego Moskale obesзли.

Sław patrzył na nich spokojnie ze swych noszy. Przypomniał mi się Karol XII pod Połtawą, też młody i dzielny, wydający rozkazy z lektyki. Wreszcie, już widać, wraca ostatnia kompanja.

Sanitarjusze biorą nosze z rannym obywatelem Sławem. Mamy przejść około 50 kroków po otwartej przestrzeni. Potem dalej już wielka kupa nawozu i dom, za który będzie można się schować, by odsapnąć. Wybiegamy... Grzęźniemy w śniegu w koleinach drogi. Karabin maszynowy szczeka. Biegniemy. Już, już, kupa nawozu, sanitariusz poślizguje się pod gór-

ką i pada. Chwytam nosze z innym i wpadamy za dom. Tu chwila odpoczynku i jeszcze jeden „skok” za chałupy. Niesiemy na zmianę, wreszcie, wyczerpani, sadzamy Sława na konia i, podtrzymując go, cofamy się.

Strzelanina tymczasem cichnie, Moskale nas nie ściągają. Jest już cichy, mroźny wieczór zimowy. Tak dochodzimy do Jurkowa. Sław przed odtransportowaniem go do lekarza pułkowego każe mi iść z meldunkiem do Komendanta. Każe zameldować, że musiał się wycofać, gdyż Moskale obesзли nas od strony miasta Tymbarku, że komendę nad bataljonem oddaje Wirowi, jako najstarszemu kompanijnemu.

Idę do Komendanta po pożegnaniu się ze Sławem. Komendant siedzi o zmroku w pokoju. Melduję, jak umiem, przebieg bitwy, zapominam tylko nazwę „Tymbark”. Na szczęście Komendant mi ją podpowiada.

Komendant odwiedził Sława przed odjazdem u doktora Roupperta. Sław odjechał w nocy do szpitala. Boję się, jak zagoi się jego noga, czy nie będzie sztywna. Niepoki mię ta jazda konno, chociaż w szynie z tektury.

Ciekawym, kto będzieznaczony na miejsce Sława. Mówią, że nasz bataljon nieszczęśliwy, bo już drugi komendant rauny. W tej chwili Wir wraca z odprawy z Komendy Głównej i mówi, że bataljon obejmie obywatel Norwid.

28 listopad. — Dziś rano bataljon objął obywatel Norwid w chwili naszego odmarszu do Jurkowa. Nie było czasu nawet na raport bataljonu. Zameldowali się tylko kompanijni przed marszem.

Kwateruję w Jurkowie, w Komendzie bataljonu za kościołem. Kwatera główna jest w karczmie poniżej plebanji, gdzie mieściła się za poprzednim naszym pobytem tutaj. Trzecia kompanja wraca z osłony prawego skrzydła bataljonu obywatela Śmigłego w Chyżówkach.

29 listopad. — Zwiedzam pozycję za wsią, gdzie chłopcy okopali się płytko w pokrytej śniegiem, kamienistej ziemi. U nas cisza zupełna. Moskali nie widać. Na lewem skrzydle słyszać gęste wystrzały armatnie.

Nadszedł meldunek o obecności kozaków w Dobrej koło tartaku. Rozkaz odmarszu do Wilczyc. Nasz bataljon odchodzi ostatni w straży tylnej po ściągnięciu wszystkich oddziałów z okopów i okolicznych osiedli.

Wieczorem w Wilczycach, przed Komendą Główną spotkałem Włodzimierza Szonerta z Sosnowca, który jest u Beliny i pełni dziś służbę łącznikową. Do północy żołnierze opowiadali na kwaterze, w domu na wzgórzu, o pięciu dywizjach Turków, które podobno przyjechały do Polski. Stąd spełni się, podobno, wkrótce przepowiednia Wernyhory, że Polska zmartwychwstanie, gdy Turek napoi konie swoje w Wiśle.

Żołnierze, gdy mniej zmęczeni marszem, mają zawsze coś sobie do opowiadania. Wczoraj sanitariusz Furmanek opowiadał cały wieczór kawały: „O żydzie i słoninie“. „O trębaczach i sznapsie“.

Wszyscy słuchają, susząc onucze przy kominie, aż para idzie. Potem kładą się na słomie, rozesłanej na ziemi i zasypiają. Śpią wszyscy niespokojnie, czochrając się i stękając. Mają czyste sumienia, ale brudną bieliznę. Stąd gryzą ich wszy.

1 grudzień. — Wczorajszy i dzisiejszy dzień wypoczywamy, jemy i śpimy za wszystkie czasy. Wczoraj robiłem normalne badania chorych. Medyk Buliński, zwany „Bulińsiem“, robi nosze dla patrolu pierwszej kompanji. Spokojny ten i zrównoważony medyk wyrabia się na doskonałego sanitariusza. Nigdy się niczem nie przejmuje, niczemu się nie dziwi. Pracuje tak samo powoli i rozważnie, bez pośpiechu, w naj-

większym ogniu, jak i na kwaterze. Odwiedziłem Wira w jego dymnej chacie w „osiedlu“, gdzie stoi ze swoją kompanją.

3 grudzień. Stopnica Królewska. — Wróciliśmy tu znów, w ciągłym tańcu z Moskalami. Coraz to, albo oni nas obchodzą w górach, albo my ich i tak, albo cofamy się, albo idziemy naprzód. Wczoraj wieczór przeszliśmy z Jurkowa drogą na Chyżówki. Po drodze zostawiliśmy artylerję Brzozy, a zabraliśmy przydzielone do nas austriackie karabiny maszynowe. Razem z III bataljonem śmigłego otoczyliśmy wieś, brnąc polami po śniegu. Byłem w miejscu zetknięcia się naszego bataljonu z trzecim. Całą noc po górach podsuwaliśmy się pod wieś, w której mieli być Moskale. Podeszliśmy pod placówkę kozacką. Podobno było ich dwudziestu. Zwiali odstrzeliwując się. Było nas zbyt dobrze widać na śniegu, żeby ich zaskoczyć. Został ranny w lewe płuco obywatel Młyńczyk. Wzięliśmy jednego jeńca, którego odesłaliśmy do Sztabu.

Moskale ze wsi w porę uciekli. Nad ranem zajęliśmy w niej kwatery. Stoimy w karczmie żydowskiej. Niedaleko jest i karczma polska, gdzie żołnierze kupują, kto ma za co, wódkę i wino węgierskie. Śpimy i szukamy się po całonocnem łożeniu po wertepach, pokrytych śniegiem.

5 grudzień. — Piszę na wzgórzu, za wsią Bełdno, godzina 10 rano. Doszliśmy do wsi wczoraj koło 6 wieczorem, gdy było już ciemno. Ze Słopnicy maszerowaliśmy do Limanowej, potem szosą w bok wzięliśmy na Młynne, skąd już zasypanemi śniegiem ścieżkami polnemi, przez górę Kamienną dotarliśmy do Bełdna. Jest tu jeden tylko nasz V bataljon. Mamy współdziałać z węgierską kawalerją.

Cały czas marszu nie wiadomo było gdzie możemy spotkać Moskale. Praca patroli ubezpieczających jest bardzo ciężka w górach, po bezdrożach zasypanych

śniegiem. Ludność góralska wszędzie witała nas z radością, dawała mleko i zapraszała na nocleg. Szliśmy od osiedla do osiedla. Górale szli przed patrolami, wchodzili znajomymi sobie tylko przejściami do wiosek i po półgodzinie, godzinie wracali z wiadomościami.

Od góry Kamiennej wieści były stale, że Moskałe dziś byli, nałapali kur, gotowali ziemniaki, ale o zachodzie słońca, poszli. Po takim „wywiadzie“ patrole wchodziły do wsi, przechodziły ją całą aż do drugiego końca, poczem i bataljon posuwał się naprzód.

Z podobnymi ostrożnościami weszliśmy do Bełdna. Rozkwaterowaliśmy się możliwie gęsto, wystawiliśmy placówki na wszystkich drogach, wychodzących ze wsi, poza tem — mocne warty kwaterunkowe. Trudno się było zerjentować w nocy w tym górzystym terenie. Mróz był mocny, pełnia księżyca szklila się na śniegu, byliśmy dobrze zmęczeni marszem, to też chłopcy z radością wchodzili do ciepłych, zapraszających oświetlonemi oknami, chat góralskich.

W chacie dowództwa bataljonu było ciepło, widno i zacisznie. W wielu chatach w Polsce w tym czasie brakło już nafty. Tutaj, z powodu bliskości Limanowej, było nafty poddostatkiem — i świeciła się duża wisząca lampa. Grzeliśmy się przy kominie i piliśmy kawę białą, gdy niedaleko rozległy się strzały, a za kilka minut z placówki przyprowadzili żołnierze jeńca-kawalerzystę z koniem. Był to tęgi chłop z pułku ułanów, który przed wojną stał w Pińczowie. Jechał zpowrotem po oddaniu rozkazu do oddziału rosyjskiego, który stoi na noc kilometr od nas, pomylił się co do dróg i wjechał na naszą placówkę. Chciał uciekać, ale zaczęli strzelać, więc musiał się poddać. Był uprzejmy i „dobroduszny“, ale, mimo wypitej kawy nic prawie nowego nam nie powiedział, tłumacząc się nieznajomością nazw miejscowości. Dowiedzieliśmy się tylko, że jest tu piechota i kawalerja

rosyjska, że są na noclegu bardzo blisko od nas, że jest ich dużo i są naokoło naszej wsi. Jeszcze trzy godziny temu byli w naszej wsi. Te zeznania zgadzały się z opowiadaniem naszego gospodarza.

Jeńca odprowadzili na wartownię. Przedtem pożegnał się czule ze swym koniem. Całował go i klepał po szyi, mówiąc: „Proszczaj, Czernogorja!“ Koń był skarogniady, tęgi, ale zdrożony.

Po odejściu jeńca obywatel Norwid oświadczył, że ma rozkaz od Komendanta oszczędzania chłopców, nie ma więc zamiaru atakowania Moskali na noclegu. Potem zaczął pisać meldunek do dowódcy brygady kawalerji węgierskiej o naszym przybyciu do Bełdna i sytuacji, w myśl zeznań jeńca.

W międzyczasie w różnych miejscach poza wsią rozpoczęło się „pykanie“ z karabinów. Po skończeniu meldunku obywatel Norwid kazał adjutantowi bataljonu, obywatelowi Kazimierzowi, odwieźć meldunek do odległego 5 kilometrów Rzegocina, gdzie miało być dowództwo brygady węgierskiej. Ze względu na bliskość nieprzyjaciela kazał, by ktoś jechał z adjutantem. Zgłosiłem się na ochotnika, komendant bataljonu zgodził się i zaczęliśmy szykować się do drogi: obywatel Kazimierz, ja i ordynans konny Wendlicz.

Miałem wtedy wysokiego tęgiego siwego ogiera. Wzięty był od wozu z taboru i parę tygodni do rozpaczy doprowadzał mię skręcaniem uporczywem na każdy mostek przy szosie, wiodącej do chałupy przydrożnej. Po pewnym czasie nabrał wyglądu konia wierzchowego, zwłaszcza po otrzymaniu siodła kawalerskiego, kupionego pod Mszaną Dolną.

Przy siodłaniu konia ordynans zasłonił tym razem, kawałkiem płachty menażkę, która za siodłem błyszczała zbyt „wspaniale“ przy blasku księżyca.

Siedliśmy na konie. Wendlicz na wziętego do „nievoli“ Czernogorję, który okazał się kuty na tępo

i ślizgał się co chwila. Gospodarz wyprowadził nas za dom, mówiąc: „Pojedźcie panowie w tą stronę aż za wieś, a tam droga pod górkę i dalej wprost, jak strzelił do Rzegocina!”

Ruszyliśmy wsią. Jechałem przodem, gdyż koń mój był świeżo na ostro kuty i szedł najśmielej, za mną Kazimierz, za nami Wendlicz, który wołał co chwila, by na niego zaczekać.

Minęliśmy wieś, ot i rozwidlenie dróg, o którym mówił gospodarz ale... przy świetle księżyca obydwie drogi idą „pod górkę”. Którą wybrać? Krótka nara-da — pojechaliśmy na lewo, gdyż ta droga zdawała się być bardziej „pod górę”.

Za wsią cisza — księżyc świeci, jak w bajce. Jedziemy jeden za drugim wąską drogą, łamiąc kopytami koni lód zamarzniętych kałuż. Jesteśmy na białej płaszczyźnie, przed nami kępka sosen, a za nią czarne półkole boru.

Podjeżdżamy do kępki sosen, stajemy w cieniu i stąd patrzymy, którędy dalej jechać. Droga od kępki sosen idzie lewą stroną polany leśnej, wreszcie gubi się w ciemnym lesie, który jest od nas o paręset kroków.

Cisza. Jedziemy naprzód. Jest nam nieswojo. Podjeżdżamy do lasu. Szumi górą a w dole jakaś cisza tajemnicza. Wyjęliśmy pistolety, wjechaliśmy pod drzewa i słuchamy. Nic, cicho...

Coś mi mówi, by nie jechać dalej, ale wstyd przyznać się z tem przed kolegami. Rozglądam się. Po drugiej stronie polany dostrzegam małą chałupę tuż pod lasem. Niema światła w oknach. Proponuję, by obywatel Kazimierz z Wendliczem zostali na polanie, a ja podjadę do chałupy dowiedzieć się, którędy droga do Rzegocina.

Wyjeżdżamy na środek polany, oni zatrzymują się a ja jadę w kierunku chaty. Kładę się na siodle, by

przejechać między drzewami sadu i nie schodząc z konia, stukam do okna. Jakieś chrząkanie, kaszel i przed chatę wychodzi stary góral.

— Gospodarzu, którędy do Rzegocina? — pytam.

— Do Rzegocina? to pan nasz Polak?

— Tak, którędy do Rzegocina?

Góral przyjrzał mi się uważnie, a potem: — Ponoc-ku, co wy tu robicie, uciekajcie stąd, tu Moskale za drzewami okopy sypią, u mnie w chałupie czaj warzą ino ich patrzyć, siła ich tu wielka, uciekajcież!

Zawróciłem konia, wyjechałem na polanę i krzyknąłem Kazimierzowi, by koniem zawracał, gdy z lasu rymnęła na nas salwa karabinowa. Szła nie od chaty, lecz z tego miejsca brzegu polany, gdzie baliśmy się wjechać.

Po pierwszej salwie koń mój drgnął i przykleknął. Wyrzuciłem nogi ze strzemion i rzuciłem się nawznak na rolę. Druga salwa i trzecia. Koń mój westchnął, upadł na ziemię i zaczął rzezić. Para z niego poszła. Bił kopytami o ziemię, usiłował się zerwać, ale nie mógł.

Ściskam w garści pistolet, przewracam się na brzuch, patrzę — dwa inne nasze konie też tarzają się w śniegu.

Poza tem cisza... z lasu nikt nie wychodzi. Las szumi po dawnemu.

Leżę na roli w śniegu, obok widzę drogę w płytkim parowie, z którego głos Kazimierza:

— Doktorze, żyjecie?

— Żyję, a wy?

— Myśmy zdrowi.

Czołgam się do nich. W parowie Wendlicz „walczy“ ze swym karabinkiem, który zaciął się w chwili upadku z konia.

Konie na roli rzeżą coraz słabiej. W lesie cisza. Po-
stanawiamy wiać do wsi parowem. Jeden na zmianę obserwuje brzeg lasu, dwaj wieją kilkadziesiąt kroków.

Parów kończy się niebawem, wtedy już wiemy wszyscy trzej polem, bez żadnych „obserwacyj“, jak tylko nogi niosą.

Na szczęście, las milczy, nikt nas nie goni.

Biegnąc, wpadamy na naszą placówkę pod wsią. Jest widno od księżycy, więc poznaje nas zdaleka.

Opowiadamy pokrótce nasze dzieje i biegniemy do Komendy bataljonu. Meldujemy naszą smutną „sytuację“. Ob. Norwid śmieje się, że lekarzowi konia zabili. Proszę go, by dał pluton żołnierzy, by iść pod las, chociaż siodła zabrać. Zgadza się, ale pod warunkiem, by nie iść za daleko. Jeżeli inaczej nie można, to ostrzelać tylko brzeg lasu, jako „represję“ za konie i siodła.

W kwadrans później z plutonem obywatela Małkowskiego wychodzimy ze wsi i posuwamy się naszą dawną drogą. Dochodząc do kępki sosen, ujrzelśmy na śniegu jakiś cień, kierujący się w naszą stronę. Padliśmy i czekamy. Był to żołnierz rosyjski w burym płaszczu i białym szaliku na szyi. Szedł wprost na kępkę sosen. Gdy był od nas o 20 kroków jeden z żołnierzy zawołał: „Stój, kto idzie!“

Zatrzymał się, wpatrzył w cień, gdzie leżeliśmy i mówi: „Tam awstrijcy?“

— „Wszystko jedno, chodź tu do nas, bo inaczej cię zastrzelimy“ — zawołałem do niego po rosyjsku. — „Ja siejczas, ja siejczas!“ (ja zaraz!) powiedział, położył się w brózdzie i — bums! z karabinu w powietrze.

Rypnęliśmy do niego w odpowiedzi, ale, że leżał w brózdzie, więc żył, nie był nawet ranny, tylko ryczał: „Co wy, bracia, karabin niechący mi wystrzelił, poddaję się, poddaję się!“

— Chodź tu, zawołaliśmy.

Wstał, podniósł ręce do góry i, jak wielka karjatyda brunatna, zstępował do nas ze wzgórką. Wyznał nam, że w lesie, skąd strzelano do nas, jest placówka, kilku-

nastu ludzi, że dalej są okopy, on tu jest na wedecie i, że widział gdyśmy konno przejeżdżali, ale się bał, więc puścił nas na placówkę.

Co było robić?! Szaleństwem było iść po równinie śnieżnej na placówkę i okopy w lesie. Dojść do siodła również było nieostrożnie, bo las zachodził daleko na boki. Wróciliśmy więc z jeńcem do komendy bataljonu.

Było koło czwartej nad ranem. Moskale zaczęli z trzech stron pukać na naszą wieś. Kule docierały wszędzie, w opłotki i za chałupy.

Okazało się później, że Moskale atakowali Rzegocin, gdzieśmy chcieli dojechać. Patrol pruskich ułanów, który jechał do Rzegocina właściwą drogą, dla nawiązania łączności z huzarami, wpadł w zasadzkę i został zniesiony. Nasze więc szczęście, żeśmy zabłądzili!

Komendant bataljonu wobec gwałtownego ognia Moskali naokoło wsi zarządził wycofanie się za wieś, na wzgórze, skąd nadeszliśmy wczoraj. O świcie nadszedł bataljon niemieckiej piechoty, który miał rozkaz zaatakowania lasu, pod którym zginęły nasze konie. Dowódca bataljonu niemieckiego zaproponował obywatelowi Norwidowi atakować razem.

Obywatel Norwid w myśl instrukcji Komendanta, oświadczył, że podlega dowódcy brygady węgierskiej, że bez rozkazu nie będzie atakował. Major, Niemiec, był wściekły, ale nic nie mógł poradzić. Obywatel Norwid wyznaczył tylko pół kompanji Sarmata celem ochrony skrzydła Niemców. My z naszych wzgórz mogliśmy widzieć całe pole walki aż do lasu, gdzieśmy byli w nocy.

Tymczasem Niemcy zabrali się do roboty systematycznie. Za wsią pod drzewem złożyli w porządku rzędami wszystkie tornistry, postawili przy nich wartę, a sami rozwinęli się w tyraljerę i dalejże na las.

Nie było im sporo na „naszej“ polanie. Moskale prali z brzegu lasu, tak, że Niemcy nawet nie doszli do naszych koni, które widać było przez lornetkę. Wreszcie

już po południu jedna kompanja Niemców oskrzydliła las i Moskale cofnęli się z odrutowanych okopów w leśsie. Niemcy weszli do lasu, tornistry zabrali na fure. Nadjechał patrol huzarów i mogliśmy wysłać meldunek do dowódcy brygady. Chłopcy Sarmata wrócili do bataljonu.

W oczekiwaniu rozkazów poszliśmy spać w domu stolarza w osiedlu za Bełdnem. Chciałem iść zdjąć siodło z konia, bo w juczach miałem papierosy i sweater, ale każdej chwili mogliśmy odmaszerować. Usnąłem zmęczony i pełen wrażeń nocnych.

W czasie strzelaniny pod Bełdnem mieliśmy dwóch rannych: Adolf Schmidt — w udo i Rudolf Sakoluk — w rękę. Niemcy mieli duże straty przy zdobywaniu okopów w lesie, do którego jeździliśmy „samotrzeć“.

Daj Boże zdrowie staremu góralowi, który nas ostrzegł.

8 *grudzień*. Limanowa. Piszę w Limanowej, w opuszczonym domu, naprzeciw Starostwa. Mieszkanie puste. Ludzie uciekli naskutek codziennych walk w mieście, do którego wchodziła, to jedna to druga strona.

W pokoju pustym i zimnym stoi samotnie „pianola“, której widocznie nie było czem wywieźć.

Po Bełdnie z naszym bataljonem było tak. Komentant Główny nie zapomniał o nas i zażądał wycofania nas napowrót pod swoje rozkazy. Chłopcy krzykami radości przyjęli wiadomość o odmarszu napowrót do swoich. Szliśmy, aż się po śniegu za nami kurzyło. Ja, oczywiście, też na piechotę, bo konia na zapas nie było.

Podobno major Niemiec skarżył się u władzy na obywatela Norwida, że mu nie pomógł pod Bełdnem, ale kpimy z tego, gdyż wracamy do pułku.

Potem 6 grudnia przeszliśmy zpowrotem przez górę Kamienną do Limanowej i za miastem, w karczmie czekaliśmy na pułk.

Pułk tymczasem atakował Nowy Sącz, pobudował most i ostrzeliwał Moskali. Kawalerja rzuciła się na drugi brzeg, gdzie miały być tabory rosyjskie, ale musiała ustąpić pod karabinami maszynowymi i armatami Moskali.

Po tej bitwie pod Pisarzową z obawy oskrzydlenia odbył się odwrót pod Limanową. Cofnęliśmy się już razem z całym pułkiem. Brzoza strzelał ze swych armatek do wyczerpania ostatniego ładunku. Wir był detaszowany w celu ochrony skrzydła. Poza tem bataljon nasz większego udziału w akcji nie brał.

Cofnęliśmy się z Pisarzowej do Limanowej.

Ciągle musimy znosić na sobie dziesięćkroć liczniejsze siły Moskali, którym wymykamy się tylko dzięki ciągłemu „tańczeniu“ w terenie. W samej Limanowej byliśmy już kilka razy. Wchodzimy i wychodzimy z niej, coraz to z innej strony.

11 grudzień. Zalesie. Rano, 9 grudnia wyszliśmy za Limanową na pozycję, po paru godzinach wróciliśmy na te same kwatery i cały dzień spędziliśmy w mieście, jako pogotowie.

Moskale bombardowali miasto i zapalili stodołę na plebanji. Sztab austriacki wskutek tego ewakuował się do Słotwiny. My zostaliśmy na noc w opuszczonym lokalu „Sokoła“ i Starostwa. O piątej rano, 10 grudnia, odmaszerowaliśmy do Słopnicy przez Lipowe.

Już ze wszystkich stron złaziliśmy te góry. Ludność wyniszczona, ale ciągle nam sprzyja i zaciekle na Moskali. W Słopnicy Królewskiej bataljon otrzymał znów nowego Komendanta. Jest nim obywatel Ryłski, który przyjechał z Ameryki.

Obywatel Norwid dzisiaj rano odjechał do Nowego Targu po ludzi z IV, VI i II bataljonów. Dzisiejszą noc przespaliśmy w Zalesiu.

W tej chwili mamy atakować Młyńczyska. Piszę to, siedząc w lesie na kłodzie drzewa z obywatelem Ryłskim. Przed chwilą do Młyńczysk przejechało pół szwa-

dronu naszej kawalerji. Za nimi, jako straż przednia, poszła kompanja Wira. Urządziłem punkt opatrunkowy dla rannych, których na szczęście nie było. Podobno atak na Młyńczyska był tylko demonstracją.

Komendant Główny został w Kamiennej. Wróciliśmy i my do Kamiennej na godzinę 6 wieczór, mając w powrocie cudny widok Tatr o zachodzie słońca. Rozkwaterowaliśmy się u stolarza, który nas przyjął jak najserdeczniej. Nie idziemy jeszcze spać mimo zmęczenia po całodziennem łożeniu, bo mówią, że jeszcze tego wieczoru musimy iść dalej. Byłaby wielka szkoda. Dom bardzo porządny nad rzeczką, złożony z sieni, dwóch pokoi i kuchni — warsztatu. Umeblowanie porządne, pokoje czyste, wybielone. Obrazy świętych i na ścianie napis z Ameryki: „Boże zbaw Polskę!”

12 grudzień. Piszę przy kominie. Wbrew oczekiwaniom z Kamiennej nie odmaszerowaliśmy. Spaliśmy tu w domu. Dzisiaj rano Komendant bataljonu zwiedzał oddział sanitarny.

Spotyka się dużo ludzi z wolem. Wielu żołnierzy ma bronchit z gorączką z powodu ciągłego przemakania nóg przy marszu w górach po śniegu. Niestety zużyłem już wszystkie proszki Dovera i nie mam im czem pomóc. Dostałem książkę d'Annunzia, którą czytam z zapalem.

Dzisiaj za wsią rozstrzelaliśmy górala, którego wydała sama ludność, że za pieniądze przeprowadził Moskali na nasze tyły ścieżkami górskimi, wskutek czego musieliśmy się cofać. Sąd polowy skazał go na śmierć.

Egzekucja odbyła się w sposób następujący. Czytałem najspokojniej przed południem, gdy Komendant bataljonu dał mi rozkaz: „Doktorze, pójdziecie zaraz z plutonem służbowym, który dokona egzekucji nad góralem, skazanym na śmierć przez sąd polowy. Stwierdźcie śmierć przed pogrzebaniem”.

Powiedziałem: „rozkaz“, wziąłem pas i rewolwer i wyszedłem przed dom.

Przed gankiem siedział „w kuczki“ starszy chłop o tępym, bezmyślnym wyrazie twarzy. Trzymał w ręku jakiś brudny węzelek. Przy nim posterunek z bagnetem na broni.

Pluton służbowy robił zbiórkę. Oficer inspekcyjny powiedział już widocznie żołnierzom, co mamy robić, bo paru rekrutów zaczęło mówić:

„My przyślim bić się za Polskę, a nie tak strzelać do bezbronnego, my nie strzelalim jeszcze, niech starsi idą“.

— Co za obywatelskie gadanie! zawołał oficer, milczeć, zbiórka!

Za chwilę kazał nabić broń i poszliśmy z góralem na czele w kierunku trzech samotnych świerszczków, stojących na wzgórzu.

Był już tam wykopany świeży dół. W drodze góral poprosił zapalić. Żołnierzowi, który dawał mu ognia drżały ręce, jak w febrze. Wreszcie doszliśmy. Oficer kazał zawiązać skazanemu oczy. Ten na to: „Pozwólcie mi się pomodlić przed śmiercią“, ukląkł i położył węzelek obok siebie.

Oficer skinął na żołnierzy, zdjęli karabiny i wzięli „do oka broń“.

Oficer machnął chusteczką i gruchnęła salwa. Skazany potoczył się po trawie z okrzykiem: „O Jezu!“ i drgnął, krzycząc i rżąc.

Oficer podbiegł do niego z rewolwerem, ale browning mu się zaciął. Tymczasem skazany żył. Sekundy wydawały się wiecznością. Chwyciłem mój rewolwer, przyłożyłem mu do głowy i strzeliłem. Umilkł i zmarł natychmiast.

Odetchnęliśmy, że wreszcie koniec. Stwierdziłem zgon. Miał cztery rany w klatkę piersiową i w głowę z mego pistoletu. Pochowaliśmy go pod trzema świerkami i w milczeniu wróciliśmy do domu. Koło wartowni żołnierze zaczęli już żartować.

Zameldowaliśmy bataljonowemu o wykonaniu wyroku i podpisaliśmy protokół.

Resztę dnia byłem „zważony“. Wyrzucałem sobie, że dobiłem człowieka, ale co było robić. Niema rady. Musimy się bronić. Jesteśmy na wojnie.

Dobrze się tu odpoczywa w domu poczciwego stolarza. Cała opinja miejscowej ludności jest za słusnością wykonanego wyroku. Szczególnie zajadły na „zdrajcę“ jest nasz stolarz.

15 grudnia. — Nowy Sącz. Weszliśmy tu przedwczoraj wieczorem po parodniowej włóczędze wzdłuż Dunajca. 12 grudnia po południu wyszliśmy z Kamiennej lewym brzegiem Dunajca, celem oczyszczenia Doliny Nowosądeckiej od resztek Moskali. Wczoraj złapano dwóch, którzy ukrywali się w samotnych domach. Idziemy marszem bojowym, w przedniej straży kompanja Sarmata. Ubezpieczamy się od lewej strony, z prawej szumi Dunajec.

Dostałem nareszcie konia — siwą klacz Kaśkę, na której dotąd jeździł porucznik Wąsik. Jest bardzo nerwowa, strachliwa, ale trzyma ładnie łebek i chodzi z fantazją.

Moskali nie znaleźliśmy, natomiast w nocy we dworze zdybaliśmy śpiących Austrjaków, również wysłanych dla zbadania okolicy. „Dzielni“ ci ludzie pokładali się spać, nie wystawili warty. Przy wejściu naszych żołnierzy do izby, wzięli ich za Moskali i „podawali się“ nam. Niema głupich brać takich jeńców. Chłopcy nasi powiedzieli im, że nie tak łatwo jest się poddać, że muszą jeszcze „walecznie“ służyć swej austrjackiej ojczyźnie.

Droga bardzo zniszczona po odwróceniu Moskali. Most na Dunajcu spalony, wpoprzek szosy leżą poćcinane drzewa.

Na 4 rano 13 grudnia doszliśmy do Podegrodzia naprzeciw Nowego Sącza, gdzie zanocowaliśmy u wójta. Ja śpię w „kancelarji“ na małej kanapce.

W Podegrodziu czekaliśmy do 2 po południu, gdyż saperzy reperowali most na Dunajcu. Wieczorem weszliśmy z resztą pułku do miasta. Część oświetlenia miejskiego zepsuta, to też od mostu do zamku i w ulicy do Rynku egipskie ciemności. Na rynku jasno, jak w dzień, wchodzi się z mroków nocy, jak do salonu. Orkiestra rżnie marsza. Wychodzimy z ciemnej ulicy do defilady przed Komendantem Głównym, na zalany światłem i tłumem ludzi plac. Ledwie jest miejsce na przejście kolumny. Publiczność krzyczy, klaszcze, śmieje się i wywołuje znajomych. To drugie nasze „szczęśliwe“ wejście po Krakowie.

Czujemy się tu u siebie. Żołnierze są rozchwytywani na kwatery, zapraszani na kolację. Skąd tu jeszcze coś zostało, gdy niedawno wyszli z miasta Moskałe, którzy zabrali przecież, co mogli. Mamy kwaterę w domu p. Grubera. Ugaszczają nas, czem tylko mogą. Jest nam doskonale. Czujemy, że nie jesteśmy zbyt tch. ani wyklęci, że coś jest z tych naszych walk i łażenia po Polsce.

Sanitarjat jest w gimnazjum. Wczoraj byłem z D-rem Piestrzyńskim w czytelni Pań Katolickich, celem pomożenia nam w urzędzeniu szpitala.

Badalem Komendanta bataljonu — jest zaziębiony. Wszyscy wypoczywamy i wysypiamy się w „prawdziwych“ mieszkaniach i łózkach.

Komendant Główny wyjechał ze Sławkiem autem do Krakowa.

Żołnierze nagle zmienili swój wygląd. Wyczyszczeni, umyeci, ogoleni tworzą „szczyt elegancji“, spacerując w Rynku z mieszkankami Sącza. Pogoda piękna, ciepło, chodzimy bez płaszczów.

17 grudnia. — Rano, w pokoju Janka Gołaba. Dziś wszyscy prawie otrzymali coś z poczty polowej. Ja nie mam żadnych wieści. Ludzie z zaciekawieniem czytają listy z Krakowa, które szły 2 miesiące. Gazety

z przed miesiąca są rozchwytywane, jako największa nowość.

Wczoraj byłem z kompanją Wira na wywiadzie w dolinie Dunajca na poszukiwaniu Moskali. Szliśmy przez Podegrodzie i Bychowiec, naokoło doliny Sądeckiej. W pobliżu Bychowca chłop wskazał las, w którym parę dni temu byli jeszcze Moskale. Wir wysłał dla przetrząśnięcia lasu pluton Małkowskiego. My odpoczywaliśmy przez ten czas w chałupie wójta.

Moskali nigdzie niema. Wracamy do miasta. Chłopcy wypoczęci, w świetnych humorach. Pogoda dopisuje. W powrotnej drodze układaliśmy okolicznościowe kuplety, oczywista wielce niewybredne. Widząc moje szamotanie się z warjującą „Kaśką” chłopcy zaczęli na nutę „Buffalo Bill”...

„Doktór konno maszeruje,
Więc nam nigdy nie choruje”.

Odpowiedziałem chłopcom:

„W marszu w krzyżu ich coś łamie
Mówią, że im „kość” nie stanie,
A jak przyjdą do chałupy
To włożą na — głowy!”

Wobec tego zostawili mnie w spokoju i „zabrali” się do świeżo mianowanego podporucznikiem obywatela Kazka Hozera, śpiewając na nutę: „Wędrujemy”...

„Kazek walczył mannlicherem,
Wrócił do nas oficerem!”

Nie darowali też i kompanijnemu Wirowi, ale zaatakowali go pośrednio, tak niechcący, przez moją osobę:

„Doktór dobrze odpowiada.

Bo Komendant mu pomaga!”

Słońce zasło. Piękny był widok miasta za rzeką. Saperzy austriacy reperowali most kolejowy przy świetle pochodni. To dało Kaśce powód do nowych warjacyj. Miałem już przedtem pościerane nogi, to też po powrocie na kwaterę musiałem nałożyć sobie opatrunek.

Wieczorem był „bal“ u bataljonowego. Gdy zaczęli grać w karty, poszedłem jako „niepiśmienny“ do chorego obywatela Małkowskiego. Bardzo to dzielny człowiek, ale bez skutku propaguje wstrzeźliwość od rumu! Pomijając wszystkie inne względy, nie możemy przecież Austrii „darować“ tego, co nam się „należy“. Podobno nasz pułk ma być podzielony na dwa pułki po 3 bataljony. Chłopcy mówią, że „pułk, za waleczność, ma awansować na brygadę“.

BITWA POD ŁOWCZÓWKIEM

BITWA POD ŁOWCZÓWKIEM

20 grudnia. — Piasę w Tęgobernu, 12 km od Nowego Sącza, w chałupie pod świerkami.

Zegnął gościnnie miasto, tegoroczne życzeniwi mieszkańcy Nowego Sącza, jeszcześny jeszcze niedaleko wagać się za chwile już pójdziemy dalej.

Stało się tak nagle, że nie było czasu nie nawet zasnąć. Jeszcze wczoraj wszystko było tak cicho i do-
brze.

BITWA POD ŁOWCZÓWKIEM

Przy prawdziwej okolicy nie miał do J w no-
cy, jakimś słowem, wypocznym połączeniu z „reorga-
nizacją w brygadę”.

Zaczęły chodzić słuchy jeszcze przed trzema dnia-
mi, że mam zostać jedynym z lekarzy pułkowych...
Dr. Pieszyński, który wie zawsze wszystko, jeszcze
18 grudnia powiedział mi, czy chcesz zostać? nie z ba-
talcami. Odpowiedziałem, że będzie mi przykro, ale
jak dla siebie zawsze tak jak pracy, to trzeba zawsze brać
Wiem, że dzień potwierdził te wieści z dodatkami,
a mam awansować na porucznika. Była odprawa
w Komendzie Głównej, na której obywatel Rybki był
podobno przeciwny memu awansowi z batalionem.

Jeszcze wczoraj wieczorem było wiadome i pew-
ne, że zostajemy w Sączu na Boże Narodzenie, dopie-
ro dzisiaj rano pękła bomba z odmarzaniem.

O godzinie 9:30 przeszedłem do porucznika dla Hou-
peria de Jazmów, miał na mezę za poległych, które od-

BITWA POD FOWCZÓWKIEM

BITWA POD ŁOWCZÓWKIEM.

20 grudnia. — Piszę w Tęgoborzu, 12 km od Nowego Sącza, w chałupie pod świerkami.

Żegnaj gościnne miasto, żegnajcie życzliwi mieszkańcy Nowego Sącza, jesteście jeszcze niedaleko was, ale za chwilę już pójdziemy dalej.

Stało się tak nagle, że nie było czasu nic nawet zapisać. Jeszcze wczoraj wszystko było tak cicho i dobrze. Sypialiśmy rano do 9 godziny, czytało się książki przy prawdziwej elektryczności nieraz do 2 w nocy, jednym słowem, wypoczynek połączony z „reorganizacją w brygadę“.

Zaczęły chodzić słuchy jeszcze przed trzema dniami, że mam zostać jednym z lekarzy pułkowych... Dr. Piestrzyński, który wie zawsze wszystko, jeszcze 18 grudnia pytał mnie, czy zechcę rozstać się z bataljonem. Odpowiedziałem, że będzie mi przykro, ale, jak dają szerszy zakres pracy, to trzeba zawsze brać. Wczorajszy dzień potwierdził te wieści, z dodatkiem, że mam awansować na porucznika. Była odprawa w Komendzie Głównej, na której obywatel Ryłski był podobno przeciwny memu odejściu z bataljonu.

Jeszcze wczoraj wieczorem było wiadome i „pewne“, że zostajemy w Sączu na Boże Narodzenie, dopiero dzisiaj rano pękła bomba z odmarszem.

O godzinie 9.30 poszedłem do porucznika d-ra Rouperta do Jezuitów, stąd na mszę za poległych, którą od-

prawa! kapelan. Później zameldowałem się na rozkaz u obywatela Szefa Sztabu, który zapytał mnie, czy chcę zostać lekarzem pułkowym. Odpowiedziałem twierdząco, wtedy dał mi do ręki kartkę papieru o treści następującej:

„Podp. dr. S. Składkowski przydzielony zostaje do Sztabu maj. Śmigłego, kdtą 1 p. brygady Piłsudskiego w charakterze lekarza pułkowego.

20.XII.14

K. Sosnkowski,
podpułk.

pieczęć: Komenda 1 Pułku 1 polskiego Legjonu.

Uważałem, że mam czas zameldować się po południu obywatelowi majorowi Śmigłemu, poszedłem więc do szpitala robić spis nowootrzymanyh leków.

Wychodzę po paru godzinach i widzę jakiś „nieprzyjemny“ ruch na ulicach. Coś mnie tknęło.

Rzeczywiście — odmarsz, zaraz odmarsz do Zakliczyna z rozkazu IV armji. Austriacy zrobili tam na froncie znowu jakąś dziurę i my musimy iść ją zatykać.

A tu mój przydział: ani tu, ani tu! Biegnę do bataljonu, wymeldowuję się, biorę mój plecak i oddaję, bez wielkiego żalu, kapryśną Kaśkę.

Pędzę do obywatela Śmigłego. Melduję mu się już w chwili ostatnich przygotowań do odmarszu. Obywatel Dąbrowa, adjutant pułku, nadzwyczaj gospodarny i zawsze posiadający jakieś rezerwy i „możliwości“, daje mi, narazie tymczasowo, wysokiego, siwego, zdobycznego rosyjskiego konia. Pakuję mój plecak na wóz, który przed pół godziną awansował z wozu bagażowego bataljonu, na wóz bagażowy pułku.

Tymczasem w mieście zebrały się olbrzymie tłumy publiczności. Wszyscy serdecznie wymawiali nam, że wychodzimy, że nie czekamy świąt. Tłumaczymy się losem żołnierza.

Orkiestra gra na rynku. Zbiórka brygady przed ratuszem. Tu mecenas wygłosił mowę pożegnalną do obywatela Szefa, który nas prowadzi, w nieobecności Komendanta. Odmaszerowujemy.

Serce mi się ścisnęło, gdy przechodził mój piąty bataljon. Znałem tam każdego żołnierza. Wiedziałem, który czego potrzebuje. Wiedziałem, który z czwórki w marszu nie wyjdzie, a który lubi chadzać na skosy i skróty, gdy zostaje ztyłu, a później dogania kolumnę. Wiedziałem to wszystko, gdyż, mając konia, pomagałem oficerom inspekcyjnym w marszu.

W tym bataljonie nauczyłem się życia wojskowego, czułem się i byłem częścią składową oddziału. Teraz nagle oni idą oddzielnie, a ja mam iść oddzielnie, a może niedługo, drogi nasze rozejdą się zupełnie.

Żałowałem wszystkich razem, żałowałem wszystkich cnót i wad żołnierskich, które razem stworzyły nazwę:
„V. baon“.

Janek Gołąb, chory, jechał na furze.

Szły kompanje jedna za drugą. Za każdą — patrol sanitarny.

Flegmatyczny Buliński — medyk, „dzielny“ Lustig, przebiegły Furmanek, felczer Nowiński, wreszcie niezrównany sanitariusz Tarapata. Tarapata, jak zawsze, niósł nosze z fantazją na ramieniu, „jak piórko“.

Był to „Wanderer“ — obieżyświat, który „na Sasy“ chodził na roboty.

Z „wojskiem“ poszedł, by iść w świat. Niezrównany był w wynoszeniu rannych z ognia walki.

Przeszli wszyscy, ja nie wiem dobrze, czy mam jechać ze sztabem pułku, czy za ostatnim bataljonem. Wolę jechać ztyłu, to mi przypomina czasy bataljonu.

Już wychodzimy z miasta, już miesimy straszne, wyrobione przez tysiące ludzi, koni i armat — błoto.

Gdy to piszę, odpoczywamy w marszu. Gospodarz chałupy radośnie gawędzi, że 10 dni już tędy idzie

wojsko austriackie, ale cóż: „nie można się było dogadać, a tero człek się oswobodził, jak mowa swoja“.

„Przedtem byli Moskale — doktory, bo z czerwonym krzyżem. Żydki widać, bo ręce przed jedzynie myli, śmiali się z nich żołnierze w kuchni.

Przez pięć tygodni byli Moskale. Najpierw przez 10 dni kozacy.

— Te byli najgorsze: „Oddaj kurku, a nie to korowu!“ — krzyczeli“.

Podobno we dworze z 52 krów, zostało 40, tajnie powstawianych przez syna właściciela, który przyjechał z Węgier, po gospodarstwach miejscowych. Krowy te — też chłopi wydawali Moskalom.

Dwór obejrzałem, towarzysząc obywatelowi, majorowi Śmigłemu. Wszystkie pokoje puste, pozostawiony tylko fortepian w okrągłym salonie, duże lustro i szafy. W pierwszym pokoju od kolumnowego ganku Austriacy mają swój telefon. Stajnie, stodoły, porozbijane, wrota wyrwane.

Przyjechał Janek, umieszczony jest u obywateli Herwina i Sasa. Sanitarjusz Popielnicki z nim.

22 grudnia, po południu, w lesie olszowym między Zakliczynem, a Tarnowem, miejscowość Lichwin. Wczoraj rano wyszliśmy z Zakliczyna i po błotnistych, dzikich, wyjeżdżonych przez tabory drogach zaczęliśmy piąć się ku górze. Przy dwóch stogach w polu, w bok drogi stał V bataljon. Gdy mię ujrzeli, zaczęli ryć: „My chcemy Składkowskiego!“.

W tej chwili stoimy w rezerwie. Śliczna pogoda, trochę chłodno. Zprzodu i boków przed nami toczy się bitwa. Widać wszystko, jak na dłoni, bo stoimy na wysokim wzgórzu. O tysiąc kroków przed nami las brzo-zowo-olszowy, przedzielony parowem, przy którym stoją trzy chałupki. Nasz pułk atakuje ten las, w którym siedzą Moskale: III bataljon posuwa się lasem od lewego skrzydła, II bataljon i część I z Herwinem idzie z prawej strony. Reszta I bataljonu schowana

pod naszym lasem w półkolistym parowie. Major Śmigły w okopach rezerwowych z obywatelem Kubą. Chłopy ostro posuwają się linjami tyraljerskimi po rozmo-
klej ziemi.

W naszym lesie stoją armatki artylerji górskiej, które walą granatami i szrapnelami w brzeg zdobywanego lasu. Poza tem mamy „sprzymierzeńców”. — Kompanja 18-go pułku „Landwery”, złożona ze starych chłopów pod wodzą podpułkownika austriackiego z kiejem w rękę, ostrzeliwuje również brzeg atakowanego lasu. Podpułkownik — Polak wydaje łamaną polsko-niemiecką komendę: „Chłopy, schiessen na prawy brzeg lasu. Pięć patronów!”. „Chłopy” strzelają ze swych do-
łów, niebardzo wystawiając głowy.

Żołnierze austriaccy ze łzami w oczach prosili naszych chłopców: „Idźcie vorwärts, pobijcie Moskali, wyście młodzi, a my nie możemy angriffować, bo mamy dzieci w domu!”. Podpułkownik zaś, jako „człowiek, trzydzieści lat pracujący w tym interesie”, nie mógł się nachwalić ataku Herwina.

Już nasi podchodzą do lasku. Ogień Moskali jednak nie milknie. Pod wystrzałami armatek wali się jeszcze parę brzoź.

W tej chwili do linii tyraljerskiej galopem podjeżdża z rozkazem obywatel Dąbrowa-Młodzianowski na swej ślicznej klaczy angielskiej. Rzeczywiście przypomina to 30-ty rok. Na ścieżce leśnej po zeschniętych liściach suną pierwsi ranni z III bataljonu. Już zmrok zapada. Lasek zdobyty. Armatki i „chłopy” cichną.

Prowadzę rannych do chałupy za prawem naszym skrzydłem, gdzie założył główny punkt opatrunkowy dr. Rouppert. Tam okazuje się, że mamy już 21 rannych. Dr. Rouppert wyrzuca mi, że przychodzę tak późno, gdy oni już pracują. Tłumaczę się, że orjentowałem się w sytuacji i prowadzę pierwszych rannych z mego pułku. Zabieramy się do roboty.

Całą noc napływają ranni. Niema mowy o spaniu. Rano o piątej wyprawiamy kilka wozów z rannymi do Janowic, gdzie jest dywizyjny punkt opatrunkowy austriacki. Jadą tylko ciężko ranni, reszta kuśtyka, wspierając się wzajemnie i chwytając się kłonic wozów. Konie ledwie ciągną pod górę wozy po grzęzkiem błocie.

23 grudzień, wieczorem, główny punkt opatrunkowy pod Lichwinem. Dzisiaj rano wyszedłem na linję, celem nawiązania łączności z dowództwem i zbadania działania punktów opatrunkowych mego pułku. Zaimmeldowałem się u obywatela, majora Śmigłego. Na szczęście, celem obejrzenia swych bataljonów wychodził z okopu, w którym spędził noc, mogłem więc mu towarzyszyć.

Linja bojowa od wczoraj po południu przesunęła się naprzód. Przechodzimy las, który zdobywał wczoraj pułk. Pełno tu połamanych karabinów, potrząskanych drzew, dołów od granatów, rozsypanej świeżej i zużytej amunicji. Widocznie wczoraj austriacka artylerja górska nie próżnowała.

Jest w tej chwili względny spokój. Lekarze bataljonowi z patrolami sanitarnymi w pierwszej linji okopów. Śliczny widok z okopów II bataljonu na wysokiej pozycji nad rzeką Białą. Wracam na główny punkt opatrunkowy. Po południu mamy znów przeszło 30 rannych. Ranny Belina i ciężko ranny Herwin. Został ranny w chwili, gdy po wyczerpaniu amunicji wyszedł z patrolem na przedpole zbierać karabiny i amunicję. Przyszedł sam na punkt opatrunkowy, powiedział: „Głupstwo!“ i czekał, aż będą opatrzeni inni. Po rozebraniu go zobaczyliśmy ranę ręki i wielką szarpaną ranę klatki piersiowej, tak, że widać było opłucną wśród porozrywanych mięśni i żeber. Możliwe, że Moskale strzelają ekrazytówkami, gdyż rana Herwina jest poszarpana. Musi mu sprawiać wielki ból. Mimo to zachowuje pogodę ducha. Odjeżdżając, siadł mimo

swej ciężkiej rany na „drabce“ wozu, by dać miejsce do leżenia dwóm innym rannym.

Dziś mamy od Austriaków rozkaz „festhalten“. Umiemy to i bez rozkazów.

Linja frontu uległa widocznie zmianie, bo dom punktu opatrunkowego, osłonięty naogół od kul karabinowych, teraz jest mocno pod ogniem. Kulki gwizdzą koło domu. Ranny został austriacki szeregowiec, który spał w chruścianej stodole, a zegar na ścianie w naszej izbie nagle przestał chodzić, gdyż kula przebiła ścianę domu i zatrzymała ruch mechanizmu.

24 grudnia. Dzisiaj pod wieczór, o ślicznym zachodzie słońca poszedłem do Obywatela Szefa, by dostać pieniędzy dla rannych. Przy stwierdzeniu rany każdemu rannemu, odjeżdżającemu na tyły, wypłacaliśmy po 6 koron szeregowym i 20 koron oficerom. Są to pieniądze z naszych pensyj, których nie bierzemy, czekając aż nam Polska żołą wypłaci.

Gdy wziąłem pieniądze, nadszedł nagle rozkaz odwrotu. Pobieglem do punktu opatrunkowego. Było tam pełno rannych. Co robić z nimi. Niema wozów, a i tak nie wyjechałyby pod górę w tym błocie. Na szczęście dostaję wiadomość od d-ra Roupperta, że za lasem ma sześć wozów pod rannych. Ta cenna wiadomość nadeszła na karteluszkę zmiętego papieru, który wydał mi się listem miłosnym, wobec obawy o los rannych.

Oto karteczka:

Do kap. Fleszara (lub d-ra Składkowskiego). W tej chwili przysłali mi Austriacy 6 wozów pod rannych z Siedlisk; podesłać tych wozów bliżej nie mogę, proszę więc zarządzić odesłanie z pomocą żołnierzy pozostałych u Was rannych.

Lekarz brygady, dr. Rouppert.

Lichwin, 24.XII.

Chodzi więc o to, by ich tam dostarczyć. Dostaję stu ludzi z bataljonu uzupełniającego obywatela Berbeckiego, ale nie mam dostatecznej ilości noszy. Każę więc cię-

żej rannych brać czterem żołnierzom na ramiona. Objasniam im w ciemności, jak brać, ale nie rozumieją.

Wreszcie wołam! „Bierzcie na ramiona jak trumnę!“

Już wiedzą... Pierwsi ciężko ranni, niesieni na ramionach kolegów „jak trumny“, giną w mroku leśnym. Żołnierze potykają się na korzeniach drzew, ślizgają w błocie, ranni jęczą, krzyczą i przeklinają. Cierpią strasznie, ale lepiej to, niż zostawić ich Moskalom.

Odwrót ma iść obok karczmy Zabrzezie, gdzie czeka z wozami dr. Rouppert, do dwóch stogów przy dworze w Lichwinie.

Już odeszli lżej ranni, i odwieziono wszystkich, którzy nie mogli iść. W izbie zostaje pięciu rannych w brzuch naszych chłopców, których nie mogę zabrać, gdyż transport przez las dobilby ich napewno i praporszczyk zapasa, Rosjanin, ze strzaskaną nogą. Kładę go na słomie tuż przy drzwiach, nakładam mu na głowę czapkę, przykrywam szynalem, by od pierwszego wejścia widać było, że to Moskal. Chodzi mi jednak nie o niego, tylko o naszych pięciu chłopców, których muszę zostawić, a boję się, że Moskale zakłują ich, gdy w pierwszym upojeniu zwycięstwa wpadną do chaty. Piorunochronem dla naszych rannych ma być „praporszczyk“. Oświadczam mu, że zostawię go tutaj, gdzie za chwilę przyjdą Rosjanie, pod warunkiem, iż da mi słowo honoru oficera, że nie pozwoli zrobić krzywdy naszym chłopcom, że zaopiekuje się nimi, że odjedzie z nimi razem do szpitala i nie pozwoli dać im pić aż do przybycia lekarza. Praporszczyk przyrzeka uroczyście wypełnić to wszystko. Wybiegam więc z chaty. Idę z dwoma ostatnimi przepełnionymi wozami.

W chacie obywatela Szefa jeszcze błyska światło. Wchodzę... obywatel Szef zły chodzi po izbie, gdyż rozkaz odwrotu odwołany i nasi chłopcy muszą zdobywać zpowrotem okopy, które przed chwilą opuścili dobrowolnie.

W lesie słyhać brzęk manierek i tupot nóg. To nasze oddziały wracają, klnąc na Austrjaków i „austrjackie porządki“.

Wysłałam ułana łącznikowego do d-ra Roupperta z meldunkiem, że odwrotu niema. Wraca i on, po załadowaniu wszystkich rannych na fury i odesłaniu ich do zakładu Sanitarnego Dywizji.

Wchodzimy do naszej izby. Stara gospodyni i gospodarz rzucają nam się na szyję, że to nie Moskale. Biedny praporszczyk przymknął tylko oczy. Gdym podszedł do niego powiedział: „Pocoście mi to mówili? Tyle nadziei. Byłem wolny i nie mogłem iść do swoich. Czekałem tak. Myślałem, że żona będzie mię pielegnować, a oto znów jestem w niewoli!“

— Wojna! powiedziałem mu, czy robimy panu krzywdę jaką? Daj Boże, byście wy obchodzili tak się z naszymi, jak my z panem.

Strzelanina, która wybuchła przy odbieraniu okopów, ustała. Gęsta mgła spadła na całą okolicę.

Przypominamy sobie, że to wigilja. Zaczęliśmy śpiewać kolendy, gospodarz i gospodyni z nami. Ranni w brzuch domagali się wody, chociaż „w ten święty wieczór, jeżeliśmy chrześcijanie“. Trzeba było im odmówić. Biedacy z zadrością patrzyli, jak jeniec, praporszczyk, pił kawę. W izbie coraz ciśniej. Przychodzi wielu żołnierzy wycieńczonych, jak widma. Co mamy robić? Grzeją się chwilę, dostają trochę kawy i muszą wracać. Kładziemy spać koło pieca tylko gorączkujących koło 39°. I tych jest sporo.

Wczoraj był lekko ranny obywatel Sas. Na podwórzu koło nas pękł w dzień granat. Wybił szyby i naodwalał tynku.

W nocy koło bardzo silnie ostrzeliwanego sztabu obywatela Szefa wybuchł pożar.

Idziemy z d-rem Piestrzyńskim spać na paki z opatrunkami, ale znów cała noc — bezsenna. Głodni, brudni, bez zdejmowania butów od czterech dni uwa-

żamy się i tak za uprzywilejowanych wobec naszych chłopców, którzy te cztery dni siedzą w okopach, na zimnie, często o trzydzieści kroków od Moskali.

W tę noc wigilijną chłopcy nasi w okopach zaczęli śpiewać „Bóg się rodzi“... I oto z okopów rosyjskich, Polacy, których dużo jest w dywizjach syberyjskich, podchwycili słowa pieśni i poszła w niebo z dwóch wrogich okopów!

Gdy nasi po wspólnem odśpiewaniu kolend krzyknęli: „Poddajcie się, tam, wy Polacy!“ nastała chwila ciszy, a później — już po rosyjsku: „Sibirskije strielki nie sdajutsia“.

Straszna jest wojna bratobójcza. Podobno jeden z naszych młodych chłopców wziął do niewoli ojca swego, którego zabrali do wojska rosyjskiego.

25 grudnia.

10 rano. Piszę w sztabie u obywatela Szefa, do którego przyszedłem po kartki z pieczęciami. Jest zajęty, więc czekam i piszę.

O godzinie drugiej nad ranem dzisiaj zaczęli napływać ciężko ranni. Mamy ich dotąd koło 150, nie licząc zabitych. Zabici są, wśród innych, Kuba Bojarski, Włodek Kowalski.

Przywieźli ciężko rannego Herbatę z V bataljonu. Pamiętam go pod Laskami. Mały, czarny, bez wąsów jeszcze, stał przy strzelnicy i co strzelił to mówił: „Za brata macie!“

Nazywa się właściwie Antoni Skrzypek. Teraz biedak leży na noszach, rzezi ciężko i dusi się stękając: „Mój bok, moje kolki“. Biedny chłopak nie ma jeszcze 18 lat.

Ranny jest podporucznik Jerzy Sawicki, który w czasie opatrunku każe swoim żołnierzom wracać do kompanji i powiedzieć, że dziękuje podkomendnym za męstwo.

Ranny też jest, walczący jeszcze w czapce studenckiej, Osuchowski, który wstąpił do nas przed czterema

dniami w Nowym Sączu. Ma trzy rany. Po jednej ranie za każdy dzień służby Polsce...

Wysłaliśmy w nocy 2 transporty rannych. Przy tej pracy wypiliśmy z dr. Rouppertem kawą... bruderszaft.

Jest nas trzech lekarzy. Pomaga nam O. Kosma kapełan, podoficer Młynarski, zwany „Ojcem“ i podoficer Wilowski.

W tej chwili, o 10 rano, przyszedłem do Sztabu, by zameldować obywatelowi Szefowi, ilość rannych, która dotąd przeszła przez nasze ręce.

Szef tymczasem pisze meldunek do dywizji, kręcąc swym zwyczajem wąsa. Dyktuje meldunek obywatelowi Dzieduszyckiemu. Jest też w izbie jakiś Oberst austriacki. Szef mówi mu, że Austriacy muszą przysłać oddziały celem zmienienia nas na froncie, gdyż strzelcy już nie mają sił, odpierając ataki w ciągu czterech dni i nocy.

Oberst mówi na to magiczne słowo: „Rückzug“, przy czym chce w swoim meldunku odwrót zwać na strzelców. Szef chwyta go niecierpliwie za rękę, mówiąc: „Aber was machen sie, Oberst, Legion steht doch!“

— „A czy Pan pułkownik wie, ilu jest nieprzyjaciół? mówi Oberst. Ja tylko, na wszelki wypadek, przygotowuję rozkaz, gdyby potrzebny był odwrót“...

Przezorny Oberst pisał dalej... Szef nieufnie patrzył na meldunek, który pisał Austriak.

26 grudzień. Wróblowice, 1 km. od Zakliczyna, wieczór w kwaterze pułku. Przyszliśmy tu wczoraj wieczorem ostrym marszem.

W Lichwinie na punkcie opatrunkowym byliśmy wczoraj do jakiej drugiej godziny po południu. Ładowaliśmy rannych na wóz, gdy kule, zmieniając kierunek, zaczęły się sypać na nasz dom od strony lasku, osłoniętego górą od strony Moskali. Chyba więc Moskałe wleźli już na górę!

Jesteśmy w środku bitwy, kule idą już i od prawej strony coraz gęściej, coraz natarczywiej. Konie rzucają

się przy wozach, ale musimy przecież dokończyć ładowania wszystkich rannych. Biedny praporszczyk rosyjski, któregośmy też wynieśli na wóz, woła: „Doktorze, zginę od własnej, rosyjskiej kuli!”

Jak tylko który wóz jest pełny, podpychamy go pod górę, bo konie w błocie wyciągnąć nie mogą. Wreszcie ostatni wóz. Już najwyższy czas! Od prawej strony z wąwozu słysząc głośnie: „ura“! i słabe inne krzyki. Jakiś żołnierz przebiega, krzycząc, że Moskale przerwali Austrjaków na prawo od nas i gonią ich w kierunku na nasz dom. Za chwilę będą tu.

Na lewo od nas, w lesie, widać naszą cofającą się tyraljerę, która co krok strzela, stojąc, w las. Słysząc stamtąd zmieszane krzyki. Wreszcie ostatni wóz z rannymi wjeżdża, wśród bicia koni, na wzgórze. Nie mamy tu co robić. Trzeba wiać!

Na końcu idzie dr. Rouppert, Piestrzyński, kapelan, Wilowski i kilku saperów. Chwytam karabinek i, kuszycząc z powodu wrzodziańek na nogach, gonię za Rouppertem. Żołnierze z lasu za parowem krzyczą coś i wskazują za naszą chałupę. Rozumiem doskonale, — to Moskale na karku Austrjaków. Nie zamierzam zachwycać się ich widokiem, to też, nie oglądając się, więcej po śliskim błocie na górę.

Wychodzimy z parowu. Tu całe roje kul gwizdzą ze wszystkich stron. Oglądamy się. Tyraljera nasza zatrzymała się w lesie. Z prawa, uciekając, gramolą się z wąwozu Austrjacy. Wozy nasze są chwilowo osłonięte tyraljerą.

Moskali nie widać. Idą wąwozami, gdzie „ciszej“ od kul. Dodają sobie otuchy krzykiem, który słysząc ze wszystkich stron.

Pchamy znów nasze wozy. Za cienką linją naszej piechoty czujemy się już bezpieczni. To samo czują ranni, chociaż jedziemy ciągle pod kulami. Za szczytem wzgórza, obok wsi, uderza nasze oczy zupełna sielanka za frontem. Bateria austrjacka stoi na pozycji. Obsługa

pod chałupą gotuje coś przy ognisku, a przodki dział stoją w podwórzu. Kulki tu nie dochodzą i artylerzyści nie podejrzewują nic złego. Ale już zmykający piechurzy austriacy wpadają na wzgórze, już krzyczą do artylerzystów. Za chwilę galopem pędzą przodki do dział, zaprzodkowują, ale trudniej z wyciągnięciem z błota armat. Żołnierze łapią za koła, inni zaprzęgają po dziesięć koni i tak wyciągają po jednej armacie do drogi.

Za dworem przy rozoranej kołami drodze — piekło taborowe. Wozy grzęzną w błotnistym wąwozie, tamują drogę. Artylerja wieje górą, polami. Nasze wozy z rannymi, na szczęście, przeszły jakoś bokiem do punktu opatrunkowego dywizji. Jesteśmy więc wolni.

Nie wiem, którędy cofa się mój pułk. Mówią, że na Siemienowo. Bierzemy przewodnika, i ten za koronę prowadzi nas przez las do Siemianowa. Pułku tu jeszcze niema.

Idziemy na plebanję. Pełno tam oficerów austriackich, Polaków ze Lwowa. Zapraszają do środka. Częstują winem czerwonym, plackiem. Ksiądz kanonik daje nam herbaty.

W saloniku stoi choinka. Czas schodzi szybko na wzajemnem opowiadaniu o wojnie i Polsce. Jeden tylko oficer, choć Polak, zagłębił się w czytaniu gazety i trzymał się wobec nas i naszych rozmów z rezerwą. Był widać „aktiv“ — z armji czynnej. Myśmy go też mieli w... rezerwie.

Przyszli Polacy, żołnierze austriacy, jako kołędnicy. Jednem słowem... żyją jeszcze ludzie. Tylko my staliśmy cztery dni pod Łowczówkiem.

Trzeba się było pożegnać i szukać jakiegoś schronienia. Szkoła i inne domy zajęte. We dworze — sztab dywizji austriackiej, ale u rządcy ogrzeliśmy się, wypoczęli. Dali nam herbaty i strucli. Oczy nam się kleiły w cieple na fotelach... Ale gdzie pułk? Wreszcie nadchodzi rozkaz, że zbieramy się w Wróblowicach.

Udaliśmy się tam. Wkrótce zasnąłem. W nocy budzili mnie lżej ranni i chorzy. Ale do rana trochę wypocząłem w ciepłej izbie.

W tem miejscu kończę pierwszy zeszyt mego pamiętnika. Janek Gołąb obiecał mi przechować go w Krakowie.

28 *grudzień*. Południe w Lipnicy Górnej w kwaterze pułku. Wreszcie dzień zupełnego odpoczynku. Spałem rozebrany, w cieple, od szóstej wieczorem wczoraj, jak zabity, do siódmej rano dzisiaj.

Oto nasze dzieje. Wieczorem, 26 grudnia, w Wróblowicach otrzymaliśmy rozkaz odmarszu z radosną wieścią o pewnym „czarno na białem“ spoczynku w ciągu tygodnia. Ruszyliśmy zaraz wieczorem, w obawie, by do jutra Austriacy nie rozmyślili się i nie wsypali nas znowu w jaką dziurę na froncie.

Pociemku przyszliśmy do Zakliczyna, ale wszystkie kwatery zajęte. Zatrzymujemy się w rynku. Tu mentalnie zasypiam na skrzyni do śmieci. Potem z Sasem przenoszę się na schodki ratusza. Podoficer Dorek budzi nas, że „już maszerują“. Biegniemy na swoje miejsca. Niestety uszliśmy zaledwie 50 kroków i znów czekamy.

Przed nami ciekawy widok. W jednym z domów na wysokim parterze pootwierane „oberlufty“. W izbie na kominie pali się ogień i przy jego migotliwym blasku widzimy chwiejące się łby koni, będących w pokoju. „I nie bądź tu koniem!“ zauważył filozoficznie jeden z żołnierzy.

Tymczasem czas biegnie. Jesteśmy tu już przeszło godzinę. Żołnierze śpią w błocie, lub klną na czem świat stoi. Okazuje się, że w mieście kwateruje oddział landsturmu pod komendą majora i komendant placu, kapitan, jest zupełnie bezsilny w wyszukiwaniu dla nas kwater, gdyż boi się zadrzeć z majorem. Pertraktacje wszelkie do niczego nie prowadzą.

Cichy rozkaz komendy pułku, by zdobyć kwatery siłą. Nie trzeba go dwa razy powtarzać. Na plebanji zatykam pokojowy sztandar czerwonego krzyża, jednocześnie chłopcy bojowo wpadają do wnętrza.

Krzyk Austrjaków, że zajęte, groźby. Żołnierze kolbami wyrzucają „dziadów“ austriackich do sieni, stąd na podwórze. Broń i rynsztunek leci za nimi przez okno.

Zajmujemy kwatery! Austrjacy zmieniają się w potulnych baranków. Przychodzi podoficer od wyrzuconych Austrjaków prosić, żeby im pozwolono posiedzieć przy oknie, póki nie zostaną gdzie indziej umieszczeni.

Pozwalamy. Siadają „dziady“ pod ścianą, my, jako zwycięzcy, kładziemy się na ich zawszonej słomie.

O drugiej w nocy Austrijacy odchodzą. My śpimy do szóstej, poczem maszerujemy, byle dalej od frontu, bo sytuacja bojowa, podobno, nieświeżna. Gotowi znów dać jaką zaszczytną misję. Mijamy pułk strzelców tyrolskich z dużym taborzem, stojący w rezerwie. Potem z uczuciem ulgi przechodzimy świeżo odbudowany most na Dunajcu, bo tym sposobem mamy już za sobą nie tylko Austrjaków, co jest mniej pewne, ale i rzekę. Patrzy na nas jedynym oknem baszta ruin Melsztynu z wierzchołka stromej góry, u której podnóża maszerujemy. Tu za rzeką stoją biwakiem wśród taborów landsturmiści ze znanymi nam dobrze, „werndlami“. Dalej mijamy kilkanaście samochodów-autobusów. Na niektórych napisy, przypominające wygody życia pokojowego, na przykład „Grand Hotel“, oraz poprzączone z boku małe, świąteczne choinki. Wnętrze autobusów wylepione obrazami świętych lub napisami patryjotycznymi, jak „Mit Gott für Kaiser und Vaterland“. Takim dziadom tyłowym też widocznie zdaje się, że są na wojnie! Dalej jakaś komenda dywizji. Tu trochę jeńców rosyjskich i koniec telefonu polowego.

Po strasznym błocie jadę na szkielecie siodła (skórzane nakrycie zgubili gdzieś w taborze), albo kuśtykam za pułkiem. Dopędzają mię konno doktorzy Rouppert

i Piestrzyński. Robimy „radę lekarską“, na której zapada jednogłośnie uchwała: „zamarudować“ na pół godziny w przydrożnej chałupie, a później dogonić brygadę. Jemy jaja gorące, konserwy i gwarzymy.

Po śniadaniu usiłuję kupić siodło, jak kiedyś w Mszanie Dolnej, ale choć siodeł masę na wozie, Austrjak boi się sprzedać ze względu na bliskość dowództwa dywizji. Okazuje się, że są jeszcze ludzie z zasadami!

Gonimy więc brygadę. Mijamy Lipnicę Dolną, Murowaną (błoto!) i kierujemy się do Lipnicy Górnej. Tu zatrzymuję się w domu napół murowanym, niedaleko szkoły. Zmęczony dowlekam się tam resztą sił. Usypiam po kolacji, ale męczy mię straszny suchy kaszel. Wstaję i biorę proszek morfiny.

Rano przynoszą mi papiery zabitego pod Łowczówkiem żołnierza. Obok karty wojskowej i urlopowej kilka fotografii. Znajduję fotografię kobiety, na okładce której napis:

*„Lepiej umrzeć w młodości
I zagrać się w mogile,
Jak pokochać bez wzajemności
Chociażby tylko na chwilę...”*

Żołnierze chorzy i zdrowi są ciągle pod wrażeniem bitwy i opowiadają sobie coraz to nowe szczegóły. Z entuzjazmem mówią o śmierci Dzielińskiego Edwarda-Dowgert z I plutonu 3-ej kompanji III bataljonu 1-go pułku, który umierając śpiewał: „Naprzód drużyno strzelecka“ i o Luboniu, podoficerze kadrówki, pochodzącym z Ukrainy, który, dobijany przez Moskali, krzyczał: „Niech żyje Polska, naprzód strzelcy!”

Dowódca plutonu, Wyżel, z III bataljonu, idąc objąć dowództwo w kompanji, gdzie wybili oficerów, bierze z 8 ludźmi — stu Moskali do niewoli.

Podoficer za frontem, Gustaw Świdorski, z II bataljonu z sześciu ludźmi wziął do niewoli Sztab pułku z 30 ludźmi. Podpułkownik rosyjski płakał, że wzięli do nie-

woli „takię malcziszki“ (tacy smarkacze). Do obywatela Szefa, żegnając się, gdy go odprowadzali do dywizji, powiedział, uważając obywatela Szefa za buntownika: „Do swidanja w Rossii na preźnich prawach“. (Dowidzenia w Rosji na dawnych prawach!). Oburzają się chłopcy, że Austrjacy byli tak „niepewni“, że trzeba było wysyłać do nich, zamiast patroli łącznikowych — patrole obserwacyjne, czy nie zwieli. Obywatel Ryłski z V bataljonem był zaskoczony przez Moskale, gdy zwieli Austrjacy na jego prawem skrzydle. Podobno do prawego skrzydła bataljonu V podbiegło dwóch żołnierzy rosyjskich, rzucili broń i jeden z nich, Żyd z Królestwa, zaczął wołać: „Ratujcie się, tędy za nami idą Moskale, my jesteśmy patrolem“. Nie wiem czy to prawda. W każdym razie Ryłski zmienił front i bataljon wyprowadził.

Nie brakło i rzeczy komicznych. Humor, oczywiście, w okopach, bez jedzenia i picia był swoisty — gorzki. W okopie jeden żołnierz upadł zabity, trafiony kulą w głowę, drugi ranny w nogę, stękał głośno. Trzeci zniecierpliwiony, głodny i zły, wołał: „Czego krzyczysz, tamten w głowę dostał i nic nie mówi, a ty w nogę i zaraz wrzeszczysz!“

ODPOCZYNEK W LIPNICY I KĘTACH

ODPOCZYNEK W LIPNICY I KĘTACH

ODPOCZYNEK W LIPNICY I KĘTACH.

29 grudzień. — Do dziś mieszkalem w sanitarjacie. Przeniosłem się, z pozwolenia obywatela Śmigłego do Komendy pułku. Kwaterujemy: obywatel Śmigły, obywatel Dąbrowa — adjutant, obywatele Wojnicz, Pióreczki, Bończa i ja. Śpimy pokotem na słomie, którą ordynansi na dzień uprzatają.

Dom stoi przy bocznej błotnistej drodze. Składa się z: 1) stajni, 2) sieni, 3) kuchni, 4) naszej izby z łózkami, stołem i ławami pod ścianami, wreszcie 5) komory. Ordynansi mieszkają w domu sąsiednim.

Dzień jest zupełnie wolny, gdyż są tylko krótkie przyjęcia nielicznych chorych, bo nikomu nie chce się wychodzić z ciepłej izby i wlec się po błocie do lekarza. Po wizycie chorych segregowałem przybory sanitarne. Nie robimy nic, ale zmęczenie dopiero teraz wyłazi i „łamię“ nas wszystkich w rękach i nogach.

Komendant Główny chory, nie mógł przyjechać. Austrjacy skorzystali z tego i naznaczyli nam jakiegoś pułkownika swojego. Obywatel Szefer dowodził nami w ciężkiej bitwie, a teraz, na czas odpoczynku, potrzeba pułkownika austriackiego. Podobno pułkownik nie śpieszy się jechać do „polnische Bande“, to znaczy do nas, a Komendant, gdy się o tem dowiedział, podobno ma przyjechać. Dać szkołę Austrjakom jeszcze raz! Niech swoich „trupów“ pilnują. Jeżeli Komendant nie będzie mógł przyjechać, będzie źle. Nie damy się prowadzić

bez Niego znów na rzeź. Będzie, co obywatel Szefer rozkaże.

Narazie kazali, nam, lekarzom — wszystkim, komu tylko można, przygotować kartki do szpitala. Do drugiej więc w nocy pisałem: „Legjonista X udaje się, jako chory do Szpitala“. Kartki mam u siebie.

30 grudnia. Komendant przyjechał w nocy. Oberst austriacki „stracił posadę!“ Komendant z obywatelem Szeferem byli dzisiaj odwiedzić obywatela Śmigłego, byliśmy obecni przy tem.

Komendant wychudł w czasie choroby, jest osłabiony, ale w dobrym humorze. W Galicji musi Komendant zwalczać ugodowość wobec Austrii. Jest podobno dużo Polaków, którzy mówią, że trzeba nam pomagać, gdyż cesarz austriacki powiedział do arcyksiężny Izabelli, gdy przyszła prosić o pozwolenie zbierania na gwiazdkę dla legjonistów: „Ich habe von tapferen Thaten der Polnischen Legionen gehört“. Opowiadając to, Komendant nawet się nie oburza. Śmieje się serdecznie.

Podobno w opinii Królestwa nasza sytuacja jest trochę lepsza.

Przechodziłem dzisiaj koło szkoły. Pełno tam przy drodze krzyży na świeżych mogiłach. Brat Wira, pseudonim Mur, zginął pod Meszną Szlachecką.

31 grudnia. — Dzisiaj o godz. 10 rano zwołane zostało zebranie oficerskie w szkole w Lipnicy Górnej. Przemawiał Komendant Główny, mniej więcej w ten sposób. Trafiamy na wielkie trudności z powodu bierności społeczeństwa polskiego wszystkich trzech zabórów. Polacy okazali się „kamieniem pleśnią pokrytym, a nie ładunkiem dynamitu“. Mimo tych trudności dążyć musimy stale do wyodrębnienia duchowego i zewnętrznego t. zw. dotychczas 1-go pułku legjonów w myśl ducha i wzorów wojska polskiego. Obecna I brygada jest jednak oddziałem zbyt małym. Żądamy więc złączenia wszystkich oddziałów legjonowych razem.

Z tem żądaniem występuje Komendant do Austrjaków i własnego społeczeństwa. Wywoła to walki i tarcia, gdyż naczelną Komenda Legjonów będzie w innych, nie Komendanta, rękach. Mimo to jednak, gdy będziemy wszyscy razem, zapal jednych oddziałów udzielić się musi innym. Wtedy, jako większa masa ludzi, wywrzemy łatwiej dodatni wpływ na społeczeństwo w zaborze rosyjskim. Istnieje nadzieja, że mimo zrujnowania ekonomicznego Królestwo wypowie się wreszcie pod względem politycznym w sposób bardziej zdecydowany, niż dotychczas. Nasz upór i niezrażanie się przykrościami i przeciwnościami musi przełamać wszystko. Wrazie przegranej Austrjaków będziemy walczyć sami, by uratować honor żołnierza polskiego, choćby drogą hekatomb. Wrazie powodzeń Austrjaków rozwiniemy w Królestwie szeroką pracę organizacyjną, celem stworzenia niezależnej, licznej armji polskiej.

W sprawie położenia materialnego oficerów Komendant zaznaczył mniej więcej, co następuje. Pierwotna chęć rozwinięcia z naszych kadr wielkiej polskiej armji wytworzyła nadprodukcję stanu oficerskiego. Mamy stąd wielkie trudności gospodarcze. Nie możemy mieć tylko tych oficerów, których zatwierdzili Austrjacy, gdyż, chcąc zaagitować Królestwo, musimy obsadzać tyły, równające się tyłom dwóch korpusów. Następnie przybyło dużo oficerów, by zastąpić bardzo licznych rannych kolegów. Stąd dobrą była zasada, przyjęta po złożeniu przysięgi w Kielcach, zrzeczenia się zupełnego poborów. Jest ona najlepsza, gdyż dopóki nie mamy wojska polskiego, zasada ta chroni nas od zarzutu chęci zostania płatnymi żołdakami. Gdyby etatowi oficerowie zażądali swych pieniędzy, nie tylko nie byłiby opłacani „nasi” oficerowie, mianowani bez zgody Austrjaków, ale brakłoby pieniędzy również na prowadzenie „roboty” w Królestwie. Z drugiej strony ranni i niektórzy oficerowie, wyjeżdżający na tyły, do-
stają zaliczki. Wytwarza się więc nierówność. Sprawa

jest natury delikatnej. Komendant chce, by oficerowie sami wypowiedzieli się w tej sprawie. Nie chcąc wywierać wpływu swą osobą, Komendant opuszcza zebranie, polecając zakomunikować sobie uchwałę oficerów w tej sprawie.

Prezydjum obejmuje obywatel Szefer i zagaja sprawę, jak następuje: Trudność materialna polega na dwóch sprawach: 1) etatowi, czyli mianowani przez Austriaków, oficerowie wynoszą zaledwie czwartą część naszego korpusu oficerskiego, 2) rozbieżność naszych funkcyj z austriackimi nominacjami. Naprzykład dowódcami bataljonów i kompanij są przeważnie nie ci oficerowie, którzy zostali mianowani przez Austriaków.

W tej sytuacji obywatel Szefer widzi trzy wyjścia:

- 1) całkowite odrzucenie pieniędzy austriackich;
- 2) zrównanie wszystkich w poborach;
- 3) pobory biorą tylko gażyści austriaccy.

Po dłuższych debatach, w których zabierałem głos w sposób dość niefortunny z powodu ciężkiej chrypy, zmuszającej mię do mówienia śmiesznym falsetem, I bataljon postawił wniosek, iż, wobec konieczności zachowania jakich takich pozorów ze strony oficerów, szczególnie na czas opuszczania oddziału, należy dać oficerom wszystkim, bez względu na rangę i bez względu na posiadanie lub nieposiadanie nominacji austriackiej, minimalną kwotę 50 koron miesięcznie i jednorazowo 100 koron na oficera.

W czasie zarządzonej dziesięciminutowej przerwy bataljony uzgodniły większością głosów stanowisko, iż, jako minimum dla oficera, bez różnicy rangi i nominacji, przyjąć należy 100 koron miesięcznie. Kawalerja odrzuca pensję i prosi o zostawienie starego systemu — bez pieniędzy. Obywatel Szefer zamyka zebranie i udaje się do Komendanta, celem zameldowania uchwały większości oficerów.

2 stycznia 1915 roku. — „Sylwestra“ spędziłem u dr. Roupperta. W Nowy Rok składaliśmy Komendantowi życzenia — Wolnej Polski.

Ciągle odpoczywamy. Dostałem siwego konia z jukami sanitarnymi dla pułku. Kapaliśmy się wczoraj. Chrypa i odparzenia nóg dają mi się ciągle we znaki. Kuleję i nie mogę mówić. Nasze pobory po 100 koron miesięcznie zostały zatwierdzone. Dzisiaj podpisałem kwit na 2840 koron tytułem pensji, kwaterunku, utrzymania konia i t. d. od czasu Kielc aż do dzisiaj. Pieńiądze te, zgodnie z uchwałą, poszły do wspólnej kasy oficerskiej Brygady.

3 stycznia. — Dzisiaj było szczepienie ospy najdawniej szczepionych. Na 800 ludzi pułku zaszczepiliśmy 212, co daje 25%. Poza tem przyjęcie chorych i cały dzień odpoczynek. Wieczorem czytam opowiadania Lagerlöf.

4 stycznia. Wieczorem. — Obywatel Śmigły przyniósł między innymi papierami nominacje na poruczników: Dąbrowy i moją.

Przyjmuję chorych codziennie od 12—1, niestety, w zimnej sali szkoły. Niema drzewa do palenia. Chorzy drżą, gdy ich rozbiorę do badania. Poza tem siedzę w domu, to jest w Komendzie pułku, chodzę do kapitana dr. Roupperta i Piestrzyńskiego.

6 stycznia. — „Trzech Króli“, ale po niczem tego nie znać! Wczoraj obywatel Dąbrowa wyjechał do Krakowa w sprawach służbowych. Dostałem dziś kawaleryjski sztucer — „manlicher 90“.

Dziś zdobyliśmy w Bochni pudełko z: „Zigarren und Zigaretten für unsere tapferen Soldaten im Felde“. Dobrze wiedzieć, że Austrjaków też ktoś uważa za walecznych. Dostałem torbę lekarską, wzór austriacki i rapcie srebrne do szabli.

Żołnierze po domach urządzili się bardzo dobrze i czysto. Ciepło, słoma uporządkowana, ponakrywa-

na kocami, lub płótnem namiotowem. Odwiedzałem jednego chorego na kwaterze. Przyjemnie było patrzeć. Tylko sala przyjęć chorych w szkole zimna.

Otrzymujemy od rodaków podarki, które były przeznaczone na gwiazdkę. Ja dostałem też paczkę z napisem: „Szczęść Boże Żołnierzu Polski, Tobie i Twemu Dziełu!“

7 stycznia. — Wczoraj wieczór przyszedł rozkaz z korpusu do wymarszu. Austrjacy, którym wiedzie się nieświeźnie mają widać apetyt na nasze „mięso armatnie“.

Dr. Rouppert zameldował Komendantowi o dużej ilości gorączkujących żołnierzy. W myśl tego odszedł meldunek do korpusu o niemożliwości odmarszu. Zostaliśmy. Dużo oficerów wyjechało na parę dni do Bochni i Nowego Sącza. Czuć w powietrzu odmarsz.

Pod Łowczówkiem wpadł do niewoli rosyjskiej obywatel Król - Kaszubski, podporucznik. Moskale proponowali mu, podobno, wstąpienie do swego wojska — odrzucił. Wtedy, jako rosyjskiego poddanego — powiesili go, a mogiłę końmi kozackimi udeptali, by nikt nie znalazł. Przypomina się 1863 rok!

11 stycznia. — Od kilku dni Austrjacy chcą nas ruszyć na front, a Komendant domaga się dla nas spoczynku i reorganizacji. My, lekarze, dostaliśmy rozkaz, by robić chorych. Z początku żołnierze odnieśli się nieufnie do tej nagłej zmiany frontu lekarzy, dotychczas przeważnie bardzo surowych. Bali się, by po wysłaniu do kadry nie byli wyprawieni do II brygady. Komenda legjonów w ten sposób bowiem bucha nam kadry do nowych oddziałów.

Zaręczyliśmy żołnierzom, że nie będą odesłani, ale że trzeba spisać wszystkich chorych. Nie trzeba było ich bardzo robić. Byli wycieńczeni, wychudli i bladzi. Ci chłopcy trzymali się siłą woli, by czasem nie zachorować w czasie bitwy, ale na spoczynku siły ich ro-

złaziły się i chorych było dużo. To też wczoraj, gdy przyjechał z korpusu Chefstabsarzt austriacki, na 800 ludzi naszego pułku pokazałem mu 250 niezdolnych do służby. Kręcił głową, ale musiał przyznać rację. Widocznie jednak meldunek jego nie doszedł w porę do korpusu, bo dziś rano przyszedł rozkaz odmarszu. Ruszyliśmy, zgodnie z rozkazem, ale już w Lipnicy Murowanej, we dworze zostawiliśmy dużo naszych maruderów. Był tam, od kilku dni przydzielony do naszej brygady, Zakład Sanitarny, pod komendą dr. Zaorskiego. Maruderzy stali smętnie pod drzewami parku, patrząc, jak skureczona od bojów i chorób kolumna miesiła błoto po kolana na drodze.

Wyszliśmy za dwór, gdy nadjechało auto z oficerem, który wioził rozkaz odwołujący odmarsz. Zawróciliśmy... Maruderzy z okrzykami radości wymachiwali czapkami i wskakiwali do „swoich“ czwórek, potrącając zdrowych. Witano ich śmiechem. Jeden z nich stanął pod drzewem w postawie zwycięskiej i zawołał: „Defilujcie przed nami“, „łazikami“, bo to myśmy was dziś ocalili!“

— Niech żyją „łaziki!“ — odpowiedzieli „zdrowi“ i wszyscy w przykładowej zgodzie wrócili na opuszczone przed trzema godzinami kwatery. Nie trzeba było wysyłać kwatermistrzów.

Stachurek Rōuppert zachorował — ma gorączkę od wczoraj. Przed trzema dniami wrócił z Krakowa obywatel Dąbrowa i przywiózł mi zamówioną gitarę i... szelki. Gram teraz i śpiewam. Niektórzy mówią, że „trochę“ fałszywie, ale uważam to jako przeczulenie słuchowe, wywołane ogniem armatnim. Obywatel śmigły słucha moich wyczynów muzycznych z całą pobłażliwością i to dało im prawo obywatelstwa w Komendzie pułku.

Wczoraj wrócił Bończa z krótkiego urlopu. Dziś na obiedzie byli Kaden, Litwinowicz i Gotlieb. Znosili mą grę i śpiew. Porządni ludzie!

Czytam dużo książek, co dopadnę, bo wieczory są strasznie długie, choć spać idziemy wcześniej.

15 stycznia. — Jutro znów ma być odmarsz. Teraz już naprawdę. Podobno Komendant wytargował od Austrjaków, że nie idziemy na front, ale przeciwnie, na dalszy odpoczynek i reorganizację oddziałów. Kompanje nasze mają po 40—60 ludzi, a jeszcze jutro muszę odesłać do dr. Zaorskiego około 90 prawdziwych chorych, przeważnie gorączkujących z powodu zaziębienia. Bronchity i katary, gruźlica płuc ujawniają się zawsze na dłuższych postojach i odpoczynkach. Dr. Rouppert zdrowszy, ale nie wiadomo, czy będzie mógł iść z brygadą.

Z powodu jutrzejszego odmarszu obywatel Dąbrowa robi skomplikowane obliczenia zapłaty za kwatunek. Są to grosze, ale, obliczone na nasz dłuższy postój i ilość ludzi, dają po kilka koron na dom, wypłacanych natychmiast pieniędzmi. Obywatel Dąbrowa chce wyciągnąć jak najwięcej, w myśl taryfy, by dać ludności wszystko, co się należy i nie darować nic Austrjakom. Wykaz opłat za kwatery jest bardzo skomplikowany. To też obywatel Dąbrowa dosiada nocami przy lampce. Męczarnia te wykazy. Nie mogę mu pomóc, choć nic nie robię, bo trzebaby z pół dnia to studjować, a niema już czasu.

16 stycznia. Wola Strózska. 6 godzina wieczorem. — Dzisiaj, o godzinie 8 rano, ruszyliśmy z Lipnicy Górnej do Murowanej miesić znów błoto. Znów ten sam rynek o domach z podsieniami wokoło. W bramach i oknach nęciły żołnierzy wyroby masarskie: kielbasy i kiszki. Który mógł — kupował, reszta łykała ślinę. Na rozdrożu statua Świętego Szymona, podobno dzieło dr. Kuntzeka, lekarza legjonowego.

Skrećamy na Jurków, stąd szosą w prawo do Czechowa, obok ruin zamku i mostu na Dunajcu. Tu wchodzimy znów w obszar tyłów, tuż za frontem. Więc,

kwatery korpusu w Tymowej, zaopatrzona w telefon, telegraf i pocztę, piekarnie polowe w wielkich namiotach, ogromna ilość taborów, rozłożonych na obu brzegach Dunajca.

Część drogi przyświecała cudna tęcza, kąpiąc w nie-samowitem świetle wsie i ruiny zamku. Brnęliśmy po kolana w błocie razem z obywatelem Bończą. Po przybyciu na nocleg dostaliśmy razem kwatery.

17 stycznia. — Stoimy ciągle w Woli Stróżskiej. Coś jeszcze waży się z naszym wymarszem. Dostałem list od radcy Gołaba, ojca Janka.

18 stycznia. — Znów Lipnica Górna, dawna kwatera. Przymaszerowaliśmy tu napowrót z Stróżskiej Woli. Gospodyni nie płakała już, jak pierwszy raz, gdyśmy wracali, bo po odmarszu ostatnim dostała 40 koron kwaterunkowego. Teraz tyle nie uzbiera, bo jutro idziemy dalej.

20 stycznia. — Myślenice, wieczorem. — Wczoraj, 19 stycznia, nocowaliśmy w Gdowie, dokąd przyszliśmy z Lipnicy przez Leszczyny. We wsi Leszczyny widoczne są ślady uporczywych walk. Prawie wszystkie domy doszczętnie spalone. Sterczą na pogorzeliśkach tylko kominy i części metalowe, na przykład łóżka żelazne, maszyny do szycia. Poza tem — nagie, walące się mury.

Po obu stronach drogi głębokie okopy z różnemi sprzętami, pościaganemi z chałup. Domy ocalone z podziurawionemi dachami od karabinów maszynowych. Widocznie, ludność uciekła z tej wsi i teraz nie ma gdzie wrócić.

Dzisiaj odpoczywaliśmy w czasie marszu w Drogini, w saloniku u ojca bernardyna. W Myślenicach zrobiłem naradę z lekarzem miejskim nad naszym sierżantem z prowiantury, chorym na zapalenie płuc. Trzeba będzie go tu zostawić. Dzisiaj przeszliśmy drugi raz rzekę Rabę, a wczoraj przeszliśmy ją przed Gdo-

wem. Kwaterę mamy na górze domu u jakichś Rusinów, którzy tu zamieszkiwali. Mąż umarł, żona uciekła, a matkę jej, jako Rusinkę, aresztowali Austriacy. Leżą tu liczne fotografie. Na jednej z nich napis: „Wir danken für schöne Quartier“.

Wieczorem byliśmy w miejscowym kasynie. Doktor i burmistrz udali się na kwaterę obywatela Śmigłego, który zastępuje Komendanta, prosić o przybycie do kasyna.

Z początku siedzieliśmy w oddzielnych pokojach: cywile i oficerowie oddzielnie. Z przybyciem obywatela, majora Śmigłego, w towarzystwie doktora i burmistrza, wywiązała się wspólna pogawędka i toasty za Ojczyznę, za Komendanta, za burmistrza i nas wszystkich.

22 stycznia. — W Izdebniku, wieczorem, w pokoju gościnnym, gdzie śpimy we trzech: obywatel Dąbrowa, Bończa i ja.

Wróciliśmy w tej chwili z kolacji od zarządzającego majątkiem, gdzie jadamy od dwóch dni. Bardzo życzliwy nam człowiek. Wczoraj przy obiedzie, witając nas, rozplakał się ze wzruszenia.

Dzisiaj wpadł do nas samochodem Komendant Główny. Był w czasie obiadu w świetnym humorze, że udało mu się wyrwać nas Austriakom na odpoczynek. Komendant opowiadał sceny z życia Syberji; baśnie Burjatów i ich wyścigi. Po obiedzie oglądał Komendant juki sanitarne, rzeczywiście umiejętnie i sprytnie zestawione. Jest tam wszystko, a zajmują mało miejsca. Później Komendant wyjechał.

Wieczorem, idąc do chorego na tyfus, zobaczyłem kompanję, stojącą „w rozwiniętym“ na szosie. Oficer przy świetle latarki odczytywał rozkaz dzienny, z powodu rocznicy powstania 1863 roku. Naprawdę, temat dla malarza, lubiącego kontrasty światła i cieni. Jakże zmały nasze kompanje!

Fotografowałem się dzisiaj z moim Siwkiem.

3 lutego, Kęty. — W szpitalu zakonnim, do którego wracam po raz drugi.

Leżę w widnym pokoju z półkolistym sufitem. Stoi tu pięć łóżek, umywalnia, stół, kilka krzeseł. Jak się tu już poraz drugi dostałem? Było to tak. 23 stycznia ruszyliśmy z Izdebnika i na obiad doszliśmy do Kalwarji. Tu staruszek, ksiądz, gorąco sobie wziął naszą sprawę do serca i, mimo że z trudem chodzi, zapowiedział, że pójdzie do nas na kapelana. Ugościł nas, jak mógł i wypoczęliśmy w serdecznej atmosferze jego domu.

Tu przyjechał Komendant Główny, wyprzedził nas i przyjął w Wadowicach defiladę na rynku. Tłumy ludzi przyglądały się nam, nie był to jednak entuzjazm, jak w Nowym Sączu.

Kwaterę mamy za miastem. W zastępstwie chorego kapitana, dr. Roupperta, byłem na odprawie Brygady w domu przy ulicy Mickiewicza 17. Spotkałem znajomego dr. Lukasa, który zaprosił mię do siebie na wieczór.

Przy wejściu do miasta dowiedziałem się, że jest tu spora ilość prostytutek, pozostałych po Austriakach. Chcąc uchronić naszych chłopców od „pokus“ i zarażenia się, kazałem prostytutki na noc zamykać i ustawić przed domem wartę. Zamknięte zemściły się, jak mogły. Na głowę wartownika, profesora gimnazjum w cywilu, poważnego człowieka z brodą, wylały z pierwszego piętra „przez nieuwagę“ zawartość garczka, którą profesor określił poetycznie, jako „wode“. Niebezpiecznie jest walczyć z „płcią piękną“.

Rano, 24 stycznia, ruszamy do Kęt, gdzie mamy już zatrzymać się na odpoczynek. Dwie godziny zatrzymujemy się w Andrychowie, poczem razem z kawalerją wchodzimy do miasta. Na rynku oddziały defilują przed Komendantem, poczem ustawiają się pie-

chota, zachodząc z prawa, kawalerja w lewo. Komendant dokonywa przeglądu naszych uszczuplonych bataljonów i szwadronów. Po przeglądzie przekazałem obowiązki lekarza brygady porucznikowi dr. Piestrzyńskiemu i wróciłem z pułkiem do Bogucic, gdzie nocowałem w domu aptekarza.

Nazajutrz, 25 stycznia, wyjechałem do Kęt w sprawie założenia, na czas spoczynku, szkoły dla sanitariuszy. Odprawa lekarzy odbyła się w sali „Hotelu pod Czarnym Orłem“, przyczem porucznik dr. Piestrzyński stwierdził, że mamy z nowoprzybyłymi o trzech lekarzy za dużo.

Było to dla mnie bodźcem do realizacji planu, który chciałem urzeczywistnić jeszcze w Krakowie po marszu na Ulinę. Prosiłem wtedy przez obywatela bataljonowego, Sława, by Komendant pozwolił mi przejść, jako szeregowcowi do linji. Służba żołnierza walczącego wydawała mi się znacznie bardziej pociągająca, niż zajęcie lekarza, zmuszonego do kurowania rannych i chorych, gdy inni walczą i rozstrzygają losy bitwy. Wtedy, z powodu braku lekarzy, otrzymałem odpowiedź odmowną, z nadzieją jednak, że może to się uda, gdy będziemy mieli więcej lekarzy. Chwila ta nadeszła, postanowiłem więc działać.

Po zebraniu lekarzy poprosiłem dr. Piestrzyńskiego, by „drogą sanitarną“, jako lekarz brygady, zameldował mię do raportu do Komendanta. Odradzał mi chwilę, twierdził, że kapitan dr. Rouppert będzie na niego za to „wściekły“, ale ostatecznie ustąpił i zameldował mię u Komendanta.

Była szara godzina. Weszliśmy. Zameldowałem posłusznie moją prośbę przeniesienia mię, jako szeregowca, do linji, przypominając obietnicę krakowską i powołując się na nadmiar lekarzy.

Komendant śmiać się zaczął: „Ha, ha, a Piestrzyński jutro przyjdzie, by go dać do artylerji“.

Przy wyliczaniu przez dr. Piestrzyńskiego, okazał się, rzeczywiście, nadmiar lekarzy, wobec czego Komendant zgodził się na moją prośbę i pożegnał, nazywając mnie: „Infanterist Składkowski“.

Wyszedłem uszczęśliwiony. Jednej tylko rzeczy obawiałem się, to jest niezadowolenia obywatela Śmigłego, że tak ważną rzecz załatwiłem bez jego zgody. W drodze powrotnej do Bulowic spotkałem porucznika dr. Kunickiego, lekarza artylerji. Rzeczywiście obywatel Śmigły był niezadowolony, że byłem u raportu bez jego wiedzy, zburczał mię, ale ostatecznie powiedział, że sprawa jutro będzie załatwiona. Myślałem więc o tem, jak „przećwiczę“ się w czasie spoczynku, a później będę wojował.

Nazajutrz, 26 stycznia, przemaszerowaliśmy do miasteczka Wilamowic, gdzie pułk miał stać cały czas wypoczynku.

Oddałem służbę lekarza pułkowego podporucznikowi dr. Jakowickiemu i odmeldowałem się w Komendzie pułku. Obywatel Śmigły był niezadowolony, a obywatel Dąbrowa nazwał mój zamiar wyrażnie „warjactwem“ i powiedział, że długo nie wytrzymam. Postanowiłem pokazać wszystkim, że się mylą.

Pożegnałem się z moim ordynansem, obywatelem Dudoniem, pożegnałem też mego Siwka, pożyczyłem od obywatela Bończy bagnet, żeby iść się jakoś zameldować. Szablę i rzeczy zostawiłem pod opieką obywatela Bończy, zabrałem tylko najpotrzebniejsze rzeczy do plecaka.

Przydzielony zostałem do kompanji obywatela Kukiela, w bataljonie III obywatela Scewoli. Zameldowałem się u obydwoh i o 6 godzinie wieczorem, o zmroku, wszedłem do izby w szkole, gdzie była moja kompanja. Komendantem izby i sekcji był kapral Bur.

Gdy wszedłem, krzyknął: „Bacność“ i zameldował: „Obywatelu poruczniku, kapral Bur melduje“...

Stałem na bacność i zameldowałem: „Obywatelu kapralu — szeregowiec Składkowski melduje swój przydział do Sekcji“...

Obywatel Bur wytrzeszczył oczy, poczem przyjacielsko: „Obywatel doktor zawsze lubi żartować!“.

Wy tłumaczyłem mu, że nie żartuję, wskazałem na brak dystynkcyj, plecak i bagnet. Uwierzył i, by pokryć zmieszanie, krzyknął do żołnierzy: „No, co gapicie się, spocznij!“.

Żołnierze siedli, nie wiedząc jeszcze o co chodzi. Siadłem i ja i opowiedziałem obywatelowi kapralowi, że przychodzę do plutonu, że chcę walczyć jako szeregowiec, że Komendant mi na to pozwolił, że proszę o jakieś miejsce do spania. Żołnierze słuchali, kiwali głowami, wreszcie jeden z nich powiedział: „Wszystko to dobrze, tak, chcecie walczyć, hm, walczyć też pięknie, ale powiedzcie nam, obywatelu doktorze, za co was tak aż uszlachcili, że na szeregowca prosto!?“.

Napróżno znów wyjaśniałem, kiwali głowami, nie wierzyli.

Wreszcie jeden żołnierz wstał i miał następującą przemowę: „Obywatelu doktorze! wiara! to nam wszystko jedno, dla czegoście tu do nas przyszli, człowiek jesteście porządny, wieście tylko, żeście nie przyszli byle gdzie. Kompanja nasza wywodzi się w prostej linji z Kadrówki, każdy, kto tu wchodzi musi coś postawić!“.

Tu zamilkł, wszyscy w skupieniu słuchali, patrząc na mnie. Zrozumiałem... „Ależ obywatele, zawołałem, z największą chęcią, ale, przecież nie wolno wychodzić na miasto, skąd więc weźmiecie wódki!?“.

— Kto wam powiedział, że nie wolno, obywatelu doktorze, my wyjdziemy, nie wolno, tylko prędko, dajcie tylko pieniędzy!.

— Dobrze, a ile trzeba? — zapytałem.

„Dwie butelki trzeba — kosztuje 6 koron“, powiedział ktoś.

— Proszę sześć koron, powiedziałem, wyjmując pieniądze.

Obywatel Bur zważył sześć koron na rękę, potem do jednego z żołnierzy: „Megaj bracie, wiesz gdzie, pod wrota, tędy, i na róg!“.

Wysłany pobiegł ochotczo.

Obywatel Bur spojrział na mnie z wahaniem:

— Tylko obywatelu doktorze, bo to wy macie dawne znajomości oficerskie, jak byście powiedzieli, no to... rany boskie!“.

Czułem, że myśli o „dece“, karze polegającej na nakryciu winnego kocem i waleniu ile kto może. Oburzyłem się na przypuszczenia, że mógłbym coś wydać.

Już i wysłany wracał z dwiema butelkami wódki: wiśniówki i czystej. Wiara ryknęła: „Hurra, niech żyje obywatel doktor!“.

Obywatel Bur wziął flaszki do ręki i powiedział: „Ja was znam, wy byście wszystko wychlali, a jutro — krzryminał! Jedna flaszka będzie na jutro, dzisiaj idzie wiśniówka!“

Wszyscy słuchali, ani mru-mru. Widocznie obywatel kapral Bur był przełożonym nie tylko z nominacji, ale z Bożej łaski! Flaszkę „czystej“ wstawił do jednej z ławek szkolnych, które były nagromadzone pod oknem i zapowiedział, że dyżurny odpowiada za nią. Wszyscy pili z jakiejś szklaneczki od musztardy i ściskali mi ręce, mówiąc: „Tero štama!“

Pilem i ja, stojąc obok mego plecaka.

Obywatel Bur rozejrzał się po izbie i zdecydował:

„Obywatel doktor śpi przy szafie!“.

Zaraz jeden z żołnierzy odsunął swoje rzeczy, zostawiając mi słomę, dosyć czystą. Wyjąłem płachtę namiotową i zasłałem posłanie. Żołnierze przyglądali mi się w czasie

roboty, a potem orzekli: „E, doktor potrafi!“ Plecak włożyłem na ławkę. Z pod płaszcza wyjąłem kożuszek i włożyłem pod głowę, nakryłem się płaszczem.

— Futerko se wyjmijcie doktorze, zgrzejecie się dobrze bez niego, jak pognają w marszu, to nie jazda na Siwku!“ — powiedział jeden z kolegów, głaszcząc białe podbicie barankowego, mego płaszcza.

Wreszcie przestali na mnie zwracać specjalną uwagę. Słuchałem ich opowiadań, ciągle jeszcze o Łowczówku, o poprzednich kwaterach.

Poszliśmy spać. Zgaszono lampę.

Jeden z żołnierzy, śpiący w środku, błagał swych sąsiadów: „Obywatele, bezpiecznik!... doktor nieczyszczajony!“ Upewniłem ich, że mogą „strzelać“, jak chcą. Usnąłem...

Nazajutrz, 27 stycznia, gdym się obudził, przekonałem się, że aviso „bezpiecznik“, było w ciągu nocy traktowane poważnie, nie przez wszystkich śpiących. Żołnierze szli myć się w śniegu, potem „kawa“, a później zbiórka z karabinami na rynku. Były chwytty bronią i marsz ze śpiewem.

Śpiewaliśmy: „Raduje się serce“, „O mój rozmarynie“ i „Raz w ciemną noc“. Były wtedy te dwie ostatnie piosenki w modzie.

Rzeczywiście, rozgrzałem się w płaszczu bez kożuszka doskonale. Później było zamiatanie śniegu przed szkołą i obiad. Porównywałem moją beztroską pracę obecną z kłopotliwym zajęciem lekarza i byłem „wesół i szczęśliwy“, gdy wezwano mnie do obywatela bataljonowego. Zameldowałem się.

Obywatel Scewola kazał mi zaraz jechać do Kęt, pod wodzą, na wezwanie lekarza naczelnego brygady, celem zorganizowania lekarskiej komisji łaziennej, mającej na celu uregulowanie kąpieli oddziałów. Wyjechałem na rozkaz, ale było mi markotno, że, gdy koledzy w mej

sekcji są wolni, to ja na popołudnie mam, „na dodatek“, pracę lekarza.

Podwoję dali mi późno, nikt się nie śpieszył, ja nie popędzałem, bo nie miałem, jako szeregowiec prawa, dość, że przyjechałem już po komisji.

Wpadłem wprost na kapitana dr. Roupperta, który wrócił już po chorobie. Zameldowałem mu swój przyjazd na komisję i opóźnienie. Spojrzał na mnie surowo i powiedział: „Ubolewam Sławojku, co naro'biłeś. Spostponowałeś fach lekarski. Bawisz się w żołnierszka. Uprzedzam, że będę cię używał również do funkcji lekarskich i, gdy pójdziemy na front, musisz wrócić do sanitarjatu!“.

Milczałem „posłusznie“, ale byłem do żywego oburzony.

Jakto, tyle trudu, by się wydobyć i znów — „jako odpoczynek“ tutaj, a później na froncie, na stałe mam być lekarzem!

Dr. Rouppert dodał surowo, że wykorzystałem jego nieobecność, by zrobić tą całą „maskaradę“.

Wysłuchałem części oficjalnej, później Stachurek już po przyjacielsku zburczał mi i odjechałem tą furmanką do domu. Przy wsiadaniu woźnica-żołnierz, zbesztiał mię, że byłem tak długo i przeze mnie konie i on nie mają odpoczynku. Pojechaliliśmy, nie mówiąc do siebie.

Byłem zły i rozdrażniony. W koszarach, w szkole dostałem od oficera rachunkowego karabin „mannlichera“ nr. 271 H. Zabrałem się do czyszczenia go i smarowania wazeliną, kupioną w aptece. W czasie roboty zacząłem czuć dreszcze, ale przypisałem je jeździe wozem, w płaszczu bez kożuszka.

Wieczorem, gdy zmierzył gorączkę, miałem — 39°. Całą noc spałem źle i rano z gorączką 39° zameldowałem się, jako chory. Byłże to śmiech w plutonie. Doktor, znany pogromca chorych, melduje się na drugi dzień służby, jako chory!

Żołnierze kpili, ale przestali, gdy zobaczyli, że jestem „rozpalony”. Poszedłem do dr. Jakowickiego, prowadzony przez żołnierza służbowego z książką chorych kompanji pod pachą. Żołnierz w triumfie zameldował, że przyprowadza trzech chorych w tem „chorego doktora”. Dr. Jakowicki zbadał mnie starannie, znalazł możliwość niestrawności i dał mi Calomelu. Zamiast więc na ćwiczenia, biegałem „indywidualnie” do samotnego domku za szkołą. Mimo to, pod wieczór t° wynosiła 38,6 i dr. Jakowicki wysłał mię do kapitana dr. Roupperta z określeniem „stanu tyfoidalnego”.

Ja więc, ja — „pies” na chorych żołnierzy, jechałem furą do szpitala.

Dr. Rouppert przyjął mię, jak syna marnotrawnego. W szpitalu nie było miejsca, przenocował mię więc u siebie i nazajutrz, 28 stycznia, z temperaturą 37,6 udałem się do szpitala, „bardzo słaby”, mówiąc językiem „łazików”.

Czekałem dosyć długo, siedząc na stołku, aż wymyją pokój po świerzbowatych. Wreszcie — do łóżka. Pod wieczór temperatura opadła.

Razem ze mną leży chory dr. Kunicki od artylerji. Czas zabijamy grą w szachy i karty. Opiekę nad nami sprawuje dr. Silbiger, bardzo dobry i sumienny, oraz siostra Hieronimja, zawsze wesół i wrażliwa na dołę chorego! Dr. Silbiger zapowiedział mi, że muszę poleżeć z tydzień, by wyświecić istotę mej choroby. Gdy jednak, 29 stycznia, gorączka spadła, poprosiłem go o wypisanie mię ze szpitala.

Czułem się rozbity na ciele i duchu. Czułem, że w tym stanie nie podołam nowym obowiązkom szeregowca i jeszcze, nieraz, dublowanym przez lekarskie. Bałem się, że możemy wkrótce wyruszyć na front, a wtedy przecież nie można będzie wrócić z linii do sanitarjatu, pod obawą posądzenia o tchórzostwo. Tak

rozumując, z bólem głowy, który mię nie opuszczał, postanowiłem wyjść ze szpitala, przyznać się Komendantowi, że jako szeregowiec nie wydołam i prosić o przeniesienie, napowrót, do sanitarjatu. W tym nastroju prosiłem tak natarczywie, że dr. Silbiger, wbrew swej opinii, przedstawił mię lekarzowi naczelnemu szpitala austriackiego, Oberstabsarztaowi Glaserowi, do wypisania.

Wykąpałem się, opatrzyli moje poodparzane nogi i opuściłem szpital. Posługacz był bardzo ludzki Słowak, nazwiskiem Jurysta. Udałem się do dr. Roupperta z zawiadomieniem, że gorączka spadła, nie mam więc co robić w szpitalu, że czuję się rozbity i słaby, przypuszczam, że potrwa to dłużej, wobec tego z żalem rezygnuję z kariery linjowej, gdyż brak mi sił. Dr. Rouppert, obiecał przedstawić moją prośbę Komendantowi.

Znów pod wieczór o szarej godzinie zostałem wezwany do Komendanta. Komendant siedział tak samo w narożnym pokoju, w domu przy ulicy Mickiewicza i spytał mię, czego chcę. Głosem złamanym od wstydu zameldowałem, że czuję się chory, nowych rzeczy uczyć się nie mam sił, jestem bardziej zmęczony, niż przypuszczałem, muszę wypocząć. Wobec czego, proszę o pozwolenie przejścia zpowrotem do sanitarjatu.

Jakiś czas trwało milczenie, poczem obywatel Komendant zaczął, głosem poważnym, mniej więcej co następuje:

— „Obywatelu Składkowski, pomijając osobistą sympatię moją do was, jako lekarza, który humorem swym wywiera dobry wpływ na żołnierzy, rozumiecie, że każda rzecz musi mieć swe konsekwencje. Wy możecie postępować w ten sposób, aby ludzie z was się uśmiechali, ale ja nie mogę dopuścić, aby to robiono z moich pozwoleń. Skoro tak nisko ceniliście posadę lekarza pułku, że woleliście być szeregowcem, to do

niej obecnie wrócić nie możecie. W pierwszej chwili chciałem wam za karę kazać nosić drażki noszy za kompanją, ale dr. Rouppert powiedział, że potrzebuje was, jako lekarza, dzięki więc jedynie temu zostaniecie lekarzem bataljonowym“.

Obywatel Komendant podał mi rękę, wyszedłem. Przyjąłem ten wyrok, jako zasłużony. Byłem zresztą zupełnie apatyczny i obojętny na wszystko. Widziałem, że dr. Rouppert był zaskoczony i przejęty decyzją Komendanta. Napisał mi przydział do I bataljonu, jako lekarza bataljonowego.

Koło godziny 11 wieczorem odjechałem do pułku saniami, które dał mi obywatel Rouppert.

Nazajutrz, 1 lutego, zameldowałem się u podporucznika dr. Jakowickiego, dawnego lekarza, który, jako pułkowy, stał się obecnie moim przełożonym. Przyjął mnie po przyjacielsku i ze zrozumieniem mej sytuacji. Poszedłem pożegnać się do plutonu. Plecak wydał mi się dziwnie lekki.

— „To, obywatelu doktorze, myśleliśmy, że wyjechaliście do szpitala na długo i podzieliliście waszą bieliznę, kto wiedział, że wrócicie tak prędko“.

Co było robić, trudno. Gdy opowiedziałem, że wracam do sanitarjatu, na odchodnym, żołnierze uścisnęli mi rękę i jeden powiedział: „Chwalić Boga, że wam już przebaczyli i że wracacie do stopnia oficerskiego“.

Do końca nie wierzyli, że to nie za karę chciałem zostać szeregowcem.

W życiu prywatnem wszystko wróciło do dawnych norm. Mieszkam z obywatelem Bończą i wyjechałem dziś na Siwku do Kęt z rozkazem dr. Jakowickiego na komisję superrewizyjną. W czasie komisji złaapał mnie ból głowy i dreszcze. Dr. Umiastowski stwierdził 38,3° i dał mi oleju. Wróciłem do dr. Jakowickiego z 38,7°. Lekarze podejrzewali tyfus o przebiegu nietypowym. Dzisiaj, 3 lutego rano, dr. Jakowicki prze-

wiółł mię sankami do dr. Roupperta, a stąd do szpitala.

Tylko lekarze wierzą w moją chorobę. Reszta kiwa głowami i mówi krótko, ze śmiechem: „Doktór maruduje“. Znoszę to wszystko apatycznie i obojętnie. Dr. Silbiger i siostra Hieronimja spotkali mię w pocziwym triumfie, jako dezertera. Obywatel Kunicki już wyszedł ze szpitala.

Leżą w tym samym pokoju, obywatel Czaki, obywatele Góralczyk i Starzyński. Zaczyna się codzienne życie szpitalne. Śniadanie — 8 rano, drugie śniadanie — godzina 11; obiad — 1 godzina, podwieczorek o godzinie 4 i kolacja o 8 wieczorem. Prócz tego dają herbatę, wino, 3 bułki i chleb. Z początku miałem mieć pierwszą djetę, ze względu jednak na stan gorączkowy dostałem — drugą. Odwiedzili nas dzisiaj: Państwo Kuniccy, pani Marja Piłsudska, obywatel Bellert, Janek Gołab, Miecio Skwarczyński i obywatel Jur, zwany „Bracie Kochany“. Przynieśli mi wody kolońskiej i czekolady. Gram w szachy z obywatelem Czaki.

6 lutego. — Odtąd przeżywam w szpitalu dnie podwójnie. Przez 3 dni gadam, żartuję, a czwartego dnia, od rana, leżę w gorączce 39°, zlany potem, bezsilny, niezdolny do poruszenia się. Dr. Silbiger już to wie. Co czwarty dzień wchodzi do pokoju odważnie i wzywa siostrę: „Niech siostrzyczka wejdzie, lew dziś nie ryczy „niby opętany!“. Siostra Hieronimja wchodzi też odważnie, bo wie, że w dniu gorączki nie gadam „głupstw“.

Dr. Silbiger mówi, że to malarja i wali we mnie cztery razy dziennie chininę. Wszystkie lokomotywy jeżdżą i gwizdzą w mej głowie po tych końskich dawkach chininy.

14 lutego. Wilamowice, w pokoiku Bończy. — Wczoraj pożegnałem się z siostrami i dr. Silbigerem i opuściłem szpital. Dzisiaj jeździłem do Kęt w sprawie

pensji i ubrania. Obywatel Dąbrowa gorączkuje, ma influencję. Tak, tutaj na odpoczynku, wyłażą z nas wszystkie biedy. Dąbrowa leży w pokoju, obok naszego, upiększonym dużymi krzyżami pięćdziesięciolecia małżeństwa rodziców naszych gospodarzy. Czuję się nadspodziewanie dobrze, choć w nocy nie spałem do 4 rano. Czytałem: „W pustyni i puszcy“.

15 lutego. — Dziś była uroczystość rozdania złotych i srebrnych medali austriackich za odwagę w bitwie pod Łowczówkiem. Zbiórka brygady, z powodu dnia targowego, odbyła się za Kętami na placu przy rzece. Nasz pułk przyszedł pierwszy; dopiero w pół godziny później 2-i pułk i orkiestra. Stoimy bataljonami w masie, jeden obok drugiego.

Nadjeżdżają członkowie Naczelnego Komitetu Narodowego autem. Obywatel Komendant i sztab konno.

Raport. Występują mający być dekorowani. Deszcz rześsisty. Żołnierze mówią, że niebo musi płakać na każdą austriacką uroczystość. Tak było w Kielcach, tak jest dziś w Kętach. Dekoracja.

Komendant mówi krótko, że uznanie za waleczność należy się wszystkim. Przypadkowo niektórzy, którym udało się lepiej, zostają dekorowani. Następnie — defilada. Jest tu pierwszy występ karabinów maszynowych na jukach, kawalerji w wysokich czapkach i „dużych“ armat artylerji.

Zamiast dawnych małych armatek górskich, wożonych na wozach i szczekających, jak pieski, prochem dymnym, mamy sześć świeżych nowiutkich armat brązowych, każda zaprzężona w sześć koni. Obok stoi kolumna amunicyjna. Pierwsze od 1830 roku armaty polskie! Jest na co patrzeć. Mimo szczupłości naszych oddziałów schodzimy z rewji pokrzepieni na duchu, jak zawsze zresztą, gdy widzimy Komendanta. Zajęliśmy sobą wielki plac. Po przeglądzie deszcz ustał, żołnierze rzucili się do straganów.

Komendant, przechodząc, pyta mię: „Jak zdrowie doktorze?” — patrzy i śmieje się. Dziękuję ochoczo, choć czuję się nieszczególnie.

Idziemy do obywatela Zagrodzkiego, lekarza weterynaryj, na wódkę i odjeżdżamy z Jakowickim do Wilamowic. Po drodze mijamy nasze oddziały. Oficerowie i szeregowi poodpinali już „mentole” austriackie. Odtąd nikt ich w Brygadzie nie widział. Zawieszał, kto miał, jedynie gdy jechał do Austriaków w jakiej sprawie służbowej.

16 lutego. — Dziś wyjechałem o 5 popołudniu na Siwutku do Kęt na Komisję superrewizyjną. Zwalniamy najslabszych żołnierzy i urzędników salin, których reklamują kopalnie soli, z powodu braku pracowników fachowych. Spotykam Morecysia Bobaka, medyka z drugiej brygady, którego nie widziałem od paru lat.

17 lutego. — Cały dzień śpię. Dąbrowa ciągle ma gorączkę.

20 lutego. — Mam znowu gorączkę.

25 lutego. — Kraków. — Oddział zakaźny Szpitala Świętego Łazarza. Zjechałem aż tu, celem poddania się badaniu krwi. 3 lutego dr. Jakowicki wyrysował krzywą dotychczasowej mej gorączki i „areopag” lekarzy u dr. Roupperta orzekł, że tylko zbadanie krwi w Krakowie może dać rozpoznanie mej choroby. Dali mi marszrutę na przejazd drugą klasą pociągu Kęty. Jawiszowice, Oświęcim, Kraków.

Na stację wyjechałem 24 lutego około południa. Siadłem do przedziału z napisem: „für Militär“, gdzie był już kapitan od artylerji i podporucznik od ułanów austriackich. Była to „niema” podróż. Patrzyliśmy na siebie wzajemnie z wyraźną niechęcią.

Wreszcie — znajomy, stary Kraków. Legitymuję się w przejściu żandarmerji i po obiedzie idę do szpitala św Łazarza. Ordynowali tam dr. Blay i dr. Menas-

sówna. Narazie, dziś dali mi spokój. Według wszelkich ludzkich obliczeń powinienem mieć dziś gorączkę, bo to mój „czwarty“ dzień, ale nie mam. Jestem strapiiony. Pocem tu przyjeżdżał?! Badanie krwi też niczego nie wykazało. Odwiedził mię tu pan Gołąb i dr. Rychliński. Po trzech dniach, nie mając gorączki, wyjechałem do Kęt, klnąc, choroby, krzywe gorączki i wszelkie badania naukowe. Ze szpitala więcej już po trzech dniach, bo dowiedziałem się, że Brygada nasza wychodzi w pole.

W Wilamowicach ruch wielki. Przygotowania do odjazdu w pełni. Obywatel Dąbrowa ma roboty, jak nigdy. Powiedział mi w tajemnicy, że w pułku przypuszczali, że ja już nie wrócę ze szpitala, że umyślnie tam wyjechałem, by „zmarudować“ już na stałe.

Ja czuję się dobrze i, jak wszyscy, wykazuję podwójną energję przed ruszeniem wreszcie z miejsca. Jest ciepło i słonecznie. Mimo lutego czuć wiosnę.

W czasie mej nieobecności w Kętach był profesor Kader i zostawił dla mnie kartkę o bardzo życzliwej treści.

WALKI POZYCYJNE NAD NIDĄ

sównu. Nareszcie dał mi spokój. Według wszelkich ludzkich obliczeń powinienem mieć dość gorączki, bo to mój „zwyczaj” dzień ale nie mam. Jestem strapiiony. Połam to przyjechał. Badanie krwi też niczego nie wykazało. Odwiedził mnie tu pan Gólski i dr. Ryckowski. Po trzech dniach nie mającej gorączki, wyjechałem do Kęt, klęsk, choroby, kłótni, wyborów, spisków i wszelkich badań naukowych. Za miesiąc więcej już po trzech dniach, bo dowiedziałem się, że Brygada nasza wychodzi w pole.

W Wilanowie miałem wielki. Przygotowanie do odjazdu w pole. Obywatel Dobrowa ma roboty, jak nigdy. Powiedział mi w tajemnicy, że w polu przetrzymam się, dlatego że odpowiem na jego pytanie, że jestem wyjechałem, by zobaczyć, jak się ma.

Ja czuję się dobrze i jak wczoraj, tylko trochę zmęczony. Wczoraj wieczorem przed pójściem spać, miałem jakiś ucisk w klatce piersiowej i trochę bólu w

Wczoraj wieczorem przed pójściem spać, miałem jakiś ucisk w klatce piersiowej i trochę bólu w

WALKI POZYCYJNE NAD NIDĄ.

3 marca. — Już trzeci dzień stoimy w Turze, wsi, leżącej na południowy wschód od Jędrzejowa, niedaleko rzeki Nidy. Wieś długa, przypomina Laski, położona jest wśród falistych wzgórz. Połowa wsi, za krzyżem, była podobno kilkakrotnie ostrzeliwana przez Rosjan z za Nidy.

Drugi dzień robię tu wizyty chorych, jako lekarz I bataljonu. Dziś byłem w Opatkowicach, gdzie stoi Brygada, podpisywać kwit za pensję u oficera rachunkowego brygady, pana Couby.

Biedny ten człowiek łapie się za głowę z powodu naszych brygadowych rachunków i mówi, że pierwszy raz widzi „gażystów“, którzy podpisują kwity, a nie biorą pieniędzy. To niesłychane! Również mówi, że nikt z austriaków nie zrozumie, że na przykład ja, będąc Regimentsarzem, a więc w randze kapitana, noszę odznaki porucznika i tytułuję się porucznikiem. Byli już, mówi, tacy, co sobie podwyższali szarżę, ale żeby sobie obniżać, tego nie było. Jeszcze pan Couba nie wie, co to jest rozkaz i nominacja Komendanta.

Widziałem obywatela Wira i Gołąba. Nagadaliśmy się o sprawach V bataljonu. Jankowi oddałem paczkę i listy z domu, które przywiozłem z Krakowa. Siwutkowi spuchła prawa tylna noga. Jedni mówią, że reumatyzm, inni, że „gruda“, inni, że „z zastania“. Ostatecznie — niewiadomo.

Teraz przystępuję do zaległości mego pamiętnika. Ze szpitala do pułku zdążyłem w sam czas. 28 lutego wymaszerowaliśmy z Wilamowic do kolei, i o godzinie 11 wieczorem po ukończeniu zawagonowania wyjechaliśmy ze stacji Biała-Bielsko.

Jedziemy przedziałem I klasy: dowódca bataljonu, obywatel Burhardt-Bukacki, adjutant bataljonu, obywatel Orłot i ja. Spać jest wygodnie, to też wykorzystujemy na potęgę ten sposób spędzania czasu w podróży, przespałem Szczakowę i Granicę, obudziłem się dopiero w Strzemieszycach. Nie widziałem stacji od czasu opuszczenia Sosnowca w sierpniu zeszłego roku. Stacja nie jest zniszczona. Zamiast „fijołkowego” żandarma rosyjskiego, na peronie pilnuje porządku szary landszturmista austriacki z bagnetem na „wern-dlu”.

Tu, w Strzemieszycach, wsiadł do pociągu Komendant. W Olkuszcu grono pań z Ligi Kobiet wręczyło Mu kwiaty.

Od Rabsztyna na wschód stacje kolejowe popalone i poniszczone. Zwalone wieże ciśnień, z budynków stacyjnych tylko nagie opalone ściany i kominy. Są to ślady odwrotu Niemców i Austriaków. Urzędowanie na stacjach odbywa się w barakach drewnianych i wagonach towarowych. Wszystko to wygląda strasznie niechlujnie i tymczasowo. Przed tunelem miechowskim, na bocznym torze całe miasto wagonów, jako mieszkania żołnierskie i biura rysunkowe odbudowy tunelu, który również był uszkodzony w czasie odwrotu. Pociąg jedzie tu zupełnie wolno. Austriacy wartownicy, dla odmiany mają karabiny rosyjskie. Jedna połowa tunelu wyrwana środkami wybuchowymi. Druga popodpierana w trzech miejscach belkami. Od strony Miechowa przy wejściu do tunelu zawieszona tablica z napisem wierszowanym w języku niemieckim, gdzie w sposób poetyczny przedstawione

jest, jak „tunel cierpi“, gdy widzi walki Austriaków z Rosjanami, a doświadcza wielkiej radości, widząc się odbudowanym przez „brave Eisenbahn-regiment“. Od strony Jędrzejowa nad wylotem tunelu widnieje nieodłączne austriackie: „Viribus Unitis“. Linja kolejowa mocno strzeżona przez „landsturm“ austriacki.

Wszystkie mosty kolejowe ponumerowane, przy każdym posterunek wojskowy.

Wysiadamy wreszcie w Jędrzejowie. Tu zaczynałem wojnę... Wtedy byliśmy całkowitymi panami miasta. Dzisiaj władają tu Austriacy. Widzę „chole-rabarakken“ obok rynku, który nazwali Franz-Josephs-platz! Ano, na zdrowie!

Po wywagowaniu w Jędrzejowie bataljon zjadł obiad. Pod wieczór, 1 marca, ruszyliśmy z miasta.

Gdy szedłem za bataljonem, zobaczył mię Obywatel Komendant, zawołał i spytał, czego jestem tak blady. Zameldowałem posłusznie, że czuję się już lepiej.

Ruszyliśmy z miasta. Nie mieliśmy wydanych map, nie znaliśmy miejscowości, nie wiedzieliśmy zupełnie, gdzie jest wieś Tur. To też kluczyliśmy w nocy po bocznych drogach, wyrobionych dopiero w czasie wojny, mających setki rozgałęzień, wyjeżdżonych przez tabory. Każdą wieś spotkaną braliśmy za Tur.

Wtedy to powstał dowcip, że „mapa się skończyła“, więc nie wiadomo, gdzie iść. Wtedy też żołnierze śpiewali:

„A nas strasznie bolą nogi,
Bo szarże skracają drogi!“

Marsz ten nocny, wśród zamieci śnieżnej wydawał nam się bez końca. Odzwyczailiśmy się od takich rzeczy w czasie spoczynku. Wreszcie trochę węchem, trochę przez przewodników wiedzeni, mijamy Opatkowice Murowane i Kawęczyn, przeznaczone dla sztabu brygady i dochodzimy do Tura. Tu zostajemy rozmieszczeni bardzo ciasno. O wojnie przypomina obo-

wiązek zasłaniania skrupulatnego okien, ze względu na ostrzeliwanie przez artylerję rosyjską. Zasypiamy w oczekiwaniu przyszłych naszych przygód na froncie.

Nazajutrz, 2 marca, po „śniegu i grudzie“, szliśmy na rewję, ale znów nie zdążyliśmy w porę z powodu braku znajomości okolicy i braku map. Kilka godzin krążyliśmy wśród płaskich wzgórz, przypruszonych śniegiem. Jedno podobne do drugiego, jak dwie krople wody. Wreszcie wróciliśmy na kwatery, obszedłszy wielkie koło po bezdrożach.

Wojnę tu stanowczo znać mniej, niż w Galicji. Chaty są całe, wsie niepopalone, nawet ule nie porozbijane! Stogi stoją w polach, we dworze przy stodole młóci lokomobila. Kartofle w kopcach nieuszkodzonych. Niktby nie przypuścił, że o dwa kilometry jest linja bojowa. Cisza zupełna, żadnych wystrzałów nie słysząc.

Zameldowałem się u dr. Roupperta i pokazałem mu „zaświadczenie“ dr. Blaya o pobycie w szpitalu i nie stwierdzeniu istoty mej choroby. Zresztą, teraz już wszystko jedno. Jestem wreszcie zdrow.

Wczoraj zgłosiło się 17 chorych, dzisiaj — 20. Przeważnie przeziębionych i odparzenia nóg po marszu.

Dostałem ordynansa. Nazywa się Józef Dudoń. Jest to młody, „góral“ z okolic Suchej, który jeździł, jako „fiakier“. Opiekuje się mojami rzeczami i Siwutkiem. Dla tego ostatniego zdobywa pokarm wszelkimi sposobami. Gitarę moją nosi lekko, „jak piórko“.

4 marca. — Łopatkowice Drewniane. — Wczoraj przyszliliśmy tu z Tura przy okropnej zamieci mokrego śniegu, zalepiającej oczy.

Nasz pułk stoi w rezerwie brygady, która objęła odcinek pozycyj na prawym brzegu rzeki Nidy od Motkowic do miejsca, gdzie do Nidy wpada rzeczka Mierzawa.



Obywatel Dudoń, dobry ordynans i przyjaciel.

Wieś Łopatkowice Drewniane, gdzie kwateruje nasz bataljon, ciągnie się z zachodu na wschód. Domy częścią drewniane, częścią murowane. Brak studzien przy chałupach. Jest to „wieś rezerwowa“ odcinka, którą w tej chwili my zajmujemy, jako będący w rezerwie. Komenda pułku jest w Mierzwinie.

Meldowałem się dziś rano u d-ra Jakowickiego. Wobec zjawienia się wśród ludności i u Austrjaków przypadków cholery i epidemji tyfusu, szczepimy na gwałt jedno i drugie, zostawiając między zaszczepieniem tych dwóch chorób zaledwie sześć dni, by biedny organizm, wśród gorączki, miał czas się uodpornić. Żołnierze niechętnie poddają się szczepieniom, które nazywają „szczypanką“. Istnieje też podwójna szczepionka: tyfusowo-choleryczna.

By dać dobry przykład, sam poddałem się szczepieniu. Działa mocno i „rozbiera“, jak przy ciężkiej chorobie. Na szczęście, gorączka przeważnie trwa jeden dzień. Na ogólną liczbę 469 ludzi w bataljonie, zaszczepionych jest około 450. Najtrudniej ze szczepieniem w taborze, bo żołnierze jeżdżą po „fasunek“ i wracają dopiero w nocy. Dziś wysłałem trzech ludzi do szpitala, z czego dwóch z zaburzeniami przewodu pokarmowego. Podobno tu całe wsie chorowały na tyfus.

W Turze zostawiłem wczoraj też chorego z 40° gorączki. Nie mogłem go odesłać wozem z połamanymi deskami, który dostarczył mi oficer inspekcyjny. W ostatniej chwili przed odmarszem pojechałem z patrolem do sołtysa Tura, celem zabrania podwojny, ale sołtys się schował gdzieś, wężąc nasz odmarsz. Dopiero dzisiaj odesłałem chorego do Opatkowic Murowanych, gdzie we dworze jest zakład Sanitarny Brygady d-ra Zaorskiego. Punkty opatrunkowe dla bataljonów, będących na linji, są w Turze Dolnym i Imielnicy. W chałupie, gdzie stoi sztab bataljonu, jest głuchy dziaduś z babcią i młoda para z dzieckiem

Dziś miałem 17 lekko chorych. Poza tem cały czas, z powodu zimna i złej pogody, siedzimy w domu, grając w karty i bijąc wszy, których tu w ciągu paru dni jest już bez liku. Widocznie to spadek po Austriakach, bo są tchórzliwe, uciekają i chowają się bardzo szybko.

5 marca. — Dziś obywatel dr. Rouppert proponował mi, ze względu na słaby stan zdrowia, pójście na chirurga do Zakładu Sanitarnego Brygady. Podziękowałem, prosząc o zostawienie mię przy bataljonie. Napewno tutaj prędzej przyjdę do zdrowia.

Pomagam w cenzurowaniu kartek pocztowych, które żołnierze wysyłają, przeważnie do znajomych w Kętach i Wilamowicach. Jakiś spryciarz, który chce w liście powiedzieć gdzie jest jego oddział pisze: „Ukłony Helenie i Nidzie“. Inny, siedząc w ciepłej chacie w rezerwie, pisze: „jesteśmy już w okopach, na 8 ludzi piecyk“. Jeszcze inny zapewnia, że: „Moskale powoli się cofają“, wreszcie jakaś dusza sentymentalna i przewidująca lka: „jutro idę do szturm, nie wiem czy wyjdę zeń cało“. Niektórzy piszą do paru dziewcząt naraz.

Mamy nowe uzupełnienie rekrutów z Królestwa. Będę ich badał. Chorych tylko dwóch. Rozdałem wszystkim żołnierzom opatrunki osobiste.

7 marca. — Wczoraj zaszczepiłem przeszło 100 żołnierzy przeciw cholerze. Mnie zaszczepił medyk obywatel Mioduszewski, mój zastępca. Było 20 chorych. Dziś było 18, z czego dwóch do szpitala. Zaczynają wychodzić na jaw ślady „upojeń miłosnych“ na tyłach... Tych wysyłać muszę do szpitala.

Dzisiaj słychać było wystrzały armatnie. Podobno Moskale z Austriakami przed naszym przybyciem umówili się, że kto idzie z wiadrem po wodę do rzeki, do tego nie strzelają. Nas, oczywiście, ta umowa nie obowiązuje. Dzisiaj, gdy Moskale „spokojnie“ szli

po wodę, nasi zaczęli strzelać i kilku zabili. W odpowiedzi, jako „represja“, artylerja rosyjska dała kilka granatów celnie w nasze okopy i raniła trzech naszych. Stąd i nasza artylerja odpowiadała. Strzałów karabinowych z linii nie słyszać zupełnie.

9 marzec. — Wczoraj byliśmy na pozycji w okopach nad Nidą. Chodziło o zapoznanie się z okopami, w których mamy zmienić V bataljon. Wyjechał obywatel bataljonowy, dowódca kompanij i ja. Dobrze było nareszcie wyleźć z dusznych chałup i przypomnieć sobie, że jest wogóle wojna.

Zimno, mróz, wiatr wschodni. Śniegu mało, gruda. Jedziemy kłusem wzdłuż linii telefonu polowego przez Grudzyń, Mierzwin, Imielno do Imielnicy. Ze szczytu wzgórza za kościołem w Mierzwinie widać rzekę Nidę, za nią wzgórza i miasto Pińczów.

Przy drodze za wsią grób z darni i krzyż świeży z napisem, że ułan austriacki z 14-go pułku znalazł tu 18 grudnia „Heldentod“. Wreszcie — Imielnica — duża wieś niedaleko Nidy.

Wybiega z chałupy Janek Gołąb, który jest lekarzem V bataljonu i prowadzi nas do komendy, do obywatela Herwina. Tu pokazują nam plan pozycji naszych i rosyjskich, leżących po drugiej stronie Nidy. Od cinki rowów rosyjskich są ponumerowane, tak, że w razie koniecznej potrzeby wystarczy zatelefonować do brygady, że ogień artyleryjski potrzebny jest na taki, a taki numer okopu i sprawa załatwiona. Najsilniejsze miejsce pozycji rosyjskich, to góra koło Pińczowa — Skowronno. Podobno przed paru miesiącami Austriacy przeszli Nidę kilku bataljonami, by zdobyć tą górę. Wrócił na nasz brzeg mało kto, zostali posiekani karabinami maszynowymi.

Adjutantem V bataljonu ciągle jest jeszcze obywatel Kazimierz. To on prowadzi nas do okopów brzegiem drogi, która jest często ostrzeliwana. Widać leje od granatów.

Przy naszym nastawieniu się wojennem dziwne wrażenie sprawia baba z chłopcem, jadący w jednego konika do sąsiedniej wsi. Wokół nas zupełna cisza i spokój. Nie widać żadnego ruchu — ani po naszej, ani po rosyjskiej stronie. Przed nami srebrzysta smuga zamarzniętej Nidy, za nią przyprószone śniegiem Skrowronno. Zbliżamy się do kilku chałup, stojących na piaszczystym wzgórzu. Tuż za nimi nagle spostrzegamy okopy. Oto rów dobiegowy. Zaczyna się „nicwinnie“ za chałupą i już idziemy krętym korytarzem w osypującym się piasku. Miejscami rów zawiany piaskiem, tak, że zakryci jesteście tylko do pasa.

Same okopy są to głębokie rowy w piasku, z przedpiersiem, wysokości człowieka. Co 30 — 40 kroków — domki w ziemi z piecykami i kominami z rur blaszanych, zamaskowanych darnią. Przednia ściana rowu i ziemianki oplecione są gałęziami sosny i innych drzew. Szeleszczą liście dębu na gałęziach, wplecionych w okopy. Przed okopami, o 200 kroków, rzędy drutów kolczastych, a przed nimi znowu wąska smuga Nidy, która stąd z dołu ledwie jest widoczna.

Na drugiej stronie rzeki pusto, mimo że czujki, stojące przy strzelnicach, pokazują coś w terenie. Dopiero przez lornetę na górze widać 3 rzędy okopów rosyjskich. Na prawo od góry Skowronno, w głębi — leży miasto Pińczów.

W okopach, co kilkadziesiąt metrów, urządzone są stojaki na karabiny, półeczki na amunicję i stopnie do strzelania. Obok nich — daszki z gałęzi, nakryte ziemią, jako ochrona od szrapneli. Ziemianki noszą szumne nazwy, jak: Hotel Rzymski, Bristol, Belweder. Prawe skrzydło okopów V bataljonu przytyka do wsi Sobowice, częściowo zburzonej przez pociski, opuszczonej, z rozebranymi chałupami. Za jedną z chałup stoi kuchnia polowa. Przerwy między okopami są maskowane, zasadzonymi w ziemię gałęziami sosny. Przed

wsią okopy stoją na łące — moczarze. Nie są więc kopane w głąb, lecz budowane z darni. Tu stoi kompanja Wira, który nas oprowadza. Spotykam wielu znajomych żołnierzy. Z powodu zimna, siedzą oni przeważnie w ziemiankach, przy rozpalonych do czerwoności piecykach.

Wracamy do Imielnicy, do komendy bataljonu. Tu obywatel Herwin oświadcza, iż wcale nie zamierza schodzić z odcinka. Kwatery ma obszerne, wygodne, żołnierze dużo pracy włożyli w poprawianie ziemianek i okopów. Poza tem jest zupełny spokój. Niema strat. Woli więc tu „wytrwać“, niż siedzieć w bezpiecznych, lecz ciasnych kwaterach rezerwy. W tym sensie podał już meldunek do brygady. Oto paradoksalna sytuacja wojny pozycyjnej!

Siadamy na konie, jedziemy do siebie. Po drodze w Grudzynach wstępuję do obywatela Litwinowicza w sprawie ubrania, kożuszka i szabli. Wynik starań — mierny.

Wracamy do naszych chałup, kart, wszy i ciasnoty. Gdyśmy wracali — strzelała artylerja. Był to jedyny „ślad“ wojny.

Chorych w liczbie 20 przyjmował dziś obywatel Mioduszewski. W ciasnych, brudnych kwaterach mamy dużo świerzbawatych. Leczymy ich na miejscu.

10 marca. Stoimy wciąż we wsi, bo V bataljon nie chce się ruszyć z okopów. Chce „walczyć“ i ma na to pozwolenie z brygady. Niewiadomo jeszcze, kiedy my wyjdziemy na linię. Nudy straszne. Chorych dziś było 20. Podobno na pozycji jest 5 rannych.

11 marca. Dziś rano przyszedł nas sołtys i, kłaniając się obywatelowi Bukackiemu, mówi: „Panie Kapitanie, niedobrze jest między nami, ludzie choć ich kolej, nie chcą jechać do lasu po drzewo“.

Chodziło o drzewo na budowę mostu. Obywatel bataljonowy kazał niezwłocznie dać dwóch żołnierzy, któ-

rzy, może robili w 1905 roku rozruchy agrarne, by „dopilnowali porządku“. Tak fortuna kołem się toczy.

W nocy VI bataljon chwycił pięciu Moskali — jednego podoficera i czterech szeregowców. Przeszli oni w nocy przez Nidę, złapali naszego żołnierza, który stał na wedecie, wracając przez mostek, a tu nasi leżą z karabinami wycelowanymi na nich: „ruki w wierch!“. Poddali się. Odbiliśmy, oczywiście i naszego żołnierza.

Tym sposobem rozwiązany został konkurs, wyznaczony przez Austriaków, którzy przez trzy miesiące nie mogli się dowiedzieć, jaka dywizja rosyjska stoi po drugiej stronie Nidy. Wyznaczone 100 koron nagrody zabierze patrol z VI bataljonu.

Chorych dziś było 14. Przeważnie z przeziębienia, z powodu fatalnej pogody.

Byliśmy dziś wszyscy oficerowie wezwani do Komendy pułku. Obywatel Śmigły robił wymówki z powodu zostawionych w Wilamowicach na kwaterze rzeczy. Zostało 15 karabinów i 11 bagnetów. Tak to bywa przy „obywatelskiem wojsku“. Dzisiaj widać było z za stodoł rosyjski balon na uwięzi. Mamy zostać w rezerwie jeszcze kilka dni.

12 marca. — Dzisiaj pod kościołem był przegląd sanitariuszy i materiału opatrunkowego, dokonany przez d-ra Roupperta. Torby były w porządku, nosze i opatrunki również. Przy odmarszu źle zrobili: „w czwórki w prawo zwrot“. Z tego powodu śmieli się ze mnie bracia Stryjeńscy. Obywatel Bystran. jeden z nich, jest lekarzem III bataljonu naszego pułku.

Potem poszedłem do brygady do obywatela Litwinowicza w sprawie pensji i mego ubrania. Ubranie ma dopiero nadejść. Pensję dostałem.

W głębi pokoju byli obywatel Komendant i obywatel Szef z jakimś austriackim oficerem z 25 na srebrnych guzikach. Czekaając na załatwienie mych spraw, słyszałem ich rozmowę. Austriak pytał o nasze podstawy

w materiale ludzkim. Komendant odpowiedział mu, jak nasz bataljon rekrutów z Kiele poszedł do 2-go pułku na Węgry, jak fatalny wpływ wywarło to na rekrutację w Królestwie, gdzie chłopcy chcą się bić na polskiej ziemi, a nie na Węgrzech.

„Obecnie, mówił Komendant, jest lepiej, bo mam bataljon rezerwy w Noworadomsku“.

Gdy miałem odejść, Komendant podszedł do mnie i wyraził zadowolenie, że lepiej wyglądam.

15 marca. Tur Dolny — wieczorem. — Przedwczoraj ruszyliśmy wreszcie na linję. Trzy kompanje zajęły odcinki w okopach, a jedna (3-a) jest w Turze Dolnym. Tu też jest punkt opatrunkowy. Przede mną miał tu punkt opatrunkowy, mój znajomy, Genek Zamojski.

Wszyscy żołnierze szli do okopów o zmroku, niosąc każdy, snopek słomy do ziemianki. Kilkaset snopów sunęło tak drogą, bo ludzi nie było widać pod słomą.

Wczoraj, po obsadzeniu okopów nasi, spragnieni wojny, strzelali dość gęsto do pokazujących się Moskali.

Dziś rano zbudził mię pęd zimnego powietrza od drzwi. Śpię na ziemi, na słomie razem z sanitariuszami bataljonowymi i patrolem rezerwowej kompanji. Gospodarz, nazwiskiem Nowak, bardzo dobry i uczynny człowiek, obiera w tej chwili ziemniaki. Na posłaniu siedzi sanitariusz Cezary i poważnie owija nogi onuczami, drugi — Schrage, leży jeszcze i kaszle. Jest już 8 i pół, trzeba wstawać, bo o 9 rano jest przyjęcie chorych kompanji rezerwowej. Wyłażę z pod koca Siwutka i ubieram się. Do kawy dostajemy mleka od gospodarza.

Nikt z chorych nie przyszedł, wolą leżeć w domu, jak szukać lekarza. Wogóle, gdy niema ćwiczeń, niema i chorych.

Biorę pas, rewolwer i idę na okopy. Do końca wsi tylko 5 domów. Dalej droga idzie naprawo wskos, koło figury św. Józefa na rozdrożu, obok zburzonego folwar-

ku, przez wzgórze piaszczyste do okopów 2-ej kompanji. Tu też niema chorych. Wchodzę do ziemianki kompanijnego Kruka Czarnego. Śpią jeszcze na matach, plecionych ze słomy, po dwóch na jednym wyrku. W środku ziemianki piecyk, przy którym leży „fasunek“ chleba i śniadanie. Śpiewamy: „Córuś, córuś“, „Sorrento“ i „Chryzantemy“. Kruk mówi, że fałszuję. Nie umie ocenić mych zdolności.

Odwilż, w okopach błoto. Nikt nie chodzi tutaj rowem lecz po polu za okopem. Jest tu 1300 kroków do okopów rosyjskich, zresztą ani jednego wystrzału. Dalej, drogą „na skrót“, obok małego gaju olchowego, oplecionego naokoło drutem kolczastym, idę do wpół rozebranej chałupy, gdzie jest komenda bataljonu.

Dzisiaj w 4-ej kompanji zaszły rzeczy następujące. Rano wyszło paru Moskali przed okopy i zaczęło machać białymi chusteczkami. Nasi odpowiedzieli tem samem. Moskałe podeszli do swego brzegu rzeki. Naszych, z początku trzech, a potem więcej, poszło również na nasz brzeg, potem, za wskazówkami Moskali, na kępę, która była tylko 30 kroków od okopów moskiewskich. Wymienili tytoń, konserwy, a Moskałe nawet dali naszym drzwi do ziemianki.

Potem Moskałe: „Zaczem strelali wczera? Łuczsze nie strjelat!“.

Po tej rozmowie nastąpiło obopólne łażenie przed okopami i naprawianie okopów, mimo że w tem miejscu okopy rosyjskie są tylko 400 kroków od naszych. Wczoraj jeszcze kulki świstały tam koło głowy.

Wróciłem laskiem chłopskim i torfowiskami do wsi. Po południu poszedłem odwiedzić Siwutka. Kupiłem mu jęczmienia za 7 koron. Po drodze wstąpiłem do dra Piestrzyńskiego w Komendzie 2-go pułku. Obecnie mam jeszcze zmienić opatrunek żołnierza, którego ręka zropiała przez zaszczepienie i idę spać.

16 marca. — Przedwczoraj widziałem pierwszy raz w Komendzie bataljonu ręczne granaty i pistolet do wy-

rzucania rakiet. Poza tem w Komendzie jest reflektor. Stoi stale w izbie w paczce, która służy jako taburet. Nie zapalamy go w okopach, gdyż Moskale wtedy puszczają swój, z góry za Pińczowem, gnębią zupełnie światło naszego, a potem chórem śmieją się z nas z za Nidy. Poco więc się kompromitować. Reflektor stoi spokojnie pod ścianą, w chałupie w Turze.

Dziaduś i babcia ciągle zajmują się naszymi żołnierzami. Gdy wczoraj wieczorem patrol sanitarny w czasie deszczu, szedł do okopów, babcia, leżąc w łóżku, płakała: „Jak ci ludzie pójdą w taki deszcz i noc!“.

Na to dziaduś: „Idź, nie ryczałybyś, toć i jo, jako młody, jeździłem i do Krakowa, i do Miechowa, i do Staszowa“.

W wojsku dziaduś nie był. „Pognali“ go już, ale z Pragi za Warszawą wrócili go, bo miał słaby wzrok.

Dziaduś czyta i pisze, sprowadza książki z Krakowa od znajomego organisty.

W okopach obserwowałem dzisiaj ostrzeliwanie dwóch domków „moskiewskich“ za Nidą, naprzeciw czwartej kompanji, przez artylerję austriacką z za naszego lewego skrzydła. Jeden za drugim leciały granaty, furkając w powietrzu, waląc czarny słup ziemi i niebieski dym, po którym następował jęk: uff!! Podobno w chałupkach jest komenda bataljonu moskiewskiego. Po dziesięciu strzałach chałupki jak stały, tak stoją. W okopach rosyjskich po tych strzałach cisza, jak makiem zasiał i pusto, jak wymiółł.

Może tam artylerja trochę krzywdy im zrobiła.

W okopach 4-ej i 1-ej kompanij, położonych niżej, straszne błoto. Chodzimy też ciągle jeszcze górą okopów. Wczoraj wieczorem przyszedł meldunek, że w pierwszej kompanji szeregowiec Przybytnowski został postrzelony w biodro. Leżałem już rozebrany. Trzeba było ubierać się i biec na okopy. Wicher i ciemność, jakby kto siedem czarownic powiesił. W ciemności nad linją okopów trwożne snopy rakiet. Ledwie zbadałem

tętno rannego. O godzinie 10 i pół wieczorem przyszła fura z pułku od dra Jakowickiego. Wysłałem z rannym, którego stan dobry, dwóch sanitariuszy.

Wracam w ciemności do domu. Warta kwaterunkowa zatrzymuje mnie pod wsią. Wreszcie kładę się spać po raz drugi.

Wóz z rannym, w strasznych ciemnościach po bezdrożach dojechał do Zakładu Sanitarnego Brygady dopiero po drugiej w nocy. Złamali przytem dyszel. Wrócili dopiero rano.

Dużo jest przeziębień. Ogółem dzisiaj było 17 chorych, z których pięciu musiałem wysłać do szpitala.

17 marca. — Próbowałem robić dziś szczepienie, ale na 21 ludzi, którzy mieli przyjść, zjawilo się zaledwie pięciu. Trzeba więc odłożyć „szczypankę“. Mnie, po raz drugi, zaszczepił dr. Jakowicki. W okopach błoto.

Dzisiaj z powodu zbliżających się Imienin Komendanta w okopach 1-ej kompanji była orkiestra. Wyobrażam sobie zdumienie Moskali, gdy, między innemi, grała im i kawałki rosyjskie, które muzycanci umieją jeszcze z Kielc. Wiatr był w stronę okopów moskiewskich, musieli więc dobrze słyszeć! Cisza u nich panowała zupełna. Słuchali i nie chcieli strzelać, by nie spłoszyć orkiestry.

Komendant Główny obchodził pod wieczór okopy naszego pułku. Artylerja austriacka ostrzeliwała dzisiaj Pińczów. Nasi artylerzyści Brzozy robią pomiary z szopy w Kwaskowie na lewem skrzydle naszego bataljonu i przeprowadzają telefon do chałup. Zobaczymy, czego dokonają po tych pracowitych przygotowaniach.

Mamy dużo chorych. W szpitaliku pułkowym u dra Jakowickiego przepełnienie, wobec tego dzisiaj dwóch lżej chorych żołnierzy leży u mnie na punkcie opatrunkowym. Dziaduś z własnej ochoty słał im grubo słomy, gdy się dowiedział, że są chorzy.

Powiedziałem mu, że więcej chorych przyjdzie. Ochoczo zawołał: „Przyjdzie wiecy, to sie wiecy słomy do!”.

Pocziwy dziaduś, tej słomy nie ma już wiele w stodółce, ale jej nie żałuje.

19 marca. — Dziś są Imieniny Komendanta. W brygadzie delegaci pułków składali życzenia, poczem byli na przyjęciu.

Żołnierze w okopach, celem uczczenia imienin, po południu strzelali salwami i krzyczeli: hurra!!!

Artylerja Brzozy strzela od dwóch dni. Było kilka dobrych strzałów.

Wieczorem wczoraj byłem na okopach. Kruk Białý kazał puścić dwie rakiety nad bajecznie rozlaną Nidą. Widok był piękny, zato powrót smutny. Gdy brnąłem do wsi w mokrym piachu, zatrzymał mię pod wsią posterunek, a że był z rekrutów, noc ciemna, jak atrament, kazał mi zrobić „padnij”. Co było robić, „pokora niebiosa otwiera” — przycupnąłem, bo wstyd byłoby być rannym od kuli swego żołnierza.

Posterunek przepuścił mię jednak, nim nadszedł komendant warty, poznał mię bowiem, gdy (leżąc!) powiedziałem mu: „Zaczekaj, pitulinko, przyjdiesz do mnie, już ja ci dam aspirynki”.

Rozstaliśmy się w zgodzie, ale ja miałem kolana mokre.

Dzisiaj w okopach zaszedłem do „Willi pod Szalonym Kanonierem”, gdzie bajecznie grał podoficer na harmonji. Później byłem u obywatela Drogata. Przechodził z przyjęcia u Komendanta obywatel Bukacki i Kruk. Graliśmy na gitarze i mandolinie, oraz piliśmy grzane piwo.

Siwutek taki wypasiony i wystany, że uciekł dziś Dundoniowi w pole i wrócił dopiero po generalnej obławie.

Austrjacy mówią, że Austrja odstąpi Włochom Tyrol południowy, za to Włosi wejdą do Francji, a trzystotysięczna armja austriacka, stojąca w Tyrolu, będzie

mogła być użyta gdzie indziej. Rumunji, znowu, w razie wejścia do wojny po stronie mocarstw centralnych, obiecują, prócz zdobyczy na Rosji, rumuńską część Bukowiny. Zato Rumunja z pięciuset tysiącami ludzi wypowie wojnę Rosji. Zobaczymy, jak to wszystko będzie.

Nikt już nie przepowiada, ile jeszcze będzie trwała wojna. Wszyscy przypominają sobie, jak spodziewaliśmy się być w domu, jako zwycięzcy, na minione Boże Narodzenie!

Wczoraj było siedmiu chorych, dzisiaj ośmiu.

20 marca. — Dzisiaj rano obudzony zostałem przez nieporozumienie rodzinne.

Drzwi otwarte do sieni, ziąb leci. Naciagam koc i słucham. Babcia stęka przy nakładaniu butów i mówi: „Te buty, jak gnój i ciężkie takie! Kacperek, ano, dajno ino swoje. Cegoś mi wziun. W tamtych bym we światy posła, a te, co mom, ciepłe, ale chłopskie, ciężkie buty. Idź ino, weź se te z pod warstatu z komory, a dej mi twoje“, dodała miękkim głosem.

— Dej matce — powiedział dziaduś poważnie.

Kacper się „frygnął“, ale poszedł, przyniósł nową parę „kumiśnych“ butów austriackich, a swoje zaczął ściągać.

Śmiesznie wygląda chłopak wiejski w sztucach i kamaszach żołnierskich. Wyciąga z nich szybko skórzane sznurowadła, na które matka łakomie patrzy — przy czem burczy:

— A jakże dom wom i śnurówki, zebym ni miał co nosić!“.

Matka sznurowała swoje trzewiki szpagatem. Dziaduś bawił małą Stefcie, patrzył na tę scenę, wreszcie mówi: „Takie i casy, na jormoku kielbasy, ani butów dostać ni mozna“. Poczem splunął z pogardą.

Rzeczywiście, los ludności jest coraz to cięższy.

Po południu pojechałem konno przez Mierzwin do Imielnicy do Janka Gołaba z wizytą. Herwin, taki, nie

poszedł z V bataljonem do rezerwy i nasz pierwszy bataljon zajął nie ten odcinek, który kiedyś oglądaliśmy.

W piątym bataljonie wszystko po dawnemu. Wszędzie tam ma człowiek pełno znajomych.

Gdym meldował mój powrót w Komendzie Pułku, zobaczyłem urzędowy austriacki dokument, gdzie było, „jak byk“ napisane: „1 Regiment Polnische Infanterie“. Dobrze byłoby doczekać czasów pułków piechoty Państwa Polskiego!

21 marca, wieczorem. — Prowadzę rozmowę z dziadusiem i Majem o nadziejach na zasiewy.

Dzisiaj w okopach byłem świadkiem nowego „zbratania“ się z Moskalami. Okazuje się, że przyszedł do nich nowy 24-y pułk, i zaczął strzelać ekrazytówkami. Wkrótce jednak Moskale pokazali białą chusteczkę. Podeszło kilku naszych i bure mrowie Moskali wyległo na okopy. Widać ich było doskonale, choć szynele ich zlewały się ze skopaną ziemią. Z dziesięciu naszych poszło na kępkę na rzece tuż przed ich brzegiem. Obywatel Komocki rzucił im „Wiadomości Polskie“ i „Legjonistę“. Dostał za to „Russkoje Słowo“. Sfotografowano tą konferującą grupę. Było tam paru z naszego bataljonu, wysłanych przez dowództwo bataljonu, reszta z szóstego bataljonu z kompanji Olszyny, która stoi obok nas w okopach.

Tymczasem austriacki pułkownik od artylerji, która stoi za nami, zatelefonował, że, jeżeli te rozmowy, które, zdaniem jego, są oczywistą „zdradą stanu“, nie ustaną, to on zacznie strzelać do grupy Moskali i nie odpowiada za to, jeżeli trafi przytem i w naszych. Bestja nie żartował, bo nienawidzi naszych chłopców. Wysłaliśmy więc żołnierza do naszych, by się cofnęli, bo artylerja będzie strzelać. Nasi uprzedzili Moskali, by się pochowali (jak koleżeństwo, to koleżeństwo, zwłaszcza, gdy chodzi o nabicie w butelkę Austriaka!), poczem wrócili do okopów, nie śpiesząc się, majestatycznym krokiem. Moskale wieli do swoich okopów, jak opętani.

Widział to wściekły pułkownik austriacki z punktu obserwacyjnego, zrozumiał, że nasi uprzedzili Moskali i zaczął rypać ze swoich armat! Naprzód parę niebieskich granatów, potem dymki szrapnelowe waliły nad okopy moskiewskie, wreszcie, widocznie, by sobie ulżyć, albo wstrzelać się na przyszłość, rypnął dwa granaty w rzekę, obok kępki, gdzie stali nasi, wyrzucając w górę dwie wspaniałe fontanny wody. Tak zmyte zostało zbratanie w okopach.

Austrjacy są zdenerwowani i nie rozumieją tego, że nasi chłopcy gadają z Moskalami „dla kawału“.

Wczorajszej nocy w jednym z gospodarstw za okopami chłopu ożrebiła się kobyła, więc chodził z latarką do stajni. Austrjacy przysłali swoich żandarmów z oskarżeniem chłopca, że dawał sygnały świetlne Moskalom i że ma telefon w piwnicy do rozmów z Moskalami przez rzekę. Chcieli zabrać gospodarza, ale nasi chłopcy porwali za karabiny i nie wpuścili ich na podwórko, więc wściekli odeszli.

Komenda bataljonu przeprowadziła rewizję. Nic nie znaleźliśmy i „papier“ poszedł do Austrjaków. Chłop nie posiada się z wdzięczności, bo wie, że u Austrjaków jużby wisiał. Austrjacy wściekają się na naszych chłopców o rozmowy z Moskalami, sami jednak prowadzą z nimi bardzo ożywioną korespondencję za pomocą... samolotów. Co parę dni, austriacki samolot leci nad okopami rosyjskimi i rzuca kartki papieru. Kartki te mają w jednym rogu otwór od drutu, na którym były trzymane przed rozrzuceniem na ziemię. Papiery, majestatycznie ślizgając się w powietrzu, spływają wreszcie, jak śnieg, na ziemię. Rzucają się na kartki chłopcy, chciwi wiadomości, co też nowego piszą Austrjacy do Moskali na swoich „bibułkach“. Treść kartek jest bardzo różna. Podczas gdy jedne są uprzejme, inne grożą. Język rosyjski, gdyż kartki są pisane po rosyjsku, wszędzie poprawny, ze starannie zachowaną pisownią.

W kartce z 10-go lutego Austriacy mają do Moskali pretensje o kule ekrazytowe. Twierdzą, że oni (Austriacy), szanują Kenwencję Genewską, a Rosjanie używają wybuchowych pocisków karabinowych. Wobec czego zawiadamiają armję rosyjską, że każdy żołnierz, u którego znajdą kule wybuchowe i każdy dowódca, w którego oddziale żołnierze używać będą tych kul — będą rozstrzeliwani bez sądu na miejscu. Nikt nie podpisał tego groźnego papierka.

Oczywista, by móc kogoś rozstrzelać, nie teoretycznie, ale praktycznie, trzeba go najprzód złapać żywcem. To też Austriacy „mania” jak mogą Moskali do siebie. W kartce: „Ruskijsie żołdaty!” wzywają, by pomogli ukończyć wojnę przez poddawanie się. Już Francuzi i Serbowie rozbici, piszą Austriacy, połowa Francji i cała Belgja zajęte przez Niemców, flota wojenna Angliji ma wielkie straty, a okręty handlowe zatopione, 2 i pół miliona rosyjskich żołnierzy zabitych, rannych i chorych. Miljon już w niewoli. Niema komu pracować w polu. Głód i rewolucja w Rosji. Władze rosyjskie otruły jedyne go honorowego i uczciwego człowieka, hr. Witte, który chciał w porę skończyć tą straszną wojnę, tak jak skończył w porę wojnę japońską.

A czego chcemy my, piszą dalej uprzejmi Austriacy. My chcemy tylko pokoju i swobody religiji oraz pracy dla wszystkich. Przechodźcie więc do nas.

Znów brak podpisu. Kartkę układał jakiś „skromny” dobroczyńca rosyjskiego żołnierza.

Znów kartka, ta już ilustrowana. Na podwórzu jakiegoś klasztoru pod arkadami masywnej budowli — raj na ziemi! To jeńcy rosyjscy uczują z Austriakami. Przy stole, zasłanym białym obrusem i obstawionym baryłkami wina, siedzą oficerowie, dalej zbratani, dzielni szeregowi, każdy z jakimś naczyniem do picia. Żyć nie umierać! A u dołu: 7 rubli, bracie, dostaniesz za rosyjski karabin, a kopiejkę za każdy nabój, który przynie-

siesz z sobą do niewoli. A jak przyjdiesz, będziesz jadł, pił, jak ci na obrazku.

Inna kartka — to biuletyn wydarzeń wojennych za miesiąc. Datowana 15 marca 1915 w Genewie, a więc w państwie neutralnem, stara się w sposób „obiektywny“ przedstawić „zwycięstwa“ niemiecko-austrjackie, w ciągu ostatniego miesiąca.

Wszędzie dobrze, nawet... w Przemyśle, gdzie poddali się sami tylko chorzy. Sentencja ogólna, że położenie przeciwników Austrii nadzwyczaj się pogorszyło w ciągu ostatniego miesiąca.

Znów brak podpisu. Dobrze, bezinteresowne moce czuwają nad światem bezimiennie! Co do języków, to jest to Wieża Babel. Austriacy i Niemcy piszą po moskiewsku, a „Moskale“ swoje pomarańczowe kartki samolotowe, piszą... po niemiecku. W jednej z nich opisują zdobycie Przemyśla. Mówią o wzięciu do niewoli 9 generałów, 3000 oficerów i 120.000 żołnierzy, oraz zdobyciu wielkiej ilości armat i karabinów. Z tego widać, że nawet w najgorszych warunkach współzycia, „sąsiedzi“ muszą podtrzymywać między sobą jakie — takie stosunki, choćby listownie.

Chłopcy nasi „ryczą“ ze śmiechu, czytając, jak wzajemnie chcą się „oszwabić“ nasi zaborcy, do niedawna serdeczni przyjaciele!

Dziadus dzisiaj wziął przepustkę do Jędrzejowa na targ.

22 marca. — Dziadus wrócił wieczorem z Jędrzejowa z córką, ale wielce rozczarowany. Wrócił z bólem w nogach, bez obiecaney dla rodziny kiełbasy i bez bucików dla córki. Twierdzi, że na „jarmarku“ niema nic z tego, co było dawniej. Przywiózł tylko jednego, jedyne go wędzonego śledzia, który został, w mig, schrupany przez rodzinę.

Po południu udałem się jeszcze raz w sprawie mego ubrania do obywatela Litwinowicza. Ten nic jeszcze nie wie o ubraniu. Dał mi za to szablę z przyborami. Mój

stary pałasz dragoński oddaję konnemu ordynansowi bataljonu.

Pod wieczór, wezwany zostałem na okopy, gdzie był ranny w prawe podudzie obywatel Marciniak Edmund. Nałożyłem mu opatrunek.

Ponieważ chcę oszczędzić sobie spacerów wieczorami od okopów do wsi, gdzie najczęściej w ciemności błądzą, wobec czego, z pozwolenia dowódcy bataljonu, postanawiam zostawić izbę chorych w chacie dziadusia, a sam przenieść się do okopów z trochę opatrunków. Tak, będę zawsze pod ręką, gdy trzeba będzie opatrzyć rannych, oby ich było jak najmniej.

23 marca. — Od samego rana zabrałem się do szczepienia 1-ej kompanji, będącej w rezerwie bataljonu i o godzinie 10 wyruszam na okopy do komendy bataljonu, celem „stałego“ tam zamieszkania. Biorę tornister sanitarny, gitarę, dwa koce i plecak. Pogoda sprzyja przeprowadzce na „letnie mieszkanie“. Na dworze ciepło, czuć wiosnę. W ziemiance komendy na belkach, zrobionych z pni jabłoni i olch, zjawiły się blado-zielone gałązki i liście. Na półce z ziemi pod okienkiem wschodzą blade żdźbła żyta. Niech kto powie, że to nie wiosna!

Każdy rad wychodzi z dusznej ziemianki na świat boży. Graliśmy na gitarze na dworze, grzejąc się w słońcu. Pod wieczór, jak zwykle, obszedłem okopy w „poszukiwaniu“ chorych. W jasny księżycowy wieczór, wśród mgieł, idących z nad rzeki, na łąkach krzyczały czajki i grały kaczki w błotach.

Czujki nasze koło 10 wieczorem dały znać, że od strony Moskali słyszeć turkot wozów i odgłos wbijania pali. Komendant bataljonu kazał im przeszkodzić w tej „zbożnej“ pracy. Ściągnięto przez łączników wedety bataljonu, zawiadomiono przez telefon III bataljon, na prawo od nas i bataljon 2-go pułku, stojący na lewo, i punkt o godzinie dwunastej w nocy zrobiliśmy „napad ogniowy“ na pracujących Moskali. Pluton służbo-

wy dał z okopów kilka salw, a później podtrzymywał przez kwadrans silny ogień karabinowy.

Od strony biedaków-Moskali zupełna cisza. Nie odpowiedzieli strzałami. Widocznie pragnęli spokoju dla swych prac, które nad ranem podobno rozpoczęli na nowo. Spałem potem doskonale.

24 marca. — Cudna pogoda. Umyłem się w rzeczce, płynącej do Nidy koło naszej ziemianki. Rano byłem we wsi odbyć wizytę chorych kompanji rezerwowej. Potem obszedłem okopy. Chorych zaledwie pięciu. Meldowałem w komendzie bataljonu, że wczoraj trzecia sekcja, trzeciego plutonu, czwartej kompanji nie dostała: słoniny, cukru, herbaty, kawy i tylko ćwiartkę chleba, zamiast połowy. Obywatel Bukacki zarządził dochodzenie.

Strzelała artylerja austriacka i Brzozy, potem zaczęła się obustronna wymiana strzałów karabinowych. Mówią, że Moskale zdobyli, rzeczywiście, Przemyśl i są już pod Nowym Sączem.

Dzisiaj, koło 10 rano, naprzeciw naszego bataljonu wyszedł Moskal z okopów, machał czapką i krzychał: „nie strielat!“. Zaraz też duża ilość Moskali wyległa na okopy i zaczęła machać chorągiewkami. Wyszło dwóch naszych pod ich okopy, gdzie rzeka wąska, i oficer rosyjski rzucił im list, pisany atramentem na dużym arkuszu szarego papieru. Oto treść tego listu, który tak prędko doszedł nas z „innego świata“, z za rzeki:

„Diewiatago i diesiatago u nas sidieł komandir bataljona i zastawlał strielat. Siegodnia strielat nie budiem. Prichoditie w 1 czas dnia. Priniesitie naszym oficeram romu — oficery u nas choroszie. Wasz oficer obiezczał naszym fotograficzeskiju kartoczku — oczeń prosiat. Nie strielat! Pieremyszl wziat; 50.000 plennych, 3.000 orudij i t. d.“. W tłumaczeniu, z uwzględnieniem daty według starego stylu: „Dziwiątego i dziesiątego był u nas komendant bataljonu i zmuszał nas strzelać. Dzisiaj strzelać nie będziemy. Przyjdźcie o pierwszej

po południu. Przynieście naszym oficerom rumu — oficerów mamy dobrych. Wasz oficer obiecał dać naszym fotografię, proszę o nią bardzo. Nie strzelajcie. Przemyśl zdobyty, 50.000 jeńców, 3.000 armat i t. d.“.

Zdaje się, że chodziło im głównie o uwiadomienie nas, że forteca Przemyśl poddała się. To samo zresztą napisali na wielkim arkuszu tektury i pokazywali z okopów.

25 marca. — Cudna, majowa pogoda. Dzisiaj koło południa zaczęliśmy redagować list do Moskali, by godnie im odpowiedzieć. Koło 1 po południu, jak było w ich liście, dwóch naszych żołnierzy poszło na rozmowę z nimi, niosąc manierki z rumem. Wielu z naszych żołnierzy wyległo na okopy, by patrzeć, co z tego będzie. Gdy nasi podeszli do rzeki, Moskale zaczęli machać przecząco czapkami i powiedzieli, że: „Dziś przyjedzie „naczałstwo“. Schowajcie się, bo o drugiej możemy mieć rozkaz sirzelać“.

Naturalnie, wobec tak przyjacielskich ostrzeżeń, nasi wycofali się do okopów.

Niedługo sądzone mi było mieszkać w okopach. Przyszedł rozkaz, że zmienia nas VI bataljon, a my znów odchodzimy do Łopatkowic Drewnianych, na ciasne, brudne kwatery. Dowództwo bataljonu VI już ogląda nasze okopy.

Dziś w „Gazecie Krakowskiej“ przeczytałem o upadku Przemyśla, które nastąpiło, jak mówi komunikat urzędowy, 22 marca, na rozkaz Głównej Komendy armji austriackiej.

Obywatel Dąbrowa przywiózł z pułku zakaz konferencyj z Moskalami. Podobno Korpus interwenjował w tej sprawie w Komendzie Brygady. Jest to, naturalnie, sprawka pułkownika od artylerji austriackiej i żandarmów. Zresztą zakaz ten jest nam obojętny z chwilą, gdy idziemy do rezerwy.

Chcąc mieć coś „na pamiątkę“ z okopów, zrobiłem szkic pozycyj rosyjskich za rzeką, siedząc w okopach między Kwaskowem i Businą. Imponująco wygląda

„ich“ góra, wrzynająca się cyplem w brzeg rzeki. Żegnaj się z dziadusiem we wsi. Szkoda nam życia w okopach, ale rozkaz brygady jest nieodwołalny. Dzisiaj wieczorem — odchodzimy.

27 marca. — Niestety — znów Opatkowice Drewniane. — Wczoraj o zmroku zaczęliśmy, stopniowo, oddawać okopy szóstemu bataljonowi. Wszystko odbyło się cicho i sprawnie, by nie zwracać uwagi Moskali. Późnym wieczorem przymaszerowaliśmy tutaj.

Na miejsce obywatela Bukackiego mianowany jest bataljonowym obywatel Wyrwa. Sam Komendant Główny przyjechał i miał mowę do żołnierzy 1-ej kompanii, gdzie były nieporządki. Mowy tej, niestety, nie słyszałem. Obywatel Wyrwa ma rozkaz podciągnąć dyscyplinę. Wszyscy mówią, że Wyrwa „da szkołę“. A no, zobaczymy... Dzisiaj meldowali się u niego oficerowie bataljonu.

Obecnie siedzi u obywatela Wyrwy komendant kompanii Wojsznar i targuje się o rozszerzenie za rzeczka rejonu kwater jego kompanii.

Nudno tu i ciasno w porównaniu z okopami, gdzie człowiek ciągle był na świeżym powietrzu i nigdy się nie nudził, bo zawsze było coś do obserwowania u Moskali. Nadomiar złego oziębilo się i pogoda jest fatalna. Żołnierze są niezadowoleni z powodu wyjścia z okopów, gdzie urządzili się „na dobre“ i na dłuższy czas. Odbija się to na ilości „chorych“. Podczas, gdy w okopach było 3 — 4 chorych, dzisiaj zgłosiło się odrazu — dwudziestu. Ilość zgłaszających się chorych, to najlepszy barometr nastrojów w oddziale.

Dzisiaj uporządkowaliśmy ładunek naszego wozu sanitarnego.

Poza moją gitarą, którą Dudoń zawiesza na obłękach brezentowej „budy“, znaleźliśmy tam rzeczy następujące:

Zawartość mozu sanitarnego I Bataljonu:

I. 2 kosze:

*kosz Nr. 1: mata czysta — 2 kg.
mata nieczysta — 4 kg.
gaza czysta — 20 mtr.
chustek trójkątnych — 15.
fartuch — 1.*

*kosz Nr. 2. alkohol — 150 gr.
opasek zwykłych — 12.
opasek organtynowych — 45.
maść cynkowa — 400,0 gr.
maść ichtyolowa — 100,0 gr.
benzyna — 50,0.
opatrunki „Samarytanin“ — 60 szt.*

instrumentarium z torn. rekrizycyjnego.

II. Szyn blaszanych — 6.

III. Noszy — para 1.

IV. Kuferek apteczny:

pastylek kmaśnych — 5.

Argentum nitr. — 1 gr.

Coffein natr.-sal. pro inject. á 0,05 — N. 10.

Coffein natr.-sal. pro inject. à 0,1 — N. 10.

Morph. muriat. pro inj. à 0,015 — N. 10.

Morph. muriat. pro inj. à 0,01 — N. 8.

Morph. muriat. pro inj. à 0,02 — N. 10.

Cocain. hydrochl. à 0,02 — N. 20.

Strzykawka „Rekord“ 10 cm³ — 1.

Strzykawka „Rekord“ 2 cm³ — 1.

Tinctura odontalgica — 40,0.

Ol Ricini — 30,0.

Liniment. Lini — 150,0.

Solut. Zinci sulfur. — 10,0.

Ung. acidi borici — 50,0.

Ung. Zinci oxydati — 20,0.

Ung. Hydr. ciner. — 50,0.

Ung. ichtyoli — 100,0.

Kalium hypermanganicum — 15,0.

lampki spirytusowe — 2.

8 opasek.

6 opatrunków i wata.

i chustka trójkątna.

gaza sterylizowana.

sygnatury dla rannych.

28 marca. — Dziś, na Siwutku, wyjechałem do kompanji trzeciej Wojsznara, ale chorych tam nie było. W drodze powrotnej Siwutek poniósł, że rady sobie dać z nim nie mogłem. W dodatku mokry śnieg ciążył w oczy tak, że nic nie widziałem. Dobrze, że nie zaniósł mię na druty telefoniczne. Pędził po równym polu i wreszcie opamiętał się, gdy zaczął sapać.

Wyrwa jest trzynastym bataljonowym w naszym bataljonie. Bataljonik nasz stopniał do 595 ludzi, naskutek chorób.

Przyjechał obywatel Dąbrowa z pułku by zorganizować święcone dla żołnierzy. Otrzymamy mąkę, rodzynki i 200 koron, na zakup jaj na miejscu i koszty pieczenia.

Dziś słysząc było z oddali huk armat; wrażenia wojenne dochodzą więc i tutaj. Żołnierze, którzy wrócili z kursu karabinów maszynowych, opowiadają, że Moskale wczoraj złapali jednego żołnierza z VI bataljonu.

Podobno było tak. Przyszli Moskale na cypel, gdzie rzeka najwęższa, było ich kilku. Po naszej stronie był jeden żołnierz. Moskale mówią mu, podobno: „Czy pan silny?“.

— Silny jestem — mówi nasz.

— A, no zobaczmy! — mówią Moskale.

Rzucili sznur przez rzekę. Nasz go chwycił, ale Moskal szarpnął i sznur mu wyrwał.

Wtedy Moskal opasał sznur koło siebie i mówi, żeby nasz się też opasał sznurem, to wtedy już sobie sznura nie wyrwą i zobaczą, kto mocniejszy w nogach. Nasz

się opasał, a wtedy Moskale wszyscy złapali za sznur i naszego żołnierza przeciągnęli na swój brzég, nim zdążył się rozplątać.

Wygląda to na prawdziwą moskiewską „chitrość” — podstęp.

Chorych w bataljonie było 14, z których jeden odesłany do szpitala.

29 marca. — Wróciliśmy więc do najnudniejszej rzeczy, jaka istnieje na wojnie: pobytu w rezerwie. Nudy piekielne i niema co robić. Znow gramy w karty, cenzurujemy pocztę i gadamy. Wśród powinszowań na święta nie brak „oryginalnie” pomysłanych. Oto przykład:

„Słonecko wschodzi i miesiąc zachodzi więc Jantus jus do Ciebie ni chodzi i jus cie opuścił musi ze na dobre wiec ja siadam, u wigury zacenam pisać zgóry... O co sie dzieje u Ciebie dobrego, cyś jest zdrowia i jak ci sie powodzi un jus o tobie nie spomnie musi ze jus nacie napluł i w d... cie kopnuł ze un ma insyk po usy i jesce wiecy, a ciebie ma dość i dziękuje ci za to coś sprzitulala i kochala i d... dawala pozdrawiam cię przez ogon cielecy ze niekce widziec wiecy boś ty sama jedna nie jednego jus uwiedla i jesce kces uwieść, ale na te fantazyje ci jesce powinsuje na wesołe święta... zostaj z Bogiem ja nie twój a tyś nie moja”.

Ta kartka „tęsknoty” z placu boju, wysłana na święta, musi oczywiście sprawić swój „efekt”.

Do bataljonu znów nadchodzą kartki bardziej czułe, np.: „Co noc nam sie śniesz, sypiać bez ciebie nie mogę”... Oczywiście ma tu być nie „bez ciebie” tylko „przez ciebie” lub „z powodu ciebie”. W przeciwnym razie nie byłoby to tak otwarcie pisane na kartce. Inna „kartka” skarży się cicho: „Już trzecią kartkę piszę a od ciebie niema wieści. Wszyscy strasznie tu za tobą tęsknimy”... Biedni „wszyscy”... Nasi chłopcy niegodziwie chwalą się treścią tych kartek przed kolegami.

Stopniowo człowiek staje się „sławny“. W „Kurjerze Codziennym“ jest moja podobizna w grupie sztabu pułku z podpisem, niestety: Dr. Mucharski, lekarz sztabowy.

Ha, dobry i Mucharski na początek. Tylko tak dalej, a będzie dobrze.

Z nudów, istnieje u nas manja zbierania w zeszytach podpisów i pieczętek. Ja też, w moim pamiętniku przywaliłem okrągłą pieczęć z Orłem i napisem: „Komenda I. Baonu. I Pułku I bryg. Leg. Polsk.“. Nad nią dałem skromniejszą „podłużną“: „Komenda 1 Baonu I-go Pułku Legionów Polskich“.

Rzeczywiście, niema co robić, niewiadomo czy się jest na wojnie, czy na odpoczynku. Chłopcy nużą się beczynnością i mówią: „Jak wojna — to chcemy się bić; jak odpoczynek, to chcemy... dziewczyny“. Niema ani tego, ani tego. To też chorych było dzisiaj aż 28.

30 marca. Ciągle, Opatkowice Drewniane. — Dzisiaj rano, dziaduś rozgadał się o „doctorach“. Opowiedział przytem, jak babcia chorowała po małym, jak przyjeżdżał „dochtór“ z Jędrzejowa, „wzion“ 10 rubli, powie-dział że z babci nic już nie będzie i pojechał. Dziaduś odwiózł „dochtora“ i zaraz tą samą furmanką przy-wiózł, też z Jędrzejowa, babę 70-letnią — „likarkę“. Ta położyła babci okład z gorącej kapusty i kartofli, potem dała jej „tłusty wódki“. Babcia zjadła potem pół kury i spała od 11 rano do wieczora. Nie obudziła się nawet, gdy „likarka“ biła miotłą „babkę“, która była przy porodzie małego i uszkodziła babcię.

„Nie kuzdy dochtór się pozno“ — zakończył dziaduś.

W okopach, w VI bataljonie, w tych dniach, podob-no, zabity jeden żołnierz, trafiony w oko. Przeszli Ni-dę wbród i zabrali Moskałom trzy karabiny z okopów. Karabiny moskiewskie zardzewiały, źle utrzymane.

Byłem dziś wzywany do chorego dziecka nauczyciela w naszej wsi.

Chorych żołnierzy było 27.

Mamy przemaszerować do wsi Tur — Piaski. Nareszcie stąd się ruszymy i przejdziemy kawałek.

31 marca. — Z powodu braku miejsca w Turze-Piaski, komenda bataljonu, trzecia i czwarta kompanje zostały umieszczone na końcu wsi w Turze Dolnym, gdzie stoi i komenda pułku. Celem zaoszczędzenia miejsca, chorych mam przyjmować w ambulatorjum pułkowem dra Jakowickiego. Byłem dzisiaj zameldować się u niego w komendzie.

Przyznam się, że po moich przejściach „frontowych“ w Wilamowicach jest mi zawsze trochę nieprzyjemnie, gdy melduję się u Śmigłego. To też i dzisiaj przydługo poprawiałem pasa przed wejściem do izby.

Zauważył to obywatel Piórecki i mówi: „Śmiało, doktorze, obywatel komendant był trochę zły na was, ale to już przeszło“.

No, nie dziwię się Śmigłemu, że był „trochę“ na mnie zły.

Dr. Jakowicki wezwał mię na consilium lekarskie, niestety, jak zawsze, bezpłatne.

Na wieczór jestem zaproszony do Janka Gołąba do samodzielnego V bataljonu.

Pomimo stworzenia dwóch trzybataljonowych pułków w brygadzie, V i VI bataljony pozostają jako samodzielne, wbrew chęci i woli Austriaków. Mają być one kadrami dla nowych naszych pułków. To też przyszły historyk będzie miał trudności z naszą organizacją, szczególnie z nazwami pułków i bataljonów, wchodzących w ich skład.

Doskonała jest ta organizacja w naszej brygadzie. Brygada ma dwa pułki. Jeden pułk jest, napewno, pierwszy i ma I i III bataljony.

Drugi pułk brygady, niewiadomo jak ma się nazywać: drugi, czy piąty. Ma on II i IV bataljony. Pułk więc w naszej brygadzie ma tylko dwa bataljony.

Bataljon ma cztery kompanje — kompanja — trzy plutony i pluton ma trzy sekcje.

No, to już cała tabliczka mnożenia.

Dziś było 28 chorych.

Przyjęcie u Janka, z powodu Jana Pustelnika, było bajeczne. Fotografowaliśmy się przy świetle magnezjowem. Poza gospodarzem — Jankiem i mną, byli obywatele: Herwin, Kazimierz, Majewski, Rdułtowski, wreszcie ordynans Gołaba, Furmanek. Ja grałem na gitarze, wszyscy śpiewali. Nikt mi nie wymyślał, że fałszuję, to też w zapale nawet struny pozrywałem.

Byliśmy źli na Młynarskiego, że nie przyszedł na tę ucztę. Czyżby tak zhardział w brygadzie? Bawiliśmy się do północy. Drogę powrotną odbyłem, nie chcąc męczyć Siwutka, pieszo, z gitarą w rękę. Odbyłem ją bez przygód, jeżeli nie liczyć spotkania koło cmentarza z patrolem żandarmerji polowej. To nigdy nie należy do przyjemności. Powiedziałem im hasło i, mimo, że byli trochę zaskoczeni mym wyglądem trubadura z gitarą w śpiącej wsi za frontem, poszedłem spokojnie do domu. Najlepiej jest w takiej niewyraźnej sytuacji okazać sobie wzajemnie szacunek.

3 kwietnia. — Piszę w Pawłowicach, w Komendzie bataljonu, będącej w ocalałej chałupie, stojącej w okopach. Dom opuszczony przez ludność. W sieni, pełno materiału z „wojny pozycyjnej“, jak zwoje drutu kolczastego, młoty do wbijania pali, kilofy, łopaty saper-skie i tarcze stalowe. Taką tarczą, z okienkiem odsuwaniem, zasłonięte jest okno od strony wroga, jako ochrona przed kulami karabinowymi. W izbie, którą zajmujemy, nie można odróżnić, co zostało po dawnych mieszkańcach, a co pochodzi od naszych „wojennych“ poprzedników. Podłoga z ubitej gliny. Na ścianach obrazy świętych, ale widać, że część zdjęto. Za obrazem św. Wojciecha zwieźdłe „palmy“ z wiązanek trzciny. Na gwoździach, po zdjętych obrazach, widzę karabiny, pistolety i rysz tunek. Na lewo od wejścia komin, przy którym schodki do piwnicy. Za kominem framuga, przy

niej okno. W izbie — 3 stoły, krzesło, ława, stołeczek i paka na reflektor, na której też siadamy.

Panuje półmrok, gdyż okno od strony nieprzyjaciela prócz tarczy stalowej zasłonięte jest na stałe płachtą namiotową. Gdy wieczorem zapalić w izbie reflektor, wygląda jak w kinie. Naokoło domu pełno dołów od granatów, domek jednak jest zupełnie nieuszkodzony.

To samo jest po stronie rosyjskiej. Trzy domki stoją tam cało, mimo ostrzeliwania ich co jakiś czas przez naszą i austriacką artylerię.

Stodoła koło naszego domu rozebrana na okopy. Zostały tylko kamienne filary. Okopy, w gruncie piaszczystym, głębokie, leżą na wzgórzach, daleko od Nidy. Przed okopami ciągną się łąki, dalej rzeka.

Pogoda od dwóch dni cudna. Przyszliśmy tu wczoraj wieczorem ku wielkiej radości wszystkich. Stoimy na prawem skrzydle brygady. Prawoskrzydłowa nasza trzecia kompanja dochodzi do rzeczki Mierzawy, zwanej przez Austriaków Mierzawafluss, dosyć szerokiej, z mostem na drodze, idącej wzdłuż okopów.

O jakie trzysta kroków za okopami leży wieś Pawłowice, której ludność nie opuściła. Stoi w niej rezerwowa czwarta kompanja a za nią artylerja i mój punkt opatrunkowy w małej chałupie. Tu też przyjmuję chorych. W chatce jest tylko stara babcia i gęś w koszyku, siedząca na jajach. Dziś, Wielka Sobota, cała wieś zamieciona i uporządkowana. Babcia bieli izbę i macha mi pendzlem nad głową.

Dzisiaj, z powodu obejmowania odcinka, poszliśmy w komendzie na okopach spać dopiero o 6 rano. Dlatego po południu przyszedłem spać tu, do punktu opatrunkowego i wyspałem się znakomicie na czystej, świeżutkiej słomie.

W komendzie pułku w wiórach, podejrzanej świeżości, ciągle „coś“ gryzie i nie da spać.

Żołnierze otrzymali podarki świąteczne i dużo listów. Ja dostałem kartki od p. Radcy Gołęba z Krakowa, Dra Silbigera ze szpitala w Kętach i od V bataljonu.

Kartka V bataljonu, zdobiona przez obywatela Sarmata, przedstawia pęknięte jajko, z którego wygląda dwóch legjonistów. Jeden z karabinem, drugi... z armatą, która strzela literami z; „Wesołego Alleluja“...

U dołu skromny napis: „Zakład art.-litograficzny V Baonu“.

Oto treść kartki: „Byłemu eskulapowi naszego baonu i niestrudzonemu pogromcy maruderów Wesołego Alleluja życzy wdzięczny a pamiętliwy Baon V. Herwin wicekacyk w Mierzwinie, b. Komendant placu w Imielnicy. „Pchaj głębiej“ — pomocnik wicekacyka. J. K. Gołąb, marna Kreatura Pralekarza naszego baonu“.

Kartka przysłała jak się należy z pieczęcią: „I Legjon Polski, Komenda V Baonu I Brygady“ i była nadana naszą pocztą polową Nr. 118.

Ta pamięć o mnie mojego dawnego bataljonu sprawiła mi radość. Dużo strzelców otrzymało kartki od krewnych, znajomych, że podarki wysła im później, gdyż z powodu błota i złego stanu dróg nasza poczta polowa Nr. 118 nie przyjmuje większych przesyłek. Stąd poniektórzy są w nastroju smętnawym. Zato, tem bardziej, triumfują ci, którzy coś dostali.

Po południu, wyspany, wychodzę na wieś. Wszędzie sceny z życia obrazów Kossaka. Zbratanie się czystych, umytych, ogolonych naszych żołnierzy z piękną polową ludnością wsi. Wiosna, ciepło, odpoczynek.

Chorych 11.

5 *kroietnia*. — Dziś nocuję już w Komendzie bataljonu w okopach, gdyż mamy świeże wióry do spania i już „nie gryzie“.

Wczoraj było wielkanocne przyjęcie w pułku. Byli wszyscy oficerowie. Przyjechał Komendant Główny ze

1915

Byłimn pokutujemy naszego łona
i nieodkrywaniem przynajmniej awantur

Wesołego Allaha...

ryny

Wesołego Allaha...

Bian V

Herwin

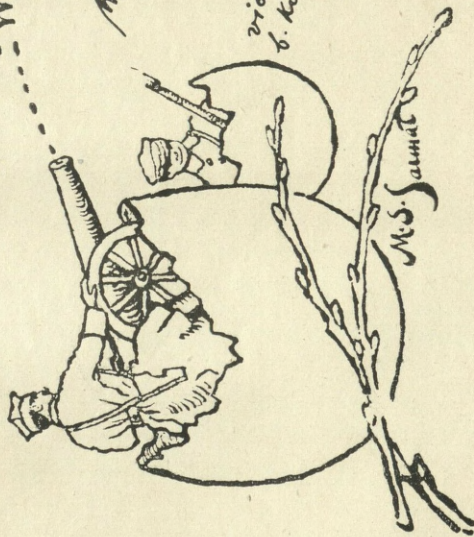
Wesołego Allaha...

Wesołego Allaha...

Wesołego Allaha...

Wesołego Allaha...

Wesołego Allaha...



Kartka świąteczna V bataljonu, jako przykład, że muzy nie zawsze mileją, gdy szczeka broń.

Sztabem. Święcone było, jak w czasach pokoju. Była szynka, kielbasa, torty, babki, daktylę, wina i wódka.

Komendant Główny, dzieląc się jajkiem, życzył mi „lekarza dywizji“. Później Komendant odwiedził kompanję rezerwową, która urządziła sobie „święcone“ na łące za stodołami i udał się pieszo na okopy do żołnierzy z obywatelami: Śmigłym i Wyrwą.

W okopach wszyscy żołnierze też mają „święcone“. Niektórzy, co podostawali paczki z domu, z przerażeniem myślą, co byłoby z ich zapasami, w razie nagłego odmarszu. Oczywiście, „dobrzy“ koledzy pomogliby im w tem strapieniu.

Nawet normalne „fasunki“ są nieco lepsze z powodu świąt. Oto spis prowiantów na dzień dzisiejszy. Niewiele odbiega on, zresztą, od spisu „smakołyków“ porcji normalnej.

I Pułk I Bryg. L. P. Baon 1 komp. 2. Kwoit wydaných prowiantów na dzień 5.IV.1915.

<i>Przedmiot</i>	<i>p. ż.</i>	<i>p. of.</i>
<i>chleb</i>	$\frac{1}{2}$ b.	$\frac{1}{4}$ b.
<i>chleb of.</i>		$\frac{1}{8}$ b.
<i>bułki</i>		1 szt.
<i>kawa</i>	2 p.	2 p.
<i>cukier</i>	100 gr.	100 gr.
<i>jarzyna</i>	100 g.	100 gr.
<i>kielbasa</i>	$\frac{1}{5}$ kg.	$\frac{1}{5}$ kg.
<i>papier. ż.</i>	10 szt.	25 szt.
<i>papier. of.</i>		
<i>herbata</i>	1 m.	1 m.
<i>konserwy</i>	1 szt.	1 szt.
<i>świece</i>	30 : 5 of. na bataljon	
<i>Podarki świąt.</i>	$\frac{1}{2}$ w.	295 w. na baon.

(—) Czerniarowski w z.

Tur Dolny 4.IV.1915.

Obywatele Dragat, Kruk i ja pojechaliśmy konno do III bataljonu z wizytą świąteczną. Znow było przyjęcie „tradycyjne“. Jeden z oficerów deklamował balladę „O pasie królowej“.

W dobrych humorach — w czasie jazdy powrotnej, naturalnie urządziliśmy wyścig. Siwutek, chociaż, jako żywo, nie pił nic prócz wody, wpadł w świąteczny nastrój i, złote konisko, wyprzedził nawet Kozaka Kruka, który słynie z szybkości. Ledwie dałem sobie radę z koniem już we wsi. Spotkałem dziadusia Nowaka i pogadaliśmy po przyjacielsku.

6 kwietnia. — Słońce, pogoda, ciepło, jasno, zielono. Majówka w okopach trwa, niezakłócona żadnymi stratami, chociaż, przecież — jesteśmy na wojnie.

W tej chwili po południu wyszliśmy na spacer z obywatelami Wyrwą i Krukiem i leżymy, beztrosko, na piaszczystym wzgórzu, o jakie czterysta kroków od Nidy. Rzeki prawie nie widać, tak zarosła zielonością wybrzeży. Gdzie niegdzie niebieszczy się woda wąską smugą wśród traw i kwiatów. Powietrze przejrzyste, widać stronę „rosyjską“ gołem okiem lepiej, jak w zimie przez lornetkę.

Na lewo przed nami Skowronno, dalej Kopernia, a na prawo Pińczów, pozornie śpiący, z dwoma kościołami i kaplicą św. Anny na górze. Jest koło tej kaplicy podobno reflektor moskiewski. Koszary z cerkiewką — jak wymarłe. A przecież muszą tam „bestje“ gdzieś być!

Jeszcze dalej na prawo ciemno-niebieski las zamyka horyzont. Cisza zupełna wokoło; ma się wrażenie wycieczki z miasta na parę godzin, gdy człowiek grzeje się w piachu i patrzy w niebo, leżąc na wznak.

Przedwczoraj miałem przygodę z powodu „powikłania“ hasła. Pod wieczór, gdy byłem u Dragata, przyszedł obywatel Majewski z V bataljonu z wiadomością, że Janek chory.

Ano, trudno, trzeba iść coś mu pomóc. Dumny byłem poniekąd, że ma do mnie jeszcze zaufanie, jako do lekarza.

Majewski pił o pośpiech. Na piechotę rypałem więc do Tura Dolnego. Tu, Dudoń, osiodłał mi konia i pomknąłem do V bataljonu.

Okazuje się, że draby chcieli tylko mię ściągnąć do bataljonu i wymyślili tą chorobę Janka, bym mógł łatwiej zyskać pozwolenie i przepustkę na wydalenie się z pułku. Są bowiem teraz zaprowadzone „surowości“ z wydaleniem się ze wsi i trzeba mieć przepustkę. Trochę to słuszne, bo, co jak co, ale włączyć się, to już wszyscy lubimy.

Zjadłem więc kolację w V bataljonie, przyczem Janek uroczyście zapewnił mię, że gdyby naprawdę był chory, to nigdy nie ośmieliłby się mię fatygować, co wszyscy obecni oficerowie uznali, jako dowód roztropności i ostrożności.

Późnym wieczorem wróciłem bez wypadku do Tura Dolnego, oddałem konia i postanowiłem pieszo iść „do domu“ na okopy.

Tu zaczęły się jednak trudności i wątpliwości. W komendzie pułku powiedzieli mi, że Austriacy zmienili dzisiaj wieczorem obowiązujące hasło: „Jäger“ na „Verbandplatz“. Ponieważ jeszcze nie wszystkie oddziały są o tem uwiadomione, więc w VI bataljonie, możliwe, że hasło jest już „Verbandplatz“, a w moim rodzonym, I bataljonie, może jeszcze obowiązuje „Jäger“.

Zrobiło mi się markotno. Przyjemnie jest leżeć w piasku, ale we dnie, a tu, w najlepszym razie, wobec podwójnego hasła, prawdopodobne jest „małe“ zatrzymanie z „padnij“, aż do zmiany posterunku, a więc mogące trwać do dwóch godzin.

Postanowiłem, wobec istnienia dwóch haseł, nie działać szablonowo, lecz uniknąć spotkania z posterunkami.

Omijając wartę kwaterunkową, stojącą na końcu wsi, poszedłem w pole na prawo wskos. Noc była dosyć

widna, ale chodzenie po zagonach i bruzdach nie należało do przyjemności. Bojąc się wyjść na VI bataljon, w którym mię żołnierze nie znali, „przybierałem“ ciągle na prawo. Tak szedłem z godzinkę. Już dawno powinienem być w okopach, a tu pole i pole. Wreszcie — szczerkanie psów, coś czernieje w oddali, później widać i światełka przez nieszczelnie zasłonięte okna — jednym słowem — wieś.

Myślałem, że to może Pawłowice, gdzie mam punkt opatrunkowy, ale po bliższem rozejrzeniu się, musiałem stwierdzić „rągą prawdę“, że wróciłem do Tura, ale od strony folwarku, czyli kluczyłem po polu, robiąc wielkie półkole wokoło wsi.

Ze ścieśnionem sercem, idąc znów wsią, mijałem stajnię Siwutka, który spał zapewne spokojnie, nie wiedząc nic, w jakiej opresji jest jego „chlebobdawca“.

Teraz postanowiłem iść już zwykłą drogą, by, mimo dwóch hasel, przez wszystkie posterunki, kule i bagnety dojść wreszcie do mego bataljonu. Z tym zamiarem minąłem śpiącą wieś i, prowokując wypadki, szedłem wprost na wartę kwaterunkową. Naturalnie sakramentalne: „Stój, kto idzie?“ i „hasło!“.

Powiedziałem odrazu dwa hasła i „Jäger“ i „Verbandplatz“, ale żadne nie zadowolniło wartownika.

„Nie, obywatelu, to nie jest hasło! zaczekacie na komendanta warty!“.

Stałem więc i czekałem, zadowolony, że nie leżę. Rozmowa nie „kleiła“ się, gdyż żołnierz trzymał karabin na „gotuj broń“, a ja starałem się w ciemności nie wykonać czasem jakiego ruchu, który wydałby się posterunkowi — podejrzany.

Tak trwaliśmy i czekaliśmy na komendanta warty. Posterunek, przynajmniej, miał tę satysfakcję, że spełniał swój obowiązek, ale ja... Nie mówiłem, kto jestem, gdyż bałem się, że „obywatel“, gdy dowie się, że jestem oficerem, będzie wykonywał regulamin jeszcze skrupulatniej, myśląc a nuż to naumyślnie, by go skontrolować i da mi „padnij“.

Wolałem więc być tylko zwykłym „obywatelem“, który nie zna hasła.

Wreszcie, z za chałup wynurzył się komendant warty, podszedł do nas, po całym ceremonjale regulaminowego obwąchiwania się w nocy z posterunkiem i... poznał mię odrazu. „Obywatel doktor!? co obywatel tu robi, przecież dwie godziny temu widziałem, jak obywatel doktor szedł do swego bataljonu! Cóż to nie znacie obywatela doktora?!“.

Wartownik odpowiedział coś, co miało oznaczać, że niema dlań świętszej rzeczy jak regulamin, a że ja (t. zn. doktor) nie znam hasła.

Komendant warty z całą uprzejmością: „Tak rzeczywiście, hasło Austriacy zmienili“. Poczem, zbliżając się do mnie, zniżonym głosem: „Hasło jest: „Banialuke““.

Myślałem, że żartuje, gdyż aż do tego wieczoru nie podejrzewałem, że jakakolwiek, najwaleczniejsza nawet armja, może mieć tak wzniosłe hasło. Powołałem się na „Jäger“ i „Verbandplatz“, podoficer jednak z całą stanowczością upewnił mię, że obydwie te hasła były, ale zostały zmienione, bo dwóch żołnierzy Czechów uciekło z wedety austriackiej do Moskali. Nie utrzymał się więc, już zmieniony, Verbandplatz, a w tej chwili jedynem hasłem, za którem mogę dostać się do mego bataljonu jest: „Banialuke“.

Pożegnałem się i z trzema już hasłami, pogрузylem się samotny w cienie nocy.

Na niebie weszły gwiazdy i, by ochronić się od ponownego powrotu do Tura, skierowałem się wzdłuż kierunku dyszla „wielkiego wozu“. Szedłem wytrwale, lecz, gdy po godzinie drogi nie napotkałem lasku dębowego, zrozumiałem, że, mimo „dyszla“, zabłądziłem znowu.

Gdzieś z prawa czekały psy. Bałem się, by to nie był aby znów Tur, a w nim, może jakie czwarte hasło austriackie! Zacząłem tedy gwizdać jakąś „obojętną“ piosenkę...

Zwykle w okopach, gdy dla jakiegokolwiek przyczyny, trzeba było, choćby na chwilę wyjść z ziemianki, gwizdaliśmy „coś patryjotycznego“ by nie być czasem ofiarą czyjejkolwiek gorliwości. Tu jednak wąż nocny mówił mi, że wyszedłem już z odcinka brygady i, że trzeba być przygotowanym na przeprawę z „walecznymi“ Austriakami. Nic tu więc żadna patryjotyczna melodia nie pomoże.

Tak gwizdząc „bez troski“, zbliżyłem się do dwóch domów, samotnie stojących na wzgórzu. Dwa psy ujadły jak szalone.

Zastukałem do okna chaty i zapytałem o drogę do Pawłowic. Męski zaspany głos odpowiedział: „Do Pawłowic?“. Prosto droga!

Był to oczywisty kawał, celem odczepienia się ode mnie, bo nie tylko „prostej“, ale wogóle, żadnej drogi nie było widać koło domu.

Zażądałem więc w formie niedwuznacznej, by ktoś wyszedł z domu i wskazał drogę do Pawłowic.

Chłop, naturalnie, wysłał swoją kobietę. Wyszła, wstydliwie osłaniając ręką koszulę na piersiach, drugą ręką wskazała mi kierunek marszu.

Wzrok mój przeniósłem z kobietki na niebo i zazna-
czyłem sobie gwiazdkę, która odpowiada kierunkowi
ręki.

Po pół godzinie marszu, z początku po wskazanej ścieżce, potem po jakichś torfowiskach, zobaczyłem na tle nieba, na wzgórzu zabudowania z ogrodem.

Ledwie zbliżyłem się do sadu na stoku wzgórza, gdy z głębi ogrodu padło: „Halt! wer da?!“.

Masz tobie — Austriacy! Ja tymczasem, bez posiadania hasła!

Stałem. — Lekarz legionistów polskich — odpowiedział po niemiecku.

„Hasło“?!

Źle! powiem mu jedno z mych trzech hasel i nie zgadnę, które z nich tej nocy obowiązuje — wygarnie do mnie jak do świecy.

Głosem stanowczym powiedziałem: „Nie mogę panu mówić hasła z takiej odległości. Niech pan da mi podejść bliżej“.

„Also kommen sie näher!“.

Zacząłem zbliżać się w kierunku głosu, pnąc się pod górę wśród krzewów.

Wreszcie zobaczyłem sylwetkę człowieka z karabinem, na „gotuj broń“.

Wydało mi się podejrzanym, że podpuszcza mię tak blisko, zatrzymałem się więc i powiedziałem mu, że znam trzy hasła, że hasła tej nocy były zmieniane, że jestem oficerem i żądam, by mię odprowadził do swego komendanta warty. W tej chwili usłyszałem trzask bezpiecznika.

— „Schieten Sie doch nicht, was machen Sie?“ — powiedziałem uprzejmie.

— „Nein, ich schiesse nicht, ich sperre nur die Sperrklappe! — powiedział Austrjak.

— Dobra jest, jeżeli zamyka bezpiecznik — pomyślałem z „widoczną“ ulgą.

Poszliśmy sadem do domu, do pana Fähnricha.

Szedłem naprzód, za mną mój zdobywca, ciągle z karabinem na „gotuj broń“. Człowiek ten, wyraźnie, przeżywał jakiś bohaterski moment swego życia!

Fähnrich siedział w jakimś schronie, wykopanym koło domu. Wy tłumaczyłem mu sprawę trzech hasel, obejrzał mię z latarką w rękę i powiedział do żołnierza: „Passirt“.

Byłem wolny i co ważniejsze w tychże Pawłowicach, tylko od drugiej strony, w rejonie Austrjaków, którzy stoją w okopach na prawo od naszego bataljonu. Ruszyłem rażno wsią i, napastowany już tylko przez psy, doszedłem do rejonu rezerwowej czwartej kompa-

nji bataljonu. W Komendzie świeciło się jeszcze. Wszedłem i opowiedziałem swoje przygody.

Ryczeli ze śmiechu, ryczałem i ja.

Hasło było, naprawdę: „Banialuke!”.

Okazuje się, zawszt najbezpieczniej na linii, wśród swoich...

Teraz, gdy leżymy przed okopami w piachu, nikt nas o hasło nie czepia. W chwili, gdy to piszę, rozpoczyna się nad rzeką codzienna przedwieczorna „pukanina”.

Dzisiaj o godzinie trzeciej po południu miało być zawieszenie broni. Moskale je zaproponowali, gdyż nie mogą pochować wszystkich austriackich trupów, które leżą po ich stronie jeszcze od nieszczęsnego zimowego ataku Austrjaków na Skowronno. W zimie nie dawało się to we znaki, ale obecnie trupy rozkładają się i cuchną. Moskale chcą je pochować, ale Austriacy do nich strzelają. Moskale strzelają znów do Austrjaków, gdy ci chcą chować swoich zabitych. Stąd chęć zawieszenia broni ze strony Moskali, a trochę i Austrjaków.

Jeszcze na przyjęciu w Komendzie pułku, Komendant Główny mówił do ob. Śmigłego, że z powodu wyjazdu swego do Jędrzejowa, poleca mu zastąpić się w czasie rokowań o zawieszenie broni z wysłanym przez Moskali parlamentarjuszem. Sprawa ma się oprzeć dopiero o Komendę Korpusu.

Wracamy do Komendy bataljonu w okopach. Zawieszenia broni widocznie już nie będzie. Wieczorem w Górach za naszym frontem wybuchł pożar. Ogień oświecił okopy i rzekę.

Nasze „dłubinoski“ wykorzystali ten nastrój, by śpiewać: „Z dymem pożarów“...

Chorych było 13. Nastrój żołnierzy doskonały.

Do spółki z Jasiem, naszym kucharzem, w „cywili“ uczniem gimnazjalnym, dostałem paczkę — różowy woreczek, w którym było: 2 pomarańcze, 4 jajka, kawałek czekolady, 2 kartki, bułka i 2 białe chusteczki do

nosa. Kartka, którą dostałem przedstawia: „Marsz nocny strzelców“... z napisem „Będzin, 4.IV.1915 r.

Naród bez ducha trupem,
A my Polacy, albo będziemy wielkimi w duchu,
Albo nie będzie nas wcale!
Obrońcy Polski z życzeniami Wesołych Świąt
Cześć! Maruśka J. i Zośka D.

Jaś przygotowuje nam codziennie, jedynie, niezmiennie i niezawodne kotlety z bułeczką. Myśli zdawać maturę. Poza tem, co parę dni, pisuje do Stefci. Miłość nie wysusza go, gdyż tyje z dniem każdym. Widocznie smakują mu kotlety „własnego wyrobu“.

7 kwietnia. — Piszę w naszym domu bataljonowym w okopach, po południu. Wyrwa śpi, gdyż w nocy robiliśmy służbę.

W okopach, za rozwaloną stodołą naszego domu, głucho gwar, spierających się o coś i baraszkujących chłopców.

Z pokoju telefonistów, po drugiej stronie sieni, co chwila dochodzi: „Hallo! zwanzigste Kompanie!“ przy nadawaniu jakiegoś fonogramu do Austriaków, stojących na prawo od nas za rzeczką Mierzawą. Czekam na telefon, gdyż mam zameldować d-rowi Jakowickiemu o lekko rannym w pierwszej kompanji. Ma on „ścier“ kulą lewego przedramienia.

Poza tem chorych dzisiaj miałem piętnastu. Uważam, że na przemęczenie i zaziębienie naszych chłopców najlepszym lekarstwem jest słońce. Czasem daję im aspiryny, by zachować pozory leczenia. Stąd złośliwi uznali, że ulubionem mem lekarstwem dla chorych jest: „Aspirynka, słoneczko, okopy“.

Tymczasem krótka służba w Kętach, a więcej choroby moja nauczyły mię szanować cierpienie nie tylko rannego, ale i chorego żołnierza. Nie można jednak dopuścić do obniżenia się naszych stanów bojowych.

Wczoraj wieczorem chodziłem z obywatelem Wyrwą na „redutę“, leżącą nad rzeką Nidą przy ujściu Mierzawy. Była to romantyczna wycieczka w ciemną noc, wśród drutów i błota. Dwóch patrołowców przeprowadziło nas przez poprzecinaną drutami kolczastymi i kozlami ścieżkę aż do reduty, leżącej nad samą rzeką i o jakie 200 kroków od okopu rosyjskiego, będącego na drugim brzegu rzeki. Idzie się tam w najgłębszej ciszy, gdyż Moskale „mają uszy“ i zaraz rypią na redutę z karabinów, umocowanych na stałe, w ich okopach.

Sama „reduta“ jest to rów strzelecki, biegnący półkolem, prawą stroną przytykający do rzeczki Mierzawy. Jako reduta, rzeczywiście flankuje przedpole naszych okopów. W reducie siedzi stale 14 — 16 żołnierzy, którzy zmieniają się przed świtem. We dnie niemożliwe dostać się do reduty, bo mochy piorą, gdy idzie się przestrzelenią otwartą.

Przy reducie spotkał nas obywatel podporucznik Mazur. Poszliśmy przed redutę, gdzie stoją w nocy 4 wedety. Jedna z nich nad samą wodą klęczy w błocie, przytulona do ziemi. Jedna znów pilnuje tratwy na Mierzawie. Inne czatują na kępach twardej ziemi w zaroślach.

Po obejściu trzech wedet wróciliśmy do reduty. Tu, w rowie, kto miał, wypalił papierosa pod płaszczem. Później podporucznik Mazur poprowadził nas na cypel na brzegu wody, skąd widać okop moskiewski. Wziął pistolet i rakiety, i w cichą gwiazdzistą noc wystrzelił nagle syczącym słupem ognia. Rakietą zawisła w powietrzu, ujrzelśmy na chwilę jaśniejsze pasmo piachu — okop rosyjski, i za moment ognista smuga utonęła w ciemnej rzece. Podporucznik Mazur rozbił sobie przytem palec, niezupełnie wygojone jeszcze po ranie pod Łowczówkiem.

Po naszej rakiecie zapanowała znów cisza i noc. Wreszcie sennie padły od Moskali dwa strzały. Odpo-

wiedziały im nasze wedety. Gdzieś zboku nerwowo wyprysła rakietą rosyjska. Znowu cisza zupełna.

Wracając do reduty, wpadliśmy po kolana w bagno, z którego trzeba było cichutko się wydobywać. Wreszcie, oto i placówka.

Wracamy odrutowaną drogą aż do okopów, wreszcie koło 1 po północy byliśmy z przemoczonymi nogami już w Komendzie bataljonu.

Dostałem dzisiaj fotografię od obywatela Wyrwy. Siedzi na swej klaczy, Szpaczce; naprzeciw jego ordynans konny na kasztanie. W środku obywatel porucznik Orlot na swoim Siwutku. Podpisane: „Kochanemu Doktorowi Kapitan Wyrwa wraz z Szpaczką i kasztanem. R. Orlot na Siwutku“.

Wyrwa siedzi na koniu, przy szabli, z torbą oficerską i „bacikiem“, czyli nahajem na konia.

8 kwietnia. — Komenda bataljonu w okopach. Wczoraj pod wieczór, gdyśmy siadali do kolacji, przybiegł z czwartej kompanji sanitariusz, że we wsi nastąpił jakiś wybuch i są ranni. Chwyciłem torbę z opatrunkami i pobiegłem do Pawłowic co sił; za mną obywatel Wyrwa i sanitariusz. Wbiegłem do wskazanego mi domu z powybijanymi szybami. W izbie podoficer sanitarny Bajurski opatruje szeregowca Henryka Horodyskiego. Osmolona i posiekana odłamkami granatu ręcznego cała lewa ręka, pierś i lewa strona twarzy. Palce zmiażdżone, trzeba będzie pewnie amputować.

Cierpienie było straszne, bo ranny miał oparzenie na tak dużej przestrzeni i kilkadziesiąt głębokich ranek.

Wołał o papierosa, coś „na spanie“ i szukał swoich listów. Dałem mu morfiny i ułożyliśmy go na słomie.

Drugi, starszy szeregowiec, Roman Horosz, nie potrzebował już pomocy. Czarny, osmalony z poobrywanymi dłońmi, tak, że stawy wyszły na wierzch, leżał w czarnej kałuży krwi obok warsztatu stolarskiego, na którym rozbierał granat ręczny. Nie żył już.

Po lewej stronie kołnierza, na czerwonym pasku, oznace szarży, miniatura Komendanta, jaką wszyscy nosimy. Dzielny żołnierz, młody chłopak, padł ofiarą ciekawości, jak zbudowane są ręczne granaty, któreśmy niedawno dostali.

Ten właśnie, obywatel Horosz miał mieć jutro służbę na „reducie“ i miał przyjść obudzić mię o 3 w nocy, by iść razem na cały dzień obserwować Moskali. Już nie pójdzie na służbę...

Horodyskiego odesłałem do Zakładu Sanitarnego Brygady. Stan jego też nie jest najlepszy. Myślę, że będzie żył. Komorę z leżącym Horoszem, zamknęliśmy na klucz, a okna powybijane zatkaliśmy płaszczem aż do przybycia komisji z brygady na dochodzenie.

Chorych dzisiaj było 16.

9 kwietnia, w Komendzie bataljonu. — Wczoraj wieczorem, przy ciemnej nocy zaczął świecić reflektor rosyjski, gdzieś od Pińczowa. To jest naprawdę — reflektor. Gdy przejedzie swem światłem po okopie, wszyscy jesteśmy biało-niebiescy jak upiory i widać, jak w dzień. Nasza i austriacka baterje zaczęły rypać w bezczelny reflektor, ale bez skutku, bo, co się przyczał na jakiś czas, to znów gdzie indziej ognistą smugą przeleciał. Dzisiaj, we dnie, znów strzelali, ale niewiadomo, czy on tam jeszcze stoi, gdzie był wczoraj.

Była awantura w 1-ej kompanji, z powodu lekko rannego w przedramię, którego nie odesłałem do lekarza pułkowego i powiedziałem, że może pełnić służbę. Młody chłopak, uważając się za rannego, choć kula ledwie starła mu skórę i goździem mógłby się mocniej „zranić“, poszedł wprost do dra Jakowickiego. Ten, nie wiedząc o niczem, przyjął go, lecz otrzymawszy mój meldunek, że rana jest zupełnie błaha, zgodził się z mojem orzeczeniem i przysłał żołnierza pod wartą.

Dzisiaj rano pokazałem jego „ranę“ w obecności, specjalnie wezwanego przeze mnie, podoficera plutonu, cieszącego się ogólnem zaufaniem i szacunkiem, obywatela

Douglassa, który, po zobaczeniu co to za „rana“, zabrał chłopca nazad do plutonu. Był najwyższy czas bo II pluton pierwszej kompanji chciał z powodu „pokrzywdzonego“ kolegi stawać do raportu. W tej chwili cała sprawa jest już załatwiona z honorem dla obu stron.

Dzisiaj pisałem raport sanitarny ze stanu chorych za ostatnie 10 dni. Są u nas teraz „porządki“ i raporty trzeba pisać, jak w prawdziwym wojsku. Przy jednym dniu zwłoki zaraz „telefonik“ z brygady. Strasznie nudne to pisanie!

10 kwietnia. — Dzisiaj rano z podoficerem Recem „przecenzurowaliśmy“ następującą kartkę pocztu polowej:

„Okopy 9.IV.1915. Wielmożna Pani! Najsam przód dziękuje Pani za kartkę, którą otrzymałem i cieszy mię bardzo, że Pani onas nie zapomina bo nam się bardzo przykrzy w okopach. Musi Pani darować, musze Panie sie zapytać dlaczego Pani tak krótko Kasię trzyma przecie jak wiosna to i na młode Panienki wiosna ale ciekawym jestem jak Pani robiła jak troszkę młodszą była. Natym kończe kartkę ale Pani musi wybaczy żem tak za śmiało po stąpił. Domilego zobaczenia“.

No, wątpię, czy „zobaczenie“ będzie „miłe“ dla obydwóch stron po otrzymaniu takiej „za śmiałej“ kartki!

Nad ranem dzisiaj strzelały znów nasze armaty do reflektora. Dali 16 strzałów, ale nas nawet nie obudzili. Już człowiek — „przywyklszy“. Zato koło południa Moskale zaczęli rypać granatami. Widocznie złość ich wzięła. W Businie zabili jednego żołnierza z VI bataljonu i połamali lasek koło Tura Dolnego.

Odbył się pogrzeb starszego żołnierza Horosza, zabitego przez granat ręczny.

Z powodu tego wybuchu bezpośredni przełożeni, do dowódcy kompanji włącznie, mieli dużo nieprzyjemności za brak dozoru.

Jest to racja, ale naszych chłopców — bardzo trudno upilnować. Młode to i życiowo niedoświadczone, a z dru-

giej strony już „stare wiarusy“. Co takiemu zrobić i czym mu zagrozić? Najprędziej działa dobry przykład i przemówienie do żołnierskiej ambicji.

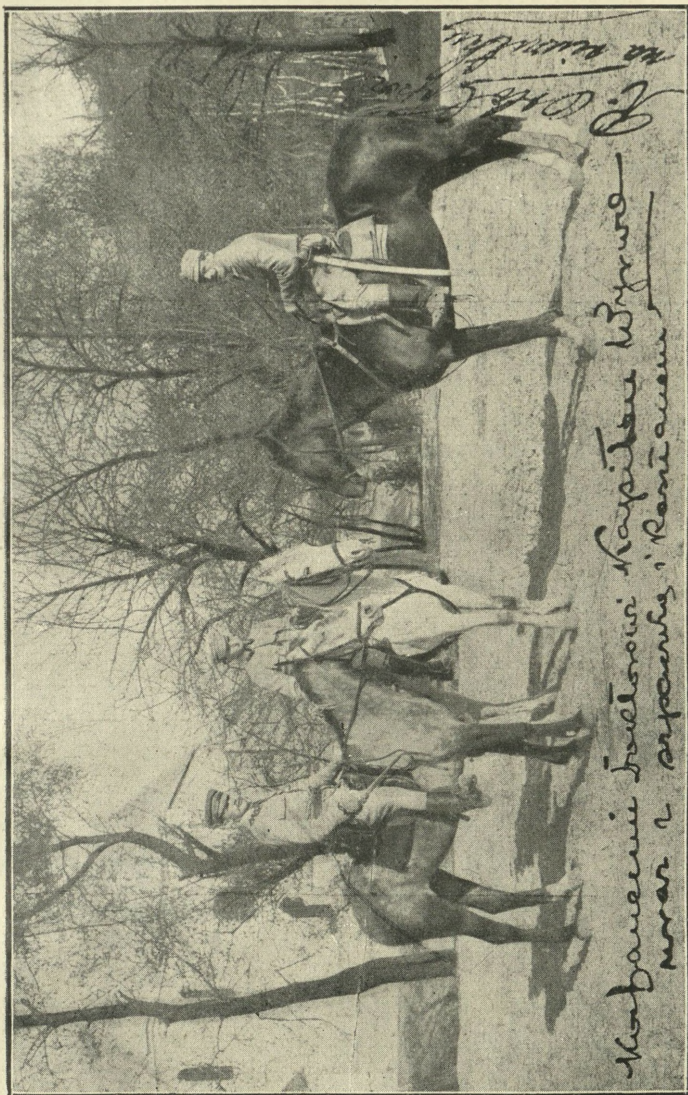
Dostałem dziś kartkę od dra Blaya z oddziału zakaźnego szpitala św. Łazarza w Krakowie. Pyta o moją chorobę, a ja sam nie wiem, gdzie i kiedy pozbyłem się mojej choroby.

Chorych zgłosiło się 12. Obecnie są to cierpiący na kaszel i reumatyzm, wskutek nocy spędzonych w wodzie i błocie w zimne noce na wedetach. Poza tem różnego rodzaju uszkodzenia przy robieniu zagród drucianych i noszeniu kozłów odrutowanych. Nikt zresztą nie chce już iść do szpitala, jako chory. Jest tu zbyt ładnie, słonecznie i beztrosko, by ludzie myśleli o szpitalu. Przecież, tutaj wypoczynek, a liczy się, jako „walka pozycyjna“.

Chcąc nadać pobytowi tutaj jakie takie cechy „walki“ — bijemy się, oficerowie i podoficerowie w kolumnie bataljonu, jak sztubaki. Zwykle większość wybiera sobie ofiarę, którą się goni po podwórze. Kto czuje się słabszy, musi wiać z za bezpiecznej chałupy na okopy, a, biegnąc po polu, może „dostać“ od Moskali. Tak słabemu zawsze „wiatr w oczy“.

W walkach tych przyjmuje wybitny udział obywatel Wyrwa. Zawsze z początku tylko obserwuje „obiektywnie“, nie zapominając, że jest komendantem bataljonu. W miarę jednak gdy walka się zaostrza, gdy jedna ze stron zaczyna „pracować“, obywatel Wyrwa rzuca swój „bacik“ i pomaga... mocniejszym. Mówi, że jako „wódz, w ten sposób, ostatnimi rezerwami rozstrzyga zwycięstwo“.

Chłopcy w okopach śledzą te nasze walki i obywatel Wyrwa ma zawsze „decydujące rezerwy“ pod ręką. W razie gdy walka przyjmuje dla obywatela Wyrwy niepożądany obrót, gdy mimo jego udziału, „zwycięstwo“ przechyla się na stronę, której on nie pomaga, nie waha się wezwać na pomoc... telefonistów. Mówi wtedy



Князь и полковник Кавалера в Бресте
 с полковником и полковником

Полковник
 на полковника

po obiciu strony przeciwnej, że „prawdziwy wódz“ nie przebiera w środkach. Oczywiście codziennie zmieniają się role. Ci, którzy byli bici wczoraj, biją dzisiaj. Często obrywa i sam obywatel Wyrwa mimo jego teoryj. To też wśród oficerów bataljonu powstały dwa „kluby“, nazwa których została „urzędownie“ zatwierdzona. Jest to klub „d... bijów“ i „d... brajów“. Statut nie daje przywileju długiego pobytu w jednym z tych klubów. Przeciwnie, ilość członków zmienia się w każdym codziennie. Nie trzeba dodawać, że do klubu pierwszego ludzie się garną, a stronią od drugiego.

Nic nie pomoże, każdy musi w obydwóch klubach swoje „odsiedzieć“. Nie jest wyłączony i obywatel Wyrwa.

O tem, kto ma być „d... brajem“ na dzień dzisiejszy, rozstrzyga nie zmowa, ale humor, jakiś ruch niezdecydowany, przedwczesna chęć do wiania i t. d.

Dobrze jest komendantom kompanij. Ci w chwilach najbardziej krytycznych wieją na odcinek swej kompanji. Robią to jednak tylko „w ostateczności“, bo nieprzyjemnie jest być „d... brajem“ wobec własnych żołnierzy.

Niebezpiecznie jest jednak gonić takiego komendanta kompanji na jego odcinku. Wnet jeden i drugi „dłubinosek“, który na przedpiersiu okopu gotuje ziemniaki, kawę, albo zgoła wprost, „dla rozrywki“ bije wszy, zrywa się z miejsca i ryczy: „Wiara, dajemy „posłusznie“ syra obywatelowi doktorowi!“.

Wtedy — przepadło: ze wszystkich ziemianek, załamów okopów, ba, nawet „latryn“, biegną postacie w gaciach i bez gaci...

Już w wąskim okopie zbiegają się wokoło, już „posłusznie“ napierają ze wszystkich stron. Najbliżsi są bierni i tylko „ulegają“ popychaniu dalszych. Tymi dalszymi są nieraz nawet „służbowi“ z ładownicami. Za chwilę człowiek jest już „biernie“ wepchnięty w piasek okopu, nie może ruszyć ręką ani nogą... Scenę tą

obserwuje komendant kompanji przez okienko swej ziemianki, dokąd zwał przed chwilą. Wychodzi w momencie, który uzna za stosowny i łaskawie „uwalnia“ obywatela doktora. Wtedy wraca się do komendy bataljonu w porwanem ubraniu, z czapką w piasku i obitemi bokami. Wyrwa ryczy z radości i krzyczy: „Doktorze, grunt wycofać się w porę!“...

Naturalnie on był pierwszy, by mię podniecić do gonienia „kompanijnego“, a sam później obserwował „czułą“ scenę z pobliskiego wzgóрка, pykając fajeczkę. Wiadomo, gdzie jest „władza“, tam „niiima sprawiedliwości!“.

11 kwietnia. — Do kapitana Wyrwy przyszły bajeczne baby i placki z Kęt. Jest tego dwie paki. Każdy większy „objekt“ zaopatrzony w sentencję, np.:

Z Kęt nad Nidę —

Chętnie idę, —

Gonić precz biedę“, — albo też:

„Babko z Kęt

Marsz na front

Czynić wrogom wstręt!“.

Babki te przyszły w samą porę, gdyśmy już o świętach zapomnieli. Będziemy mieli co jeść.

Rozporządzeniem delegacji oficerskiej w sprawie naszej kasy z 10 kwietnia, punkt 4: konie, lornetki i inne rzeczy, przydzielone oficerom stają się ich własnością. Siwutek, tym sposobem, do wczoraj należał do całej brygady, a dzisiaj jest już mój.

Zafasowaliśmy po 150 koron na umundurowanie, bo rzeczywiście chodzimy niebardzo imponująco ubrani. Jest naturalnie (zawsze się tacy znajdują) paru, którzy chodzą czysto ubrani, ale reszta...

Na utrzymanie Siwutka dostałem 15 koron. Wydali nam poza tem drobiazgi, których nie mieliśmy, jak: torba na mapę, latarka elektryczna, gwizdek, czerwony sznurek, kompas i ogromne ostrogi. Biedny Siwutek!

Ktoby się to spodziewał, że między mną, a nim nagle... ostrogi. Ale dali, to trzeba nosić. Nic nie pomoże...

Po południu były we wsi dla wszystkich oficerów bataljonu pokazy rzucania nowych granatów ręcznych. Rzucił granaty za stodołę oficer od saperów. Obydwa granaty wybuchnęły triumfalnie za stodołą, tak, jak to był „mistrz“ przepowiedział. Belki stodoły były podziurawione, w ziemi maleńki płytki dołek. Huku jednak dużo.

O północy zmienili hasło na odcinku, bo Moskale „za-fasowali“ wedetę austriacką, na prawo od nas. Tak bezkarność Moskale rośnie... Łatwo być odważnym z Austriakami. Czemu do nas nie przychodzą?

Żadnych pogawędek z Moskalami już niema. Przyjacielskie nastroje gdzieś djabli wzięli. Chorych było jedenastu. Same głupstwa.

Nieszczęścia nie chodzą pojedynczo.

Parę dni temu — wybuch granatu, a dzisiaj nad ranem nasza wedeta postrzeliła Feuerwerkera artylerji austriackiej, Niemca, ale bardzo sympatycznego i dzielnego człowieka. Wyszedł on z naszymi na ochotnika na patrol w nocy przed okopy i krzyknął zamiast: „stój!“ „stój“. We mgle nasza wedeta strzeliła i raniła go. Żalujemy go, bo sympatyzuje z nami i napisał nawet wierszyk p. t. „Legionär“. Ha, trudno!

12 kwietnia, w komendzie bataljonu, wieczór. — Noc ciemna i pochmurna, pada deszcz, w okopach błoto i woda przecieka do ziemianek, sącząc się pod progiem, przez „okienka“ i obok rur od piecyków.

Nastrój — daleki od słonecznego. To też obywatel Wir, który od kilku tygodni przeszedł do nas z V bataljonu i jest komendantem pierwszej kompanji, „ustąpił“ wreszcie z upierania się pozostania w okopach i poprosił o dawno należne przeniesienie do wsi. Jego miejsce zajął w okopach obywatel Dragat z czwartą kompanją. Dotychczas we wsi pełnił, jak żartujemy, osłone — „Mörserów“ (austriackich moździerzy).

W komendzie bataljonu nudy, zimno i wilgotno. Ciasta z Kęt już kończymy i lada dzień czekają nas wyłącznie kotlety Jasia.

Wraz z zimnem uderzyła na nas „ofenzywa“ wszy. Gdy świeci słońce, każdy zdejmuje koszulę i wzdłuż szwów tępi wroga. W pogodę, jak obecna, nikt nie jest tak agresywny, to też wszyscy drapią się cały czas, za wyjątkiem chwili gdy stoją „na bacznąść“ przy mel-dunku. Powstało przysłowie: „Nie suknia zdo bi czoł-wieka, ale wszy suknię“.

Z powodu naszego dłuższego pobytu w okopach te ostatnie uległy zanieczyszczeniu. W ciemną noc, gdy pada deszcz, żołnierz nie szuka „latrina“, ale „zatrzymuje się“ już w rowie dobiegowym. Stopniowo dostęp do ustępów zagrodzony jest szeregiem „barykad“.

Lekarz naczelny brygady wydał zarządzenie usunięcia natychmiastowego tych „wykwitów walki pozycyjnej“. Walka z nieporządkami zawrzała na całej linii. W każdej „latrynie“ wstawiono samotną łopatkę, którą żołnierz ma się „okopać“ przy wyjściu. Biedna łopatką!

Nawet „martwa natura“ uczy nas nieraz cnoty poświęcenia się jednostki dla ogółu. Gdy inne łopatki pracują chwalebnie w walce dla osłony swego pana, i są starannie przechowywane, ta jedna biedna łopatką, „bezpańska“, zostanie tu samotna w chwili naszego od-marszu i zginie bez sławy.

Celem sprawdzenia tych „porządków“ lekarze bataljonowi robią „inspekcje“ odcinków. Żołnierze mówią, że musimy „wyfasować“ lornetki, by wyszukiwać... w terenie. Niestety „wróg“ jest widoczny w terenie, w przygniatającej ilości, i bez lornetki. Dzisiaj wstrzymam się od „inspekcji“, gdyż wiatr i deszcz straszny. Może wszystko i tak będzie spłókané. Trzeba zostawić też jakąś ingerencję siłom natury.

Nasze armaty dzisiaj cały wieczór strzelają, znów bezskutecznie, do reflektora rosyjskiego. Świeci, jak świecił, a my nie mamy czym odpowiedzieć. W okopach

ciemno, tak, że posterunki krzyczą: „Kto idzie?“, nawet gdy człowiek wyjdzie tuż za próg ziemianki „spojrzeć na gwiazdy“.

14 kwietnia. — Wieczór, noc ciemna, ciągle pada deszcz. Ustały swawolne walki, zabawy na dworze. Wróciliśmy do poważnego, zimowego „pockera“.

W tej chwili grają przy stole w „pockera“: kapitan Wyrwa, Kruk Czarny, Orlot i Borecki. Borecki chce się odegrać, bo za chwilę musi iść na placówkę. Grałem i ja, ale przegrałem koronę, więc siadam do mego pamiętnika. Jest to przyjemność daleko tańsza i bezpieczniejsza.

Ziemianki w okopach, mimo wysiłków żołnierzy, zalane wodą, która od dwóch dni i nocy systematycznie zalewa okopy. Część żołnierzy przeniosła się do półrozwalonych chałup za okopami. Łatają je płótnami namiotowymi i siedzą. Jest tam sucho, ale zimno i ciasno okropnie.

Ilość chorych wzrosła natychmiast. Przedwczoraj było aż 25, wczoraj 18, dzisiaj trochę mniej, bo 13. Przeziębienia, reumatyzmy, parę zapaleń płuc, które odeszły do szpitala, wreszcie świerzb podnosi głowę, naskutek brudu i ciasnoty.

Jedna z chałup za okopami, zajęta przez żołnierzy, zawaliła się. Na szczęście w tej chwili nikogo tam nie było. Skończyło się na złamaniu bagnetu.

Wczoraj mieli nasi żołnierze przejść Nidę, by napaść na Moskali, ale świecił reflektor i Moskale rzucali rakiety. Wycieczkę trzeba było odłożyć. Mieli iść obywatele Hapowiec z Rychterem i przygotowywali sobie w tym celu drabinę, by ją rzucać przez rzekę i bagna.

Kapitan Wyrwa, ja i obywatel Benoni byliśmy wczoraj w nocy przy placówce drugiej kompanji przed drutami. Wracając, z powodu ciemności zmyliliśmy drogę między drutami i z trudem trafiliśmy do „Willi Benoniego“ w okopach. Było już po północy. Spaliśmy zato dzisiaj do południa.

W tej chwili przynieśli pocztę i „fasunek“. Jaś, który chodził po „fasunek“ i zostawił kotlety na kuchni, przypalił je, tak, że trzeba „wietrzyć“ izbę, mimo że jest zimno. Jaś zmartwił się, nie jego вина, że długo czekał na fasunek. Kolację, naturalnie i tak zjemy. Jest przecież przewidziana w „rozkładzie dnia“.

15 kwietnia. — Niebo się przetało — słońce, ciepło, ziemia paruje. Jest jeszcze chłodno, ale wszyscy wysuszyli buty i ubrania, więc humor dobry wrócił.

Na okopach wszędzie ożywiony ruch, ziemianki jeszcze ulegają gruntownej naprawie i genjalnym zmianom, które mają ochronić je od zalania wodą, „żeby tam nie wiem co!“. Wszystkie łopaty w ruchu. Poza tem, mówiąc językiem komunikatów wojennych, na odcinku bataljonu „nic godnego uwagi nie zaszło“. Chorych zgłosiło się 13.

17 kwietnia. — Siedzę po wizycie lekarskiej w okopie 4-ej kompanji na lewem skrzydle bataljonu. Dotychczas wizyty lekarskie robił tutaj obywatel Mioduszewski; wczoraj odszedł do trzeciego bataljonu na zastępstwo chorego obywatela Bystrama, który wskutek słabego stanu płuc musi wyjechać. Z odejściem Mioduszewskiego, który dużo i dobrze robił, czeka mię „harówka“ w dniu najścia chorych.

Piękna pogoda utrzymuje się ciągle. Szedłem przed okopami drogą na skos, bliżej Nidy, koło zgliszcz i ruin chałupiek, stojących wzdłuż drogi. Ruiny i krzewy zasłaniają przed wzrokiem Moskali. Spłoszyłem dwa zające, których spotyka się tu wielkie ilości.

Na okopach umiarkowana strzelanina. Czujki stron obydwóch skracają sobie czas „pykaniem“. Słychać suchy, ostry trzask karabinów rosyjskich. Rzadziej odpowiada im głuchy, cepowaty grzmot „mannlicherów“, z naszej strony.

Chorych dzisiaj było 19, wczoraj 18.

Ranny był wczoraj w nogę starszy żołnierz z drugiej kompanji, Józef Bittner. Rozpaczał, odjeżdżając od od-

działu, „na taki ładny czas“. Był to żołnierz jeszcze z pod Lasek. Wieczorem odjechał na wozie po prowadzenie.

Po południu słońce świeci, chmury rozeszły się.

Dziwny obrazek wojny: na okopach w piasku bawią się małe dzieci z chałup za okopami nieopuszczonych przez ludność.

18 kwietnia. — Noce mniej ciemne, mamy już now księżyc. Pogoda niezła, ale chłodno.

Z rozkazu lekarza pułkowego, dra Jakowickiego, opuszczamy jedną chałupę za okopami, gdzie jest dziecko chore na tyfus.

Sprawozdanie z kasy delegacji oficerskiej z 14.IV. 1915 wykazuje 118,932 korony 51 halerzy majątku. Przewodniczący delegacji oficerskiej jest obywatel Ludwik.

Cherych dzisiaj miałem 17.

Życie w okopach płynie nudnie i jednostajnie.

19 kwietnia. — Lato! ciepło! Słonecznie, na okopach pełno ludzi. Wszyscy leżą „na słońcu“. Wznowione zostały straszne „walki“ między oficerami. Dzisiaj nakryli mnie, gdy spałem, wszystkimi kocami, tak, że ledwie z pod nich się wygramoliłem.

Wczoraj Dragat namówił na mnie koalicję, złożoną z Pakosza, Wilhelma, Boreckiego, Kruka Białego, Benoniego i Szafrana. Cały ów „kwiat wojowników“ rzucił się na mnie niespodzianie w izbie. Wyrwałem się im i wiałem z podwórza po przedpiersiu okopu, w kierunku 3-ej kompanji, gdzie był „neutralny“ Wojsznar. Dopadli mnie, ale wyparłem Pakosza „do Moskali“ za okop. Koło kuchni trzeciej kompanji chwycili mnie ze wszystkich stron i uroczyście zaprowadzili do Wojsznara, bym zameldował się na jego odcinku. Śpiewali przytem chórem, za poduszczeniem Boreckiego: „Zniewolać go będą!“. W komendzie kompanji przy zupełnej, niestety, neutralności Wojsznara, chcieli, z namowy Wilhelma, użyć fasowanego, urzędowego atramentu kompanijne-

go do wymalowania na czarno niektórych części mego ciała. Ta ostateczność wzmogła moje siły: wyrwałem się, i z pobliskiego wykopu ogłosiłem im „wojnę świętą“, każdemu z osobna, gdy będzie oficerem inspekcyjnym w bataljonie. Naogół biorąc, chociaż unikałem atramentu, wyszedłem z tych zapasów dosyć zgnębiony.

Wczoraj komendant Wyrwa chodził ingerować do komendanta austriackiego bataljonu, który sąsiaduje z nami, w sprawie zachowania się Czechów. Chodzą oni wśród naszych chłopców, dziwiąc się, że tu jeszcze stojmy, że lada dzień nas „wyfasują“, bo Moskale są już na Węgrzech i t. d.

Austrjak rozkładał tylko ręce, mówił, że wie o tem, ale co ma robić. W jego bataljonie wszyscy pewni żołnierze, przeważnie Niemcy, mają na czapce S= sicher—pewny! Taki „sicher“ nic nie robi cały dzień. Na resztę żołnierzy zupełnie liczyć nie można: jedzą, kopią okopy bardzo starannie, codziennie w nich coś dłubią i myślą o tem, jakby się poddać i zakończyć wojnę. To też, gdy postawią ich na wedecie, giną jak kamień w wodę — oczywista wieją do Moskali. Celują w tem Czesi. Ładna rzecz mieć takich sąsiadów!

Oto obraz „armji“ austriackiej. Mają oni zupełnie dosyć wojny. Są tylko terroryzowani przez Niemców. Toż jeden oficer austriacki powiedział, że gdyby Prusacy prowadzili wojnę z Austrjakami, to ze strony Austrjaków danoby tylko jedną, jedyną komendę: „Zum Gebet“ — do modlitwy! Potem poddaliby się.

Oglądałem pozycje rosyjskie przez ośmiokrotną lornetkę kapitana Wyrwy. Pyszenie widać było chodzących po okopach i myjących się żołnierzy. Z Pińczowa zajechała bryczka-tarantas w parę porządných koni. Konie lepsze od naszych.

Koszary, jak wymarłe, jeździła jednak koło nich jakaś fura.

Chorych dzisiaj 17, jeden do szpitala. Wszystko na mojej głowie po odejściu dzielnego Mioduszewskiego. Pierwszy raz musiałem, sam, pisać dekadowy raport sanitarny. Wszystkich chorych w ciągu ostatnich dziesięciu dni zgłosiło się 170, z tego: przewodu pokarmowego 32; przewodu oddechowego 21; cierpień chirurgicznych 58; skórnych i wenerycznych 9, innych cierpień 50.

22 *kwietnia*, godzina 11 wieczorem, w komendzie bataljonu w przedostatnim domu wsi Tur Dolny. — Wczesnym wieczorem, o zmroku zmienił nas w okopach VI bataljon. Myśmy przyszli znów tu, do Tura, jako rezerwa brygady.

Od południa dzisiaj ostrzeliwała artylerja nasza i „turecka“ — (cięższe działa tureckie, z których strzelają Austriacy) z za prawego naszego skrzydła — pozycje rosyjskie. Najprzód strzelali na Skowronno, później Kopernię i Zalesie za Pińczowem. Wyrzypali dosyć amunicji, przeważnie szrapneli, rzadziej granatów. Nie wiem, dlaczego tak się dzisiaj „rozstrzelali“.

Po południu biedni Moskale zniecierpliwieni, a może dla podtrzymania godności osobistej, odpowiedzieli aż... czterema granatami, z których, nota bene, jeden nie wybuchnął. Potem cisza od Moskali, tylko z za Skowronnego wywindowali mimo silnego wiatru balon na uwięzi, który „patrzył“ na nas aż do zmroku, mimo że nasza artylerja „szalała“ i rypała za Skowronno, z czego tylko mogła. Szczeptały więc polówki i huczały ciężkie działa całe popołudnie.

Moskale widocznie nie mają amunicji armatniej, bo milczą zawzięcie. Na prawo od nas dali trzy salwy... karabinowe w nasze okopy i zaczęli ostrzeliwać żołnierzy, chodzących górą okopów.

Szedłem górą z Krukiem Białym. Strzelili do nas pięć razy. Z początku nic, ale potem jakoś blisko głowy. Wskoczyliśmy do okopu, przecież po to jest wykopany. Nie można ostatecznie bojkotować zdobyczy wiedzy wojskowej.

O zmroku uciszyło się i wynurzać się zaczęły pierwsze zwiastuny VI bataljonu. Wchodzili do okopów i „zdobywali“ ziemianki jedna po drugiej, krytykując braki, lub chwalać za dokonane prace. Okopy zaroily się od ludzi i rozdzwoniły szczękiem bagnetów o łopatki.

Wieczorem sprowadziłem ze wsi Siwutka, który jest wystany i wyhodowany wspaniale przez umiejętnie ręce Dudonia. Z trudem wdrapałem się na siodło, takie sztuczki wyprawiał.

Ledwie zatriumfowałem, i potęgą genjuszu ludzkiego opanowałem zwierzę, gdy obserwujący moje śmiertelne zapasy żołnierze pierwszej kompanji, stojący przy kuchni w oczekiwaniu na kawę, nagle, jednocześnie i sprawnie a złośliwie uderzyli łyżkami w menażki! Sprawilo to efekt natychmiastowy. Siwutek rzucił się wbok, a później, stuliwszy uszy, poniósł w kierunku wsi. Całe szczęście, że koń ten jest już w wieku statycznym, to też, mimo szalonego pędu w polu, udało mi się zatrzymać go we wsi w pobliżu... stajni.

Jeszcze raz sprawiedliwość zatriumfowała nad złościwością ludzką. Te draby ośmielili się jeszcze po przyjeździe do wsi zadeklarować mi, że zrobili tą muzykę, jako dowód sympatji dla mnie. Oczywiście, tak też to przyjąłem.

Na kwaterze zastałem struny na gitarę, przysłane mi przez Janka za pośrednictwem obywatela Kirkora. Dudon przymaszerował z moją gitarą, jako wierny giermek, niestety na piechotę. W tej chwili wszyscy żołnierze siedzą już na kwaterach. Czy VI bataljon nie ucierpi tam, w okopach, „za winy ojców“ z powodu dzisiejszego strzelania artylerji?

Chorych zgłosiło się 11.

Dzisiaj kończę drugi zeszytik mego pamiętnika. Oddam go, podobnie jak pierwszy, Jankowi do przechowania w Krakowie.

Kilka stron tego zeszytu mam zajęte przez najpopularniejsze piosenki śpiewane u nas. Oto ich tytuły: „Idzie żołnierz borem, lasem“; „Pieśń apaszów“; „Smutna, smutna, smutna, jest dola ma“...; „Straszna historyja, co serce rozdziro...“; „O mój rozmarynie...“; „Sorrento...“; „Zaszło mi słoneczko za górą mama“; „Raz w ciemną noc...“; „Poszła dziewczyna na Bukowinę“...; „Raz do wsi przyszli ułani...“; „Pod Krakowem czarno rola...“; „Naprzód drużyno strzelecka...“; „Hej strzelcy wraz...“; „W dzień deszczowy i ponury...“; „Hej tam od Krakowa...“; „Jak to na wojence ładnie“...; „Husia-susia“...; „Nie damy ziemi“...; „Dziewczyno, miłość to jak sen“...; „Przyjechali raz ułani z wojny“...; „Raduje się serce, raduje się dusza“...; „Hej madziar pi-je“...; „Pod zielonym dębem“...; „Ksiądz mi zakazał“... i t. d.

23 kwietnia 1915 roku. — Zeszyt pamiętnika Nr. III. W komendzie bataljonu w Turze Dolnym wieczorem.— Odwiozłem dzisiaj po południu, do Janka pamiętnik Nr. II i 150 koron, za które obywatel Kirkor ma mi obstałować w Krakowie u Kasesnika ubranie i czapkę. Dwóch domorosłych krawców z V bataljonu, wezwanych przez Janka, brało mi miarę na to ubranie. Nie wiem, czy co z tego będzie, bo przy braniu miary pokłócili się, jak trzeba to robić. Ostatecznie jakoś to zapisali, więc może i w Krakowie coś z tego zrozumieją.

Z Sobowic, od Janka, widać było pożar po drugiej stronie rzeki w południowej części Pińczowa.

Siwutek ciągle warjuje, tak, że w szamotaniu się z nim dzisiaj pękł mi rzemień od pochwy do pistoletu.

Wczoraj, w czasie przyjęć chorych przyszły do mnie dwie „kobitki“, jedna starsza już, druga młoda. Nie krępując się obecnością porozbieranych żołnierzy, weszły śmiało i młodsza ze strasznym zgorszeniem opowiadała:

„Jedyn paskudnik caluśki naguśki leży za wsio na trowie. Z początku do góry d..., a potem, jak my szły,

wykręcił się bezwstydnik do góry... brzuchem. Niechno pan starszy idą z nami a dobrze go tam „lizną“ tą „pi-drutą“, to mu się odechce we wsi takie rzeczy robić!!“.

Miałem dużo chorych, byłem zajęty, z drugiej strony „kobitce“ zanadto trochę oczy błyszczały przy opowiadaniu, jak na „czyste“ oburzenie. Biorę więc szpicrutę, daję jej i mówię: „A niechże pani idzie go „liznąć“ tą szpicrutą, kiedy taki bezwstydnik“.

Niestety, widocznie zostałem źle zrozumiany, bo kobitka plunęła i, wychodząc, zawołała: „A niech mu ta nawet psy odgryzą, co mi ta, mom swoigo chłopą w dumu!“. Charakterystyczne jest to „w dumu“. Widocznie, gdyby męża miała na wojnie, stosunek jej do „bezwstydnika“ byłby mniej wrogi. To też w czasie tej sceny ryczeli „najcieżsi“ chorzy w izbie przyjęć.

Po paru dniach już nikt we wsi nie zwracał uwagi na „słonecznikujących“ za stodołami nagusów. Chłopcy porobili się czarni, jak cygany. Jeszcze jedno wspomnienie „cywilne“.

Tuż za okopami, w jednej chacie była kobieta, cierpiąca na zapalenie spojówek oczu. Maść, zapisana przeze mnie, pomogła jej w krótkim czasie. Raz przechodzę i widzę, że oczy ma znów czerwone.

— Co, bolą was matuś oczy? — mówię.

— Dziś me bolo oczy i głowa, bo płakałam.

— Czegoście płakali, czy boicie się, żeby was nie zastrzelili?

— E, niech ta, choćby i zastrzelili!

— Więc czego, że mąż na wojnie?

— A tak, bo dzisiaj nainam chłopaka, a un orać nie umie. Siedlimy oboje i zapłakali!

Wątpię, czy chłopak też płakał. Rzeczywiście, co za „bezpośredni“ żal za mężem!

24 kwietnia, w komendzie bataljonu, Tur Dolny. — Dziś, cały dzień straszne nudy. Bataljon poszedł kąpać się do Jędrzejowa, do łaźni. Maszerują kompanjami, bo duża kolumna mogłaby zwrócić uwagę Moskali. Dlate-

go komenda bataljonu została „w domu“. Zostali też we wsi chorzy prawdziwi i „chorzy“, którzy chcieli wymigać się od kąpieli. Z kompanjami poszły kuchnie. Wieś jak wymarła. „Nagusa“ nigdzie na lekarstwo, chociaż słońce świeci i pogoda śliczna.

Chorych było 10.

25 kwietnia. — Cały dzień spokój i śliczna pogoda. Rano był kapitan Wyrwa meldować się na rewji generała Dankla, dowódcy armji. Do nas generał nie przyjechał. Bardzo, bardzo taktownie...

Kompanje wróciły wczoraj, wieczorem. Niestety, prócz kąpieli niektórzy żołnierze zażyli uciech w austriackim domu publicznym w Jędrzejowie. Wobec tego, za parę dni oczekuję „poufnych“ wizyt. Pod wieczór rozeszła się wiadomość, że linja austriacka została przerwana pod Wrocierzyżem (3 kilometry od nas). Do nas znów wieczorem przyszedł patrol bojowy 99-go pułku piechoty austriackiej z zapytaniem, czy u nas nie jest przerwana linja. Zdaje się, że cała rzecz poszła od telefonistów, gdyż była przerwana linja, ale telefoniczna i nie przez Moskali, ale przez jakiś wóz.

Wiadomo, w telefonie i przy kuchni powstają wszystkie plotki. Chociaż nieraz wiedzą oni rzeczy, które później się sprawdzają.

W chwili gdy to piszę, Austriacy z 99-go pułku piechoty wracają do siebie, zdjawszy z karabinów bojowo nałożone bagnety.

Jest cichy wieczór wiejski. Żaby rechocą... Zdaleka po rosie słychać śpiewane chórem: „Czy umrzeć nam przyjdzie na polu“...

Austriacy przeznaczyli po 24 koron miesięcznie na pralnie bataljonowe. Co czwarty dzień wydają konserwy i suchary. Brak mięsa i chleba. Oszczędność do nowych zbiorów! Wyrazem jej jest następujący punkt odprawy pułkowej z 25/4.1915:

2) Spożywanie chleba i rezerw. porcji żywności. Począwszy od dnia dzisiejszego, każdego czwartego dnia

należy wydawać żywność dla ludzi nie normalną, lecz rezerwową, t. j. składającą się z 1 puszki konserw mięsnych, 2 konserw kawowych, 30 gr. soli. Zamiast chleba wydawane będą w tym dniu suchary w ilości 400 gr. na człowieka. Uzupełniać powyższą porcję można jedynie, zakupując na miejscu kartofle w ilości najwyżej 1000 gr. na osobę. Inne dodatki w tym dniu nie mogą być wydane i zaliczane.

Aby zapewnić chleb aż do czasów nowych zbiorów, zarządziła EOK, by całą przypadającą na miesiąc ilość podzielić jednolicie, wobec czego obecnie normalna porcja dzienna wynosić będzie 540 gr. Piekarnia dywizyjna będzie wypiekać nadal chleb o wadze 1080 gr. wobec czego na człowieka wypadnie, jak poprzednio, pół bochenka. Jako dodatek do pełnej porcji wydawać się będzie 90 gr. sucharów dziennie. Dzienna porcja normalna wynosić zatem będzie 540 gr. chleba i 90 gr. sucharów.

27 kwietnia.—Wieczorem, w Komendzie bataljonu.—Generał Dankl przyjeżdżał napróżno. Kapitan Wyrwa powiada, że Niemcy i Austriacy robią ofensywę w Galicji zachodniej, a my mamy markować, że też atakujemy, by Moskałe nie mogli stąd rzucić rezerw do Galicji. Nazywa się to: „Feuerangriff“ — atak „ogniowy“. To też w nocy z 25 na 26 kwietnia zaczął się „sądny dzień“, a raczej „sądna noc“. Na linji nasi strzelali, z czego tylko mogli. Huczały i ryczały działa. Karabiny bulgotały całą noc, jakby kto ziemniaki gotował w garnku pod pokrywą. Rakiety co chwila świeciły na niebie. Jednem słowem — galowe przedstawienie.

Oczywista, jest to robione „na serjo“, to też nasze tabory spakowały się i sparkowały do wyjazdu, a o 2¹/₂ w nocy z czwartej kompanji przysłali, że Moskałe atakują, a nasi odpierają atak. Baby w całej wsi ryczały, że wieś spalą, bo nie orjentowały się, kto do kogo strzela. Myślały, że to Moskałe strzelają z armat.

Zdaje się, że Moskałe przycupnęli ze strachu i — nic! Dzisiejszej nocy była znowu taka sama demonstracja,

z początku na prawo od nas, a później, nad ranem i u nas.

Na dawnym naszym odcinku, naprzeciw reduty saperzy austriacy zaczęli w nocy budować most przez rzekę, ale zdaje się, chodziło tylko o markowanie, bo nad ranem zapanował całkowity spokój.

Nad okopami od wystrzałów i rakiet całą noc łuna światła, jak nad wielkim miastem. Wyglądało to naprawdę groźnie. Widocznie, Niemcy i Austriacy mają jeszcze dużo amunicji. Kapitan Wyrwa był całą noc w okopach VI bataljonu, by obserwować wpływ naszego „ataku ogniowego” na Moskali. Nad ranem wrócił i wszyscy posnęliśmy.

29 kwietnia. — Wieczorem, na plebanji w Mierzwinie. — Parę dni już zastępuję dr. Piestrzyńskiego, lekarza drugiego pułku piechoty. Genek Piestrzyński wyjechał na kilka dni do Krakowa. Rozkazem brygady zostałem tu przydzielony. Podane to zostało w 7 punkcie Rozkazu Pułku z 27.IV: „Na czas nieobecności lekarza 2 Pułku Dr. Piestrzyńskiego, funkcje jego obejmie lekarz I B. 1. P. Dr. Składkowski, jego zaś funkcje obejmie podof. sanit. 2 P. Zamojski. Objęcie funkcji nastąpi dn. 28 b. m. w południe”.

Ha, trudno, odmeldowałem się u kapitana Wyrwy i zameldowałem u kapitana Berbeckiego. Oficjalnie komenda drugiego pułku jest tutaj w Mierzwinie, ale kapitan Berbecki mieszka na linji w Sobowicach. Mnie ka-
zał zostać tutaj przy sanitarjacie pułkowym.

Staruszek proboszcz na plebanji, bardzo miły człowiek, jest całkowicie już zgnębiony tą wojną. Mówi, że odżył od czasu, gdy przyszli legjoniści. Przedtem Austriacy traktowali tu wszystkich, jak w kraju nieprzyjacielskim i księży mieli w wielkim podejrzeniu, że ludność buntuje. To też przedtem nie śmiał on nawet chodzić po wsi.

Mieszkam w saloniku księdza, sypiam na sofie i nie mam wszy! Razem tworzy to atmosferę pewnego kom-

fortu, którego nie widziałem już tak dawno. Roboty mam mało, czytuję wszystkie książki, jakie znalazłem w biblioteczce księdza proboszcza. W tej chwili piszę pamiętnik, leżąc na sofie, przy widnej, dużej lampie naftowej.

Miałem jechać do Jędrzejowa, ale nie pojechałem z powodu objęcia służby w drugim pułku strzelców, który oficjalnie nazywa się „piąty pułk legjonów“. Ma on dwa bataljony: II i IV.

30 kwietnia. — Nic nowego nie zaszło. Roboty mam bardzo mało, bo przychodzą do mnie tylko ciężiej chorzy, do podleczenia się w pułkowej izbie chorych, będącej obok plebanji. Zajmuje mi to godzinę pracy dziennie.

Przedwczoraj, w dzień przybycia tutaj, byłem na pogrzebie dwóch żołnierzy z trzeciej kompanji V bataljonu.

Było to pod wieczór. W kościele stały dwie, nieudolnie sklecone trumny z białych desek. Od jednej z nich odstawało wieko. Wierzch drugiej zbity był z cienkich, źle dopasowanych tarcic. Trumny łączył jeden duży wieńiec z choiny. Mały krzyżyk leżał na każdej. W kościele byli tylko najbliżsi koledzy z plutonu i dowódcy zabitych. Cztery świece rozświetlały mrok kościelny. Kapelan nasz, O. Kosma, w komży śpiewał po łacinie. Odpowiadał mu organista.

Gdy skończył pieśń, powiedział: „Za spokój duszy żołnierzy polskich, padłych w obronie Ojczyzny, proszę zmówić 3 Ojcze Nasz i 3 Zdrowaś Maryja“.

Klękli wszyscy. Trumny wynieśli na cmentarz koledzy. Na cmentarzu półkompanja, stanowiąca eskortę, prezentowała broń. Do śpiewu O. Kosmy dołączył się siwiutki proboszcz miejscowy. Ruszyliśmy.

Rozwinęła się krótka kolumna eskorty. Co jakiś czas zmieniali się niosący trumnę żołnierze.

Droga na cmentarz szła od kościoła koło figury, zapyloną drogą, przez most, obok zburzonej bombardo-

waniem chałupy. Zapadł już zmierzch, wszedł na niebo księżyc. W chatach zabłyśły światła. Żołnierze przechodzący, jedni salutowali przed trumnami, inni zdejmowali czapki.

Wreszcie cmentarz wiejski. Wykopany już duży grób na dwie trumny. Półkompanja stanęła frontem przed grobem.

„Ave Maria, Mater misericordiae“... zaśpiewali księża.

Potem koledzy zabitych zaśpiewali: „W mogile ciemnej śpij na wieki“, i: „Śpij, kolego, w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni tobie“...

Nastała cisza. Postaliśmy... Rósł nowy grób.

Obok było już kilka świeżych mogił.

Jedna mogiła, lepiej utrzymana, obwiedziona była drutem kolczastym.

Już ciemno było, gdy doszliśmy do wsi...

Dziwne uczucie: ciężko, gdy chowa się kolegę wprost w piachu na polu bitwy, gdy nerwy napięte, gdy śmierć jest „naturalnem“ następstwem bitwy. Widziałem, gdy żołnierze pod Laskami zasypywali ciała kolegów wprost w okopie, tak, że ledwie piasek przykrył zaciśnięte dłonie zabitych. Nie było to tak przygnębiające, jak ten dzisiejszy pogrzeb.

Ta uboga ceremonja przypomina, że jest „prawdziwe“, normalne życie codzienne, gdzie żyją ludzie bliscy tym, którzy zginęli, gdzie wszyscy „chcą żyć“, gdzie śmierć jest czemś niespodziewanem i strasznem, gdzie płaczą i żałują, mają czas „żałować“, gdzie śmierć jest ciosem.

Na kwaterach wróciliśmy do życia codziennego. Zabici zostali na cmentarzu i... sami. Rodziny ich mają jeszcze nadzieję, że wrócą z wojny, a oni już w ziemi.

1 maja. — Ciągłe plebanja w Mierzwinie. — Dzisiaj w nocy był alarm w V bataljonie, który stoi tu we wsi, jako rezerwa. Alarm trwał od drugiej w nocy do piątej rano. Hałas we wsi obudził wszystkich. Dowiadywałem się przez telefon w komendzie pułku, czy alarm

jest ogólny. Do mnie alarm się nie stosował, więc wróciłem spać.

3 maja. — Pamiętnik mój bardzo skąpy, bo nic tu nie robię i nie mam żadnych wrażeń godnych do zapisania. W tej chwili jest przyjęcie chorych pułkowych, od 3 — 5 po południu. Pomaga mi obywatel Rdułtowski.

Byłem przed obiadem wierzchem na ogromnym, gnianym koniu Piestrzyńskiego w Imielnicy, w sanitarjacie u obywatela Paczesnego. Spóźniłem się na obiad, który jadam u proboszcza. Naturalnie daję mój prowiant, bo bieda tutaj wielka.

Chorych na wizytę pułkową jest dzisiaj pięciu. Piestrzyński urządził bardzo porządną swoją izbę chorych i chorzy mają na łózkach sienniki i prześcieradła.

Wczoraj do trzeciej w nocy rozgadaliśmy się z Jankiem Gołabem, który jest tu we wsi ze swym bataljonem. Mówiliśmy o pracy na klinice chirurgicznej w Krakowie, o przyszłości, o tem, jak kiedyś wejdziemy do Warszawy. Od jutra zaczynam szczepić cholere. Genek powinien już łąda dzień wrócić.

W V bataljonie wyszedł litografowany „Wiarus Baonowy“, zawierający kilka ciętych satyr. „Winjetę tytułową wykonał wysoko postawiony artysta Brygady“, podporucznik Nałęcz. Przerysował „nieznany artysta“, J. Wierzbinka. Janek Gołab napisał: „Glossy do artykułów J. Kadena“.

4 maja. — Wczoraj Ojciec Kosma wyjechał do Jędrzejowa, celem wygłoszenia patryotycznego kazania.

Nie mam szczęścia. Ja tu siedzę, nie mam co robić, a tam, mój I bataljon robi wypad za Nidę w nocy i bierze jeńca. Była to trzecia kompanja I bataljonu. Poszedł z nią obywatel Dąbrowa, adjutant pułku, na ochotnika.

Obywatel Dąbrowa wyszukał przewodnika chłopą, który obiecał przeprowadzić w bród przez Nidę. Był chory na gruźlicę, więc dr. Jakowicki dał mu morfiny, by nie kaszlał w czasie przejścia rzeki. Zastali Moskali

przy wbijaniu pali do drutów koleczastych i wzięli ich gładko, 65 jeńców.

Drugi pułk też był za Nidą, ale wziął tylko dwóch jeńców. Tych jeńców nasi wzięli celem godnego uświęcenia rocznicy 3 maja.

Już po powrocie naszych do okopów Moskale koło północy otworzyli ogień armatni i karabinowy. Był to tylko bezsilny gniew po niewczasie. Potem zaczęli strzelać znów koło godziny 3 nad ranem.

Z dywizji austriackiej przyszło uznanie za wyfasowanie Moskali. Chciałbym widzieć minę pułkownika od austriackiej artylerji, który tak się wściekał na nasze braterstwo z Moskalami.

W ostatnich dniach Moskale ostrzeliwali Sobowice, gdzie znajduje się komenda drugiego pułku. Ranny został szrapnelem w nogę sierżant I bataljonu drugiego pułku, który przyszedł z Imielnicy do Komendy pułku po pocztę. Szrapnel upadł tuż obok obywatela Berbeckiego. Kapitan Berbecki jednak nie robi sobie nic z pocisków.

Dzisiaj dostałem „szkołę“, można powiedzieć podwójną, od obywatela kapitana Berbeckiego.

Było tak. Przed paru dniami wysłałem podoficera sanitarnego, którego było brak w bataljonie, wprost do I bataljonu pułku.

Na to w parę dni potem otrzymuję fonogram treści następującej:

„Do doktora Składkowskiego. Wszelkie przydzielania, nawet do oddziałów sanitarnych muszą być załatwiane przez komendę pułku. 1.V.1915 godz. 9.20. Kpt. Berbecki“.

Postanowiłem sprawę wyjaśnić, że podoficer pilnie był potrzebny, że dotychczas zawsze te sprawy, ex post, meldowałem dowódcy. W tym celu wybrałem się jechać konno do Sobowic, co było przyjęte, gdyż we dnie jeździły tam kuchnie i prowiant.

Gdy wybierałem się już siadać na konia, przyszedł Janek Gołąb i zaproponowałem mu, byśmy razem przejechali się do Sobowic. Przystał, osiodłał swego „Murzy-na“ i za chwilę jechaliśmy przez wzgórza do wsi.

Gdy podjechałem do Komendy pułku, kapitan Berbecki siedział na progu chaty. Zsiadłem z konia i podszedłem, by zameldować moje usprawiedliwienie.

Wysłuchał, a potem: „Otóż to obywatelu, u mnie musi być porządek. Kto z wami przyjechał?“, dodał, wskazując na Gołąba, który trzymał konie.

Powiedziałem, że to lekarz V bataljonu.

Wstał, podszedł do Gołąba, który mu się zameldował i powiedział: „Otóż to, obywatele, dużo konnych tu jeździ, a potem Moskale strzelają. Wracajcie obywatele“.

Naturalnie nie chodziło tu o strzelanie Moskali, tylko o danie nam „szkoły“. Wracaliśmy, jak niepyszni. Przeprosiłem Janka, że m go w taką kabałę wprowadził.

Widocznie jednak po naszym odjeździe obywatel Berbecki chciał załagodzić swą surowość, gdyż dziś rano otrzymałem fonogram następujący:

„Do Obywatela Doktora Składkowskiego na plebanji w Mierzwinie.

Jak wasze zdrowie? Komenda II Pułku“.

Odpowiedziałem „posłusznie“, że czuję się doskonale i podziękowałem za pamięć.

Dzisiejszej nocy artylerja austriacka zmieniła pozycję i podsunęła się bliżej plebanji. Szyby dźwięczały i huczało całą noc w domu aż stara gospodyni powiedziała, że widziała w obłokach, jak kościół i wieś rozpadły się nagle.

Dzisiaj z zachowaniem wielkich ostrożności wysłał ksiądz proboszcz zboże do młyna do Wrocieryża. Wobec rekwizycyj bał się wysłać przez chłopą. Chciał jechać sam, ale obawiał się, że Austriacy posadzą go o konszachty polityczne z proboszczem we Wrocieryżu, wobec czego pojechał nasz artylerzysta z babą. Chłop jest „morus“, powie Austriakom, że zboże — wojskowe.

Miała odwieźć zboże dziobata, brzydka służąca proboszcza, ale dziewczica ta powiedziała, że „boi się” jechać sama z żołnierzem. Proboszcz musiał brać ze wsi babę, która mniej boi się żołnierzy.

7 maja. — Wieczorem, w okopach I bataljonu, w ziemiance, zwanej „Krucze Gniazdo”. — Jestem więc znów od wczoraj w I bataljonie. Wczoraj po południu wrócił Genek z Krakowa. Najwyższy czas! Przywiózł mi mundur, spodnie, czapkę i opaski z czerwonym krzyżem. Jest to cała paka rzeczy, wszystko leży doskonale. Ubranie jest stalowo-niebieskiego koloru. Gdyby nie duża broda, wyglądałbym w tem wszystkim, zapewne, przyzwoicie.

Oczywista wracam natychmiast do I bataljonu. Musiałem jednak dokończyć szczepienia przeciwcholerycznego półkompanji, przydzielonych do nas pionierów austriackich nadporucznika Rigelle. Szczepienie ich, chociaż to 195 ludzi, odbyło się szybko. Dyscyplina zewnętrzna u Austriaków stoi jeszcze wysoko. Nie trzeba ich szukać ani zwoływać, jak naszych żołnierzy. Austriacy wolą być nawet szczepieni w rezerwie, jak, uchowaj Boże, iść do okopów. Nasi wolą się bić, niż przychodzić na „szczypypankę”. Poprostu różnica światopoglądów.

W czasie szczepienia pożegnałem się z Jankiem Gołębem, który wyjeżdżał na parę godzin do Jędrzejowa.

Zatelefonowałem do bataljonu, że wracam, i żeby mi przysłali obywatela Dudonia z Siwutkiem. Po szczepieniach pojechałem odmeldować się u obywatela kapitana Berbeckiego do Sobowic. Rozstaliśmy się przyjaźnie.

Pożegnałem się ze staruszką księżką. Już i Dudoń nadjechał na Siwutku. Plecak i koce wpakowaliśmy na siodło, gitarę wziął Dudoń na plecy. Odmaszerowaliśmy wreszcie, jako mała karawana. Przodem szedłem ja, za mną Dudoń z gitarą na plecach prowadził obładowanego Siwutka. Siwutek szedł spokojnie, bo Dudoń dał mu „skołę”, jadąc po mnie.

Całe szczęście, że niedaleko do kancelarii bataljonu. Przed kancelarią stał kapitan Wyrwa. Zameldowałem mu mój powrót.

Po szumnych powitaniach odebrałem służbę lekarza bataljonu od obywatela Eugenjusza Zamojskiego i poszedłem zameldować się u dra Jakowickiego w komendzie pułku.

Po załatwieniu tych radosnych formalności ruszyłem do okopów, gdzie stoi nasz bataljon. Kapitan Wyrwa mieszka w „Kruczem Gnieździe“, pysznej ziemiance dwóch Kruków: Czarnego i Białego. Zostałem przyjęty do tego godnego towarzystwa i otrzymałem wyrko na spanie. Widzę, że zżyłem się już z tym bataljonem. Wszyscy witają mnie radośnie, tak, jak dawniej w piątym bataljonie.

Ale co za zmiany w okopach! Żołnierze nasi nauczyli się pracować. Okopy pogłębione, odarniowane, ziemianki umajone. Na przedpolu i przedpiersiu okopu szereg upiększeń, np. wycięty z darni krzyż z Orłem i Pogonią i napisem „1791 — 1915 3 maja“.

Niema już śladów zimowej nagości i brudów. Drzewa owocowe obok rozwalonych chałup pokryły się białem i różowym kwieciem. Wysokie trawy, żółte i białe kwiaty na łąkach zakryły sobą Nidę.

Dobrze, wesoło i swobodnie jest w okopach. Przeciwnie, w okopach moskiewskich pusto, nikt się nie kręci. Wczoraj myśleli nasi, że Moskale już poszli, zaczęli strzelać na próbę, czy odpowiedzą.

Odpowiedzieli, nietylko z karabinów, ale dwie armatki zaczęły rypać w Sobowice. Moskale więc siedzą, mimo że paru żołnierzy twierdzi, że widzieli białe prześcieradło na wieży kościelnej w Pińczowie.

Odwrotu Moskali oczekują w okopach każdej chwili, gdyż Niemcy i Austriacy sprali Moskali w Galicji i mochy muszą puścić Nidę, inaczej Austriacy zajdą im na tyły od strony południa. Chodzi tylko o to, kiedy to zrobić i o to, żeby w takiej chwili zrobić im jak najwięcej

przykrości. Żołnierze chcą iść naprzód, wściekli, że Moskale nie wieją. Niema już śladu z przyjaznych uczuć walki pozycyjnej w zimie. Okopy moskiewskie są więc starannie obserwowane w dzień i w nocy. Gdy tylko Moskale jakiś czas siedzą spokojnie, nasi prowokują ich strzelaniem, póki się nie odezwą.

W tej chwili pod wieczór odbywa się przed ziemianką Komendy bataljonu zmiana służby oficera inspekcyjnego. Benoni zmienia Sokoła.

Dzisiaj po południu zaszczerpiłem tutaj, w okopach, drugą kompanję. Zaszczerpiłem nawet Kruka Czarnego, który się „wstrzymywał” wszelkimi sposobami od tego dobrodziejstwa sztuki lekarskiej.

Tej nocy zabity został podporucznik Frączek z kompanji Rojana, z II bataljonu drugiego pułku. Pochowano go za okopami obok ruin chatki rybaka. Na mogile ułożyli żołnierze wzniesienie z kamieni i cegieł i obłożyli darnią.

Przyszła z brygady: „Organizacja pułku piechoty”, w której punkt „C” zajmuje „Sanitarjat”.

W myśl tej „Organizacji” na kompanję przypada patrol sanitarny, złożony z jednego kaprała, jednego starszego żołnierza i dwóch żołnierzy. Razem patrol ma czterech ludzi.

W bataljonie prócz czterech patroli kompanijnych jest lekarz bataljonu w stopniu podporucznika i sierżant sanitarny z jednym żołnierzem. Razem 19 ludzi w bataljonie. W pułku wreszcie mamy lekarza-porucznika i do jego pomocy podoficera z patrolem sanitarnym. Razem na pułk przypada w sanitarjacie 42 ludzi.

Te wszystkie „organizacje” reorganizacje, wydawanie konserw i t. d. oznaczają rychłe pójście naprzód.

„Związek Chłopski” i P. P. S. w kraju wydały odezwę, popierającą akcję Komendanta.

10 maja. — Wieczór w ziemiance Komendy bataljonu. — Nic osobliwego w ciągu tych trzech dni nie zaśzło. Ponieważ Moskale zwieją pewnie którejs nocy,

wszyscy czuwają na ochotnika, by im nie dać spokojnie odejść. Między bataljonami w okopach — rywalizacja, kto pierwszy spostrzeże ucieczkę Moskali i przejdzie na drugi brzeg Nidy. To też do późna w nocy chodzimy w okopach i nadśluchujemy. Czytamy poza tem w ziemiance gazety o zwycięstwach w Galicji.

Wstajemy późno. Przed południem przyjmuję chorych. Koło 1 godziny po południu idziemy do Tura na obiad, potem znów wracamy do okopów. Dzisiaj Moskale strzelają gęsto z okopów. Ranili lekko w rękę naszego żołnierza z drugiej kompanji. Poza tem strat nie mamy.

Przyjęła się u nas manja robienia pierścionków z aluminium, wziętego z rurek szrapnelowych. Pierścionki te, zupełnie ładnie odrobione, z napisem „Nida“ zyskują nabywców.

Zaszczepilem 134 żołnierzy w drugiej i 124 w czwartej kompanji. Tym sposobem wszyscy żołnierze w tych kompanjach są już zaszczepieni.

11 maja. — Dzisiaj, o 8 rano obudził nas w ziemiance oficer inspekcyjny bataljonu, mówiąc, że Moskali, zdaje się, już niema, gdyż na drugim brzegu Nidy od Michałowa, w kierunku Pińczowa, idzie jakaś linja tyraljerska, zupełnie nie kryjąc się w terenie, mimo to od Moskali nikt nie strzela.

Wyskakujemy z łóżek na okopy i do lornet. Słońce, pogoda, drugi brzeg pusty, cisza zupełna wokoło. Tyraljera nawet schowała się już za wzgórzem przed Kopernią. „Patrol wysłać!“, woła kapitan.

Wnet wyskakuje na przedpiersie okopu trzech chłopców, w ich liczbie mój sanitariusz, Mróz, w biegu nakładają bagnety na karabiny. Już mijają pierwszą linję drutów, już są w przejściu do drugiej, a Moskale — nic!

Kochane nasze chłopaki, już smarują po łące, dochodzą do Nidy, znikają. Przez chwilę widać tylko ich głowy, potem, ociekający wodą, „ładują“ na drugim brzegu. Nic — cisza!

Oni wychodzą już z krzaków nadbrzeżnych i idą łąką. Oczywiście Moskale zwieli!

„Druga kompanja za mną! — woła kapitan Wyrwa, wyskakując przed okop — miejsce drugiej kompanji w okopach zajmie trzecia!“.

Idę za nim, tłumacząc, że na przodzie mogą być ranni. Zgadza się, bym szedł z kompanją.

Wyszliśmy przed druty po łące pokrytej rosą aż na brzeg Nidy.

Czekamy tu na rozkazy z pułku. Pluton Benoniego poszedł na brzeg rzeki złapać jakichś chłopów, którzy już podjechali nad rzekę, zdaje się po ziemniaki w kopcu.

Wreszcie z Komendy pułku nadszedł rozkaz, by przejść rzekę.

Chłopcy przeszli ją w bród. Ja z Krukiem przejechaliśmy w łódce.

Jest ciepło i słońce świeci jasno, więc chłopcy suszą się, leżąc „na słońcu“ już na „rosyjskim brzegu“. Ja unikam wody, gdyż znów mam kaszel i chrypę, tak samo jak w jesieni.

Kapitan wysyła trzy patrole po 5 ludzi. Jeden oficerski z Benonim na czele ma iść na Kopernię, Pińczów, Nową Wieś celem nawiązania łączności z wojskiem austriackim. Patrol Nr. 2 ma iść na Kamiennie i Skowronno; wreszcie patrol Nr. 3 idzie na Zagórze i cypel z drzewem na Skowronnem celem nawiązania łączności z naszym drugim pułkiem. Patrole zostawiają rynsztunek, i ochoczo biegnąc, nikną nam z oczu.

Kompanja zostaje tymczasowo umieszczona w brudnym, źle utrzymanym, opuszczonym tej nocy okopie rosyjskim. Naturalnie żołnierze, jak zawsze, myszkują w okopie, szukając czegoś, co mogli zostawić Moskale. Niestety prócz śmieci, nieczystości i łusek od naboju nic nie ma. Nawet żadnych papierów. Komenda bataljonu zostaje założona w zburzonym domu, na cyplu nad rzeką.

Teraz dopiero widać, jak dobrze strzelała nasza i austriacka artylerja. Wzdłuż okopów, na przedpiersiu leżą puszki od szrapneli, które rypały w okopy.

Dopytujemy się mieszkańców, kiedy i jak odeszli Moskale. Baba z chałupy, koło której stoimy, objaśnia, że piechota i artylerja odeszły przedwczoraj wieczorem. Wczoraj we dnie i tej nocy była tylko kawalerja. Strzelali całą noc, a przed świtem siedli na konie i uciekli.

To chytre Moskale! Dlatego tak strzelali tej nocy, żeby nie pokazać słabości swych sił. Ha, będziemy wiedzieć na przyszłość. Podłoga w chacie częściowo oderwana. Baba objaśnia, że to od dnia, gdyśmy zabrali 65 Mochów. Tego dnia podobno porucznik Zaremba, komendant kompanji, pokłócił się z komendantem bataljonu i zwymyślali się „po matuszkie“. Wieczorem pluton porucznika poszedł na robotę przy okopach i nasi go złapali. Zaraz porucznikowi odebrali kompanję i zabrali z okopów, feldfebla rotę zdegradowali na prostego żołdata, a u baby w chałupie odrywali podłogę, szukając telefonu, przez który miała nam powiedzieć, gdzie pluton poszedł na robotę. Naturalnie nic nie znaleźli, tak, jak Austriacy u naszego chłopca ze żrebną kobyłą. Tak to kiepski żołnierz wszędzie jednaki i wszystkiego się boi. Po obydwóch brzegach Nidy odrywają spokojnej ludności podłogi i... nic nie znajdują. Najbiedniejsza ludność.

Gdy tak siedzimy, słuchając i grzejąc się w słońcu. podbiega, dzwoniąc łopatką o bagnety, ordynans pułku z rozkazem. Obywatel Wyrwa czyta, i po chwili oddaje mi kartkę papieru meldunkowego, mówiąc: „No, doktorze, musicie jechać!“.

Biorę kartkę i czytam: „Do Dra Składkowskiego. Miejsce wysłania Grudzyny. Czas wysłania 10 maja godzina 10.13. Z rozkazu komendy brygady Por. Dr. Składkowski obejmie funkcję lekarza pułkowego III pułku. Zgłosi się zaraz w Grudzynach. Podof. sanitarny Zamojski obejmie funkcję lekarza I bataljonu I pułku.

Zgłosi się zaraz w Turze Dolnym (podpisany) Dr. Rouppert“. Jest to fonogram, nadany do pułku, skąd przy-
niósł go ordynans.

Niema rady. Z żalem odmeldowuję się u obywatela kapitana Wyrwy, żegnam się z Krukiem Czarnym i przebywam rzekę na łódce. Idę teraz do okopów pod górę znacznie wolniej, niż biegliśmy do Nidy.

Przyznam się, że jestem trochę speszony. Przede-
wszystkiem nie wiem, co to jest ten trzeci pułk, na-
stępnie zdołałem się już przyzwyczaić do I bataljonu,
a tu człowieka znów biorą gdzie indziej. Idę okopami
Trzecia kompanja zajęła już miejsce drugiej. Wszyscy
spakowani, z karabinami w ręku czekają tylko na roz-
kaz marszu. Dopytują się, gdzie Moskale. Żegnam się
ze znajomymi. W Turze Dolnym odmeldowuję się u oby-
watela Śmigłego i dra Jakowickiego. Proszę obywatela
Śmigłego o pozwolenie zabrania ze sobą obywatela Du-
donia, który chce iść ze mną, i Siwutka. Obywatel Śmi-
gły przystaje pod warunkiem, że za Siwutka dam ko-
nia o równej wartości. Wszędzie pakowanie taborów,
krzyk, hałas, śmiechy i ochota pójścia naprzód. Sprzyja
temu piękna pogoda.

Wreszcie ruszamy, Ja, konno, Dudon z rzeczami na
furze, którą zaraz mamy odesłać, jedziemy do Grudzyn.
Zostawiam Dudonia z Siwutkiem i rzeczami w ogrodzie
przed dworem, sam szukam dra Roupperta. W „bryga-
dzie“, Stachurek Rouppert oświadcza mi z radością, że
skończył się czas mej kary, że zostaję znów lekarzem
pułkowym. Ściskamy się. Pytam, co to jest trzeci pułk.
Jest to V i VI bataljony razem wzięte, oddane pod do-
wództwo obywatela majora Ryszarda, czyli Trojanow-
skiego.

Trojanowski jest w brygadzie, więc melduję mu się.
Każe mi czekać dalszych rozkazów. Jest już po pierw-
szej. Wstałem o czwartej rano. Jeść mi się chce piekiel-
nie. Stachurek zaprasza mię na obiad brygadowy. Du-
don idzie jeść do ordynansów. Siwutek też coś dostanie.

Wchodzę do sali jadalnej, gdzie jest już po obiedzie. Komendant siedzi i przegląda pisemko redagowane przez obywatela Kostka, ze szczególnem zadowoleniem czytając piosenkę „o jodynie i aspirynie“. Witam się, melduję swój przyjazd do brygady na rozkaz i proszę posłuszenie o pozwolenie zjedzenia obiadu.

„Ależ, proszę Pana! ale, tylko, czy jest jeszcze?“ — mówi Komendant. Obywatel Trojanowski i Rouppert mówią, że „to już załatwione“, ja zaś, widząc Komendanta w doskonałym humorze mówię: „Melduję posłuszenie, że proszę Obywatela Komendanta jedynie o moralną stronę pozwolenia spożycia obiadu“. Komendant: „Ha, ha, doskonale, daję wam moralną stronę!“. Zjadłem całkiem materialny obiad i wykazałem zdolności apetytu, nabyte w kuchni Jasia, w I bataljonie. Obiad był „skromny, lecz smaczny“ i, na szczęście, obfity.

Po obiedzie wyjechaliśmy z majorem Trojanowskim do Sobowic, gdzie mamy organizować pułk. Major jechał na swoim złotym ogierze, ja na Siwutku. Ordynans i rzeczy na furze. W Bełku V bataljon przywitał mię owacyjnie, że znów się spotykamy. Radość była obustronna!

W Sobowicach wielki ruch. Wszyscy pakują się do odmarszu. Największy ruch przy rzece. Tu saperzy nasi i Rigelle na gwałt budują trzy mosty, konieczne dla przejścia artylerji i taborów. Zajmujemy na Komendę pułku duży dom, niedaleko rzeki. Sztab pułku organizuje się powoli. Do adjutanta pułku, obywatela Fuksiewicza, co chwila przez cały wieczór meldują się ordynansi z bataljonów, oddziału telefonistów i taborów. Nikt już okien nie zasłania. Saperzy pracują przy świetle i stukają całą noc.

12 maja, po północy. Sobowice, komenda trzeciego pułku. — Dzisiaj, to znaczy „wczoraj“ 11 maja wieczorem, meldował się obywatel Wyrwa. Jest wyznaczony, jako zastępca obywatela Trojanowskiego. Powitaliśmy

się serdecznie. Oficerem prowiantowym pułku jest obywatel Horowic. Rano, gdyśmy jeszcze spali, o godzinie 5 budzą nas, że przyjechał Komendant Główny.

Zrywamy się, ubieramy. Tak jest, Komendant przyjechał konno z jakimś oficerem i ordynansem i odbiera raport od kierownika budowy. Major Trojanowski i kapitan Wyrwa meldują się. Komendant jest niezadowolony, że budowa mostu idzie tak wolno, gdyż chciałby ruszyć brygadę jak najprędzej w pościgu za Moskalami. Niestety, brak materiału budowlanego, który dopiero trzeba przywozić z lasu i budowa mostu potrwa pewnie do wieczora. Przybycie Komendanta ożywiło pracę zmęczonych już saperów.

Po omówieniu sytuacji z majorem Trojanowskim, Komendant spostrzegł mię i mówi: „No cóż, doktorze, wracacie do bataljonu, w którym byliście?“. — Tak jest, dziękuję, obywatelu Komendancie. „A wiecie co, że ja o was w Kętach byłem w strachu... Przypominacie sobie tą naszą rozmówkę wieczorem, gdyście przestali być „Infanteristą?“. — Obywatelu Komendancie, melduję, że takich rozmówek się nie zapomina! „No, więc wiecie, potem powiedzieli mi, że doktor jest tak zdenerwowany, że... bliski obłądu!“. — Czy obywatel Komendant i teraz jest tego zdania? „Ach, to mnie tylko tak zameldowali, potem dowiaduję się, że to był kto inny“, skończył Komendant, śmiejąc się i patrząc na mnie pogodnie.

Chwała Bogu, już więc nic nie zostało z „chmury w Kętach“. A, jak to Komendant wszystko pamięta!

Obywatel Komendant napił się u nas kawy i odjechał, zalecając jak największy pośpiech przy budowie mostu.

Podobno za Nidą patrolę nasze znalazły zwłoki żołnierza z VI bataljonu, którego Moskale kilka dni temu podstępem przeciągnęli sznurem na swój brzeg. Miał czaszkę rozbitą kulą, rany od bagnetów i wycięte genitalja. Dzikie bydło!! Cały dzień trwało organizowa-

nie pułku. Mamy już kilku konnych ordynansów, przydzielonych z brygady i tabor pułkowy, wydzielony z innych pułków.

Oczywista o wszystko idą targi, bo każdy stara się nowej formacji spuścić najgorsze rzeczy, najgorszych ludzi i znarowione konie, aby tylko formalnie wykonać rozkaz brygady. Ja dostałem wóz sanitarny, ale ubogi. Jakoś się to jednak wszystko urządzi. Dudoń pod budą wozu zawiesił gitarę tak, że nie porozbija się w czasie jazdy, chyba że wóz się wywróci.

Nawiązałem łączność z lekarzami V i VI bataljonów i zażądałem od nich spisu sanitariuszy. Oto dla przykładu (a trochę i „dla potomności“) spis sanitariuszy V bataljonu:

Sztab bataljonu.

Jan Gołąb — lekarz bataljonu.

Jan Rdułtowski — zastępca lekarza bataljonu.

Franciszek Sitarski — starszy żołnierz.

Patrol sanitarny pierwszej kompanji.

Franciszek Buliński — sierżant sanitarny, medyk.

Franciszek Juszkiewicz — szeregowiec, ogrodnik.

Jan Młodecki — szeregowiec, uczeń II kursu seminarjum nauczycielskiego.

Stanisław Dudziak — szeregowiec, robotnik rolny.

Patrol drugiej kompanji.

Józef Fela — sierżant, słuchacz medycyny.

Feliks Nowiński — szeregowiec, praktykant felczerski.

Ludwik Tarapata — szeregowiec, młynarz.

Władysław Motanina — szeregowiec, murarz.

Patrol trzeciej kompanji.

Kazimierz Kornilowicz — sierżant, słuchacz filozofji.

Eugenjusz Małecki — szeregowiec, krawiec damski.

Stanisław Handler — szeregowiec, szofer elektrotechnik.

Wiktor Lukas — szeregowiec, uczeń 7-ej klasy.

Patrol czwartej kompanji.

Antoni Lustig — starszy żołnierz, ślusarz.

Jakób Niedojadło — szeregowiec, student.

Borys Joffe — szeregowiec, medyk III roku.

Andrzej Kublin — szeregowiec, palacz.

Prawie wszystkich tych chłopców znam. W każdym razie wszyscy komendanci patroli sanitarnych byli już za moich czasów w V bataljonie.

Pomimo urgensów z brygady i pomimo wysiłków saperów mosty były gotowe dopiero o 11 wieczorem.

W chwili gdy to piszę, jest 2.15 w nocy. Nie mogę spać z podniecenia, że idziemy naprzód, a poza tem w izbie naszej jest telefon i co chwila trąkocze jakieś rozkazy. W tej chwili dyktują jakąś długą odprawę telefoniczną. Telefonista krzyczy, bo mu co chwila ktoś przerywa. Zdaje się, że będzie rano odmarsz. Trzeba wreszcie spać!

WALKI POD KONARAMI

WALKI PÓD KONARAMI

WALKI POD KONARAMI.

13 maja. Wieczorem, na plebanji w Kargowie, pod dźwięki gramofonu proboszcza. — Wczoraj nie pisałem, bo byliśmy bardzo zmęczeni.

Nidę w Sobowicach przekroczyliśmy wczoraj, dopiero o godzinie 11 rano. Trudno ruszyć z miejsca po paromiesięcznem staniu na miejscu. Żołnierze idą doskonale, ale tabory przeładowane grzęzną w piaszczystych drogach. Pułk nasz wyszedł na końcu, bo naprawdę to ma się jeszcze organizować w czasie marszu. Czekaliśmy aż przejdzie pierwszy i drugi pułki i artylerja straży przedniej.

Brygada rozrosła się: karabiny maszynowe i artylerja wydłużają bardzo kolumnę. Wreszcie przeszli przez most. Teraz my! Major siada na swego ogiera, kapitan na „Szpoczkę“, ja na swego Siwutka. Za nami bataljony. W powietrzu upał i słup kurzu tak, że nic nie widać! Chłopcy moczą sobie na pożegnanie chustki w wodzie Nidy i kładą je pod czapki albo zakrywają twarz, jak Tuaregowie w pustyni, by móc lepiej oddychać. Wszyscy odzwyczaili się od marszów, ale ochota ogromna. Chciałoby się rypać ostro, a tu co chwila zatrzymanie, bo na przodzie droga zatarasowana. Moskale zwieli gdzieś daleko i niema o nich wiadomości. Kawalerja musi dopiero na przodzie ich szukać. Mieli bestje dwa dni czasu, to mogli wiać.

Po przejściu mostu idiemy miejscami, tak znanemi przez paromiesięczne oglądanie z przeciwnego brzegu.

Okrażamy Skowronno. Trwa to długo. Oglądam się na „nasz“ dawny, opuszczony brzeg. Okopów naszych nie widać zupełnie, tak zarosła je trawa. Tylko w chałupach koło okopów ruch. To ludność wraca do swych domostw i praw życia codziennego.

Idziemy na Brzeście, Podłęże, Chwałowice i Borków. Po godzinie marszu Nida zniknęła nam z oczu. Już ani śladu jej ożywczego chłodu i świeżości. Przed nami tylko kurz i piasek. W drodze zjedliśmy obiad, a zanocowaliśmy w maleńkiej chałupie w Borkowie. Kwatery bardzo ciasne, bo wioska nieduża.

Jesteśmy ciekawi wszystkiego, co się dzieje w tym „innym“ świecie, w tej, odciętej od nas przez pół roku, części Królestwa. (W Sędziejowicach dostaliśmy na plebanji „Dwugroszówkę“ z 4 maja 1915 r., a więc z przed tygodnia zaledwie. Rzuciliśmy się na to pismo, by dowiedzieć się coś o polskiej sprawie, by przekonać się, co myślą o przyszłości narodu tam, dokąd wojna nie doszła. Artykuł „Polityka chłopska“ jest mętny, mówi o „Zjednoczeniu Polski“ — „byle być razem“, powołuje się na słowa manifestu Naczelnego Wodza: „Polska wolna, w zachowaniu... swego samorządu“ i mówi, że: „nie-ma Polaka, poza garstką dekadentów o wykoszlawionych austrjacką biurokratyczną rutyną umysłach, czy też zdeprawowanych przez socjalistyczne doktryny sercach“, któryby nie myślał o dniu Zjednoczenia Polski. Dalej napisane jest: „I nie pomogły wkraczającym do Królestwa pułkom niemieckim awangardy „Strzelców“ z polskimi sztandarami, ani braterstwo broni z polskimi pułkami austrjackimi...“. Pismo pisze, że włościanie Galicji przyjęli „przychylnie wkraczające wojska rosyjskie“. Dalej pisze o rekwizycjach Niemców i „Heroizmie kobiet serbskich“.

Tak to więc kombinują Polacy po tamtej stronie frontu. Więc „Wódz Naczelný“ da Polskę Zjednoczoną za „przychylnie przyjęcie wojsk rosyjskich“. Tak może pisać chyba tylko człowiek, który nie był z bronią na

wojnie i nie wie, że za „przychylne przyjęcie“ żadne wojska jeszcze nigdy nikomu nic nie dały. Zżydzieliśmy, gdy na takich wyrachowaniach opieramy naszą przyszłość!

Chłopcy pytają w każdej wsi, jak daleko Moskale. Ciągłe ta sama odpowiedź: „Już dwa dni, jak pošli!“. A tu chłopcy chcieliby ich „już“ dogonić i „jechać im na karkach“.

Dzisiaj wyszliśmy o 6 rano z Borkowa. Znowu idziemy za pierwszym i drugim pułkami oraz artylerją. Idą z nami dwie baterje połówek 4-a i 5-a i baterja haubic. Wszystko to wraz z taborami 1-go i 2-go pułków tworzy olbrzymi wąż na wąskiej piaszczystej drodze. Chłopcy chcą iść „na Moskale“, już gonić. Major Trojanowski uspakaja ich, że i na nich przyjdzie kolej. We wsiach, przez które maszerujemy, ludność cała została. Stoją przed domami i patrzą na nas. Dużo ładnych dziewcząt, ale... trzeba iść dalej. W niektórych wsiach wystawiają wiadra i cebrzyki z wodą, którą chwytają nasi chłopcy w manierki, przechodząc. Przy studniach wre walka o wodę. Niestety, wiele studzien jest wyczerpanych przez idące przed nami pułki, tak, że na dnie studni tylko trochę błotnistej wody. Skwar i pragnienie dokucza. Tak idziemy przez Chomentówek, Suskrajowice, Zawady, Bugaj i Bossowice, aż dopiero koło siódmej wieczorem wchodzimy do Kargowa, gdzie czekają już na nas kwatermistrze, wysłani po południu naprzód.

Rano dzisiaj piąty bataljon spóźnił się na zbiórkę pułku, bo zaszła pomyłka co do godzin odmar-szu. Przy-najmniej zato, można było szybciej maszerować za brygadą. W czasie marszu chciałem napić Siwutka, pod-szedłem więc do ordynansów konnych sztabu brygady, który odpoczywał na trawie, by pożyczyć wiaderka. Obywatel Szeff, żartując, mówi: „Doktorze, czego tak chrypicie, czyżby prawdą było, co napisał o was Kaden, że macie „chroniczny katar krtani?“. Ja na to: „Oby-watelu Szeffie, melduję, że naogół gardło mam zdrowe;

dostają chrypki tylko za każdym razem, gdy otrzymuję nominację na lekarza pułkowego!“. Obywatel Szeł i wszyscy śmieli się.

Komendanta nie było. Pojechał naprzód.

14 maja, ranek. — Leżę na łące, za ogrodem jakiegoś starego dworu koło Wierzbicy. Jest koło godziny 7 rano. Rosa jeszcze nie obeschła na trawie i drzewa rzucają mocne, długie cienie. Wśród drzew gwiżdże wilga. Zresztą cisza w powietrzu. Jestem sam.

O szóstej rano dzisiaj wyjechałem z Kargowa, i przez Chałupki i Sieczków przyjechałem tutaj do Komendy Brygady, do dra Roupperta, w sprawie odesłania jednego żołnierza z VI bataljonu z ogromnymi żylakami. Sprawę załatwiłem i teraz czekam na przybycie pułku.

Siwutek skubie trawę. Nie wystarcza mu to jednak i usiłuje położyć się na łące. Muszę używać całego wpływu moralnego, okrzyków, perswazyj i szpiceruty, by go odwieść od tego pomysłu. Ustępuje w końcu wspaniałomyślnie i zasypia stojąc.

Wczoraj widziałem Szonerta z kawalerji. Podobno Moskałe wieją przed nami, nie zatrzymując się na linji rzeki Czarnej, gdzie mają usypane okopy.

Teraz leżę o sto kroków od drogi, którą ciągnie brygada. Kurz nie dochodzi do mnie, bo niema wiatru i słup mgły piaszczystej tłucze się wąskim pasem nad samą drogą. Wisi w powietrzu wzdłuż całej kolumny. Sztab brygady pojechał kłusem za 2-im pułkiem, który idzie w straży przedniej. Teraz nadciąga pułk pierwszy. Przodem — major Śmigły z kapitanem od haubic. Obok nich — obywatel Dąbrowa. Za nimi ordynansi konni i telefoniści artylerji. Potem idzie pierwszy bataljon. Kapitan Bukacki, który objął komendę na nowo, sunie na „Iwanie“, za nim ordynans Wylot na ogromnej karej kobyle. Dla kontrastu obywatel Orlot na „Siwku“. Potem smuga szaro-niebieska żołnierzy, przerywana końmi kompanijnych. Widzę stąd, że druga kompanja idzie na końcu bataljonu, bo poznaję „kałmyka“, na którym

jedzie Kruk Czarny. Jeszcze w przeddzień wymarszu zaszczerpiłem tych biednych chłopców przeciw cholerze! Musieli mnie kłąć, gdy maszerowali w taki upał, mając gorączkę po szczepieniu, ale któż mógł przypuszczać, że Moskale zwieją, jak tylko ja zaszczerpię cholere drugiej kompanji?

Po pierwszym idzie trzeci bataljon. Ten znam tylko ogólnie ze służby w „infanterji“. Potem ciągną wolno haubice, karabiny maszynowe i tabor 1-go pułku. Jakaś przeszkoda za zakrętem drogi, bo kolumna zatrzymała się. Artylerzyści zlążą z koni, taboryci kładą się obok drogi.

Po kwadransie, w czasie którego ledwie zdążył opaść kurz, kolumna rusza znowu. Ja leżę i odpoczywam, gdyż jestem niewyspany.

Wczoraj z wieczora usnąłem smacznie, gdy wkrótce zbudził mnie szelest koło mego posłania. To jeden z oficerów skradał się w skarpetkach (widocznie dla ciszy!) do drugiej izby, gdzie spały dwie przystojne dziewczyny: Stasia i Marysia.

Wszedł tam cichutko, ale za chwilę doszło mych uszu: „E, niech pan sobie i mnie głowy nie zawraca, a lepi się wyśpi!“.

Długo coś przekonywał, wreszcie usłyszałem: „No przyńde!“.

Wrócił na swoje posłanie, oczekując przybycia wybranej, gdy Stasia zaczęła zcicha wołać: „Marysia, Marysia, ady śpis i śpis!“.

Zdziwiona Marysia, budziła się, niechętnie, ziewając.

Z ust niedoszłego kochanka wyrwało się siarczyste: „Psiakrew!“.

Cnota Stasi została uratowana przez rozespaną Marysię.

Już świt zaglądał do okien. Usnąłem. Spałem mało. Tak dobrze byłoby zdrzemnąć się!

Nie czas jednak odpoczywać.

Już widzę zdaleka ogiera majora Trojanowskiego i „Szpoczkę“ Wyrwy. Podciągam popręgi. „Siwutek“ stęka na zapas, siadam na niego i dołączam do kolumny. Melduję swój powrót obywatelowi Trojanowskiemu, potem zostaję, by zobaczyć, jak czują się żołnierze. Są już pomęczeni, choć zrobili dopiero kilka kilometrów. Tu, na drodze nie jest tak przyjemnie jak w polu i upał już dokucza. Idą w porozpinanych mundurach, pokryci potem i kurzem. Zjawienie się „Siwutka“ witają radośnie.

Siwutek zżył się już z żołnierzami, którzy odkryli w nim nowe źródło inteligencji. Nad Nidą Siwutek chorował na nogę tylną. Zdaje się, że był to jednak „romatyzm“, bo od czasu do czasu wyciąga tą nogę wtył, co dosyć komicznie przypomina — psa, w czasie pewnej, „dorywczej“ funkcji fizjologicznej. Zauważył to któryś z chłopców i woła: „Siwek, pokaż, jak piesek s.... robi“. „Siwutek“ akurat z całą powagą wykonywał swój „manewr“ tylną nogą. Dostał cukru za to. Odtąd żołnierze dają mu cukru i chleba, a on zrozumiał i pokazuje, „jak piesek“.

Wczoraj, gdy jechałem za pułkiem, na spoczynku, gdy żołnierze leżeli po bokach drogi, chodził od jednego do drugiego, wykonywał swe sztuki i dostawał „smakolęki“. Tak doszedł do czoła bataljonu i zatrzymał się przy koniach sztabu. Tam go złapałem.

Gdy wlałem na siodło, jeden z żołnierzy, chciał zakpić i mówi: „Doktorze, co kosztuje jazda na tym okręcie?!“. Odwróciłem się, wskazałem w kierunku ogona „Siwutka“ i odpowiedziałem: „W kajucie, obywatelu, możecie jeździć za darmo!“. Cała kompanja ryknęła śmiechem, mówiąc: „chciałeś szkoły, masz szkołę!“. To też i teraz w upale żołnierze patrzą przyjaźnie na „Siwutka“ i wołają: „Doktorze, gorąco, zabierzcie choć do kajuty!“.

Maruderów jeszcze niema, wszyscy trzymają się kolumny i drogi. Jadę już za kolumną, by nie kurzyć doganianiem sztabu pułku. Niema żadnej rzeki ani studni.

Chłopcy dzwonią pustemi manierkami... Gorąco, kurz.

Broda obywatela Sasa i moja stają się białe jak u Św. Mikołaja. Tak maszerujemy z dużym odpoczynkiem na obiad, przez Wierzbicę, Dobrów na noc do Ziemblic.

Dobrów jest to wieś kolonistów niemieckich, którzy zwieli stąd na początku wojny, a może byli wysiedleni. To też cała wieś pusta. Przed wsią wspaniałe okopy, głębokie, odarniowane, z doskonałymi daszkami przeciwszrapnelowymi, flankowane przez wysunięte na przód reduty. Ziemianki tylko niedokończone. Przed okopami potrójny rząd kółków, ale niewszędzie jeszcze odrutowanych. Tyle roboty i tak puścili to Moskałe bez obrony. Mijamy przejścia w okopach z uczuciem dumy, że tak muszą wiać przed nami.

W Ziemblicach, w jednej chałupie tyfus! Odtąd będę jeździł ze sztabem pułku, by nim nadejdzie kolumna, zbadać naprzód studnie i kwatery. Służbę lekarza inspekcyjnego w marszu będzie pełnił lekarz bataljonu, który maszeruje na końcu pułku.

15 maja. — W chałupie, we wsi Wysokie Duże. — Zeszłej nocy w Ziemblicach stała Komenda pułku i V bataljon. Ludność używana była przez Moskali do sypiania okopów pod Dobrowem. Wykręcają się od brania pieniędzy austriackich. Nasza gospodyni, chciwa baba, mówi, że później my pójdziemy, a ona „z żydem klócić się nie będzie“ i chce tylko „naszych“, to znaczy moskiewskich pieniędzy. Niech djabli wezmą babę, która nie rozumie praw wojny i przywilejów zwycięzcy, a liczy na pieniądze uciekających wojsk. Cóż, w swoim kraju trudno „płacić“ gwałtem, jak robią Austriacy.

Przemaszerowaliśmy dzisiaj z Ziemblic przez Oględów i Kurozwęki, przeszliśmy rzekę Czarną po wąskim mostku, gdzie maszerowaliśmy po dwóch, dalej były wsie: Mostki, Bogorja i Wysokie, gdzie nocujemy.

Dzisiaj było chłodniej i w dolinie rzeki Czarnej dał zimny wiatr. Marsz odbywał się znacznie szybciej, mimo strasznych piasków, w które zanurzyliśmy się po

przejęciu rzeki Czarnej. W piachach tych widzieliśmy ugrzęzłe wozy artylerji fortecznej, gdzie lufy i lawety ciężkich dział jadą oddzielnie. Mają konie robotę. Akurat, jak na urągowisko, obok tych armat, siedzących w piachu, lekko przejechała konna artylerja. Armata — armacie nierówna.

Komendant Główny bardzo lubi dzieci. Dzisiaj, w czasie dużego odpoczynku Komendant zajechał do chaty, gdzie zatrzymał się chwilowo sztab naszego pułku. Było trochę szynki, którą przywiózł obywatel Horowic. Gdyśmy jedli, Komendant zobaczył na łóżku małą, bladą, mizerną dziewczynkę. Podeszedł do niej, kazał mi zbadać, zobaczyć dlaczego taka mizerna i pomóc, co można. Wkrótce Komendant odjechał. Potem wysłaliśmy kwatermistrzów i doszliśmy pod wieczór do wsi Wysokie Duże. Wieś nie jest ani wysoka, ani duża. Zwyczajna sobie wieś...

17 maja. Wieś Pokrzywianka, w której stoimy w rezerwie brygady, od wczoraj wieczorem. — Przed nami, o 2—3 kilometry na wschód, leżą nasze linje strzeleckie za pasmem wzgórz, przechodzących obok Garbowic i Kozinka.

Dostaliśmy się tu po mitęgach w sposób następujący. Wczoraj, 16 maja rano wyszliśmy ze wsi Wysokie Duże jeszcze w zupełnej ciszy wokoło. Po pewnym czasie doszedł nas huk armat, a od wsi Szczeglic pokazały się nad wzgórzami przed nami dymki szrapnelowe. Żołnierze się ożywili. „Więc są Moskale, zatrzymali się, dobierzemy się do nich!”

Tymczasem przyszedł rozkaz zatrzymać się, gotować dla ludzi obiad i karmić konie. Położyłem się, by się przespać, ale w pół godziny już obudził mnie rozkaz: „Karabiny maszynowe ładować!”

Zaczęto wkładać karabiny maszynowe na juczne konie i wnet pułk ruszył. Szliśmy w kierunku wzgórz z dymkami. Armaty waliły coraz wyraźniej i częściej. Po godzinie zatrzymaliśmy się znowu w cienie bu-

kowej alei jakiegoś dworu, leżącego na południe od Konar. Było już jasne, że tam na przodzie się biją, a my jesteśmy w rezerwie i tak przerzucają nami z miejsca na miejsce, gdzie może być dziura.

Był upał, nawet tu, w alei. Poszedłem napoić „Siwutka“. W studni wody było już niewiele, wypily ją wczoraj oddziały, idące przed nami. Woda była zmącona i żółta od domieszki gliny, ale mimo to „Siwutek“ wypił.

Po dwóch godzinach odpoczynku ruszyliśmy falistym terenem w kierunku Konar i zatrzymaliśmy się obok samotnego domu w polu niedaleko od wsi.

Tu wezwał mnie ordynans konny do lekarza naczelnego do Konar, gdzie jest Sztab Brygady. Pojechałem w kierunku Konar, ale zbłądziłem w labiryncie gliniastych wąwozów i wyjechałem znów do jakiegoś opuszczonego dworu. Wprost z wąwozu wjechałem do ogrodu koło domu. Dzwoniła tu w uszach cisza niesamowita. Naokoło dworku w upale dnia stały kwitnące bzy i kasztany, bieleły się ściany obrosłe winem, przed dworem kwiaty, ale wokoło nikogo. Okna i drzwi pozabijane deskami. Obory i stodoły pootwierane, puste.

Krzyczałem, nikt się nie odzywał, mimo że było ledwie z południa. Daleko zahuczały znów armaty. Złakłem się, żem wąwozami zbłądził do Moskali, lub że lada chwila mogli się tu zjawić. Spojrzałem, w której stronie zachód i zacząłem wiać naprzelaj przez zboże. Tak, na szczęście, dostałem się do Konar. Za wsią strzelała artylerja i droga — wąwóz we wsi była pełna jaszczy, fur i wojska. Jakiś złośliwy koń od jaszczarzuć się na „Siwutka“, gryząc i kopiąc. Ledwie obrońnięm mego konia, bijąc tamtego pięścią po łbie.

Sztab Brygady był w zwyczajnej chałupie. Obok w ogrodzie spali oficerowie. Obudziłem dra Roupperta i zameldowałem się na rozkaz. Kazał mi odkomenderować medyka Rdułtowskiego, pomocnika lekarza V bataljonu, do Zakładu Sanitarnego Brygady, gdzie

brakło lekarzy. Po otrzymaniu rozkazu wróciłem do samotnego domu, gdzie stała Komenda naszego pułku. Niestety obiad był już zjedzony i głodny pomaszerowałem z pułkiem zpowrotem przez też Konary do rzeki Pokrzywianki.

Gdyśmy weszli w dolinę rzeki nadjechał ze Sztabu Brygady ułan, który zameldował, że ob. major jest wezwany do Sztabu, a pułk ma dalej maszerować i dołączyć do 1-go pułku. Major pojechał z ułanem do Brygady, a my pomaszerowaliśmy dalej za kapitanem Wyrwą. Zeszliśmy tak na zielone łąki nad rzeczka, za którą leżał pod osłoną wzgórz 1-y pułk. Za jednym z pagórków stoi baterja austriacka, i bez przerwy grzeje z armat. Pierwszy pułk ruszył i wkrótce zniknął za wzgórzem z artylerją, a my czekaliśmy jeszcze z godzinę na miejscu.

Nadjechał major Trojanowski, wezwał do siebie bataljonowych i kazał jak najszybciej maszerować wzdłuż wzgórz nad rzeczka. Okazuje się, że mieliśmy flankować Garbowice w czasie ataku innego pułku. Ledwieśmy jednak ruszyli drogą wzdłuż łąk, gdy dopadł nas na koniu obywatel Zbigniew ze Sztabu Brygady i zameldował rozkaz Komendanta Głównego wracać na dawne miejsce. Smutni, że znów nie puszczają nas do bitwy, wracaliśmy, skąd wyszliśmy. Nadbiegł trębacz z 2-go pułku, który niósł meldunek do Brygady, że bataljon Sława (dawny IV) wziął 95 ludzi do niewoli i zdobył 2 karabiny maszynowe. My, niestety, nie zdążyliśmy na miejsce walki i znów zostaliśmy w rezerwie.

Gdy żołnierze kładli się na dawne miejsce pod osłoną wzgórz, ponad którymi przechodziły pociski armatnie i kule karabinowe, przyjechał obywatel Gotlieb i wezwał mnie znów do dra Roupperta. Pojechałem znów do Konar, gdzie otrzymałem od obywatela dra Roupperta rozkaz założyć obok naszego pułku punkt opatrunkowy, przejściowy dla oddziałów naszych, będących

w walce. Punkt opatrunkowy mam założyć do spółki z będącym w pobliżu Oberarzem austriackim.

Wróciłem, pułk leżał jeszcze na miejscu. Niedaleko zobaczyłem chorągiewkę Czerwonego Krzyża na spadzistem zboczcu wzgórza. Pobieglem tam, bo coraz to więcej rannych, naszych i austriackich, szło obok nas.

Zapadał zmrok i haratanina armatnia i karabinowa się wzmogła. Kule karabinowe nad pułkiem przytulanym do wzgórz szły coraz gęściej, coraz niżej i dokuczliwiej. Przy chorągiewce z krzyżem czerwonym był „Hilfsplatz“ austriacki. Pan Oberarzt siedział w piwniczce, wykopanej w gliniastym zboczcu góry. Obok niego przykucnął młody człowiek, którego przedstawił, jako: „mein braver Mediziner“ — mój dzielny medyk.

Dudoń sprowadził mego jucznego konika sanitarnego, łaciatego Dziunka, z przewodnikiem Harwatkiem. Zaraz rozłożyliśmy nasze kufry i zaczęliśmy opatrywać rannych, którzy o zmroku zaczęli schodzić o własnych siłach, lub na rękach kolegów wynoszeni byli z pola walki. Już i u nas w VI bataljonie wkrótce mamy rannych od niedosyć górujących kul.

Pracujemy ciągle z Oberarzem. We wsi, niedaleko od nas założył punkt opatrunkowy 1-go pułku dr. Jakowicki. Do niego więc kierujemy rannych z jego pułku. Wieczorem już przyszedł na nasz punkt opatrunkowy pod gołym niebem obywatel dr. Rouppert. Pracujemy dalej. Jestem strasznie głodny, bo nie jadłem nic od rana. Janek, który stoi obok ze swoim bataljonem, dał mi trochę chleba z masłem i napiłem się kawy, którą przygotował Robertuś. Za chwilę nadbiega łącznik z Komendy pułku, że pułk odmaszerowuje na noc do wsi Pokrzywianka i tam mam go szukać po ukończeniu opatrywania rannych.

Rzeczywiście po jakimś czasie słychać: „zbiórka!“ i mój pułk ciemną masą wsiąka w mrok, sunąc po łące. Zostajemy z dr. Rouppertem we dwóch wśród Austriaków. Sytuacja jest niepewna, wybitnie niepewna.

Rozumiem mieć punkt opatrunkowy za plutonem naszych żołnierzy, ale za pułkiem Austrjaków?! Toż to w każdej chwili można być „zafasowanym“ przez Moskali, gdyż linja Austrjaków lada moment zwieje, albo podda się. Co zrobię wtedy z koniem jucznym, paru sanitarjuszami i pięciu maruderami, którzy przyłączyli się do mnie?

Rannych coraz więcej, ale przeważnie Austrjacy. Ich sanitarjusze, korzystając z mej nieuwagi, wypili herbatę, przygotowaną dla rannych. Byli oni z 13-go pułku „Landwehry“. Potem Austrjacy zaczęli wynosić snopy słomy z pobliskiej stodoły, mimo lamentów chłopów a gwałtownych wymyślań i protestów obywatela Kostka, który właśnie nadjechał i stanął w obronie chłopskiego mienia. Austrjacy udawali, że nie słyszeli, i korzystając z liczebnej przewagi, brali słomę z drugiej strony stodoły.

Było już zupełnie ciemno, gdy przyjechał ułan z Brygady z rozkazem, że obywatel dr. Rouppert ma jechać do wsi, bo Komenda Brygady przechodzi do wsi Pokrzywianka. Chwała Bogu! idziemy stąd od Austrjaków. Otrzymałem wobec tego rozkaz od dra Roupperta dołączyć się do pułku we wsi Pokrzywianka. Kapitan Rouppert odjechał z ułanem. My pakowaliśmy nasze kufry na „Dziunka“. Pożegnałem się z medykiem austriackim, gdyż Oberarzt spał snem zasłużonego spoczynku w swej piwniczce.

Zaczęliśmy iść „w ciemną noc“ — do wsi. W drodze spotkałem parę patroli sanitarnych z 2-go pułku. Wskazałem im drogę do punktu opatrunkowego we wsi, gdzie siedział dr. Jakowicki, bo nie wiedziałem, gdzie jest punkt opatrunkowy ich pułku. Szliśmy, kierując się po omacku na wieś: ja, Siwutek, „Dziunek“ z lekami, paru sanitarjuszy i pięciu maruderów z naszego pułku. Pod wsią Konary spotkałem idący I bataljon 1-go pułku. Spytałem żołnierzy o wynik ich dzisiejszego ataku. Odpowiedzieli, że byli o 20 kroków od drutów rosyj-

skich, ale z powodu ciemności nie wiedzą, jak odbył się atak. Wobec cofania się ich odpowiedź można było sobie samemu dać, niewesoła.

W chałupie, u dra Jakowickiego jeden ranny w głowę rzuca się na posłaniu. Obywatel Gottlieb i Kapelan śpią. Z doktorem pracują obywatele Misky i Borecki. Zawiadamiam dra Jakowickiego, że cofam się z moim punktem do wsi Pokrzywianka do pułku, że sytuacja na froncie przed wsią niepewna, że w powietrzu wisi „Rückzug“, że widocznie znów gdzieś Austriacy puścili. Wyszedłem na drogę. Zapanowała dziwna cisza.

Ogień karabinowy umilkł, to samo i armatni. Ciemno, tylko gdzieś za wzgórzem łuna pożaru. Po hałasie bitwy cisza taka dzwoni w uszach i wróży coś niedobrego. Taką cisza była przy odwróceniu pod Laskami.

W ulicy wsi pełno! Stoją i leżą na drodze całe bataljony Austriaków. Apatycznie jedzą jakieś suchary. Niewiadomo czy przyszli zatykać „dziury“ we froncie, czy już puścili.

Dowiaduję się o drogę do wsi Pokrzywianka i ruszam z moim oddziałkiem. Wychodzimy za wieś Konary i długo brniemy w strasznych piachach. Gdzieś po bokach błyszczą światła. Myślimy, że to wieś, kierujemy się na nie, nadkładamy drogi, ale niestety to tylko kuchnie i tabory austriackie. Tak idziemy ze dwie godziny.

Bodajto dowodzić maruderami! Klną i narzekają, czemu nie poszli z pułkiem, tylko zostali z „Sanitetem“. Biedni chłopcy naprawdę, są wycieńczeni.

Wreszcie na horyzoncie znów jakieś światła, wozy w polu i wieś. Tak, to Pokrzywianka.

Ludzie już śpią. Światło przy kuchni VI bataljonu. Jest już północ, kolacja dawno wydana, ale zostało trochę grochówki w kotle. Zdobywam ją dla mych maruderów. Jemy, poczem szukam jeszcze długo Komendy pułku, bo wszystkie „bractwo“ śpi smacznie. Wreszcie jest i Komenda. Rzucam się w izbie na słomę i zasypiam.

Dzisiaj, 17 maja, spałem do dziewiątej, bo pułk nasz odpoczywa na kwaterach. W Pokrzywiance stoi też Komenda Brygady. Bataljony 1-go i 2-go pułków są w linii bojowej, ale przydzielane pojedynczo do zatykania dziur we froncie.

Jest znacznie spokojniej, niż wczoraj. Ogień armatni słychać, ale gdzieś zdaleka. Chwała Bogu nie ruszają nas.

„Byczymy się“ do południa.

Odprowadziłem do Komendy pierwszego pułku karą kobyłę, którą nasz pułk kupił w okolicy Konar. Oddałem ją zamiast „Siwutka“, którego zostawiam sobie z pozwolenia obywatela Śmigłego, mimo protestów a nawet gniewów gospodarnego obywatela Dąbrowy. Przed dokonaniem zamiany kobyłę oglądali wszyscy oficerowie a nawet i podoficerowie sztabu pierwszego pułku. Nawet obywatel Dąbrowa przyznał, że to dobry koń, choć nie wart „Siwutka“.

Wreszcie obywatel Śmigły ostatecznie zgodził się na zamianę i radosny wróciłem do domu z „Siwutkiem“, który stał się teraz już moją bezsporną własnością.

Jestem wdzięczny obywatelowi Śmigłemu za to rozstrzygnięcie sprawy na moją korzyść, bo spory „końskie“ trwają nieraz miesiącami. Człowiek przywiązuje się do konia, może i koń do człowieka, a tu nie wiadomo oficjalnie, kto do kogo należy.

Dudoń również ucieszył się serdecznie z przydziału Siwutka do naszego pułku i pieszczotliwie uszczypnął konia w brzuch, mówiąc: „Ty, cholero, już tero nom cie nie odbierom!“.

Tak zeszło w ciszy i skwarze do południa. Zaraz po obiedzie odszedł nasz VI bataljon do rezerwy korpusu austriackiego do Gorzkowa, na północ od nas, gdzie Moskale sprali Austriaków i zrobili przełamanie frontu w armji arcyksięcia Piotra. Dlatego to wczoraj, wieczorem musieliśmy trochę się cofnąć. Niedaleko od nas front, podobno teraz już jest zwrócony ku północy, to

też w razie ataku z północy mogliby nas Moskale przyprzeć na południe, do szarej Wiselki. Tak przynajmniej u nas mówią.

Wypoczęci po południu odchodzimy wszyscy przez Ulanowice do Domaradzie. Ładna wioska, ocieniona drzewami, po obu stronach płytkiego wąwozu, którym biegnie droga. Kwaterujemy w pobliżu dworu, w którym stoi Komenda Brygady i sztab 8-go pułku, złożonego z „pepiczków“. Są to straszne dziady. Obywatel Berbecki opowiadał, że w bitwie zakładali chusteczki na karabiny i machali niemi bezwstydnie już zdaleka, by prędzej się poddać Moskalom. Nic dziwnego, że w sztabie ich pułku „mają pietra“.

Widocznie, gdy my tu siedzimy „na tyłach“ o kilka kilometrów od frontu, tam nie próżnują, bo ledwie wywiesiłem przed chałupą chorągiewkę z czerwonym krzyżem, gdy zaczęli napływać ranni Austriacy i strzelcy z 2-go pułku. Chcę ich kierować do Zakładu Sanitarnego Brygady, do doktora Bellerta, ale ani w pułku, ani w brygadzie nie wiedzą, dokąd cofnął się nasz zakład. Zaczynam więc zbierać rannych i narazie daję im gorącej kawy, jako pierwszy posiłek i pocieszenie „na tyłach“. Mam ich już kilkunastu i nie wiem, co robić z tym nabytkiem, gdy na szczęście widzę nadjeżdżającego z dziewięciu wozami kaprała „z pod znaku“ doktora Bellerta. Wołam go i zaraz ładujemy na wozy „moich“ rannych.

W jednej z chat leży zmarły wczoraj z ran kapral Chrząszcz, którego zostawił tu dnia poprzedniego kapral Bellerta. Śmierć nastąpiła od ran w boku lewym i prawem ramieniu. Kapral Chrząszcz otrzymał je widocznie, podrywając się do ataku.

Stwierdziliśmy zgon, przy zwłokach ustawiliśmy wartę honorową i po południu pochowaliśmy ś. p. kaprała Chrząszcza. Był akurat ksiądz Żytkiewicz z VI bataljonu — i pogrzeb odbył się, jak należy. Ludność z widoczną sympatją patrzyła na ten pogrzeb „z księdzem“.

Tymczasem rannych nabrało się koło dwudziestu. W ich liczbie było dwóch kontuzjowanych, z których jeden, porucznik Alf, zaniewidział natychmiast po kontuzji.

Ranni, napojeni kawą, leżą wygodnie na słomie, na wozach i obok wozów. Jaka różnica z zimą, gdy każdy kwadrans na wozie grozi rannemu odmrożeniem, a chłód potęguje jego cierpienia.

Pod wieczór nadjeżdża z frontu Genek Piestrzyński, lekarz 2-go pułku, by stwierdzić, co się dzieje z jego rannymi. Odesłaliśmy już ich w obecności dra Roupperta do Zakładu Sanitarnego.

Genek nie spał od dwóch dni i jest strasznie głodny. Zjada coś i natychmiast zasypia na słomie. My z d-rem Rouppertem segregujemy rannych, którzy ciągle napływają, przyczepiamy im kartki i odsyłamy dalej. Tak pracujemy do późnego wieczora. W nocy dwa razy wstajemy, by skontrolować opatrunki przechodzących rannych.

18 maja. — Wieś Wysoczki Małe. — Ledwie usnąłem na dobre, gdy o 5 rano — pobudka. W pół godziny później — ruszamy: dowództwo pułku, karabiny maszynowe, V bataljon i tabory pułkowe do wsi Wysoczki Małe. Nie jest to daleko, więc przychodzimy na kwatery jeszcze przed wielkiem gorącem.

Najgorzej być w rezerwie. Rzucają oddziałem, będącym poza frontem, we wszystkich kierunkach, zależnie od sytuacji na froncie, albo „wyższej“ kalkulacji jakiegoś k. u. k. sztabowca.

Zaraz po przybyciu na kwatery obywatel major otrzymuje rozkaz, że ostatni, jaki nam został, mój najrodzeńszy V bataljon ma ruszyć natychmiast na front, zatykać nową dziurę, w którą wpuścił Moskali „waleczny“ 8-y pułk austriacki.

Major klnie, żołnierze klną, ale trzeba się rozstać.

Poszli, już zniknęli za wsią.

My zostaliśmy, poszarpani przez drani - Austrjaków: VI bataljon — u arcyksięcia na północy, V ma pracować za „pepiczków“ z 8-go austrjackiego Regimentu. „W rezerwie“ mamy jeszcze sztab pułku, karabiny maszynowe, schowane przez obywatela majora Trojanowskiego i tabor pułkowy.

Widziałem na „generalce“ austrjackiej zaznaczone, jak biegnie linja frontu. Moskale sprali Austrjaków i na północ i południe od nas linja „zwała“ na zachód. Tylko tam, gdzie stoją nasze bataljony, choć rozproszone wśród Austrjaków, linja trzyma się i tworzy „wybrzuszenie“, którego nie mogą zdobyć Moskale. Wielka różnica zaszła w linji frontu od przedwczoraj. Naturalnie, że to trzymanie się nie przychodzi nam za darmo. Wczorajsi ranni świadczą o tem.

Mówią, że Komendant jest zgryziony naszym rozproszkowaniem, nie wpuszcza do siebie nikogo, że chodzi całą noc po izbie, myśląc, jak wyrwać naszych chłopców z łap austrjackich, i z luźnych bataljonów skleić napowrót naszą „brygadę“.

My nic nie robimy i nic nie możemy pomóc naszym bataljonom w ogniu. Siedzimy w chałupie i wściekamy się na Austrjaków. Ordynansi przygotowują obiad.

Gdy już nakryli do stołu, do obywatela majora podeszła nieśmiało przystojna, młoda gospodyni domu i „obłapiła“ go za kolana.

Major zerwał się na równe nogi i mówi: „Co gosposiu, co wam jest, czy żołnierze u was co zabrali?“.

— Ni, panie starszy, żołnierze dobre, tylko jabym prosiła, żeby pon starszy, napisali mi kartkę do męża, co je w „plenu“ u awstrijców.

Major kazał pisać kartkę jednemu z podoficerów, ale kobieta — nie, ani słyszeć o tem nie chce:

— Panie stary nie, już tu takie pisarze zwyczajne pisały, już jo im i kury dawała, ale list nie dosed zaden. Byli tu starse ruskie, ale prosić nie śmiałam, dopiero pon starsy, nos polok, to napise. A, jak pon starsy napise,

to kartecka dońdzie do niego, bo nie pośmią, po drodze, zatsymać. Juz, ponie starsy, od października on „w plenu“, dwa razy pisał, a mówi, wieści ode mnie nie dostał. Pomyśli, że jo, jak inne, a jo jego jednygo ino sanuje. — Tu, płacząc, objęła znów kolana majora.

— No dobrze już, dobrze — mówi obywatel major, siadając przy stole — a co chcecie mężowi napisać?

Chłopka wytarła łzy, uśmiech miłości do dalekiego rozjaśnił jej twarz, i jakby mówiła lekcję, której nauczyła się w samotnych marzeniach o mężu, zaczęła dyktować:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. I myślę, kochany mężu, że odpowis mi: Na wieki... I proś Matki Najświętszy, Królowy Nieba i Ziemi, żeby cie mężu kochany w zdrowiu zachowała.

Pisałam trzy razy i tero pise. Zapytuje się o twoim powodzeniu i zdrowiu, i napis kochany mężu.

Twoja zona Marjanna Brona“.

Major skończył pisać i wstawał od stołu, gdy chłopka znów błagać zaczęła:

— Ponie starsy, niech tyz pon starsy jesce jedno kartke do niego napise, żeby wiedział, że go tu sanuje, jak gospodarza i męża!

— Ależ, kobieto, to wystarczy jedna kartka, zresztą, piszcie doktorze!!! — dodał obywatel major, chcąc i mnie „uszlachcić“.

Wziąłem więc czystą kartkę poczty polowej i zacząłem, pod dyktando chłopki, pisać, dosłownie, to samo: „Niech będzie pochwalony“....

Gdy skończyłem pisać, chciała nam podarować osełkę masła, bo „mąż tero będzie wiedział, że go sanuje“.

Wszyscy, bez różnicy stopnia, z szacunkiem patrzyliśmy na tą polską Penelopę. Napewno nikt tej nocy nie będzie próbował skradać się do niej „w skarpetkach“. Kartkę do „kawalera“ pisała i siostra gosposi, i jej brat pisał do „śwagra“, ale, te kartki, jako mniej ważne, pisali już podoficerowie kancelaryjni.

21 maja, godzina 5.30 rano. — W dużej chałupie, we wsi Ulanowicach, naprzeciw Sztabu Brygady. — Jasny, cudny ranek. Jabłonie i grusze w sadzie rzucają cień przez otwarte okna izby. Drzwi do sieni i „na dwór“ otwarte. W sieni łązi kura z kaczetami. Siadam na posłaniu, jestem zmęczony wrażeniami dni poprzednich i spałbym jeszcze, ale krzyki baby w izbie nie dają zasnąć.

Obywatel Kostek, który nocuje ze mną, nie śpi również, tylko pisze coś w swej książeczce. Idę za jego przykładem, i korzystając z wolnych paru godzin przed śniadaniem, zaczynam rekonstruować zajścia trzech dni poprzednich. Było więc tak.

Cały dzień 18 maja po odejściu V bataljonu staliśmy w domu polskiej Penelopy, we wsi Wysoczki Małe. Była w tej wsi również i Komenda Brygady. Wieczorem, gdy wyszedł z obywatelem Fuksiewiczem, adjutantem pułku, na spacer, przyłączył się do nas Obywatel Komendant z d-rem Rouppertem. Wyszliśmy razem na sąsiednie wzgórze, by obserwować wystrzały armatnie i sygnały świetlne. Obywatel Komendant nie mówił prawie nic, a my nie śmieliśmy przerywać Jego rozmyślań. Koło północy Obywatel Komendant odszedł do kwatery Komendy Brygady.

Ranek 19 maja zastał Komendę naszego pułku jeszcze w Wysoczkach Małych, obok Komendy Brygady i III bataljonu 1-go pułku, jedyne, który został w dyspozycji Brygady.

Koło godziny ósmej przyjechało wozem trzech rannych z V bataljonu. Opowiadali oni o nieudanym ataku, który przypuścili o świcie na pozycje rosyjskie za Pokrzywianką, a który załamał się wskutek braku podtrzymania artylerji. Nasi doszli do okopów moskiewskich i wzięli jeńców.

Jest podobno więcej rannych głównie przy cofaniu się z pod okopów moskiewskich po nieudanym ataku.

Odesłałem ich po sprawdzeniu opatrunków do Zakładu Sanitarnego Brygady we wsi Łukawica.

Niestety opowiadania rannych tym razem nie były przesadzone. Koło południa nadszedł meldunek od Janka Gołąba, że w V bataljonie ma wielu rannych, a nie ma dostatecznej ilości wozów, by ich wywieźć. Zresztą uważa, że najlepiej bym sam do niego przyjechał.

Zameldowałem sprawę obywatelowi Rouppertowi, ten kazał mi jechać niezwłocznie.

U nas, we wsi sytuacja nie była również różowa. Rano zaalarmowani zostaliśmy wiadomością, że Czesi Obersta Mitzla poddali się, i że Moskale rzną w dziurę frontu, gdzie stał ich Regiment.

Tabory nasze zostały spakowane i odjechały do Osady Pęcławskiej. Odjechał z nimi i obywatel Dudoń. Wobec tego Siwutka siodła mi obywatel Wawrzyniec.

Chcę dostarczyć fur pod rannych V bataljonowi. Rzną więc do Łukawicy. Tam dostaję 3 fury od Zakładu Sanitarnego Brygady, 6 fur z intendenty od obywatela Litwinowicza, wreszcie trzy fury dają mi pocziwi saperzy. Z tym taborem — 12 wozów ruszam w straszonym upale i kurzu, jak najszybciej, do Pokrzywianki przez wieś Witowice.

Między Witowicami a Pokrzywianką droga jest już otwarta dla widoku z pozycyj rosyjskich, pędzimy więc, jak szaleni, wąwozami aż do linii chałup wsi Pokrzywianka. Za temi chałupami umieściłem Siwutka i moje wozy, sam poszedłem naprzód.

Przed domem na wzgórzu, w którym dawniej była Komenda 1-go pułku, stał sztab naszego pułku i zmęczony, niewyspany Janek Gołąb. Dwie jego furki pod rannych tuliły się za chałupą. Tuż za wsią słychać bardzo ostrą strzelaninę karabinową.

Artylerja rosyjska milczy, ale austriacka rypie ze wsząd i stwarza istne piekło. Na odcinku jednego kilometra strzela kilka bateryj. Nagle w parne powietrze wdziera się wichur, który krąży tumanami kurzu. Za

chwilę wali grzmot i rześista ulewa zakrywa, i tak wąski wśród wzgórz, horyzont. Wchodzimy do domu, ale oto wraca zdyszany patrol sanitarny z Kozinka, krzyżąc, że linja tyraljerska Austrjaków tuż za wsią. Wybiegliśmy z kapitanem Wyrwą za chałupy i tu ujrzeliśmy szybko okopujących się Austrjaków. Pracowali tak wytrwale, kopali tak zawzięcie, jakby od dobrych okopów zależał los bitwy.

Zaczęliśmy zwijać punkt opatrunkowy V bataljonu i pakować rzeczy na wóz. Ponieważ większość rannych została już wysłana przez Ułanowice, wysyłam więc część wozów za nimi; kilka wozów odchodzi z obywatelem Rdułtowskim do Zakładu Sanitarnego Brygady, wreszcie ostatnie 3 wozy zostawiam przy sobie.

Tymczasem na rozkaz kapitana Wyrwy rozwinęła się kompanja, ulokowana w chałupach, jako osłona artylerji.

Z za wsi nagle wyjeżdża nasza 4-a baterja, pnie się po stromem zboczku wąwozu na pole, odprzodkowuje działa i rżnie z otwartej pozycji do widocznych już atakujących Moskali.

Po kilku celnych strzałach Moskale zatrzymali się na miejscu. Artylerja rosyjska dała do naszej baterji trzy salwy, ale wszystkie trzy były za krótkie. Teraz nasza baterja galopem odjeżdża za Pokrzywiankę po wystrzeleniu naboju i zatrzymaniu natarcia Moskali.

Pod ulewnym ciągle deszczem zbiera się za wsią zmały V bataljon. Straty ma duże, naliczonych 45 ludzi. Brak dowódcy bataljonu, Herwina i porucznika Sarmata, komendanta kompanji.

Obywatel Wyrwa zostaje z 4-ą kompanją dla ochrony artylerji, która strzela z miejsca, gdzie przed godziną, zatrzymałem moje wozy.

Nie mam już tu co robić, gdyż ranni wszyscy wysłani. Prowadzący trzy kompanje V bataljonu obywatel Wir mówi, bym jechał do brygady zameldować, że bataljon jest już wycieńczony, gdyż ludzie stali 2 dni

w ogniu bez wytchnienia, przy poddawaniu się Austriaków na bokach. Mimo to Oberst Mitzel nie pozwala im odpocząć.

Siadam więc na konia i jadę obok bohaterskiej 4-ej baterji, uzupełniającej za całą swą amunicję.

Dalej zdążam wąwozem na Witowice, gdy najeżdża galopem chorąży naszej artylerji. Krzyczy on, bym wiał z wąwozu, bo za nim pędzi z oślizgłej góry jaszcz z amunicją. Ledwie wjechał na zbocze wąwozu, gdy z hukiem przemknął jaszcz, zaprzężony w 12 koni. Trzeba było sprzęgać aż tyle koni, gdyż glina od deszczu rozmokła, wąwozy były śliskie tak, że 6 koni nicby nie zrobiło.

Szczęście, że się w porę usunąłem, bo oto czuję, że siodło luźno siedzi na koniu, zeskakuję i stwierdzam, że rzemienie, któremi przywiązuje się popręgi, odwiązały się i siodło trzyma się tylko na t. zw. „Obergurcie“, czyli górnym popręgu. Zaczynam majstrować na deszczu, słabo tak idzie. Siwutek jest zdenerwowany strzałami i widokiem galopujących koni.

Przy tej robocie dopędził mnie obywatel Wyrwa, idący z 4-ą kompanją. Wreszcie siadłem na konia by jechać dalej.

Za chwilę widzę przede mną widok pocrzepiający: trzech naszych prowadzi do Ułanowic 38, wziętych do niewoli, Moskali. Idą rażno wąwozem i żartują! nie są bynajmniej przygnębieni. Wyprzedzam ich i dojeżdżam do dworu. Tu melduję Obywatelowi Komendantowi o stanie V bataljonu. Obywatel Komendant obiecuje interwenjować u Mitzla.

Po zameldowaniu d-rowi Rouppertowi strat oddaje trzy moje ostatnie fury obywatelowi Jakowickiemu.

Naskutek sytuacji walki cofnęliśmy się jeszcze do Ciasnych Wotowic, ale już pod wieczór, gdy ustaliła się linja bojowa, wróciliśmy do Ułanowic wraz z V bataljonem, którego żołnierze wreszcie mogli się wypaść.

Tu wyrwałem kapitanowi Wyrwie ząb, który mu dokuczał.

Sarmat znalazł się, wrócił z dwoma zdobytymi karabinami rosyjskimi i oryginalnym lichtarzem, zrobionym z kul karabinowych. Pierwszy raz widzimy taką robotę, wszyscy oglądają z zajęciem.

Odnajduje się i kapitan Herwin, ale niestety ciężko ranny kulą karabinową w głowę. Żołnierze nieśli go 2 kilometry na płachcie namiotowej, nim znaleźli furę. Teraz leży w Zakładzie Sanitarnym Brygady. Pewnie długo nie pożyje.

Naskutek zbliżenia się linii bojowej w Ułanowicach straszny ścisk. Nocujemy razem: sztaby 1-go i 3-go pułków i porucznik Sarmat. Pełno ludzi i koni w całym obejściu naszej chaty.

Następnego dnia, 20 maja, spaliliśmy dosyć długo, wypoczywając po wrażeniach i trudach dnia poprzedniego.

O godzinie 9 rano odchodził do Pokrzywianki pod komendę obywatela Śmigłego V bataljon po krótkim wypoczynku w Ułanowicach. Wypoczynek nie był dostateczny, to też jest wielka ilość gorączkujących i chorych, którzy tylko siłą woli trzymali się w bitwie. Odwiedziłem ciężko chorego na złośliwą anginę, przy 39° gorączki, obywatela Kazka. Siedzi przy nim Kirkor. W tejże izbie leży w 40° gorączki — chory pastuch z Pęchowic. Ma zapalenie opłucnej. Poczciwa gospodyni, u której choruje, nacierała mu smalcem „krzyże“, myśląc, że „się uchynął“. Chory w gorączce boi się szalenie strzałów i drga ustawicznie.

Gospodyni zajmowała się biednym pastuchem, jak rodzona matka, bo, jak mówiła: „to nimo nikogo“. Kobieta taka była dobra, tak serdecznie i gorąco mówiła o Polsce, że nawet wyraz „uchynął“ w jej ustach nie irytował mnie, jako lekarza.

Chłopi są tu szalenie łakomi na kocy. Gospodyni dawała mi koniecznie za mój koc, aż... 1 koronę, mówiąc że mnie dadzą drugi koc, albo „se tanio kupię“.

Wszystkie chałupy pełne są uciekinierów i ich dobytku. Moskale, cofając się, palą domy i stodoły. Biedni uciekinierzy nocują we wszystkich sieniach i chlewniach. Krowy ich i konie, zganiane, zbiedzone stoją w oborach, lub wprost na podwórkach.

Wczoraj pułkownik Mitzel, Czech, który w nocy, w czasie ataku postradał dwa bataljony „pepiczków” i uciekł do swego kolegi, Hermanowsky’ego dostał pochwałę za utrzymanie linji (naturalnie przez nasze bataljony!!!).

Odpowiedział chwalącemu go generałowi Dankłowi depeszą, którą zakończył słowami: „Sterben oder siegen!” — umrzeć lub zwyciężyć!

Najlepsze, że taki tchórz wysłał tę depeszę między innemi i w imieniu naszych bataljonów!! W jego pułku z powodu pochwały grafa orkiestra. Jest to jeden z nielicznych jeszcze oddziałów tego „walecznego” Regimentu, który ocalał od poddania się Moskalom.

Widuję codziennie Obywatela Komendanta, gdyż jadam obiady w Komendzie Brygady.

Komendantowi humor nieco się poprawił, gdyż uzyskał zapewnienie w dywizji, że za parę dni bataljony nasze zostaną wycofane z linji boju i na nowo połączone w brygadę.

Kaden występuje, jako „Verbindungsoffizier” — oficer łącznikowy do dywizji i użera się na potęgę z Austriakami.

Oto w krótkości przebieg dni poprzednich. Opisywałem go 1½ godziny i zmachałem się setnie. Przynajmniej zostanie coś dla potomności! I tak spaćbym nie mógł, dzięki trwającym wciąż krzykom starej baby. Budzi ona swe córki, coraz to innemi, zmyślonemi krzykami.

Jednej krzyczy: „Mańka, wstajaj ze, bo ci sie kury poduso, a wstajaj ze, o jakaś ty!”. Innej woła, że jej gęsi uciekną.

Te drobne troski i kłopoty życia codziennego są w jaskrawej sprzeczności z ogniem armat, karabinów ma-

szynowych i broni ręcznej, które słyhać doskonale. Ludność widocznie już się przyzwyczaiła do walk, trwających od dni kilku, gdyż nawet dziewczęta robią już „fachowe“ uwagi, w rodzaju: „Ale pulemiet długo sęko!“... W tej chwili jedna z dziewczyn wpada ze śmiechem, bo szewc „lamentuje, że: żołdacy nad ranem, wyważyły okno, bo stukały, a tu w chałupie nikogoj, bo szewcy uciekły do chliwa, do Józkowej, bo bały się żołdatów. Tero wszyscy się z szewca śmiejo, a żołdacy nanieśli se słomy i śpio we środku!!!“.

Czas już iść na śniadanie. Jedyne to moje w tej chwili zajęcie. Jestem bez pracy. VI nasz bataljon — przydzielony do 25-ej dywizji; V bataljon jest pod komendą Śmigłego w Pokrzywiance i należy pod względem lekarskim — do dra Jakowickiego. Miałem iść z V bataljonem, ale w ostatniej chwili mię zatrzymano. Chodzi o to, że sztab naszego pułku wyjechał do Wysoczek Małych, by, o ile się da, połączyć w pułk VI i I bataljony. Wtedy miałbym znów zajęcie, a tak — jestem lekarzem pułkowym, ale bez pułku.

Tegoż, 21 maja, po śniadaniu. — Wczoraj wieczorem o godzinie 8.15 umarł w Zakładzie Sanitarnym Brygady kapitan Herwin, nazwisko — Piątek Kazimierz, komendant V bataljonu, łagodny i cierpliwy na ból. Typ ascety filozofa, nosił wielkie okulary, z za których patrzyły niebieskie, marzące oczy. Nawet, jadąc konno, nosił na plecach tornister, ale w nim — komplet dzieł Słowackiego. Gdy był głodny — czytał poezję.

Żołnierze trochę boczyli się od niego, ale bardzo go szanowali. Pochowany został w lasku obok Pęcławic.

O! mój nieszczęśliwy V bataljon! Dzisiaj zabity Sarmat — Szyszłowski Mikołaj w brawurowym ataku na czele swej kompanji na pozycje rosyjskie w Garbowcu. Nasz V bataljon rznął naprzód, ale niepodtrzymany przez Czechów 8-go Regimentu, wzięty w ogień krzyżowy, musiał się wycofać po śmierci Sarmata. Ciało Sarmata do tej chwili leży jeszcze na stoku góry, za-

jętej przez Moskali. Nasi mają atakować, by odebrać ciało.

Żona Sarmata jest sanitariuszką w Zakładzie Sanitarnym Brygady. To też prędko, biedna, dowiedziała się o śmierci męża!

Wieść o zabiciu Sarmata przywiózł z V bataljonu obywatel Kanarek około południa. Doniósł on również, że w bataljonie jest moc rannych, dla których brak wozów. Szybko osiodłałem Siwutka i pogalopowałem do Pokrzywianki.

Zdziwiony dr. Jakowicki, mający tu punkt opatrunkowy, mówi, że nic nie wie o wielkich stratach, że zresztą da sobie sam radę.

Postanowiłem wobec tego sprawdzić sytuację na miejscu. Zostawiłem u dra Jakowickiego Siwutka, a sam, na piechotę, idę w kierunku pozycji. Dr. Jakowicki objaśnił mi, że III bataljon z obywatelem Śmigłym zajmuje wzgórze 244, a na lewo od niego stoi V bataljon, który również podlega majorowi Śmigłemu.

Wychodzę za wieś. Cudnie jest po ulewnym deszczu z przedwczoraj. Idę za wsią po łące, kierując się śladami bryczki, która pojechała po rannych. Wchodzę tu już w ogień artylerji rosyjskiej. Walą tegie „kuferki“, a że grunt jest wilgotny, więc wywalają ogromne słupy czarnoziemu z darniną wgórę, tworząc istne kaktusy. Przyznam się, że od Lasek nie widział podobnego ognia i zrobiło mi się trochę mdło na duszy.

Skierowałem się najprzód wprost na wzgórze 244, gdzie padało mniej pocisków i gdzie zastałem kuchnie polowe, telefonistów artylerji i paru sanitariuszy. Wyjaśniają mi, że wzgórze 244 obsadza major Śmigły z III bataljonem, a na lewo od niego, łąką, biegną okopy V bataljonu.

Przyśpieszam kroku i zaczynam obchodzić na lewo wzgórze 244. Wzgórze to jest strome, porośłe gdzieś niegdzie drzewami i krzewami, służy mi jako dobra osłona. Sytuacja zmienia się gwałtownie, w chwili wyjścia z za

wzgórza na łąkę: rzną ciągle „kuferki“, i kule karabino-
we gwiżdżą nad uszami. Zboku, w Kozinku pali się
kilka chałup. Przyśpieszam znów kroku i biegiem wpa-
dam do poprzecznego wąwozu. Zastaję w nim Janka Go-
łaba, mającego tu swój punkt opatrunkowy. Pytam go
o sytuację. Mówi, że jest ciężka, że bataljon ma wielkie
straty, że nie wie, czy długo się utrzymają.

Chcę iść dalej do obywatela Śmigłego, gdy widzę, że
na łące w ogniu „kuferków“ cofa się linja tyraljerska.
Wybiegamy z Jankiem na łąkę... Poznaję „mój“ V ba-
taljon.

Żołnierze opuścili płytkie, z darni ułożone doły strze-
leckie i cofają się linją tyraljerską, zachowując jednak
porządek.

Nikt ich nie atakuje, ani ściga. Na łące — tylko pie-
kło „kuferków“. Podbiegam z Gołabem do najbliższej
prawoskrzydłowej kompanji i ryczę: „Chłopcy, czy nie
chcecie już bić sk.....synków?!“.

Linja zatrzymuje się na chwilę. Widzę pomęczone,
czarne twarze żołnierzy. Nadbiega porucznik Sawa
z Winiarskim, ze „Steyerami“ w rękę, ochrypli, wychu-
dli. Sawa mówi mi, że cofają się chwilowo na rozkaz,
że za chwilę obsadzą znów dołki na łące, których zresz-
tą nikt nie atakuje. Dają mi też do zrozumienia, bym nie
wtrącał się do nieswoich rzeczy.

Tak potraktowany, postanawiam zbadać sytuację do
dna i pójść na pozycję obywatela Śmigłego.

Kulki rypią, idę więc zgięty mokrym rowem do do-
mu, gdzie dawniej miałem punkt opatrunkowy. Dom
opuszczony. Wszędzie leżą porzucone na ziemi koce,
szczotki, plecaki, karabiny, naboje.

Jestem już na przedpolu V bataljonu i w każdej chwi-
li mogę spotkać patrol rosyjski. Biorę więc jeden z leżą-
cych karabinów, stwierdzam, że naładowany, wsadzam
do kieszeni dwie paczki naboji i tak uzbrojony, zaczy-
nam się piąć na wzgórze 244.

Idę jakiś czas sam, wreszcie słyszę głosy. Przystanęm i nadśłuchuje: nasi, czy Moskale.

Nie, głosy dźwięczne, przyjemne, to muszą być nasi. Wysuwam się ostrożnie z wnęki terenu i widzę obywatela Zosika z dwoma legionistami. Jest na lewym, najbardziej zagrożonym skrzydle swej kompanji. Żołnierze jego leżą w zagłębieniach terenu.

Mają cudny widok na dolinę rzeki Pokrzywianki, gdzie w gajach brzozowych przyczajeni siedzą Moskale. Co chwila głucho — bum! z mannlichera wskazuje, że chłopcy Zosika znaleźli swój cel.

— „Co tu robicie, doktorze, jeszcze Was zabijają!“ — woła „uprzejmie“ obywatel Zosik.

— Przynoszę Wam ten opatrunek, za chwilę będzie potrzebny — odpowiadam, wyciągając z kieszeni opatrunek polowy. — Gdzie jest obywatel Śmigły? — dodaje.

Obywatel Zosik wskazuje mi kierunek szczytu wzgórza. Idę więc tam dalej, zabezpieczywszy mój karabin. Im bliżej szczytu wzgórza, tem gęściej gwiżdżą kulki. Idą już teraz z trzech stron. Widocznie „Mochy“ robią wszelkie wysiłki, by zdobyć wzgórze.

Jest tak „gorąco“ w tym ogniu, że przypominam sobie, mimowoli, radę żołnierzy: schować głowę do kieszeni spodni, bo tam najbezpieczniej. Nie mogę biec zbyt szybko, gdyż idę tuż za linią strzelecką i patrzam na mnie żołnierze. Wreszcie jest — mała wnęka terenu, a w niej siedzi obywatel major Śmigły z obywatelami Pióreckim i Woyniczem.

Staję, prostuję się, by pokazać, że „strach nie ma do mnie dostępu“, i melduję, że przybywam naskutek wiadomości o wielkich stratach na froncie. Major chwytam się za rękę, wołając: „Ależ siadajcie doktorze!“.

Siadam szybko. Żadne zaproszenie, by usiąść w najpiękniejszym salonie, nie było dla mnie tak przyjemne, jak to pozwolenie schowania głowy! Kule idą teraz już nad głową, są daleko przyjemniejsze, niż przed chwilą!

Obywatel Śmigły mówi, że jest w ciężkiej sytuacji na wzgórzu 244, gdyż bataljon V cofnął się.

Wysłanemu obywatelowi Wyźłowi odpowiedzieli, że cofają się z rozkazu obywatela Śmigłego.

Ostatecznie więc jest jakieś nieporozumienie, dające się wytłumaczyć odbywającą się zmianą w Komendzie V bataljonu po zabiciu Herwina.

Obywatel Śmigły mówi, że Austriacy robią mu dużo kawałów i opisuje to wszystko w meldunku do Brygady, który każe mi szybko oddać Obywatelowi Komendantowi, by V bataljon mógł w porę otrzymać wzmocnienie.

Żegnam się i wybiegam na rój pszczoł — kul moskiewskich. Teraz już mogę, mam pretekst, bieć szybko: niosę ważny i pilny meldunek. Wkrótce zbiegam już ze wzgórza.

Z radością widzę, że V bataljon zawrócił i zajął zpowrotem swe wnęki strzeleckie na łące. Kuferki rypią ciągle. Widocznie Moskale otrzymali świeżą amunicję.

Mijam linję V bataljonu, punkt opatrunkowy Gołaba i znajduję się za dobroczynną osłoną wzgórza 244. Rzucam niepotrzebny mi już karabin i amunicję. Kuchnie odjechały, ale na ich miejscu stoją jacyś pułkownicy austriaccy, obok nich — luzacy i dwóch żandarmów.

Już ich minąłem, biegnąc, gdy dogania mię żandarm, mówiąc, że pan Oberst mię prosi.

Niema rady, wracam niechętnie. Jeden z pułkowników głosem surowym pyta mię: „Co to znaczy, dlaczego pan odchodzi do tyłu?!“. Krew zalała mi twarz. Ten Austriak chce mnie uczyć odwagi. Głośno więc rypię:

— Panie pułkowniku idę z meldunkiem!

— Z meldunkiem? a niechno pan pokaże!

Była to, naprawdę, ciężka dla mnie chwila.

Jeżeli oddam meldunek tym draniom, to zostaje mi tylko kulka w łeb z mego rewolweru; jeżeli nie oddam i zacznę wiać — żandarmi mię dogonią lub zastrzelą,

nim dopadnę V bataljonu. Zimno zrobiło mi się pod czapką.

Wreszcie po dłuższej chwili nadpłynęła myśl szczęśliwa — jak objawienie: „Panie pułkowniku, jestem lekarzem i niosę meldunek sanitarny, o ilości rannych!“.

— Ah, tylko meldunek sanitarny, no to niech pan idzie!

Zasalutowałem i... wiałem! Wiałem najprzód pieszco, potem przez Pokrzywiankę, co koń wyskoczy, do Brygady. Ah, jakże piękny jest świat, gdy nie dałem się Austriakom!!

W Ułanowicach oddaję meldunek Obywatelowi Komendantowi i opowiadam sztabowi swoje wrażenia.

Tymczasem ogień karabinowy przybliżył się do Ułanowic. Siodłają konie Sztabu Brygady. Droga zatarasowana cofającymi się armatami i jaszczami. W powietrzu czuć odwrót.

Po południu nadchodzą dwa bataljony 12-go pułku honwedów. Wracam do Pokrzywianki jeszcze raz, by przeprowadzić fury potrzebne pod rannych.

Sytuacja zmieniła się bardzo od południa. Cała wieś zapchana wojskiem. V bataljon i jedna kompanja III — we wsi. Obywatel Śmigły z resztą III bataljonu stoi za wsią. Obchodzę z nim okopy honwedów, poczem wracamy do bataljonu.

Obywatela majora wzywa do siebie Austriak Grassi. Rozmawiają, stojąc przed domem. Nadjeżdża obywatel Dąbrowa na swej angielce i daje mi ją do trzymania, gdyż idzie do obywatela Śmigłego „na parę delikatnych słów“. Rozmawiają dalej coś we trzech z Grassim.

Wreszcie obywatel Śmigły podchodzi do mnie i każe mi jechać do Obywatela Komendanta z meldunkiem, że odsyła V bataljon i kawalerję do Ułanowic, ale sam musi zostać z III bataljonem i zajmuje napowrót wzgórze 244.

Pędzę do Ułanowic. Zastaję Komendanta we dworze. W pierwszym pokoju, tuż za gankiem przy telefonie

kupa oficerów ordynansowych: Kaden, Dzieduszycki i t. d. Mówię, że mam meldunek do Komendanta od Śmigłego. Wychodzi Komendant z obywatelem Szeferem z drugiego pokoju, rzuca mi krótkie: „Co?“ i przechodzi przez ganek do ogrodu. Tu melduję, co mi kazał obywatel Śmigły. Komendant jest zdziwiony: „Ależ gdzież, to ja tu na próżno dreczę. Ja mam już rozkaz, aby wszyscy legjoniści cofnęli się do Ułanowic!“.

Wracamy do dworu.

Komendant wysłał Dzieduszyckiego do nowego brygadjera austriackiego z żądaniem złuzowania obywatela Śmigłego i III bataljonu. Nowy brygadjer przysłany został na miejsce Mitzla. Regiment tego „wodza“ został w ciągu paru dni rozbity. Nie pomogły mu depeze, ani orkiestra.

— „Umrzeć lub zwyciężyć!“ pisał, a poprostu dostał w d...!

W tej chwili wchodzi obywatel Dąbrowa i melduje o sytuacji obywatela Śmigłego to samo, co ja przed chwilą. Czekamy, co przyniesie Dzieduszycki.

Wraca wreszcie z wiadomością, że bataljony legjonowe i kawalerja zbierają się w Ułanowicach. Dwie kompanje mają na wszelki wypadek obsadzić drogę między Pokrzywianką a Ułanowicami.

Niestety obywatel Śmigły musi sam zostać z III bataljonem na wzgórzu 244. Austrjacy boją się nieprzytomnie utraty tego wzgórza. Grassi nie chce puścić z frontu Śmigłego, bo nie ufa swoim austriackim żołnierzom! Juści, rację to on ma im nie ufać! Ale co winien temu obywatel Śmigły i III bataljon?

22 maja. — Stoimy ciągle w Ułanowicach, gdzie jest Komenda Brygady i V bataljon, który nadszedł na odpoczynek wczoraj wieczorem.

Ciężką pracę sanitarjatu V bataljonu w ostatnich jego bitwach opisałem w następującym raporcie:

Do Ob. D-ra Roupperta Lek. Nacz. Bryg. I.
Lek. III pułku. — Raport.

Udział oddz. sanit. V. B. w bitwach pod Kozinkiem
w dniach 19 i 21 maja 1915.

Okolo godz. 3-ciej nad ranem rozpoczął się atak na
Kozinek — z tą też chwilą rozwinął się oddział sani-
tarny.

Oddział sanit. V. B. był w tem szczęśliwem położe-
niu, że był zupełnie pełny i stąd mógł normalnie funk-
cjonować.

Nadmierna ilość rannych, kiepskie warunki opatry-
wania z powodu ciągłych cofań, panika panująca zroła-
sza w dniu 21 utrudniały funkcjonowanie prawidł-
owe patroli. Szalone zmęczenie u większości sanitariuszy
dało się zauważyć już koło południa w dniu 21 — a to
z powodu wadliwego ustroju patroli (składa się z 4-ech
ludzi wraz z komendantem). Utrudniała też zadanie
oddz. sanit. konieczność założenia w dn. 19 punktu
opatr. w Pokrzywiance — brak podwoń do przewożenia
rannych — i konieczność szybkiej ewakuacji Pokrzy-
wianki z por. w każdej chwili spodziewanego od-
wrotu.

Mimo tych wszystkich trudności cały oddział funkcyj-
nował bez zarzutu — a opatrunki nakładane nawet na
linji odznaczały się starannością. Zaznaczyć należy, że
sanitariusze wielokrotnie opatrywali rannych pod gę-
stym ogniem nieprzyjacielskim. Ob. dr. Gołąb twierdzi,
iż trudno mu wprost wskazywać na poszczególnych sa-
nitarjuszach — wszyscy wypełnili swój obowiązek z za-
parciem się siebie i odwagą.

(—) Dr. Składkowski, Lek. III Pułku.

Wczoraj po południu żołnierz rosyjski, rodem z Be-
sarabji, przyniósł do naszej linji bojowej rannego pod-
porucznika Marę z V bataljonu, leżącego parę godzin

po walce na przedpolu. Żołnierz rosyjski jest rezolutny. Mówi, że Czesi, którzy im się poddawali, nauczyli ich, że — by się poddać napewno i bez niebezpieczeństw — „nado płatoczek białyj!“.

Tak on też zrobił, a dla większej pewności, prócz „płatoczek“, przyniósł jeszcze naszego rannego. Tak więc, nauka Czechów w las nie idzie. Moskale też poddają się gromadnie. Podobno 12-y pułk honwedów po śmiałym ataku zagarnął 1000 Moskali, jako jeńców. Widać oni mają też swoich „Czechów“.

23 maja. — Piszę w południe w Wysoczkach Małych, dokąd przyjechałem do Komendy pułku. Przeglądając tu książkę: „Polskie Pieśni Wojenne“, natrafiłem na piosenkę: „Haniś, moja Haniś“..., którą tak bardzo lubił zabity porucznik Sarmat. Parę dni temu — żył jeszcze...

Komenda Brygady, V bataljon i karabiny maszynowe przeszły do Konar. 4-a dywizja piechoty austriackiej zajmuje odcinek: Przepiórów, Borków, Mydlów. Nasz 2-i pułk Berbeckiego trzyma Przepiórów i Borków. Obywatel Śmigły z III bataljonem ciągle stoi na wzgórzu 244, za Pokrzywianką. Dr. Jakowicki dalej ma swój punkt opatrunkowy w Pokrzywiance, w domu na wzgórzu.

Dzisiaj byłem u niego z rozkazu dr. Roupperta. Odbyliśmy dwa beznadziejne consilia. Jeden był, nieznanym mi żołnierz, ranny w brzuch. Drugi — to ranny w wątrobę, obywatel Wyżeł, adjutant III bataljonu. Stan jego jest ciężki. W czasie walki leżał jakiś czas, gdy nasi się cofnęli, między linjami walczących. Moskale, gdy zobaczyli, nie zrobili mu nic złego. Przeszukali mu tylko starannie kieszenie, zabrali paręset koron z portfela, a na ich miejsce włożyli 10 rubli. Później nadszedł rotny felczer i... dał mu pić mleka i kawy.

Podporucznik Wyżeł leży w chwili badania, spokojnie, na noszach, wymoszczonych sianem. Opowiada z wdzięcznością o felczerze rosyjskim, który przynaj-

mniej dał mu pić, gdy leżał pod skwarem słońca w godzinach południowych. Nie mówimy mu nic, że to „miłosierdzie“ Moskala może go kosztować życie. Wyżeliśmy, że jest ranny w płuca.

Odjeżdżałem z consilium z ciężkim sercem. Prawdopodobnie obaj ranni nie będą żyć.

Nie możemy nic im pomóc prócz pozostawienia w spokoju na miejscu.

Inni giną, a ja, lekarz bez pułku, wyleguję się „na tyłach“. Leżę w tej chwili w ogrodzie na murawie, koło domu sołtysa.

Dziś Zielone Świątki, więc we wsi wszyscy uroczyści mimo bliskiego frontu. Armaty i strzelanina karabinowa ucichły. Gdzieś z oddali tylko od czasu do czasu słychać miarowy huk. Zresztą cisza niedzielnej popołudnia. Jakiś chłopiec gra na harmonji. Muchy i pszczoły brzęczą koło uszu. Nie mam co robić. Czytam pożyczoną książkę: „Pani Bovary“.

Otrzymaliśmy uzupełnienie z Królestwa. 1-y pułk dostał Zagłębiaków. Nasz pułk — młodych rekrucików z Płocka i Łodzi. Widok tych nowych, chętnych żołnierzy jest krzepiającym ducha dowodem, że Idea Komentanta działa. Mamy więc jakiś związek z Narodem.

Kapitan Wyrwa na kilka minut przed moim przyjazdem do Komendy pułku został wezwany telefonicznie do Komendy Brygady. Dotychczas nie wiadomo, po co go wezwali.

24 maja. — Drugi dzień Zielonych Świąt, południe, w Komendzie Pułku. — Tuż obok stoi kompanja uzupełniająca i część taboru.

Dzisiaj major Trojanowski wysłał pismo do „brygady“ z prośbą, by sztab pułku mógł się połączyć z V bataljonem, stojącym w Konarach i zacząć na nowo odtworzać nasz 3-i pułk. Rzeczywiście od kilku już dni prózujemy tu „na tyłach“.

Wczoraj wieczorem podobno atakował Moskali nasz drugi pułk, Berbeckiego. Przerwali pierwszą linję Mo-

skali i doszli aż do rezerw, ale obeszli ich od skrzydła i musieli się wycofać. To też wielu rannych przewieźli po tym ataku przez naszą wieś do Zakładu Sanitarnego Brygady. Dzisiaj, na froncie — cisza.

Mamy już tylko 5 armat, bo 3 armaty rozděły się w czasie gwałtownego ognia i trzeba je było odesłać do naprawy. Czy Austriacy nam je oddadzą? Takeśmy się cieszyli z ich posiadania!

Wczoraj maruderzy przyprowadzili furę, zaprzężoną w dwa wynędzniałe konie. Ledwie doszły do naszego domu. Postanowiłem jednego konia odpaść i oddać go pod wierzch Dudoniowi. Drugiego, siwego konia, który wymaga dłuższej opieki, oddałem wraz z furą naszemu gospodarzowi.

Tymczasem dowiedziałem się dzisiaj, że obywatel Dudoń zamiast oddać siwego konia i wóz za darmo, sprzedał je za 4 korony i 9 garnców jęczmienia. Gdy robił mu wymówki, powiedział, że trzeba czemś żywić Siwutka i jucznego konia Dziunka.

Nic nie pomogło tłumaczenie. Pieniądze kazałem oddać, jęczmień kupiła nasza prowiantura, a biedny dobroczyńca koni stoi „na słońcu“ przed domem pod karabinem i opęda ręką muchy, gdy myśli, że na niego nie patrzę.

Porządny chłop ten Dudoń, a tu coś go poderwało „myśleć o przyszłości“. Poprostu, nie mógł zboleć, że inny chłop dostaje konia i wóz za darmo.

25 maja, popołudniu. Wieś Konary, w Komendzie Pułku. — Przybyliśmy tu wczoraj, cały sztab pułku, konno z Wysoczek Małych, i zaraz zameldowaliśmy się w Komendzie Brygady. Tu nadeszła akurat wiadomość o wypowiedzeniu wojny Austrii przez Włochy.

Po powrocie z „brygady“ pojechałem do Kujaw, gdzie stoi V bataljon celem nawiązania z nim łączności.

Wyjechałem pod wieczór, i malowniczą drogą wśród parowów dojechałem do opuszczonego dworu, przy

którym kilka dni temu w południe wiałem od urojonych Moskali.

Na dziedzińcu stoją nasze tabory. Dwór wygląda przy świetle wschodzącego księżyca równie pięknie i zacisznie, jak wtedy w skwarne południe.

Jadę dalej wąwozem, później wyjeżdżam na łąkę, gdyż wąwóz jest zawalony odrutowanemi jeźdźcami hiszpańskimi.

Siwutek sunie cichutko po miękkiej łące w oparach mgły, osrebrzonej światłem księżyca. Wjeżdżam znów do wąwozu, jadąc śladami kół wozów taborowych i nagle znajduję się w dużej wsi, rozrzuconej wzdłuż parowu, gęsto ocienionej drzewami. Zapytuję, co za wieś. — Na szczęście, to — Kujawy.

Jeszcze parę konfliktów z drutem telefonicznym, przeciągniętym nisko wpoprzek parowu — i dojeżdżam do Komendy bataljonu. Omawiam z Jankiem Gołabem stan bataljonu. Nie jest on wesoły. Bataljon stracił w ostatnich dniach na stan 600 ludzi, czterdziestu kilku zabitych i rannych, w tem — kilku oficerów.

Janek odprowadza mię przez łąki na „krótsze drogi“, i wkrótce znajduję się przy chałupie, niedaleko sztabu pułku, gdzie mieszka dwóch „jednorocznych ochotników“ od saperów Rigellego, z których jeden jest Węgrem. Są oni oburzeni „wiarołomstwem“ Włochów. Twierdzą, że jednocześnie Moskałe rzucili wielkie siły do przeciwnatarcia przez „Iwangorod“ i Warszawę. Są mimo to pełni otuchy, mówiąc, że na granicy włoskiej stoi 700 tysięcy Niemców, którzy już w tej chwili piorą „makaroniarzy“ tak, by z nich śladu nie zostało. Ano zobaczymy, co z tego będzie.

Pogadałem z saperami i wróciłem do pułku. Tu nikt nie spał. Noc była śliczna, rozwidniona światłem księżyca i wybuchami pocisków naszej i austriackiej artylerji, która rzucała na Przepiórów. Jest to folwark, na którym załamał się wczoraj atak pułku Berbeckiego.

Stoi na górze, więc widać doskonale działanie naszego ognia.

Spać mi się również nie chce. Biorę gitarę i siadam przed domem. Po paru strofkach ludowych piosenek, otoczył mię tłum chłopów, którzy powyłazili z ciemności nocy. Nietylko słuchali, ale nawet śmieli się z niewybrednych „kawałów“ chłopskich, które śpiewam, nazbierane z całej Polski. Tak siedzieliśmy do późnej nocy. Poszliśmy spać.

Gospodyni nasza, że była sama w domu, poszła spać do sąsiadów, nie dowierzając widocznie, naszej rycerskości.

Potwierdził to rano dzisiejszy. Córka gospodyni weszła na górę, gdzie spali nasi chłopcy.

Za chwilę matka spostrzegła to i zaczęła wołać: — Kaśka, Kaśka co robisz tam na górze?! —

— Dy, nosinie bierze — zabrzmiał głos Kaśki z góry.

— Złaż ino mi zaro!

Gdy Kaśka zeszła po drabinie, matka zawołała ją do siebie i grożąc palcem, syczała jej prawie do ucha:

— Nie łaż mi na górę, bo nie wis, cym to pochnie!

Ale Kaśka niecierpliwie wzruszyła ramionami, mówiąc: — Ee, mama ino cingiem, nie łaż i nie łaż! —

Wogóle gospodyni jakoś krzywo na nas patrzy. Nie dziwię jej się, że jest zdenerwowana, bo bitwa trwa tu już od dni kilku, ale czuję, że z „naszymi żołdatami“ (Moskalami) była w lepszym humorze.

Dowiedziałem się, że jest ranny Kruk Czarny z I bataljonu, a zabity dzielny Sokół.

Szkoda wielka Sokoła. Był on „w cywilu“ zaledwie ślusarzem, czy monterem, ale jakimże świetnym był oficerem! Wyjątkowo odważny, delikatny i sprawiedliwy dla podwładnych, mógł być i był wzorem dla wielu ludzi z akademickim wykształceniem.

Cześć Jego pamięci, znałem go krótko, ale nigdy go nie zapomnę!

29 maja. — Kilka już dni stoimy w tej samej chałupie z dołem, wyrwanym przez granat w ogrodzie. Straszne upały. Nasze konie wierzchowe i kare ogierki od bryczki pułkowej stoją pod szopą, koło ogrodu.

Panują nudy i jednostajność beczynnego życia. Zrzadka strzela nasza artylerja. Rosyjska strzelała też do nas przez parę dni, ale przestała, nie wyrządziwszy żadnej szkody.

Wobec tego spokoju ściągnąłem mój tabor sanitarny do wsi: wóz z podoficerem Ramułtem i konia jucznego.

Obywatel Ramułt jest muzykiem i hypnotyzerem — w jednej osobie. Ma odpowiednio piekące czarne oczy.

Wobec przepełnienia wsi wojskiem, uciekinierami, wreszcie zwykłą ludnością, postanowiłem polepszyć stan sanitarny, polecając uporządkowanie i oczyszczenie wsi. Sam kontrolowałem domy z patrolem, złożonym z dziesięciu żołnierzy z bagnetami na broni. Opornym mieszkańcom zagroziłem wysiedleniem. To też wnet tumany kurzu niedość obficie skropionej gliny zwiastowały nową erę czystości w okolicy. Wszędzie zamiatano, zgarniano gnój na kupę, wreszcie kopano wychodki polowe. Za parę dni wieś była nie do poznania.

Miedzy swymi, jednak, „nie będziesz prorokiem“. Janek Gołab wydał kartkę, na której przedstawił mię z wielką miotłą w ręku. W głębi obrazka żołnierze gonią ludność do zmiatania.

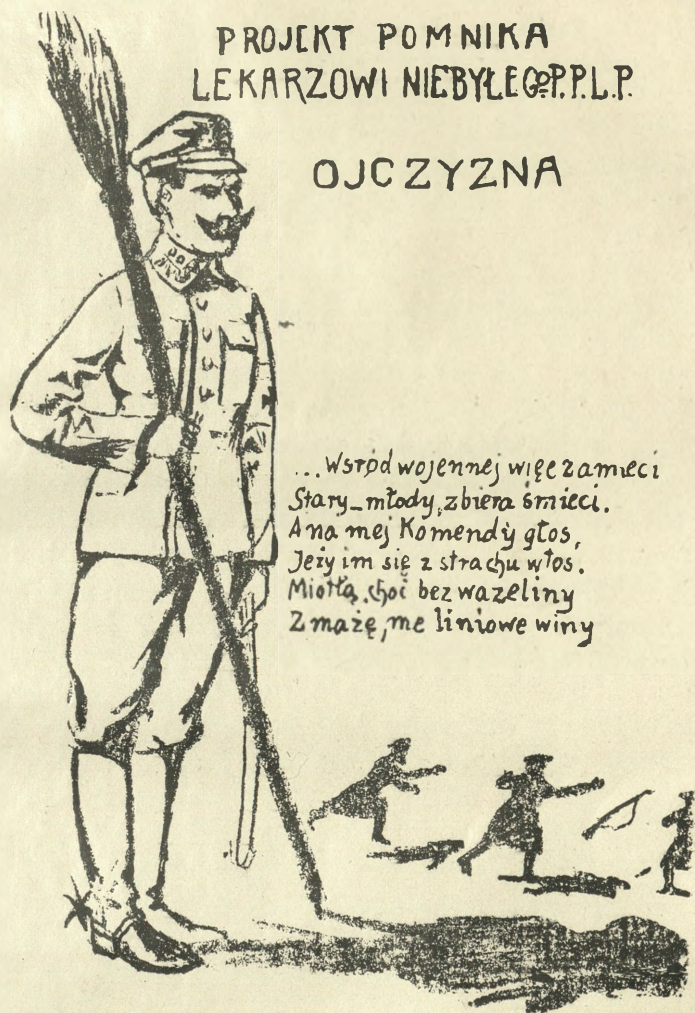
Złośliwy napis: „Projekt Pomnika Lekarzowi Niebyłego P. P. L. P. — Ojczyzna“, a poniżej wierszyk:

„...wśród wojennej więc zamieci
Stary — młody zbiera śmieci.
A na mej komendy głos,
Jeży im się z strachu włos.
Miotłą choć bez wazeliny
Zmażę me linjowe winy“.

I wykazuj tu potem jakąś inicjatywę! Trudno wszystkim dogodzić. Jeszcze mi Kęty wypominają!

PROJEKT POMNIKA
LEKARZOWI NIEBYŁEGO P.P.L.P.

OJCZYZNA



...Wśród wojennej więzarni
Stary-młody, zbiera smieci.
A na mej Komendy głos,
Jeży im się z strachu włos.
Miotał, choć bez wazeliny
Zmazę, me liniowe winy

Złośliwy projekt pomnika, za porządki w Konarach i okolicy.

Od paru dni przyjmuję chorych Austriaków z kompanji pionierów Rigellego. Niewielu ich przychodzi, bo są na wypoczynku, więc wolą grzać się na słońcu, niż chodzić do lekarza.

Dzisiaj utonął żołnierz z V bataljonu, kąpiąc się w rzeczce przy stawidle młyńskim. Gdy go wyciągnęli na brzeg, nie było już co ratować.

Zgłosił się do sztabu pułku właściciel karej kobyły, którą wymieniłem za Siwutka. Narzeka, że Austriacy nie chcą mu wypłacić gotówki, 1000 koron, za nasz kwit rekwizycyjny. Mówią, że zapłacą po wojnie. Napisał w tej sprawie do nas list. Ugodziliśmy się w ten sposób, że daliśmy mu 250 koron gotówką za inną klacz, którą Austriacy chcieli wziąć znów za kwit, płatny po wojnie!

30 maja, wieczorem. — Szczepilem dzisiaj o 6 po południu cholereę pionierom Oberleutnanta Rigelle. Koło pół do siódmej zaczęli Moskale ostrzeliwać wieś i zapalili stary dwór, położony w ślicznym parku w Konarach. Komenda 2-go pułku, będąca we dworze, musiała się szybko „ewakuować“ wobec tego, że Moskale trafiali raz koło razu w sam dwór. Szczęściem jeden 15 cm. pocisk nie wybuchnął. Obywatel Sław ma poszarpaną kurtkę od pękniętego granatu. Wobec tego, Komenda pułku przeniosła się do wsi.

Dwór pali się jeszcze w tej chwili, Moskale muszą mieć gdzieś dobrego obserwatora, bo, jak tylko zapalili dwór — wstrzymali strzelanie z armat.

Oberst Hermanowsky dowiedział się od jeńców Moskali, że na dzisiaj planowany jest atak, wobec czego mamy zarządzone ostre pogotowie na noc. Tak, sami nie śpią i innym spać nie dają ci Austriacy... Bieda z takim sprzymierzeńcem. Są strasznie zdenerwowani. Wszędzie widzą zdradę.

Zeszłej nocy pocziwy obywatel Jur — „bracie kochany“, szef naszej żandarmerji, prowadził śledztwo w następujących oskarżeniach ludności przez Austriaków:

1. Podobno w Łagowie chłop miał w piwnicy podziemny telefon do Moskali, przypadkowo odkryty przez Austriaków, kopiących doły na urządzenie stałej kuchni na podwórzu.

2. Gdzieś w okolicy podobno baba dobiła w polu ранego austriackiego żołnierza (trzeba być na to Austriakiem, żeby dać się dobić babie!).

3. Pewien chłop w Kujawach przyznał się podobno, że sygnalizował Moskalom za 300 rb., otrzymane od nich, latarką elektryczną austriackie przygotowanie do ataku.

Jur liczy, że to przesada, i że uda mu się uratować naszą ludność przed strachliwością Austriaków.

Przyszły dziś wieści o zmianie nastrojów w Warszawie... Komendant musiał wydać zakaz....

1 czerwca. — Natłok ludzi we wsiach przyfrontowych wywołał swoje skutki. Zaczynają wybuchać całe ogniska chorób zakaźnych.

Z rozkazu lekarza naczelnego w Zakładzie Sanitarnym Brygady odbywają się bezpłatne przyjęcia chorych z ludności cywilnej. Lekarze oddziałowi pomagają w tej pracy. Dzisiaj zostałem wysłany ja. Przyjmuję tu, w Grzybowie, zakaźnych chorych. Po ciężej chorych wysyłam wozy sanitarne. Z dziećmi przyjeżdżają matki. Obok tego każdy lekarz ma przydzielonych parę wsi, celem zorganizowania warunków higienicznych w życiu ludności i wyszukiwania chorych zakaźnych. Ja otrzymałem pod opiekę lekarską, wieś Olbierzowice.

Od 24 maja leczę mieszkańca wsi Konary, Jana Gawrona, ze złamaniem kości ramieniowej, wywołanem kopnięciem przez konia. Losy tego człowieka są osobliwe. Był szeregowcem w rosyjskim leibgardyjskim pułku grenadierów i został ciężko ranny w zeszłym roku na początku wojny w okolicach Lublina. We wrześniu umieszczony został w szpitalu w Moskwie, gdzie leczył się do Wielkiejnocy. Około tego czasu zwolniony

został z wojska i odesłany do miejsca urodzenia, do Konar, jako niezdolny zupełnie do służby wojskowej. Z całą otwartością pokazał mi swoje świadectwo zwolnienia.

Co z nim robić? Tu we wsi go nie zostawię, bo trzeba go leczyć, a my możemy w każdej chwili iść naprzód. Zresztą Austriacy mogą go rozstrzelać, jako ukrywającego się za frontem rosyjskiego żołnierza. Umawiam się z nim, że wyślę go, jako jeńca do Zakładu Sanitarnego Brygady, a stąd do szpitala na tyłach. W ten sposób przynajmniej będzie wyleczony i uniknie pośądzenia o szpiegostwo. Jest mu ciężko zdecydować się opuścić swoją wieś. Twierdzi, że „wszystkie papiery ma w porządku“. Zapomina biedak, że na miejsce Moskali przyszli Austriacy.

Zostawiłem sołtysowi wsi Konary pokwitowanie na zabranego Gawrona, bo władca wsi boi się, co powiedzą „nasi“, jak wrócą i nie zastaną rannego, powierzonego jego opiece. Jednym słowem, trudno jest ludności w pasie bojowym, a szczególnie w chwili zmiany okupantów.

3 czerwca. — Codziennie piekielne nudy w kurzu i spiekocie.

Koło południa otrzymaliśmy w Komendzie pułku, wieść o odebraniu Moskalom Przemyśla. Na drugą godzinę dzisiaj jest zapowiedziana z tego powodu radosna demonstracja wzdłuż całego frontu „od Karpat do Bałtyku“. We wsi gra już orkiestra. My postanowiliśmy wywiesić na wiatrakach za okopami biało-czerwoną chorągiew, by Moskale wiedzieli, z kim mają do czynienia, ale nim posłano do miasteczka Klimontowa po materjał, zbliżył się wieczór. Moskale milczą cały dzień w swoich okopach. Widocznie wstydzą się. Austriacy też milczeli, gdy oddali Przemyśl w ziemie.

4 czerwca. — Rano, godzina 11, w Komendzie pułku. — Siedzę przed domem i patrzę na biednych ewakuowanych mieszkańców wsi Płaczkowice. Przyprowadziło

ich pięciu żołnierzy austriackich. Od szóstej rano czekają w cieniu wierzb na jakieś pomieszczenie. Nie można ich wpuścić nigdzie, gdyż mają dzieci chore na ospę, w okresie gęstej wysypki pęcherzykowej. Nie rozumieją tego i usiłują rozleźć się po chałupach. Musimy ich spędzać do wozów. Wozy te są wyładowane kuframi i pościelą. Na wierzchu siedzą kury i kaczki. Kilka krów i jeden koń stoją przywiązane do wierzb. Ludzie siedzą na brzegu rowu. Biedacy, większość jest obojętna na swój los. Przewodzi im sołtys, jasny blondyn, niski, krępy. Nawołuje wciąż: „Cichaj!“. Nie jest to wcale zbyt skuteczne, gdyż jakaś baba przy pierwszym wozie nie siedzi spokojnie, jak inni, lecz gdy tylko zobaczy kogoś z „władzy“, zaczyna krzyczeć, że: „choć zabij, stąd się nie rusz, bo dzieci idą w taką spiekotę, a żadnej winy na nich nima!“.

Zaczyna swoją litanję co chwila. Widocznie chce być traktowana inaczej niż inni. Narazie wszyscy muszą czekać, aż się opróżni dla nich miejsce, w jakiej oddzielnie stojącej chacie.

Koło południa w skwar wyjechaliśmy konno z d-rem Rouppertem do Olbierzowic i Witowic na inspekcję sanitarną. Konie szły wolno i w wąwozach, w cieniu drzew upał był mniej dokuczliwy. W Olbierzowicach nie zastaliśmy już austriackiej komendy brygady i lekarza. Odeszli wczoraj. Z władz pozostał tylko sołtys, który spał na murawie pod gruszą. Zbudzony przeze mnie, uspokoił mię, jako władza władzę, że: „wszystko w porządku“. W Witowicach wypoczęliśmy w cieniu wielkiej lipy, stojącej przed domem, w ślicznym parku. Tu też nie było nowych chorych.

Wróciliśmy spokojnie, na drugą godzinę, na obiad. Zaraz po moim powrocie do Komendy pułku nadszedł z Baćkowic fonogram z VI bataljonu, detaszowanego do Austriaków.

Więści niewesołe:

1. Dzisiaj o godz. 6 popołudniu odbyć się ma w Baćkowicach pogrzeb por. Grudzińskiego. Wczoraj, wbrew rozkazowi obywatela Fleszara, wyszedł na patrol z dwoma żołnierzami pod okopy rosyjskie, i ranny w twarz, dobił się wystrzałem w serce.

2. Wczoraj niespodziewanie Moskale, w sile kompanji, zaatakowali placówkę VI bataljonu, dowodzoną przez podporucznika Kołodziejczyka. Grenadjerzy rosyjscy, w sile przeważającej, otoczyli placówkę, wzywając naszych do poddania się. Nasi, walcząc na bagnety, przebili się do swoich. Jeden nasz żołnierz zabity, kilku rannych. Podporucznik Kołodziejczyk ma 20 ran od odłamków granatu ręcznego. Mimo to wyprowadził żołnierzy z niebezpieczeństwa.

Wieczorem przyszli do Komendy Pułku: Stachurek Rouppert, Kaden i Genek Piestrzyński. Kaden opowiada, że porucznik Grudziński, w biały dzień, wbrew zakazowi, poszedł wśród zbóż z dwoma żołnierzami na patrol pod okopy moskiewskie. Gdy byli już o jakie 150 — 200 kroków od okopów, porucznik Grudziński został ranny w twarz, poniżej oczodołu. Żołnierze pobiegli po pomoc. Moskale otworzyli piekielny ogień z okopów, potem wyszli naprzód w żyto. Nasi atakowali i zrobili demonstrację ogniową, aby umożliwić sanitariuszom podejście aż pod okopy moskiewskie, gdzie leżał Grudziński. Sanitarjusze wyciągnęli, wlokąc w życie, po ziemi, już tylko martwe ciało. Jedna rana była w twarz, a druga w serce. W pistolecie Steyera, który porucznik trzymał w ręce, brakło jednej kuli. Widocznie skończył swe życie, nie chcąc dostać się do niewoli.

W tej chwili już jest pochowany.

Cały VI bataljon zyskuje sobie pochwały za dzielność od Austrjaków, do których jest przydzielony.

Sąsiadująca z nami 25-a austriacka dywizja piechoty, odchodzi na front włoski.

Wczoraj wieczorem byli u nas w sztabie pułku na kolacji: obywatele: Szef, Jur, Stachurek, Berbecki (mianowany majorem) i Genek Piestrzyński. Jur został na noc i obywatel Funio poszedł spać na siano.

6 czerwca. — Stan fizyczny naszych oddziałów mimo pięknej pogody nie jest świetny, naskutek ciągłych walk i ciasnego zakwaterowania. Można powiedzieć, że trapią nas: kule wroga, wszy i... choroby przewodu pokarmowego.

Oto dla ilustracji stan chorych V bataljonu:

I Brygada L. P.

V Baon.

Raport poranny o stanie chorych za czas od dn. 10.V.
do 31.V.1915.

Zgłosiło się jako chorych	185
Uznano za chorych	180
Odesłano do Zakł. Sanit. Bryg.	91
Leczono ambulatoryjnie	89

Rodzaj choroby.

Narządu oddechowego	21
Narządu krążenia	6
Przewodu pokarmowego	23
Chirurgiczne	108

W tej liczbie 3 of. rannych
i 76 żoł.

Skórne	4
Weneryczne (lues gonorr.)	1
Oczu	4
Różne	13
Razem	180

Kujawy 5.VI.15.

(—) J. K. Gołąb, lekarz V B.

7 czerwca. — Nie zaszło nic nowego. Dziś wyszedł rozkaz Nr. 575, omawiający odznaczonych w bojach, w okolicy Konar. W rozkazie tym Komendant mówi, że: „Najcięższe i najprzykrzejsze zadanie spadło na bataljony III i V, które stały na najbardziej zagrożonym terenie“, a dalej, że: „VI bataljon dotąd oderwany od macierzystego pnia, służbą swoją zyskał powszechne pochwały swych przełożonych“.

Przy wyliczaniu poszczególnych aktów męstwa, wymienieni są dwaj szeregowcy V bataljonu: Albin Stanisław i Lachur Jan.

Rozkaz kończy się wyrażeniem „wdzięczności i uznania“ dla sanitariuszy, ze szczególnem wymienieniem trzech sanitariuszy VI bataljonu „za nadzwyczajny akt odwagi, gdy z pod okopów nieprzyjacielskich wynieśli, niestety już tylko martwe ciało powszechnie szanowanego i lubianego kapitana Franciszka Grudzińskiego“. Ci, wymienieni z nazwisk w rozkazie, sanitariusze są: Muszyński Kazimierz, Bielohlawek Artur i Siemiganiewski Antoni.

Przy raporcie 10-dniowym mam: 1) podać skład oddziału sanitarnego po uzupełnieniu go i zaopatrzeniu w manierki; 2) zameldować do 8 czerwca południe ilość posiadanej szczepionki ospowej; 3) odebrać dla pułku łój salicylowy przeciw bardzo częstym odparzeniom nóg.

10 czerwca. — Przedwczoraj otrzymałem raport od obywatela Gołąba, że w V bataljonie był ranny w udo prawe i odesłany do Zakładu Sanitarnego Brygady obywatel Stein Stanisław i I plutonu 1-ej kompanji.

Wczoraj byliśmy z obywatelem majorem Trojanowskim w Żernikach, w VI bataljonie. Była to piękna wycieczka po staniu na miejscu w ciągu dni ostatnich. Pogoda sprzyjała przez cały dzień. Ze względu na panujące upały wstaliśmy o 6 rano, a o godzinie 7 byliśmy już w drodze. Przyjemnie jest jechać, jak się chce, bez „oglądania się“ na kolumnę i łyknięcia kurzu.

Minęliśmy o chłodzie jeszcze wieś Kujawy, gdzie, jak za czasów pokojowych, grała orkiestra 99-go pułku piechoty austriackiej, przejechaliśmy obok wyniosłych ruin zamku w miejscowości Ujazd, i lasem dostaliśmy się na drogę Bogorja — Iwaniska. Samo miasteczko Iwaniska położone jest na wzgórzach, dość malowniczo, ale jest brudne i odrapane. W środku rynku, zabrukowanego do połowy, wznosi się magistrat. Przyglądają mu się, w cichej zadumie dnia upalnego parterowe i piętrowe domy, otaczające rynek. Cisza tu zupełna. Miasteczko śpi. Zrzadka ukaże się postać ludzka. Wyjeżdżamy znów na słoneczny trakt i kierujemy się na Zaldów, Piskrzyn, Żerniki.

Przed Żernikami, naprzeciw Modliborzyc, jadąc traktem, wjeżdżamy niespodziewanie na linię okopów. Okazuje się, że jest to pierwsza linja, którą obsadzają strzelcy tyrolscy. Mówią nam, że do Żernik już tylko parę kilometrów, że można śmiało jechać konno wzdłuż okopów, gdyż linja moskiewska jest dopiero w odległości kilometra pod lasem i Moskale nie strzelają, bo nie mają amunicji. Jedziemy więc linią okopów w myśl wskazań. Przyznam się, że jest trochę nieprzyjemnie, bo a nuż Moskalom akurat nadeszła amunicja i zechcą jej wypróbować na naszych konikach.

Ale nic nie mać słonecznej ciszy, i w spokoju wjeżdżamy do wsi Żerniki „od strony nieprzyjaciela“. We wsi wypoczynek zupełny. Żołnierze śpią w cieniu drzew, lub wygrzewają się na słońcu. Wskazują nam Komen-dę bataljonu, która mieści się w widnej, lecz dusznej chacie. Zastajemy tam obywatela Satyra, adjutanta bataljonu, porucznika Bratro, księdza kapelana Żytkiewicza i porucznika austriackiego, którego kompanja po-dlega obywatelowi Satyrowi.

W czasie, gdy obywatel major zapoznaje się z sytuacją bataljonu, ja posyłam po lekarza, d-ra Hedingera, celem zaznajomienia się z warunkami zdrowotnymi.

Są doskonale wobec szerokiego rozłożenia bataljonu w okopach i rozkwaterowania we wsi, w której miejsca aż za dużo. Ludność również nie choruje. Dr. Hedinger jest doświadczonym lekarzem z Poznańskiego. Uciekł do nas z wojska niemieckiego, gdzie jest poszukiwany.

Obywatel Satyr prowadzi nas na okopy, będące w odległości kilometra od wsi. Idziemy polem obok ganku dobiegowego, który kręto przecina w wielu miejscach naszą drogę. Tu Moskałe są mniej łagodni i zaczynają „pukać”. Wina to podobno, naszych chłopców, którzy nie są tak „wyrozumiali”, jak strzelcy austriaccy i nie dają biednym Moskałom spokoju. Teraz też obok dokuczliwego bzykania kulek moskiewskich słyszymy gęsto strzały naszych „manlicherów”.

Wreszcie okopy. Większość żołnierzy śpi na polu za rowem strzeleckim. Czuwają tylko obserwatorzy w okopach, którzy co chwila „łupią” do Moskali. Idziemy wzdłuż okopów. Komendanci kompanij meldują się u obywatela majora. Okopy głębokie, w gruncie piaszczystym, wąskie, oszalowane deskami, wziętymi z pobliskiego tartaku. Podobno tak starannie urządzili je Austriacy, którzy lubią grzebać się w ziemi. Daszki przeciwszrapnelowe również zrobione z porządných desek i nakryte piaskiem. Obserwatorzy pokazują nam gruszę w polu przed wsią Modliborzyce, z której strzelają Moskałe do chodzących po polu. Niektóre punkty naszych okopów ostrzeliwują i w nocy, gdyż mają karabiny wycelowane i poprzywiązywane do drzewa.

Ostrzał naogół dobry, tylko na lewem skrzydle w odległości 150 kroków od okopów są zwaliska spalonego dworku. Tamtędy usiłowali podkraść się w nocy Moskałe. Przezorni Austriacy, którzy byli przed VI bataljonem, podminowali tam pole i ustawili z flanki karabin maszynowy. Stoi on w okopie i dotychczas, ale niestety obsługę ma złożoną z Czechów.

Tymczasem Moskałe zauważyli widocznie ze swych drzew ruch w naszych okopach, bo strzelają coraz gę-

ściej. Wracamy więc do wsi już rowem dobiegowym, który kończy się za cichą, pachnącą żytem i sianem stodołą. Idziemy wolno w upale do Komendy bataljonu, gdzie przygotowano już dla nas obiad „represen-tacyjny“, złożony z różnorodnych potraw. Po obiedzie śpię trochę, poczem jedziemy na cmentarz w Baćkowi-cach odwiedzić groby naszych kolegów. Stoją tu pod drzewami dwa duże krzyże. Pod jednym pochowany jest ś. p. porucznik Grudziński, pod drugim trzej nasi żołnierze: ś. p. Darocha, Bagniewski i sierżant Czyż.

Obywatel Fleszar mówi, że do sierżanta przyszła dziś, gdy już leży w ziemi, kartka od jego żony.

Żegnamy się z obywatelem Fleszarem, siadamy na konie i wracamy. W Iwaniskach pod wieczór już wstę-pujemy do masarni, gdzie kupujemy pszennego placka, kielbasy i pijemy „lemoniade“. Zażywna masarka roz czuła się na nasz widok i oglądając się, trwożnie mówi: „Pilnujcie się panowie chłopów. Oni na was bardzo źli. Moskale powiedzieli im, że wojnę zrobili strzelcy i księ-ża, a oni w to wierzą. Chłop zawsze chłop!“ — zakoń-czyła z wyższością.

Podziękowaliśmy pocziwej, ale strachliwej paniusi za sympatję dla nas i pojechaliśmy.

Znowu zamek Ujazdu patrzył na nas swemi oczodo-łami pustych okien. Jest tych okien podobno 315, oświetlały one 12 wielkich sal prócz wielu mniejszych pokoi w 4 bocznych skrzydłach.

Jesteśmy ciągle blisko frontu. Jakaś zabłąkana kula, jeszcze tutaj bzycząc, pada w piasek, wznosząc tuman kurzu. Jedziemy tu w sztucznym lasku, urządzonym przez Austrjaków dla osłony drogi od oczu Moskali.

Widocznie „lemonjada“ nie była najlepiej przygoto-wana, gdyż zaczyna boleć mię głowa, w sposób „strasz-ny“, jakby powiedział „maruder“. Chyboć się więc na siodle, jak dojrzałe jabłko na gałęzi, gdy zdążam za obywatelem majorem. Wreszcie mijamy szybko Kuja-



W Brygadzie nie byliśmy smutnymi „Donkiszotami”, o nie!

wy i rżniemy do Konar. Tu złażę z konia, i blady walę się na łóżko. Gorąca herbata wraca mi nieco sił.

Z zajęciem słuchamy opowiadań obywatela Sławka, który wrócił z Piotrkowa i maluje nastroje Królestwa po obydwóch stronach frontu. Gadaliśmy do późna w noc.

Teraz, gdy to piszę przed domem, jest godzina 10 rano, ale już gorąco i susza okropna. Podobno Austriacy odebrali Moskalom Stanisławów.

12 *czerwca*, pod wieczór. — Nie zaszło nic nowego. Nie chce mi się pisać, gdyż upał i brak deszczu trwa wciąż. Ziemia popękała, cała roślinność więdnie, zaczyna brakować we wsi wody. W związku z tem wydane są surowe zarządzenia, co do utrzymania czystości w przepelnionych wsiach. Dzisiaj lekarz naczelny brygady robił ze mną inspekcję latryn. Niestety chłopcy nasi wolą trzymać się starej metody: „za stodołę”, bez koncentracji wysiłku na szczupłym terenie latryn. Stąd — w „dółkach” polowych jest czysto, ale za stodołami...

Dr. Rouppert nie szczędził mi z tego powodu wymówek i musiałem słuchać za cały pułk. Poszły po inspekcji w ruch łopatk i napewno na jeden dzień „za stodołami” będzie czysto. Ale przyszłość dalsza nie wróży nic dobrego. Ach! żebyśmy już mogli ruszyć na-przód z tych ciasnych kwater!

Dr. Rouppert, Kaden i ja chodzimy codziennie kąpać się do rzeczki, która też bardzo zmalala pod wpływem upałów. Kaden twierdzi, że gdy Naczelna Władza Lekarska zanurzy się w wodzie, rzeczka gwałtownie przybiera. Ja nie śmiem wyrazić „posłusznego” zdania w tej sprawie. Wobec strasznych upałów i kurzu, zdobyłem się na krok heroiczny — zgoliłem brodę. Czuć się młodszy i piękniejszy.

Odrazu też wpadłem w oko obywatelowi Gottliebowi, zaprzysiężonemu artyście-malarzowi pułku zucho-watych Berbeckiego. Zrobił mój portret, raczej szkic kredkowy. Pozowałem mu w stodołę Komendy 2-go pułku.

W tej chwili ułan łącznikowy od VI bataljonu Fleszara przynosi meldunek. Okazuje się, że w okolicy Żernik Moskale zrobili pozorny odwrót, jednocześnie robiąc zasadzki w lesie i zbożu. Austrjacy ruszyli wprost na hura! gęstymi linjami tyraljerskimi i wpadli pod karabiny maszynowe. Nasiekali ich Moskale dosyć. Jeden tylko obywatel Fleszar wysłał patrole przed ruszeniem bataljonu z okopów. Patrole wykryły zasadzki Moskali i wycofały się bez strat. VI bataljon ze swych okopów krył odwrót „speszonych“ Austrjaków.

Za te wyczyny Austrjacy przyznali dekoracje wojenne wszystkim oficerom bataljonu i 30 medali za waleczność podoficerom i prostym żołnierzom.

Przed paru dniami Komendant odebrał osobiście sztandar od „Polek z Ameryki“, przywieziony przez specjalnego delegata. Sztandar jest jedwabny z haftowanym orłem białym. Delegat, wręczając Komendantowi sztandar, stwierdził, że: „przed powagą Komendanta upada powoli nawet warcholstwo polskie“.

Ceremonja odbyła się przed frontem III bataljonu i plutonu służbowego kawalerji z Wieniawą na czele. Nie brakło i strzałów honorowych. Oto nad linią rosyjską ukazał się samolot austrjacki, i białe obłoczki szrapneli goniły go po błękitnem niebie. Potem wybuchła wściekła strzelanina karabinowa, co jest rzadkością ze strony ubogich w amunicję Moskali. Naturalnie... „nikomu się nie stało!“. Było to jedynie uświetnienie naszej uroczystości. Zakończyła ją defilada przed obywatelem Komendantem.

Pogoda była wspaniała. Niechby tak jaka uroczystość austrjacka zaraz byłby — deszcz!

14 czerwca. Wieczorem było u nas, w sztabie pułku, przyjęcie. Był Obywatel Komendant Główny, obywatel Szef i cały sztab brygady. Po kolacji nasi żołnierze produkowali przed domem obozowe deklamacje i śpiewy. Na kolację prócz odwiecznych kotletów była i ryba. Dostarczył jej obywatel Jur — „bracie kochany“. W po-

ładnie pod stawidłem na rzece Pokrzywiance założył ładunek ekrazytu. Wyrzuciło słup wody, ale ryb zabitych było niewiele. W każdym razie starczyło na kolację uroczystą.

Pyszni są ci Austriacy. Spodobało im się to, że Moskale tak zerznęli ich jęgrów pod żernikami przez uporzorowany odwrót, i wczoraj chcieli naśladować to samo na naszym odcinku. Miały więc tabory w biały dzień, „robiąc kurz“, jechać do Ułanowic. Oddziały miały się przycziąć i nie ruszać przez trzy dni!!! Wtedy mieli nadejść Moskale, by kłaść się pokotem pod austriackimi karabinami maszynowymi! Tak oni sobie w sztabach wojnę przedstawiają. Ale nasi chłopcy nie mogą usiedzieć spokojnie nietylko trzech dni, ale i trzech godzin!! To też, Austriacy musieli odwołać swoje „zwycięsko-odwrotowe“ zarządzenia i — moje wozy wróciły do Komendy pułku.

Przed dwoma dniami szczepiłem ospę Obywatelowi Komendantowi Głównemu, sztabowi brygady i telefonistom. Zdaje się, że Obywatelowi Komendantowi ospa się nie przyjmie.

16 *czernca*. — Skwarne południe. Staszek nakrywa stół do obiadu. Jest jeszcze nieco „zamroczony“ i ma błędne oczy po wczorajszym seansie spirytystycznym.

Mój podoficer sanitarny, obywatel Ramułt, prosił już wiele razy o pozwolenie urządzenia seansu spirytystycznego. Wczoraj urządziliśmy wieczorem seans w obecności sztabu pułku i dra Roupperta. Sierżant Ramułt siadł na krześle naprzeciw Staszka, który z ochotą podjął się roli medjum. Wszystko szło jak najlepiej. Staszek szybko usnął pod wpływem obywatela Ramułta i dawał różne odpowiedzi, bardziej lub mniej szczęśliwe.

Trudniej było później z dobudzeniem się chłopaka. Obywatel Ramułt miał już krople potu na czole, a medjum trwało we śnie. Wreszcie, gdy zdawało się, że Staszek za chwilę wróci do przytomności, zerwał on się na-

gle z krzesła i skoczył przez otwarte okno do ogrodu — w ciemność i pokrzywy. Sierżant Ramułt za nim z krzykiem: „on może dom podpalić!“.

Ryczeliśmy... Za chwilę wszedł obywatel Ramułt z rozbudzonym już Staszkiem, który oświadczył, że musiał uciec oknem, gdyż Ramułt zabronił mu wyjść drzwiami i „ztyłu coś go trzymało“.

Nie wiem, czy spał wczoraj w czasie seansu. Zato dzisiaj rano, korzystając z okazji, spał naprawdę do dziewiątej i stąd będziemy jedli obiad później niż zwykle. Obywatel Ramułt twierdzi, że popełnił jakiś błąd techniczny, który mógł być się zemścić w sposób nieobliczalny! Staszek mówi, że spał. Ramułt jest zdania, że nie był to sen „klasyczny“.

17 czerwca, wieczorem. — Ciągłe stoimy w miejscu. Z Galicji nadeszły bycze wieści: Austriacy zdobyli Gródek pod Lwowem. Naprzeciw nas Moskale wcale nie szykują się do odwrotu. Między frontami leży przed nami wzdłuż rzeczki wieś Kamieniec. Nie obsadzają jej ani Moskale, ani my. Jest ona niczyja i spotykają się tam tylko patrole obu stron. Jest we wsi młyn, i do pięknej młynarki, przychodzi podobno co noc kapitan rosyjski z ordynansem. Oczywiście, ordynans jest tylko od pilnowania, by nasi nie nakryli kapitana „na gorącym uczynku!“.

Trzech naszych żołnierzy, którzy też zapragnęli odwiedzić młynarkę i dać nauczkę kapitanowi, wyszli na noc i — nie wrócili. Teraz zawziął się na kapitana jeden z naszych poruczników. Może go i złapie, o ile nie usidli go młynarka ze „straszego młyna“. Młyn jest blisko naszych okopów, ale nie widać go prawie, gdyż obrośnięty jest drzewami, trzciną i tatarakiem. Kulki gwiżdżą we wsi, gdy patrole biją się „o młynarkę“.

21 czerwca. — Wrócił wreszcie z Żernik nasz VI bataljon, syt sławy, orderów i konserw austriackich. Przybycie jego wróży, że pewnie pójdziemy wkrótce naprzód i stąd robimy przegrupowania.

Obywatel Komendant Główny wyjechał samochodem do A. O. K. — naczelnej komendy wojsk austriackich, wezwany tam pilną depeszą.

Dotychczas płaciliśmy gotówką za wszystkie zakupy. Obecnie wyszedł nakaz z austriackiej intendentury płacić gotówką tylko za świeżą jarzynę, a na resztę zakupionej żywności wydawać kwity, płatne po wojnie. Chłopi nie chcą brać tych kwitów. Wczoraj wysłał obywatel Horowitz, nasz oficer prowiantowy, patrol rekwizycyjny po bydło. Nasi żołnierze mieli „dla strachu“ karabiny, ale nie zabrali przez niedbalstwo amunicji. Chłopi zwąchali to widocznie i, gdy patrol chciał rekwirować krowę, napadli na jednego z żołnierzy i obili go kijami. Patrol wycofał się ze wsi i przybył do prowiantury z hiobową wieścią bez zarekwirowanej krowy.

22 czerwca. — Dzisiaj, po południu, gdyśmy z Genkiem Piestrzyńskim łapali ryby na stawie, nagle rozpoczęła się silna strzelanina z karabinów maszynowych i zwykłych za lasem płaczkowickim. Pobiegliśmy co tchu do Komendy pułku, myśląc, że to atak Moskali i że należy być w pogotowiu. Tu dowiedzieliśmy się, że to są strzały triumfu z powodu odebrania Moskałom Lwowa. Radość w naszych szeregach, gdzie jest wielu lwowiaków, nie do opisania. Krzyki radości, strzelanina na wiat. Pod wieczór w obrębie VI bataljonu zostaje zorganizowana „uroczysta akademja“ pod gołym niebem. Przewodniczy jej sanitariusz Bielohlawek, bohaterski Czech, który wyniósł ciało Grudzińskiego z pod okopów moskiewskich. Idzie kolejno: śpiew chóralny wszystkich lwowskich „kawalków“, potem „Roty“ Konopnickiej. Dalej obywatel Hubicki gwizdże nieporównanie z akompanjamentem mojej gitary, ja coś deklamuję. Orkiestra we wsi rżnie „Jeszcze Polska“...

Zjawia się obywatel Szefer i sztab brygady. W piękny wieczór księżycowy wszystkie oddziały, stojące w rezerwie, z obywatelem Szeferem na czele idą na okopy

2-go pułku piechoty, by zademonstrować radość z powodu odebrania Lwowa. Najprzód idziemy drogą, potem po rosą okrytem życie, aż do okopów. Okopy już śpią, ale budzi je nasza orkiestra. Żołnierze drugiego pułku wylegają na pole, krzycząc: „A brawo, nasza muzyczka!“. W przerwach między orkiestrą śpiewa chór 2-go pułku, by się też pokazać.

Austrjacy na prawo i na lewo od drugiego pułku, są zaniepokojeni tym hałasem. Myślą widocznie, że to atak, bo rakiety rozwidniają nagle mrok nocy i zaczyna się piekielna strzelanina w 15-ym i 99-ym pułkach austrjaccich. U nas ciągle gramy i śpiewamy. Wreszcie Moskale mają widocznie tego dosyć, bo zaczynają też strzelać.

Obywatel Szeł każe wracać do wsi by uniknąć niepotrzebnych strat. Szczęśliwie bez ofiar wracamy na kwatery. Drugi pułk w czasie naszego pobytu dostał rozkaz przekonać się, czy Moskale nie odchodzą. Wyślali zdaje się patrole.

Bez związku z temi uroczystościami, ale również dzisiaj, dostałem z intendentury pułkowej nowy mundur. Mianowicie obywatel major Trojanowski widząc mój „schlastany“ mundur, a nie wiedząc, że mam w kuferku nowy szyty w Krakowie kazał mi dać mundur. Przyjąłem, gdyż szkoda nowego w pole. „Wyfasowany“ mundur jest zupełnie dobry i leży „doskonale“, po przeżyciu paru guzików.

Obywatel major Trojanowski powiedział, że już nie mógł patrzeć, że chodzę tak kiepsko ubrany.

Juści elegant to ja nie jestem.

„PRZEJDZIEM WISŁĘ...”

PRZEJDZIEM WISŁĘ...

23 czerwca. — Hurra!! Ofensywa!! Idziemy naprzód. Precz z ciasnymi kwaterami. Precz z latrynami, precz z oglądaniem zastodoli!!! Precz z higieną! Cały pułk jest w marszu. Ja znów mam zajęcie jako lekarz pułkowy, mam „funkcję!”. Obywatel major, sztab, komendanci bataljonów, żołnierze, wszystko w złotych humorach! Ja jestem taki szczęśliwy, że, gdyby nawet cały pułk na środku drogi załatwiał się, jak chciał, bez latryn — słówkaby nie pisnął!! A niech tam. Przecież to znów wojna. Znów nowe wsie, nowi ludzie, nowe okopy, nowe bitwy.

Kurz i spiekota, ale to nic! Maszerujemy powoli przez: Konary, Kujawy, Kamieniec, a w tej chwili jesteśmy w Borkowie. Maszerując przez Kamieniec, nie widziałem nawet młyna i... młynarki. Zawsze dobrze byłoby wiedzieć, jak wygląda ta „piękna Helena“, o którą boje toczyły patrole.

Nie nas to zresztą już nie obchodzi! Jesteśmy w marszu, jesteśmy w ruchu! Borków całkowicie opuszczony. Moskale widocznie wypędzili ludność. Brudy tu straszne.

Piszę to, leżąc w ogrodzie opuszczonej chałupy, pełnej zawzionej słomy, ziemniaków i buraków. Dzięki naszemu szybkiemu odmarszowi ocalał też chłop, który obił naszego żołnierza na patrolu, po bydło. Niech tam żyje! My idziemy za Moskalami!

W tej chwili cały nasz pułk leży przy drodze i odpoczywa. Maszerujemy w środku kolumny. W straży przedniej idzie obywatel podpułkownik Śmigły z III bataljonem, kawalerją, saperami i czterema armatami. W tej chwili przeprowadzili jeńców, wziętych przez Belinę, który podszedł już podobno pod Lisów.

Coś to nie tak ostro maszerujemy, jak po przejściu Nidy. Moskale widocznie bronią się, kryjąc swój odwrót. Wreszcie znów ruszamy i przez Kaczyce, Włostów dochodzimy do Malic.

W drodze sprawdziłem opatrunki dwóch rannych kawalerzystów. Są to:

- 1) Tadeusz Bisygoń Kornilowicz, ranny w lewe udo
- i 2) Władysław Jabłocki również z raną lewego uda.

Jest jeszcze więcej rannych kawalerzystów.

Opowiadają, że pod wsią Kunicami w szyku konnym wpadli w życie na zasadzkę Moskali, którzy rypali do nich salwami z odległości 30 kroków.

24 czerwca. — Piszę to w czasie zatrzymania naszego pułku w marszu, w polu, po przejściu wsi Stodoły. Nocowaliśmy we dworze wsi Malice. Przybyliśmy tam pod wieczór. Pani domu, już starsza osoba, oświadczyła, że jest zbyt późno, by nas zapraszać do salonu, że zresztą jesteśmy zmęczeni. Pan domu, gruby i ciężki, przyszedł do nas, zjadł naszą kolację i pochwalił nasz koniak, który obywatel Funio kazał wydobyć ze skrzyni na wozie kuchennym.

W zachowaniu się tych ludzi nie widać krzty radości z widoku polskiego żołnierza. Jest, przeciwnie, straszne zażenowanie i lęk, co będzie, gdy wróci „prawowita władza“ i dowie się, że „gościli“ buntowników. Napewno woleliby, gdyby stali u nich na kwaterze Austriacy, bo wtedy — niema odpowiedzialności.

Siedzieliśmy, gadając z panem domu, do 1 w nocy, poczem poszliśmy spać, a pan wyszedł na podwórze i pilnował swego domu przed naszymi żołnierzami do godziny 4 rano. My nie mogliśmy spać, gdyż całą noc

gdakał telefon i przyjeżdżali ułani meldunkowi z brygady.

Zresztą przyznam się, razilo mię światło dużej lampy i „uwierało“ z nieprzyzwyczajenia miękkie sprężynowe łózko.

Od 5 godziny rano pani domu zjawiła się na dziedzińcu, by... sprzedawać mleko naszym chłopcom.

Wyruszyliśmy koło 9 rano do Lisowa. Pożegnanie, tak jak i pobyt, było kwaśne i nieufne.

Teraz jest już koło 8 wieczór, a my przeszliśmy niewiele drogi. Maszerujemy ze strażą przednią na czele kolumny głównej. Przed nami idą armaty pod komendą Śniadowskiego. Straż przednia nasza bije się podobno w Wyszmontowie. Moskale trzymają się, wbrew oczekiwaniom, bo oto wczoraj mieliśmy już być w Ożarowie, a dziś... myśleć niema co o tem.

Gorąco jeszcze i kurz straszny, mimo że spadł drobny deszczyk. Podwozimy bezustanku beczkowozem wodę dla chłopców. I tu jest trudność, gdyż w Stodołach pszczoły pogryzły kobyłę od beczkowozu. Jakiś Austriak rozbił ul i uciekł, a pszczoły pogryzły naszą niewinną kobyłę.

O 3 po południu coś sfolgowało na przodzie z Moskalami i mieliśmy rozkaz ruszyć o 4, ale już 8, a my leżymy w polu. Przed nami kilka pożarów od stodół i domów, podpalonych przez Moskali. Kilometr od nas pękają w górze szrapnele rosyjskie. My patrzymy na to, nie mając rozkazu do posuwania się naprzód.

Przed godziną wrócił samochodem Komendant Główny z Dzieduszyckim. Obywatel major wyjechał do sztabu brygady, a pułk ma być gotowy do odmarszu.

Mówią, że żonę i dziecko oraz teścia Beliny Moskale wywieźli parę dni temu z ich majątku Rozków, tak, że Belina zastał dom pusty.

Dzisiaj mieliśmy dwa przejścia z kawalerją.

Pierwsze było wesołe! Koło południa, gdyśmy w marszu zatrzymali się na krótki odpoczynek we wsi, chłop-

cy rozleźli się by coś kupić, lub „zdobyć“. Nie jest to łatwe, bo idziemy już za strażą przednią. Chłopcy rwą się, by iść w przedniej straży, nietylko by się bić, lecz także by łatwiej zdobywać coś z pożywienia. Pierwsze oddziały zawsze mogą coś kupić, następne nie znajdują zwykle już nic.

Tak było niestety i dzisiaj. To też chłopcy klęli na potęgę.

Przed jednym z ładniejszych domów stał przywiązany koń kawaleryjski. Gdy już była zbiórka do odmarszu, z domu wybiegł ułan, młody, przystojny chłopak. Szabla jego wlokła się bezradnie po ziemi, gdyż pod pachą trzymał wielki, biały, błyszczący, ociekający jeszcze płynem, ser. Tak jest — ser, prawdziwy ser!

Wiara aż zawyła z oburzenia, że zabiera ser z „naszej“ wsi. Ułan podbiegł do konia, odwiązał go i siadł w siodło, bacząc by nie upuścić sera. Już zebrał cugle by ruszyć, już nasi chłopcy otoczyli go, usiłując „żartami“ ułamać kawał sera, gdy nastąpiła rzecz zgoła nieoczekiwana.

Oto z domu wybiegł chłop, wołając: „Pon to zostawił!“ i, niosąc... karabinek ułana!!

Ten spłonął ogniem....

— Oddaj ser!! — ryknęła wiara.

— Sanitety, pomóżcie, bo zdychom ze śmiechu, zapomniał karabina!!! — wołał jeden z żołnierzy, podsuwając się jednocześnie do serca. Ale ułan chwycił karabinek ręką, którą trzymał cugle, poderwał konia, roztrącił nim piechurów i wiał z serem bokiem drogi. Dopiero za chałupami nałożył karabinek na plecy, ciągle bacząc na ser i oglądając się na piechurów.

Wyszliśmy ze wsi i maszerowaliśmy w skwarze południa, gdy oto z oddali zobaczyliśmy znów kawalerzystę z serem. Żołnierze podchodzili, żartując.

Ułan stał obok jakiegoś wozu i rozmawiał z trzema innymi kawalerzystami.

Gdyśmy podeszli bliżej — żarty ustały. Na wozie, przykryte płachtą namiotową leżało kilka ciał zabitych kawalerzystów.

Wieźli ich pochować. Byli to wczorajsi kawalerzyści, którzy w liczbie dziesięciu wpadli w zasadzkę i otoczeni zostali przez rotę grenadierów. Żaden się nie poddał, lecz rąbali sobie szablami drogę. Jeden tylko wyszedł cało, reszta ranni, lub zabici. Ułan Karski, z 1-go szwadronu, ranny w nogę, nie chciał się poddać, mimo krzyków: „sdawaj się!“ i rąbał szablą, póki nie został wraz z paru kolegami zakłuty bagnietami przez Moskali. Zginął prawie we własnym majątku rodzinnym, od którego był niedaleko.

Teraz oto wiozą ich ciała, oblepione muchami, mimo nakrycia płachtą namiotową.

Żołnierze przechodzili w milczeniu.

Dziwne, gdy jeden żołnierz idzie koło zwłok kolegi, nie jest tak wytrącony z równowagi, jak oddział żołnierzy w kolumnie. Żołnierze, przechodząc obracali głowy w stronę wozu, by lepiej zobaczyć ciała. Robiło to wrażenie ostatniej, bez komendy, defilady przed zabitymi kolegami.

O serze nie było już mowy.

Tegoż dnia, wieś Jasice, wieczór.

Ze Stodół przez Bidzice przemaszerowaliśmy po południu do Jasic. Wyjechaliśmy, sztab pułku i komendanci bataljonów, przed kolumną, by obejrzeć miejsce na pozycję, gdyż, zdaje się, Moskale będą stawiać tu już opór. Nareszcie nasz pułk ma rozkaz wejść do akcji bojowej. Różniliśmy więc konno, wznosząc tumany kurzu, wśród przekleństw maszerujących w kolumnie, żołnierzy. Przecięliśmy dwa razy plant kolei Ostrowiec — Sandomierz, miniliśmy wysunięty I bataljon, i dalej już nie drogą, lecz wzdłuż zasypanych okopów rosyjskich, na których trawa porosła, dojechaliśmy do miejsca, przeznaczonego jako nasz odcinek bojowy. O zachodzie słońca już powoli wróciliśmy do Jasic,

gdzie rozkwaterował się pułk. Kwaterna komendy — w bajecznej, czystej, widnej chałupie. We wsi spotka-
liśmy Belinę. Mówił, że Ożarów jest wolny od Moskali
i że w nocy pewnie dalej się cofną.

Zresztą, widać dokąd się cofnęli. Zdradza ich linja
pożarów. Odchodząc, gdy zdążą, wypędzają ludność
i gonią ze sobą. Gdy tego nie zdążą zrobić, palą sterty
siana i słomy, a w niektórych majątkach i pełne stodo-
ły. To też z nastaniem mroku na horyzoncie widać pół-
kole łun. Zaprawdę wojna ta odbywa się „z dymem po-
żarów, z kurzem krwi bratniej“...

29 czerwca. — W namiocie w Komendzie pułku, przy
okopach na brzegu lasu, leżącego na wschód od Julja-
nowa, na zachód od Ożarowa. — Punkt opatrunkowy
pułkowy i izba chorych w Julianowie. — Dzisiaj w po-
łudnie padał wreszcie deszcz, niestety niedość obfity.
Doszliśmy tu w ten sposób, że po jednodniowym poby-
cie w Jasicach otrzymaliśmy rozkaz zajęcia linji oko-
pów austriackich, biegnącej wzdłuż brzegu lasu. Luzo-
wanie nastąpiło w nocy na odcinku: wieś Struża, prze-
cięcie szosy Ożarów — Ćmielów, Kamieniołomy. Na
prawo od nas zajmuje okopy jeden z bataljonów Śmi-
głego. Pierwszą noc spaliliśmy przy okopach w lesie. By-
ło zimno i twardo, to też wyspaliśmy się nieszczególnie.
Dopiero ranek słoneczny ogrzał nas, drżących z zimna.
Koło godziny 4 wstałem i obszedłem linję okopów. Żoł-
nierze przeważnie spali. Nieprzyjaciela — ani śladu.
Okopy rosyjskie podobno dopiero o trzy kilometry
stąd. Kilometr na szosie przed nami leży napół spalo-
ne miasteczko, Ożarów. Jest w niem nasza placówka.
Patrole walczą o posiadanie miasteczka z rosyjskimi
wywiadowcami.

Stanowiska punktów opatrunkowych bataljonowych:
V bataljonu, Janek Gołąb, na brzegu lasu przy szosie;
VI bataljonu, leżącego na lewo, punkt opatrunkowy dra
Hedingera na polanie leśnej przy bocznej drodze, idą-
cej do szosy.

Po obejrzeniu sytuacji na froncie postanowiłem wybrać miejsce na punkt opatrunkowy pułku, i w tym celu pojechałem do Julianowa. Wieś jest zapchana wojskiem, znajduję więc dopiero w połowie wsi wolny dom z gankiem, oplecionym winem. Tutaj polecam założyć punkt opatrunkowy, w domu zaś naprzeciwko umieszczam tabor pułkowy. Sam, zziębnięty po nocy przespanej w lesie bez płaszcza, otulam się kocem z Siwutka i zasypiam na murawie. Wszelkie przygotowania punktu opatrunkowego nadzoruje sierżant Ramułt. Na froncie cisza zupełna, usypiam więc beztrósko.

Budzę się koło południa. Już cały punkt opatrunkowy rozwinięty. Opatrunki rozłożone i nagotowano kawy.

Idę do Komendy pułku w okopach. W lesie spotykam dra Piestrzyńskiego, którego pułk stoi w rezerwie. Dowiadujemy się od wracającego szosą patrolu, że w Ożarowie ocalała apteka, że pełno tam leków, choć Moskale wiele rozgrabili. Nie namyślamy się długo: musimy iść do Ożarowa i ocalić dla naszych oddziałów resztę lekarstw, które i tak się zmarnują. Bierzymy karabinki, amunicję i — robimy wyprawę. W skład naszego patrolu wchodzi: Genek Piestrzyński, Gołąb, ja i dwóch sanitariuszy z workami.

Idziemy rażno szosą przed okopami, i po kilku minutach docieramy do Ożarowa. Tu uderza nas straszny zapach spalenizny. Całe miasteczko w zgłiszczach. Pozostało zaledwie parę domów w rynku, w ich liczbie apteka.

W miasteczku na rynku nasza placówka. Główne jej siły ulokowane w aptece. Żołnierze siedzą na krzesłach na pustym (ani żywej duszy w miasteczku) rynku, i walą kijami do taktu w stół, śpiewając jakąś dziką melodję. Na półspalonym domu obok apteki zwisa „polska” chorągiew. Jest to właściwie rosyjska flaga od galówek, od której żołnierze oderwali kolor niebieski. W aptecę

jeden z żołnierzy akompanjuje na fortepianie śpiewowi kolegów na rynku.

Pytamy podoficera, komendanta placówki, gdzie te leki, bo szafy w aptece są już splądrowane przez Moskale. Jest w nich zaledwie parę słoików i niewiele proszków. Wskazuje nam schody do piwnicy, ostrzegając byśmy wyskakiwali stamtąd, jak tylko pośle po nas żołnierza, gdyż Moskale dwa razy już atakowali ich dzisiaj. Przyszekamy solennie zastosować się, zresztą we własnym interesie.

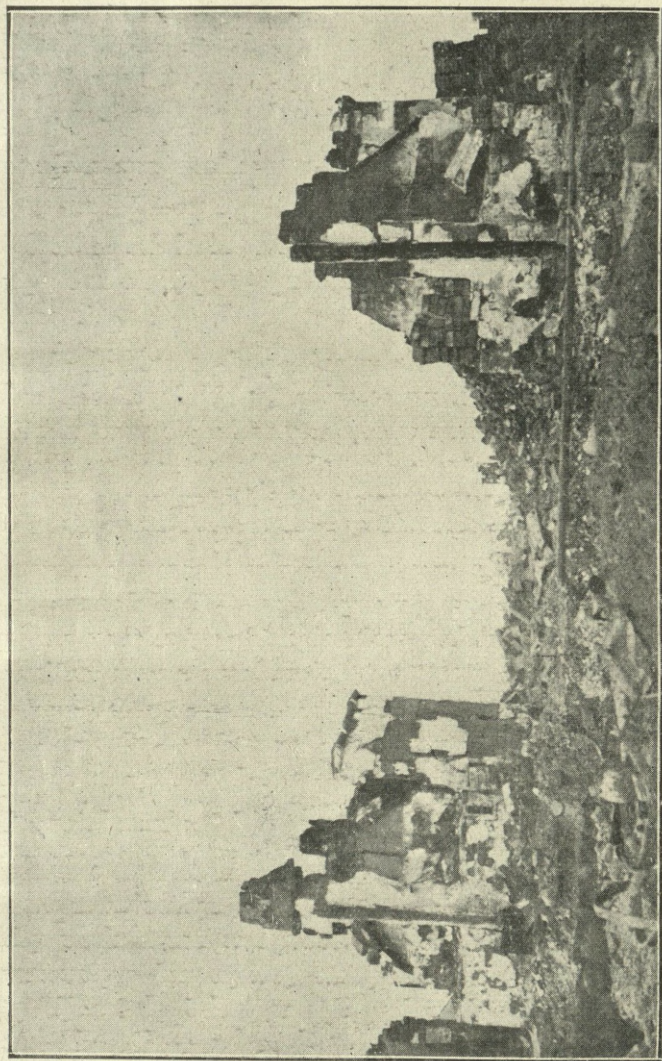
W piwnicy — półmrok. Stoją tam gąsiory z benzyną, terpentyną, ale leków też niewiele. Zresztą i tu byli już Moskale. Nasi żołnierze też tu zapewne zaszli, gdyż szukają zawsze czegoś po kątach.

Znajdujemy jeszcze dużą puszkę z wazeliną i maścią cynkową, ładujemy to wszystko do worków sanitarjuszy i wychodzimy na świat boży, oślepieni blaskiem słońca.

Wedety nasze za apteką wskazują nam lasek, z którego mogą każdej chwili wypaść Moskale. Jest tam ich placówka. Dr. Piestrzyński fotografuje nas na rynku, jako „maruderów“, i wracamy szybko do naszego lasu. Zabrane leki dzielimy sprawiedliwie i odsyłam je do Juljanowa pod opiekę obywatela Ramułta, a sam idę do Komendy pułku i melduję o naszej wycieczce. Niestety obywatel Trojanowski uważa, że nie miałem prawa wychodzić przed okopy bez jego pozwolenia i każe mi jutro stanąć do raportu. Co mam robić: biję obcasami i mówię: „Rozkaz obywatelu Majorze!“.

Na drugi dzień przy raporcie obywatel major udzielił mi napomnienia z powodu samowolnych poczynań w Ożarowie. Przyjąłem z posłuszeństwem. Parę dni stonunki były napięte, ale już się wyrównały.

Obywatel Komendant śmiał się serdecznie, gdy dowiedział się o „ofenzywie lekarskiej“ na Ożarów. Obywatel Berbecki pochwalił dra Piestrzyńskiego, a ja — zostałem przy raporcie karnym. I dogódź tu władzy!!



Ożarów, spalony przez moskali.

Obywatel Berbecki został ranny na patrolu w nogę, i zostaje na leczeniu w Struży.

30 czerwca. — W spalonym Ożarowie, u wylotu drogi do Tarłowa. — Poszliśmy naprzód tę parę kilometrów zresztą bez walki z Moskalami. Uciekli oni ze swych okopów, bronionych trzema rzędami drutów, na skutek podejścia sił austriackich, do samego Annopola nad Wisłą.

Wieczorem tegoż dnia siedzę w Komendzie pułku, w opuszczonej chacie w Wólce Tarłowskiej. I tutaj też cała ludność wypędzona przez Moskali. Po co? Rozumiem, Ożarów spalili być może ze względu na ostrzał, przedtem więc wypędzili ludność, by nie ratowała miasta, ale poco wypędzali ludzi z tej maleńkiej wioski, będącej za ich okopami, tego nie wiem.

My zagospodarowujemy się w pustej chałupie, znosząc rzeczy, ocalałe — z innych.

Obok nas jest pozycja artylerji, która wali do Moskali przez cały wieczór. Bataljony biwakują w lesie i chwala sobie tam pobyt, gdyż pogoda jest śliczna.

Widziałem dzisiaj komiczną scenę: Idę w rzadkim lesie i widzę człowieka całkiem nagiego, tańczącego wśród drzew. Podchodzę ostrożnie, myśląc, że to może warjat, ale nagus ryczy wesoło: „chodźcie ino doktorze zobaczyć, jak wszy giną!“.

Podchodzę i widzę, że żołnierz, wszystko, co miał na sobie, zdjął i... wsadził w mrowisko. Przy wsadzaniu tam koszuli — oblaży go mrówki i stąd skakał. Pokazywał mi koszulę, z której mrówki zabierały gnidy. Zapewniał, że mrówki zagryzają wszy, zabierają do mrowiska gnidy i poza tem, walcząc, napajają bieliznę kwasem mrówkowym, co odstrasza również wszy. Nie miałem czasu sprawdzić tych przyrodniczych twierdzeń żołnierza. Pożegnałem go i poszedłem, on zaś przewracał dalej na mrowisku swą garderobę, coraz to na inną stronę, by ułatwić mrówkom dostęp do wszy. Może to i dobry sposób...

1 lipca. — 4 godzina rano, na drodze koło Janowa, za Ożarowem, w czasie gdy pułk odpoczywa w polu i czeka na rozkazy.

Przebyliśmy z drem Jakowickim, lekarzem 1-go p. p., pracowitą noc. Wczoraj pod wieczór, koło godziny 9, po przygotowaniu artyleryjskiem ruszył nasz 1-y pułk do ataku na umocnione pozycje rosyjskie w lesie, między Tarłowem a wzgórzem 209. Moskale krwawo odparli atak i stąd praca dla nas, lekarzy. Straty nasze znaczne. 56 rannych przeszło przez pułkowy punkt opatrunkowy Jakowickiego. Ilu zabitych, a może i rannych zostało na polu, narazie nie wiem.

Tej nocy nie było prawie ciemności. Ledwie zaszło słońce, gdy artylerja i piechota rozpoczęły piekielny ogień, oświetlający okolicę. My staliśmy w chałupie za wzgórzem, osłonięci od ognia. Ranni, przynoszeni i przychodzący o własnych siłach, szczególnie ci ostatni, opowiadali straszne rzeczy o naszych stratach pod zasiekami rosyjskich okopów.

Zawsze ranni skłonni są opowiadać, że „cała kompanja wybita“, ale tej nocy, z racji że bój odbywał się w lesie, specjalnie przeceniali w swej wyobraźni i opowiadaniu — rozmiary strat. Kilku rannych było ze złamaniem uda i nakładanie szyn zajęło nam wiele czasu. Po opatrzeniu dajemy rannym kawy i ładujemy ich na wozy, które odchodzą do Zakładu Sanitarnego Brygady. Właściwie byłoby celowiej, gdybyśmy czuwali na zmianę, ale każdy z nas koniecznie chce opatrywać swych chłopców, więc nie śpimy obaj całą noc. Zresztą, trudno jest spać przy ciągłym jęku rannych. Patrole sanitarne obróciły już kilka razy między linją bojową a naszą chałupą, i sanitariusze padają ze zmęczenia.

Co jakiś czas wychodzimy na wzgórze, by z natężenia i kierunku ognia wywnioskować coś o przebiegu bitwy, ale napróżno. Całą noc kotłował się ogień karabinowy i rżnęły armaty. Wreszcie o świcie, koło drugiej godziny, gdyśmy byli w najwyższym stopniu zmęczeni

i zdeprymowani niepowodzeniem ataku, patrol sanitarny przyniósł radosną wieść, że nagłem uderzeniem przed świtem nasi wdarli się do okopów rosyjskich, zdobywając przyczółek mostowy Tarłowa, umocniony zasiekami w lesie i flankującą redutę. Ranni dalej napływali, ale i my, i oni, wszyscy czuliśmy się już inaczej. Straty mojego pułku minimalne, gdyż nie braliśmy bezpośredniego udziału w ataku. Nad ranem przynieśli sanitariusze ciężko rannego w brzuch żołnierza z oddziału karabinów maszynowych 3-go pułku. Rana w okolicy wątroby. Biedak, ma już czkawkę, długo nie pożyje. Zostawiam go na punkcie opatrunkowym dra Jakowickiego, sam po osiodłaniu Siwutka i zwinięciu mego punktu opatrunkowego, wyruszam, by gonić mój pułk, który jest już w marszu.

Przodem, za Moskalami, którzy wycofali się z reduty, poszedł I bataljon z kawalerją. My idziemy za nimi na czele sił głównych. Trzeba się śpieszyć. Już widno zupełnie. Jadę z drem Piestrzyńskim bokiem wymarłego Tarłowa pod las do moskiewskiej reduty zdobytej przed paru godzinami. Są to wspaniałe okopy, budowane przez saperów, zamaskowane zielenią, z potężnymi zasiekami w lesie. Mają nawet schrony od ognia artyleryjskiego, zbudowane w ziemi, oszalowane i zabezpieczone od góry kilkoma warstwami belek, położonemi na krzyż i przysypanemi ziemią i darnią. Nic dziwnego, że naszym nie odrazu udało się zdobyć tak umocnioną pozycję. O tem, że nasi wdarli się niespodzianie do okopów moskiewskich, świadczy wiele porzuconych przez Moskali rzeczy, jak ładownice, torby na chleb, szczotki i t. d. Leżą one tuż za okopami. Musieli więc Moskale dobrze wiać.

W okolicy reduty spotykam obywatela majora Trojanowskiego z całym naszym pułkiem, oczekującego na rozkazy z brygady. Melduję mu swój powrót i pracę nocy ostatniej. Zsiadam z konia i kładę się na murawie wilgotnej od rosy. Zamykam oczy i usiłuję zdrzemnąć

się po pracy całonocnej, ale co chwila spodziewamy się rozkazu do ataku.

Przed nami typowy krajobraz nadwiślański: piasek, wierzby i topole białe. Widać linię tyraljerską o jaki kilometr. Są tam nasi z 1-go pułku.

Wraca otwartą przestrzenią z podjazdu oddział naszej kawalerji. Wznoszą kurz, to też zaraz „maca“ ich artylerja rosyjska. Już po paru strzałach dosięgają ich szrapnele i granaty. Rozsypują się po terenie piaszczystym, ale ogień artylerji działa prędzej. Już jeden granat wyrzynał między trzech kawalerzystów, obsypując ich piachem. Wieją, ile sił w koniach. Jeden jest ranny szrapnelem. Wysyłam po niego sanitariuszy i opatruję. Reszta kawalerji chowa się do lasu.

Może Moskale zmacaliby i nas, ale otrzymujemy rozkaz przejścia do innego lasu tuż obok Janowa. Jest to piękny, młody jeszcze las liściasty, i wiara z radością kładzie się w cieniu drzew. Jakiś czas mamy spokój. Chłopcy albo śpią, albo biorą do manierek wodę z beczkowitzu, który obraca już drugi raz, rozdając płyn, wodnisty lecz oświeżający.

Robimy to wszystko ostrożnie, by nie wznosić kurzu i nie zdradzić naszej kolumny w rzadkim lesie, gdyż artylerja rosyjska od rana maca rezerwy. Ale trudno jest utrzymać naszych chłopców dłuższy czas w spokoju. Poza tem koło południa przejechał obok nas jakiś sztab austriacki, wznosząc tumany pyłu. To wystarczyło artylerji rosyjskiej. Już z gwizdem przeszedł nad nami pocisk. Drugi — granat ciężkiego kalibru rypnął w las aż jęknęło, a później już grad pocisków, jeden za drugim, szedł w nasz zielony las. Echo leśne potęgowało huk pękających granatów tak, że trudno się było zorientować, skąd nadchodzą strzały. Już drzewa wała się z trzaskiem wokół nas, już w VI bataljonie jeden zabity, a jeden ranny od szrapnela.

Major Trojanowski wzywa do siebie komendantów bataljonów — obywateli Fleszara i Olszyny, i każe im

kompanjami przeprowadzić bataljony więcej w prawo, w pobliże reduty Tarłowskiej. Miejsce jest dobrze wybrane, gdyż tam już nie prześladowe nas artylerja rosyjska, waląc po dawnemu w nasz opuszczony las. Z satysfakcją teraz patrzymy, leżąc na ziemi, jak walą się tam drzewa w dalszym ciągu. Zdaleka wygląda to nawet ładnie.

Rźnie potężny, rozpalony granat — bums! i za chwilę w ogniu i dymie kładzie pod siebie wysmukłą, drzącą brzoźkę, jak kochankę, na śmierć i życie...

Lepiej jednak nie podpatrywać tych miłosnych godów zbliska. Trzeba być dyskretnym. To też nikt nie wyrzyna się do opuszczonego lasu. Wszyscy po niewczasie zachowujemy się teraz już bardzo... ostrożnie.

Obok nas Austriacy montują ciężkie działa by odpowiedzieć Moskalom. Nie są oni wcale zadowoleni z naszego sąsiedztwa, gdyż boją się, że sprowadzimy na nich ogień artylerji rosyjskiej, ale nam to nic nie szkodzi. Siedzimy tu aż do chwili otrzymania rozkazu odmar-szu. Odchodzimy potem wtył obok Tarłowa, przez Sulejów do wsi Wesołówki.

Tu wreszcie docieramy do Wisły. Rzeka wyschła od skwarów letnich, wąska, obłożona piachem, ale zawsze — Wisła!! Po drugiej stronie Austriacy piorą się z Moskalami. Słychać ogień armatni i karabinowy.

Już pod wieczór dochodzimy do Wesołówki, którą wyznaczono nam na kwatery. Niestety wieś istnieje tylko na mapie, gdyż w rzeczywistości cała prawie jest spalona przez Moskali.

Niema więc rady: wściekli rżniemy po piachu polnymi drogami, bez końca, z górki na górkę, do wsi Słupia. Tu zamieszkujemy w porządnym domu, ocalałym mimo dwóch dołów po granatach, obok niego. Gospodyni, będąc sama w domu, gdyż gospodarz wzięty przez Moskali na podwodę, idzie spać do sąsiadów. Z rozkoszą usypiam po czterdziestu godzinach marszu i opatrywa-

nia rannych. Za Wisłą błyska się od wystrzałów i huczą armaty. Nic nas to nie obchodzi...

2 lipca. — Dzisiaj od rana odpoczynek. Przed południem kąpiemy się w Wiśle. Biedne wszy jakże muszą być zdziwione tym nieoczekiwanym zabiegiem higienicznym.

Później grałem na gitarze, co spowodowało do naszej chaty całą ludność wsi. Po obiedzie odmaszerowaliśmy piaszczystymi drogami i łaskami przez Nowe, Biedrychów do Dąbna. Tu, leżąc na łące, pod wieczór piszę mój pamiętnik.

Mamy więc iść za Wisłę. Czy to ma być to „glänzende Auslösung“ obiecanie przez Austrjaków po zdobyciu przez pierwszy pułk reduty Tarłowskiej?! Na szczęście, nigdy tym dziadom nie wierzyliśmy, niema więc wielkiego zawodu.

4 lipca. — Biedrychów, południe w Komendzie pułku. —

Wczoraj poszliśmy w kierunku Wisły do przeprawy, ale nie mogliśmy przejść po moście z powodu zepsucia, czy ugięcia się pontonów pod samochodem pruskiego ministra wojny i pod naszą kawalerją. Jak niepyszni więc przemaszerowaliśmy pod wieczór tutaj i tu zanoceowaliśmy. Dzisiaj rano mimo zapowiedzi odmarsszu nie ruszyliśmy z miejsca. Podobno w okolicy Anopola nad Wisłą jest tyle wojska, że nie możemy się dopchać do mostu pontonowego. Ano oby tak najdłużej.

Dzisiaj koło południa rozpocząłem znów zwykły swój koncert: śpiew piosnek ludowych z towarzyszeniem gitary. Radość była ogólna, aż... zmącił ją płacz dziewczyny.

Gdy, mianowicie, śpiewałem:

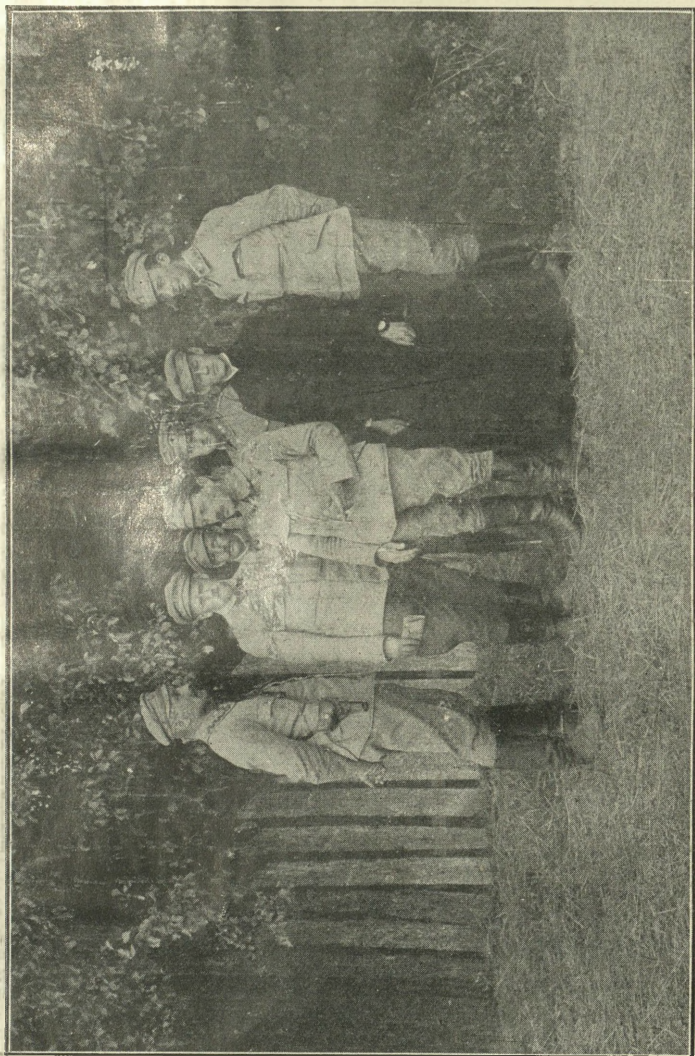
„Tę chusteczkę, coś mi dała,

Za onucke bede miół,

Za onucke bede miół,

Zebyś sobie Maryś nie myślała,

Zem jo ciebie w sercu miół, w sercu miół!“...



Sztab 5-go pułku I Brygady, czyli „nieistniejącego” 7-go pułku legionów. W środku stoi ob. major Trojanowski. Dalej od prawej strony do lewej: ob. ppor. Bortnowski, adjutant pułku; ob. ksiądz kapłan Żytkiewicz; ob. por. Bratro; ob. sierżant Durko, podof. ewidencyjny; ob. Marjan Dąbrowski; ob. por. lek. Składkowski.

Otóż, gdy śpiewałem tę strofkę ku ucieście otoczenia, nagle ośmnastoletnia Maryś, córka gospodarza domu, zaczęła głośno płakać, wołając przez łyzy do Julka, ordynansa konnego majora:

„Niech pon odda mojom chusteczke! To wy tak z chusteczkami robicie?!“. Julek, zmieszany, wyjmował z pod munduru czerwoną chusteczkę, którą wyludził od Marysi na pamiątkę. W międzyczasie tłómaczył: „Panno Marysiu, to obywatel doktor ino taką austriacką piosnecko śpiwo. My legjoniści, Polacy i katolicy, tak nie robimy!“.

Ale nic nie pomogło, Marysia już brała swoją chusteczkę, powtarzając: „Tero już wim, jak wy robicie!“.

Widocznie nie szło jej to łatwo, bo płakała przytem jak bóbr. Zaraz też razem z chusteczką zabrała ją matka z izby. Weselość znikła. Julek patrzył na mnie z wyraźną niechęcią. Słuchacze rozeszli się...

Mnie zostało, jako słabe pocieszenie, że „muszę“ mieć talent, jeżeli umiem „pieśnią łyzy wyciskać“.

A przecież wrogowie moi mówią, że śpiewam i gram fałszywie...

5 lipca. — Dąbrowa — wioska na prawym już brzegu Wisły, między Annapolem, a Gościeradzem — w Komen-dzie pułku. — Jesteśmy tu od wczoraj wieczorem, mamy dzisiaj dzień wypoczynkowy.

Wczoraj odmaszerowaliśmy z Biedrychowa po południu, w godzinę może po scenie z chusteczką.

Gdy tylko wyszliśmy ze wsi po piaszczystej drodze, podjeżdża do mnie Julek i, pokazując chusteczkę pod mundurem, woła: „Obywatelu doktorze, dopadłem ją jeszcze w stajni i dała mi znowu, powiedziałem ji, że bede ją nosił cało wojne póki do ni nie wróce! O małoście mi obywatelu doktorze nie popsuli całego interesu, a i wstydu się najadłem!“.

Wytłómaczyłem mu, że nigdybym żadnemu koledze nie chciał zaszkodzić, a Julek, tak był triumfujący, że mi przebaczył. Pokazywał tylko chusteczkę całemu

sztabowi, by przekonać otoczenie, że nie zdołałem „popsuć mu interesu“.

Maszerując w upale, doszliśmy przez Dąbno do szosy i Maruszowa. Tu był już ustawiony most pontonowy przez łąkę Wiślaną, długi około kilometra, przez który przeszliśmy szybko, poczem po okropnym piachu wiślanym skręciliśmy w prawo od zamkniętego „pokojuowego“ dojazdu, z niebieską chorągiewką, do chodnika z desek i drugiego mostu pontonowego. Zeszliśmy z koni i — po chwiejnej podstawie osiągnęliśmy wreszcie prawy brzeg Wisły. Tu Prusacy i Austriacy pracowali gorączkowo nad naprawą drogi.

Pod straszną górę włączymy do Annapola, złożonego z domów żydowskich, częściowo zniszczonych. Bierzemy rynek w lewo-skos i koło apteki i dworu wychodzimy na szosę. Tu czekamy w lesie na przejście po mostach naszego taboru. Opodal od naszej kolumny przejeżdża Komendant. Chłopcy zapominają o zmęczeniu, zrywają się na równe nogi i krzyczą z radością.

To dziwne, że chłopcy nie śmiały wyrażać głośno swej radości, gdy widzą Komendanta zbliżającego się. Dzisiaj chcieli zwrócić Jego uwagę na naszą obecność w lesie i stąd — krzyczeli.

W myśl rozkazu V bataljon idzie na kwatery do Huty, a my skręcamy z szosy na lewo, do Dąbrowy. Tu byliśmy nadzwyczaj życzliwie przyjęci przez mieszkańców. Ludzie ci szczęśliwym trafem prawie nie zaznali przemarszu wojsk, gdyż mieszkają w bok od szosy, którą wiali na potęgę Moskale i nie mieli czasu zejść do nich. Dlatego wioska ocalała. Dali nam wisien i pierogów. My opowiadaliśmy im o polskim wojsku, a ja grałem na gitarze. Tak została zawarta przyjaźń.

Są tu wspaniałe drzewa wiśniowe, całe okryte owocami. Chłopcy nasi prosili dziewczęta miejscowe, by im wisien narwały, bo oni są zmęczeni i nie mogą wleźć na drzewo.

Te w naiwności wchodziły na drzewa, co bacznie „obesrwowali“ nasi chłopcy, stojąc pod drzewami. Widocznie widoki, jakie mieli przytem, dodały im sił, gdyż wkrótce wleźli „pomagać“ panienom. Zapewne w gęstwinie liści niezawsze chwytają wyłącznie za wiśnie, gdyż co chwila słysząc z drzew piski i krzyki:

„Co pon robi, bo zlizze zarol!“...

Dotychczas żadna jeszcze nie zlazła, więc widocznie nic „straszniego“ tam — w górze się nie dzieje...

Mówią, że pójdziemy stąd do Galicji wschodniej przez Tarnów i Jarosław, inni, że będziemy przydzieleni do VIII korpusu, gdyż tu nad Wisłą jest podobno już za ciasno. Na lewym brzegu Wisły Moskale trzymają się tylko przed Warszawą.

WALKI W LUBELSKIM

WALKI W LUBELSKIEM.

7 lipca. — Wałowice, w parku na murawie, pod oknami dworu, gdzie mieści się Komenda pułku. —

Wczoraj o godzinie 4 rano wymaszerowaliśmy z Dąbrowy. Widocznie flirt, rozpoczęty przez naszych chłopców we dnie na drzewach wiśniowych, rozwijał się pomyślnie wieczorem już na murawie, gdyż na pożegnanie nasze wyległo jeszcze więcej dziewcząt niż na powitanie. Obok nich stały matki, wyznające zasadę, że córki pilnować należy do ostatniej chwili. Gdy tak ważyły się w powietrzu ostatnie chwile wielu pożegnań bez słów, nagle w pierwszej czwórce jeden z żołnierzy, wsparty na karabinie, a za nim cała kolumna ryknęli refrain znanej piosenki:

„Ale ona mi nie dała

Bo się mamy, mamy bardzo bała!“.

Dziewczęta udały, że nie wiedzą o co chodzi, ale matki zaczęły się śmiać z widoczną ulgą z powodu tych śpiewanych zapewnień.

Tak wyszliśmy ze wsi, zostawiając piękną połowę jej ludności „pod dobrem wrażeniem“.

We wsi Huta łączymy się z V bataljonem, poczem przez Folwark Stary, Świeciechów, Bliskowice i Popów dochodzimy do Wałowic. Od godziny dziesiątej rano biwakujemy nad brzegiem Wisły, tuż naprzeciw spalonej Wesołówki i Słupi, którą poznaje po kościele, leżącym w kotlinie na drugim brzegu Wisły.

Upał straszny, jakże przyjemnie więc byłoby zanurzyć się w wodzie. Niestety jesteśmy w ostrem pogotowiu i obywatel major mimo moich przedstawień nie pozwala na kąpiel.

Ludność miejscowa opowiada o Mikołaju Mikołajewiczu i legionistach polskich po stronie rosyjskiej. Już zmierzcha się, a pozwolenia na kąpiel niema. Niektórzy żołnierze, korzystając z osłony krzewów i drzew, kąpią się na własne ryzyko w odnodze rzeki. Wykrywamy ich, spacerując z d-rem Piestrzyńskim, którego pułk leży obok naszego. Udajemy, że nie widzimy tej zakazanej kąpieli, gdyż sami byśmy zrobili to samo, gdyby nie nasze „wysokie“ szarże.

Wreszcie ruszamy pod dwór w Wałowicach. Jest tu już sztab artylerji austriackiej, więc dają nam tylko jeden pokój dla Komendy pułku. Stąd w mieszkaniu śpi tylko major, a ja z nowym adjutantem pułku, obywatelem Sękiem, śpimy na kocach, rozłożonych na trawie w parku. Z początku gadamy, patrzymy w gwiaździste niebo, słuchając gry jakiegoś artylerzysty austriackiego, który dobrze oddaje mazurki Chopina. Drzewa szumią w parku, w trawie cykają świerszcze... zasypiam.

Budzimy się dziś o 7 i pół rano pod promieniami słońca, które rżnie nam światło prosto w oczy. Spożywamy śniadanie jeszcze w parku, gdzie przyjmuje trzech chorych żołnierzy. Tutaj otrzymuje obywatel Ramułt definitywną nominację na sierżanta sanitarnego, na którą zupełnie zasłużył swą pracą. Nie udało mu się tylko, gdy zapomniał w Bierzychowie spisu rannych, ale wyjechał furą i spis przywiózł. Poza tem jest bardzo obowiązkowy, poważny i troskliwy dla rannych. Szybko przyswoił sobie najpotrzebniejsze wiadomości lekarskie tak, że nie tylko umie dobrze opatrzyć ranę, ale i maruderowi „użyć“ potrafi jakimiś kroplami. Żołnierze odnoszą się do niego z szacunkiem i nazywają „Obywatelem Doktorem“.

O godzinie 9 rano odmaszerowujemy do Stefanówki. Upał już dokucza, to też z ulgą odpoczywamy w soczystym lesie w cieniu dębów, brzoź i sosen. Drzemiemy, leżąc na trawie i patrząc w niebo przez gałęzie, poruszane przez wiatr nad naszymi głowami. Zdalei gdzieś słysząc wystrzały armat. Tak nie chcemy myśleć o wojnie i o tem, że ktoś z nas może być zabity.

Ale oto, gdy człowiek już drzemać zaczyna, przecina powietrze: „Powstań! zbiórka!“. Jest więc naprawdę wojna. Teraz przesuwamy się kompanjami przez wyniosłe, piaszczyste wzgórze, które jest pod obserwacją rosyjską. Szybko przejeżdżamy konno tą przestrzeń i sztab czeka znów na przejście pułku. Ja beztrząsco znów leżę na brzegu lasu. Przede mną pole, na którym pszenica jeszcze zielonkawa, ale żyto już białe, gotowe do cięcia. Jako smutny kontrast do tego życia — dwa spalone przez Moskali stogi.

Widocznie Moskale kryli w tym lesie odwrót, bo na brzegu wykopali szereg płytkich, pojedynczych dołków strzeleckich, takich, jakie żołnierz kopie pośpiesznie wieczorem, gdy wie, że ma odejść z nich nad ranem.

Siedzimy spokojnie. Prowadzimy z księdzem Żyt-kiewiczem, kapelanem pułku, leniwą dyskusję o ważności i nieważności przysięgi, złożonej państwu zaborcemu. Zresztą, nie unosimy się, jest nam tak dobrze, cicho i spokojnie, tu, w cieniu drzew.

Wreszcie cały pułk przeszedł przez otwarte wzgórze i zapadł w cień lasu. Żołnierze przeważnie śpią.

W tej chwili z taborów przyprowadzają pod bagnetami aresztowanego Austriaka, który w sprzeczce uderzył naszego żołnierza. Obywatel major każe go odprowadzić do brygady. Austriak ma widocznego „pietra“, byśmy go nie „dokończyli“ gdzie w lesie. Odchodzi, oglądając się, popychany przez naszych

żołnierzy. W przejściu przez Popów spotkałem się ze znajomymi z I bataljonu. Odnowiliśmy wspomnienia z nad Nidy.

8 lipca. — Pogodny wieczór w lesie na południe od wsi Wyżnica (która leży na północny-zachód od Kraśnika). — Siedzimy w głębokim parowie, w budce, skleconej z gałęzi, niedaleko od punktu opatrunkowego 2-go pułku. Przyszliśmy tu dzisiaj o godzinie 2 i pół w nocy okropnie pomęczeni, gdyż szliśmy, wprawdzie z odpoczynkami, ale od 11 rano do 2 w nocy po strasznym upale. Z lasu, gdzie odpoczywaliśmy po przejściu kompanjami wyniosłego wzgórza, doszliśmy do wsi Stefanówka. Tu żołnierze, pomęczeni, zziajani, spragnieni rzucili się do fatalnej studni, gdzie woda była jak rosół gęsta, rozrobiona kopytami koni i bydła. Obok leżały kupy nawozu. Zabroniłem im używać tej wody, ale ledwie się odwróciłem, znów manierki zabulgotały w wiadrze, którem wydobywali tą wstrętną wodę. Jasne było, że po tej wodzie rozchoruje się połowa pijących ją żołnierzy. Rzuciłem się na biednych chłopców, a gdy nie chcieli słuchać, wyjąłem rewolwer i zmusiłem ich do odejścia od studni. Odeszli niezadowoleni, mrużąc: „To doktor tak robi?!“.

W tej chwili myślę, że nie na wiele zdała się moja interwencja, gdyż inne kompanje piły taką samą wodę z dalszych studzien w chwili, gdy ja walczyłem z żołnierzami, których przypadkowo przy studni zdybałem. Sam czułem straszne pragnienie, i tylko poczucie obowiązku wstrzymało mnie od wypicia tej „gęstej“ wody. W pół godziny później dopędził mnie z wozem sanitarnym sierżant Ramułt i dał mi trochę kawy ze swej manierki.

Ze Stefanówki mieliśmy iść do Chruślanki, ale nadeszła zmiana dyspozycji, i wśród dalej trwającego skwaru ruszyliśmy polnemi drogami przez „piaski i laski“ do Borka, Sosnowej Woli i Dzierzkowic.

W Borku ujrzelismy dwóch Prusaków, pilnujących zdobycznego rosyjskiego karabinu maszynowego. Dalej — rozwinięty niemiecki „Reserve Hilfspatz“, obstawiony wielkimi wozami wypełnionymi przez rannych. Nie rozumiem, jak te wozy mogły dojechać aż tutaj, w tak głębokim piasku. W kierunku punktu opatrunkowego idzie od frontu pastor, paru lekarzy i wielu rannych. Wszyscy „servusują“ obywatela majora, jadącego na czele pułku. Borek jest ostatnią wsią, która jeszcze istnieje.

Dalej Moskale wszystko spalili. Sosnowa Wola i Dzierzkowice — to jeden cmentarz spalonych domów. Nic nie ocalało prócz studzien, z których nasi żołnierze znów piją wodę. Nie przeszkadzam im, co mam robić!

W tej chwili jakiś chłop z pierzyną na wozie zajeżdża przed swą spaloną zagrodę. Desperackim ruchem ściaga z głowy czapkę i coś mówi, nie wiem modlitwę, czy przekleństwa. Wreszcie wjeżdża i zatrzymuje furę na... klepisku, nieistniejącej już stodoły. Poza nim i jego babą we wsi niema nikogo. Uciekli oni do lasu, gdy Moskale wypędzali ludność i zdaleka widzieli, jak palił się ich dobytek.

Biedna nasza ziemia: pali ją Moskal, by z bogactw jej nie mógł korzystać — Niemiec.

Pod wieczór już dochodzimy do ocalałej leśniczówki, gdzie dowiadujemy się, że po gwałtownych walkach Moskale wybili parę pułków austriackich, stojących na prawo od Niemców, i że Austriacy się poddali. W tej chwili niewiadomo, jak biegnie linja bojowa, i gdzie są Moskale.

Wszystko to mówią nam w leśniczówce telefoniści niemieccy, którzy czują się tu bardzo niepewnie. Idziemy dalej w mrok leśny, kierując się biegiem porzuconych rosyjskich okopów. Orientacja w nocy jest bardzo trudna, gdyż nie można kierować się we-

dług miejscowości. Zdarza się nam przejść o 100 kroków od spalonej wsi i nie wiedzieć, że się obok niej znajdujemy. Stąd chwilami zupełnie nie wiemy, gdzie jesteśmy.

Tak maszerując wśród nocy, wpadamy na placówkę węgierską. Z trudem się porozumiewamy. Myśleli, że jesteśmy Moskalami. Niewiele brakowało, byśmy się postrzelali wzajemnie.

Obywatel major rozmawia z komendantem 15-go pułku honwedów. Nie wie on nic o sytuacji, tak samo jak i my. Nie wiadomo, gdzie są Moskalami, możemy ich spotkać każdej chwili. Musimy jednak wykonać nakazany przemarsz, więc idziemy dalej w gęstym lesie. Obywatel major każe nałożyć bagnet na broń na wypadek nagłego spotkania z Moskalami.

Jesteśmy już szalenie znużeni. Żołnierze ledwie się ruszają. Boję się u nich halucynacyj i fałszywych alarmów, ale nie, maszerujemy wciąż w ciszy. Księżyc świeci przez konary drzew na ostrzach bagnetów.

Znów napotykamy jakieś okopy, jeszcze dobrze utrzymane. Idziemy wzdłuż nich i trafiamy po paru godzinach na jakiś dom w lesie. Tu dowiadujemy się, że jesteśmy już niedaleko od Wyżnicy. Obywatel major Trojanowski, mając do pomocy świetnego geologa, obywatela Satyra, wyprowadził nas w nocy mimo braku dróg i wsi, gdzie należy. Już świta, wchodzimy znowu do lasu, i tu w parowie rzucamy się na ziemię, śmiertelnie znużeni.

Żołnierze spali do południa mimo słońca, upału i strzałów wokoło. Zbudzili się dopiero, gdy... podjechały kuchnie z obiadem. Okazuje się, że w nocy szliśmy, mając bok kolumny zupełnie odsłonięty na wypadek natarcia Moskali. Ha, udało się!

Pod wieczór przeszliśmy na zachód od drogi, biegnącej między Wyżnianką a Wyżnicą, gdyż, stojący przed nami, 9-y pułk piechoty austriackiej, cofnął się ze



Punkt opatrunkowy pułkowy pod Urzędowem, zbudowany przez chłopców z VI bataljonu,
za 20 „Memphisów”.

wsi na brzeg lasu, w którym byliśmy. My więc, jako rezerwa, też musieliśmy się cofnąć. Tym sposobem, linja odgięła się ku Kraśnikowi, który, zdaje się, jest niczyj. Przed zachodem słońca wyszliśmy z d-reu Piestrzyńskim do austriackich okopów, by zapoznać się z pozycjami rosyjskimi. Nikt jeszcze nie zna dobrze ich przebiegu, gdyż sytuacja zmienia się co kilka godzin.

Wpadliśmy więc w austriacko-niemiecko-rosyjską kaszę. Moskale, zdaje się, sprali wczoraj i dzisiaj obydwóch sprzymierzeńców, a ci spędzają winę jeden na drugiego. To też nie tylko Austriacy mają wystraszone miny, ale i Niemcy są niezwykle potulni. Zły to u nich znak! Musieli dobrze dostać w skórę! Jeden z żołnierzy, zapytany przez kolegów o sytuację, powiedział: „Niech się ta trzępią, aż do skutku!“.

10 lipca. — Na pułkowym punkcie opatrunkowym, w tym samym lesie, ale bliżej linii bojowej. — Wczoraj po południu pułk nasz zajął okopy w spalonej wsi. Z V bataljonu poszły do pierwszej linii 3 kompanie. Jedna zostaje w rezerwie przy komendancie bataljonu, obywatelu Olszynie. Gołąb ma punkt opatrunkowy koło niespalonej kuźni. Ja przeniosłem się do wąwozu w lesie niedaleko linii bojowej. Wąwóz łączy się skośnie z okopami, jest więc dobrem ukryciem do wynoszenia rannych. W tym wąwozie 10 ludzi z VI bataljonu zbudowało z gałęzi szałas na pomieszczenie punktu opatrunkowego. Poszło im to szybko i dostali ode mnie po 2 papierosy „Memphisy“. Odeszli więc zadowoleni. Ponieważ wczoraj nie mieliśmy jeszcze strat, rannych nie było, położyłem się spać w szałasie. Mrugały na mnie gwiazdy przez szpary w dachu i hukały w lesie sowy.

Wozy sanitarny i sztabu pułku stały obok mnie na polanie. Konie: Siwutek, Dziunek i ogierki odeszły paść się do sąsiedniego głębszego wąwozu, by nie paść ofiarą kul, które szły dosyć gęsto nad płytkim wąwozem. By-

ło pięknie i poetycznie, ale o świcie nieco chłodno. To też wstałem koło piątej rano, by ogrzać się na słońcu. Obok szalasu stał już Dudoń z Siwutkiem. Siwutek drzemał, oganiając się od małych, dokuczliwych muszek.

Dudoń opowiadał, że Siwutek tej nocy skopany został przez Dońkę i „płakoł, bez śpasu, płakoł, przytulony do sosny“. Dudoń usiłował nawet pokazywać mi ślady łez na mordzie Siwutka (oby Siwutek wybaczył mi to wyrażenie!), ale ja nic dostrzec nie mogłem, mimo że „płakoł, bez śpasu“.

Dzisiaj wysłać należy sanitarny raport 10-cio dniowy, posyłam więc obywatela Bulińskiego po raporty stanu chorych i rannych do lekarzy bataljonowych. Gołąb dał raport już gotowy. Dr. Hedinger, opryskliwy jak zwykle, nie tylko nie dał raportu, ale powiedział do Bulińskiego: „Mam więcej roboty, niż inni!“. W parę godzin później jednak raport nadesłał sumiennie.

Już słońce przypieka i rosa wyschła, musi być koło ósmej. Idę więc na śniadanie do Komendy pułku, będącej w sąsiednim parowie, gdzie była „kwatery“ Berbeckiego. Tu patrol nasz, wysłany przed okopy na folwark Wyżnianka, przyprowadza jeńca rosyjskiego, którego zaskoczył na folwarku. Jest to żołnierz z 7-go pułku grenadierów. Zeznaje on, że w lesie przed nami w rezerwie stoją trzy bataljony jego pułku, a okopy na brzegu lasu są słabo obsadzone przez jeden bataljon.

Jeniec zostaje odprowadzony do brygady. Celem sprawdzenia jego zeznań obywatel Trojanowski każe wysłać patrol przed folwark Wyżnianka w kierunku okopów moskiewskich. Patrol dochodzi bez przeszkody do folwarku i podsuwa się dalej zupełnie blisko pod okopy rosyjskie. Dopiero gdy już jest o jakie 30 kroków od brzegu lasu, zaczajeni Moskale, otwierają ogień. Zostaje zabity strzałem w głowę jeden z naszych żołnierzy. Koledzy wynoszą trupa do naszych okopów. Ponieważ wywiad patrolu potwierdził zeznania jeńca, oby-

watel major telefonuje do brygady, by las ostrzelała nasza artylerja.

12 lipca. — Południe, w lesie, pod Urzędowem, obok Komendy pułku, umieszczonej w namiocie, do którego idzie linja telefoniczna. —

Wczoraj, 11 lipca, patrole nasze doniosły, że Moskale o świcie odeszli ze swoich okopów. Obywatel major Trojanowski zarządza natychmiastowy pościg. Jako straż przednią wyznacza dwie kompanje V bataljonu, pod dowództwem porucznika Sawy.

Jest nam wszystkim wesoło i radośnie: idziemy naprzód, gonimy wroga. Nikogo niema przed nami. Będziemy więc bić się i... coś zdobędziemy z żywności. Siodłają nasze konie w parowie obok szałas, który nazwaliśmy „willą komendy“ i sztab pułku rusza ze strażą przednią. Na drodze naszej leży *défilé* leśne, bardzo dogodne do zrobienia zasadzki przez Moskali. Nim więc reszta pułku wyszła z okopów, porucznik Sawa rusza z półbataljonem i obsadza las. Jedziemy z nim w cudny słoneczny ranek po rosą pokrytej trawie nad rzeką Wyżnianką. Dogania nas kawalerja, która jedzie ścigać Moskali. Na przeszkodzie leży niegłęboka, ale bagnista rzeka Wyżnianka. Kawalerzyści zbijają z kilku desek kładkę, po której z trudem ale bez wypadku przeprowadzają swe konie. Już siedli na koń, już rwą po łące i giną za lasem. My przeprowadzamy również swoje konie i przechodzimy linję milczących, opuszczonych okopów rosyjskich, z których wczoraj został zastrzelony nasz patrolowiec.

Takie przekraczanie linji okopów na wojnie przypomina przejazd przez granicę państwa w czasie pokoju. Jest wrażenie przejścia w inne, nowe, nieznane życie.

Pareset kroków za okopami rośnie grupa sosen. Odpoczywamy w ich cieniu, by nie wysunąć się przed nasze patrole. Widać już stąd płonące miasteczko Urzędów, podpalone zapewne przez uciekających Moskali.

Główna siła straży przedniej stoi jeszcze tuż przed laskiem, podczas gdy patrole badają lasy, stojące po bokach *défilé*. Wreszcie straż przednia rusza żwawo na przód, a my brzegiem lasu jedziemy do cmentarza z murem porozbijanym przez granaty, gdzie zostawiamy nasze konie. Stoją tu już konie *houwedów*, którzy wyjechali na podjazd.

Podobno gwałcą oni po wsiach dziewczęta, a chłopów biją, gdy bronią kobiet. Zachowują się, jak w kraju podbitym.

Gdy stoimy przed cmentarzem na przedmieściu Urzędowa, nasz patrol przyprowadza od strony miasteczka jakiegoś człowieka w rosyjskiej bluzie wojskowej, który, płacząc się, opowiada, że jedzie z Warszawy do Lublina i że został zatrzymany przez naszych. Furman jego, chłopak o jasnych jak len włosach mówi, że dostał rozkaz jechać z tym człowiekiem od wójta i sołtysa, tak jak na podwodę. Mieszkańcy Urzędowa, którzy nadeszli z patrolem, twierdzą, że jeszcze dzisiaj rano ten sam człowiek z resztkami ustępujących Rosjan podpalał chałupy mimo prośb ludności.

Obywatel major każe dobrze pilnować podejrzanego ptaszka, a my siadamy na konie i jedziemy do pałacego się Urzędowa, w którym jeszcze słyhać strzały. Gdyśmy wjeżdżali do miasta, jakiś starszy człowiek mówi: „Panowie, czemuście nie przyszli dwie godziny wcześniej, byliby nas Moskale nie spalili, a tak — patrzcie!“.

Rzeczywiście, po obu stronach ulicy dopalały się zabudowania. Dym i ogień zasłaniały widok. Zboku gdzieś szły dosyć gęsto kulki karabinowe, chociaż nasi wypchnęli już Moskale z miasteczka. Przed ocalałą chałupą spotykamy starszyznę kawalerji: Belinę, Orlicza i innych. Jedzą oni już pachnącą jajecznicę, zagryzają białym chlebem, a popijają świeżutkim mlekiem.

Ha! niegodziwcy, objadają nam „naszą“ okolicę. Nie darmo chłopcy, gdy mijała nas na łące kawalerja, krzy-

czeli: „Oho, śpieszmy się, bo kawalerja zje zaraz wszystkie jaja w Urzędowie!“.

Trzeba przyznać, że ułani byli gościnni i wspaniałomyślni: dali i nam zjeść. Zjedliśmy, ale oczywiście nie przekreśla to naszych pretensyj.

Być ugoszczonym przez piechura, to znaczy móc podzielić z nim żywność, zdobytą okazyjnie nieczęściej, jak raz na tydzień.

Kawalerzysta, to zupełnie co innego. On siądzie na konia, podjedzie w czasie marszu kilometr w bok od drogi, i już ma wszystko.

Piechur, zgarbiony pod swoim plecakiem, nawet nie widzi tej chałupy, stojącej z boku, a choćby i widział, to i tak nie pójdzie za nic, bo jakżeby dopędzał potem kolumnę.

No, ale nie „psioczmy“ na kawalerzystów, bośmy jedli „ich“ jajecznicę, chociaż w „naszem“ miasteczku.

W tej chwili w miasteczku zaczyna się ruch wojska... To nasza przednia straż wchodzi całą swą siłą. Na górze, na północ za odnogą spalonego przedmieścia, wszczynają się również ruch w terenie. Moskale schodzą linjami tyraljerskimi z góry i giną w zakrytym terenie przed miasteczkiem. Idą tak otwarcie i w takim porządku, że jest chwila wątpliwości, czy to nie Prusacy. Ale nie, przez lornetkę widać, że to Moskale.

Obywatel major każe podciągnąć linję na brzeg miasteczka. Chłopcy skaczą przez ocalałe płoty i zalegają w rowie przydrożnym. Za płotem, w krzakach przyczaił się obywatel Prot z karabinem maszynowym. Już zagdakała jego maszynka, już łupią nasi do Moskali. Już z ich strony gwiżdżą kulki. Jednym słowem wesoła utarczka — w dzień słoneczny.

Ogień karabinowy staje się coraz gęstszy. Stajemy za chałupą. Konie nasze kłusem wieją z luzakami za cmentarz. Przyprawdzają rannych z patrolu, który był za miasteczkiem i wpadł w zasadzkę moskiewską. Nasi rozpoznali Moskale dopiero na 15 kroków, bo ci sie-

dzieli ukryci w życie i czapki pookręcali sobie żytem, tak, że ich widać zupełnie nie było. Jeden ranny ma przestrzelone przedramię, a drugi ramię, ze złamaniem kości i ogromnym otworem wylotowym postrzału. Jest to rana zapewne zadana pociskiem z „berdanki“ i przypomina straszne rany od „Werndla“.

Przypuszczenia moje potwierdza jeniec, żydek, sanitariusz 11-go pułku grenadierów. Mówi on, że do każdego pułku piechoty rosyjskiej przydzielony jest bataljon „opołczenia“, uzbrojony w berdanki. Nasz ranny otrzymał postrzał od takiego z „opołczenia“. Muszę się zająć rannymi. Opatruję ich na miejscu, za chałupą. Teraz trzeba myśleć o transporcie. Biorę jednego ułan-łącznika, idziemy do cmentarza, siadamy na nasze konie i jedziemy do Wyżnianki. Tam, saperzy już kończą budowę mostu na rzece. Cały pułk nasz już podciąga do Urzędowa.

Odwożę meldunek obywatela Trojanowskiego do Komendanta Głównego z prośbą o zajęcie Urzędowa, by uchronić resztę miasteczka od spalenia. Obywatel Komendant mówi, że zostaje na miejscu, gdyż główna linja bojowa ma biec przed Urzędowem.

Zabieram moje wozy pod rannych i jadę przez nowy most do Urzędowa. W drodze spotykam na bryczce obywatela Jura — „bracie kochany“. „Zaopiekował się“ on, jako szef żandarmerji, podpalaczem, schwytanym rano. Ma być oddany pod sąd polowy. W naszych sumieniach wydaliśmy już na niego wyrok wobec oskarżenia go przez ludność. Broni go jeszcze jeden tylko ks. kapelan Żytkiewicz.

Wracam do Urzędowa. Nasi odparli atak Moskali. Wysłałam moich rannych.

Austrjacy i Niemcy zajęli pozycje poza Urzędowem, a tylko my jesteśmy wysunięci naprzód, nietyle z potrzeby wojennej, ile by ochronić resztę ludności od spalenia przez Moskali. Zostajemy więc przez dzień w miasteczku, staczając z Moskalami drobne utarczki. Ota-

czają oni miasteczko z trzech stron i chcą obrzydzić nam życie ciąglem strzelaniem.

Z tego naszego wysuniętego położenia wychodzą dziwołagi następujące. Kuchnie nasze spokojnie dojeżdżają przez linję dawnych okopów rosyjskich, obok cmentarza aż do Urzędowa, a patrole austriackie z Wyżnianki dochodzą zaledwie do cmentarza z nałożonemi bagnietami. Oni robią poważny wywiad tam, gdzie jeżdżą nasze kuchnie!

Po stronie prawej od miasteczka wysyłamy tylko ubezpieczające patrole. Na lewo od nas we wsi Dzierżkowice, dokąd pojechałem celem wyszukania wygodnej drogi, również spotkałem tylko parę naszych patroli. Cała wieś spalona na długości ośmiu kilometrów. Ocalał tylko kościół. Wieś tą patrolują również honwedzi. Szukają nietyle Moskali, ile grzebią w zgliszczach, by wyszukać coś dla siebie. W okopach we wsi Moskale przed odejściem ustawili manekin z karabinem „La straży“. Jest to swoisty humor „odwrotowy“.

W miasteczku samem kopiemy prowizoryczne okopy. Na noc w Urzędowie zostawiliśmy tylko placówkę, a my, cofnęliśmy się na brzeg lasu. Komenda pułku i punkt opatrunkowy były w grupie sosen nad Wyżnianką, gdzie właśnie to piszę. Spaliśmy w ubraniach, w ostrem pogotowiu, z karabinkami przy boku. Kilka dni temu Moskale wąwozami obeszlą Austrjaków, którzy zapuścili się, tak jak my, pod Urzędów, zabrali 5000 jeńców i nastrzelali ich, jak kaczek. To też pilnujemy się całą noc. Nawet przy moich wozach stoi warta.

Nie śpią i Austrjacy, którzy siedzą za nami i za rzeczką w okopach z trzema karabinami maszynowemi. Rakiety ich i reflektory oświetlają w nocy nietylko nasze placówki i cały nasz pułk, ale i nasz tabor prowiantowy obywatela Horowitza, który „sparkowany“ jest na 500 kroków przed ich okopami. Austrjacy proponowali obywatelowi Horowitzowi, by cofnął się za ich okopy, ale

odpowiedział im, że czuje się zupełnie bezpieczny za linią naszych placówek.

Stojąc tak przed linią bojową, narażamy się, ale jesteśmy pewni, że w każdej chwili będziemy mogli obronić ludność Urzędowa przed spaleniem reszty miasteczka.

13 lipca. — W tym samym lesie, obok namiotu Komendy pułku. — Sytuacja ciągle bez zmiany. Nasz pułk stoi przed główną linią bojową w lesie, obsadzając na dzień miasteczko Urzędów, a na noc zostawiając tam placówkę.

Ludność z naszym przybyciem nabrała śmiałości. Wczoraj nad ranem mieszkańcy miasteczka zabili Moskala, który podkraść się o świcie, by podpalić dom. Nasi żołnierze opowiadają, że ludność miasteczka ma austriackie karabiny z zabitych przed paru dniami przez Moskali i obecnie karabinami temi broni domów swoich przed podpalaczami, wysyłanymi przez Rosjan. Karabiny te chowają starannie i przed Moskalami i przed Austrjakami. Przy podpalaczu znaleziono prócz karabina — nahajkę moskiewską. Poza tem całemi dniami i nocami patrole nasze ścierają się z Moskalami, naokoło miasteczka.

Schwytanego przed paru dniami człowieka w rosyjskiej bluzce, jadącego podwodą, powieszono na wierzbie na przedmieściu Urzędowa. W czasie sądu przyznał się do szpiegowania i wskazał nawet na papiery, zaszyte w chomontach jego koni. Wśród papierów jest: „Patent na ajenta sztabu frontu“ i upoważnienie do palenia okolicy na północ od Sandomierza oraz do badania przepraw na Wiśle. Wyrokiem sądu został on skazany na śmierć i powieszony przez naszych żandarmów. Na piersiach ma przywieszoną kartkę: „Szpieg i podpalacz, wysłany z Iwangrodu przez generała Schwarza“.

W lesie, w którym stoimy, zaczyna być fatalne powietrze z powodu rozkładających się trupów Austrjaków, zabitych przez Moskali. Wiele zwłok chłopów już pocho-



„Szpieg i podpalacz“ wysłany z Iwangrodu przez generała
Schwarza*, powieszony w Urzędowie.

wali pod nadzorem austriackich żandarmów, ale znajdują się w gęstwinie coraz to nowe trupy, zdradzające się swym zapachem. Jeżeli tak pójdzie dalej, trzeba będzie las opuścić, bo nikt tu nie wytrzyma, nie mówiąc już o obawie epidemji.

W czasie walk w mieście mamy dwóch rannych naszych żołnierzy. Zato zabraliśmy do niewoli jeńca, Polaka. Jest on rezolutny wśród „swoich“ (znaczy naszych żołnierzy), opowiada, że naprzeciw nas stoją pułki grochowski i poławski, a na prawo od nich — grenadjerzy. Ci stoją już naprzeciw Niemców, będących na lewym naszym skrzydle. Drużyny opoleczenia u nich w pułku mają dwa zdobyczne karabiny maszynowe austriackie. Wczoraj widzieli Moskale, jak nad ranem wjechała do Urzędowa nasza kawalerja, by zmienić będący „na służbie“ nasz V bataljon. Podobno szykowali się już do odejścia z okopów, ale zatrzymali się, bo nasi nie nacierali zbyt silnie. Jeniec mówi, zdaje się prawdę, gdyż i dzisiaj patrole doniosły nad ranem, że okopy moskiewskie puste. Gdy wysłano jednak dalsze zwiady, Moskale otworzyli ogień i wywiązała się strzelanina, w rezultacie której zostaliśmy w Urzędowie. Myśleliśmy, że idziemy naprzód. Nawet konie Komendy pułku były już posiadłane. Uciekinierzy, którzy przeszli przez linię frontu, opowiadają, że Moskale wycofują się na Chodel, że przed nami mają tylko małe siły.

15 lipca. — Urzędów, w chatce niespalonej, na południowym krańcu miasta, wieczór. — O zmroku wszedł do miasteczka cały nasz pułk, naskutek dyspozycji dywizji austriackiej, do której jesteśmy przydzieleni. Na lewo od nas, za naszym skrzydłem stoją honwedzi, za skrzydłem prawem stoi nasz 1-y pułk. Kawalerja z karabinami maszynowymi obsadza wąż na prawo od nas, którym Moskale obesзли Austrjaków kilka dni temu.

Wchodziłem do miasteczka z obywatelem Satyrem, komendantem VI bataljonu. Wszyscy są szczęśliwi, że

idą „naprzód“, i że wyszli ze śmierdzącego lasu z trupami. Zaraz na wstępie, niedaleko cmentarza, w przerwie między krzewami i płotami zostaliśmy ostrzelani przez Moskali. Musieliśmy więc iść trochę luźniej niż wypadało z towarzyskiej pogawędki. Obejrzeliśmy nasze skromne okopy, poczem zaczęło się poszukiwanie dachu nad głową. Kościół jest spalony. Ocalała plebanja, urząd gminy i kilka małych domków. Gmina i plebanja pełne są uciekinierów i mieszkańców miasteczka ze spalonych domów. Jest ich dużo i w domku, gdzie mam punkt opatrunkowy i gdzie to piszę w tej chwili. Żołnierze zostali umieszczeni w okopach, a rezerwa w parowach obok miasteczka. Klecą oni sobie szałas z gałęzi i resztek spalonych domów, albo kopią wnękę w ścianach parowu. Obszedłem dla orjentacji całe miasteczko. Wieczorem już, gdy szedłem obok płonących resztek domu i byłem w kręgu światła, kilka kul gwizdnęło mi nad głową. Rzuciłem się w ciemność i upadłem, potknąwszy się o spaloną belkę. Stłukłem się i powalałem, ale lepsze to, niż być zastrzelonym.

16 lipca. — Urzędów, godzina 6 po południu, w tej samej chatce na punkcie opatrunkowym. — W nocy i rano byłem w wozie przy szosie do Kraśnika. Nasi atakowali o 2 i pół w nocy okopy rosyjskie. Doszli do nich, ale nie byli podtrzymani przez Austrjaków i wrócili nad ranem. Miałem 20 rannych. Jak się okazało, Moskale mocno obsadzają jeszcze okopy, wbrew opowieściom uciekinierów.

Dzisiaj we dniu jeden żołnierz został zabity, gdy pompował do wiadra wodę przy studni w rynku. Wiadocznie jakiś Moskal stale ma w ostrzale to miejsce. Nasi żołnierze już znają wszystkie przejścia w mieście, osłonięte przed ogniem Moskali z wzgórz okolicznych i miejsca, które dy chodźć niebezpiecznie, gdyż Moskale strzelają tam we dnie i w nocy.

Wszystko objaśniają i rej wodzą żołnierze dwóch kompanij V bataljonu, które pierwsze przed paru dnia-



„Majówka” — pod Urzędowem.

mi weszły do Urzędowa. Każdy z nich ma swoją znajomą panienkę wśród mieszkańców miasteczka lub uciekinierów. W miejscach bezpiecznych spacerują ze swymi znajomymi, jak w „małym garnizonie“. Niektórzy nawet myją się, czeszą, a są i tacy, którzy czyszczą sobie buty i ubranie.

Wszystko to przez panny. Oczywiście ci, co panien nie mają, śmieją się z nich „na całego“. Tak potęgą pięknej Venus ozłaca ciężką służbę w posłuszeństwie Marsowi. Reszta pułku z zazdrością patrzy na tych pierwszych żołnierzy, którzy już uważają się za „tutejszych“.

Nocne walki, straty dość duże i chmurna pogoda w dniu dzisiejszym nieco ostudziły zapały spacerowiczów, ale ich nie zdusiły. Ja z powodu deszczu przeniosłem się z rannymi napowrót do ocalałej chatki, gdzie siedzę w pierwszej izbie. W tej chwili leży u mnie trzech ciężko rannych, których nie mogłem wysłać dzisiaj. Reszta odjechała, napojona kawą i mlekiem, którego dostarczyli w dużej ilości dla rannych mieszkańcy miasteczka. Mówią, że dadzą wszystko rannym za ocalenie domów od spalenia.

18 lipca. — Niedziela, wieczorem, w urzędzie gminnym Urzędowa, w pokoju Komendy pułku. — Przeniosłem się tutaj z rannymi, gdyż nie mogłem pomieścić się w białym domku. Rannych w naszym pułku było 32, prócz tego 7 zabitych.

Przyszła wiadomość, że Mackensen przełamał front moskiewski pod Tarnogórą i doszedł aż do linii kolejowej na północ od nas. Na lewym brzegu Wisły Woyrsch dochodzi już do Iłżanki. Napewno więc pójdziemy stąd już rychło naprzód, gdyż Moskale muszą, lada dzień, zwiać.

Wczoraj jakiś major austriacki chciał tu rozstrzeliwać mieszkańców Urzędowa. Wystraszona kobieta przybiegła po mnie, krzycząc, że Austriak wyjął rewolwer na jej syna. Gdym dobiegł do domku, gdzie groził major, ten przezornie zwał.

Skłoniło to nas do wypędzenia z miasteczka wszystkich honwedów i żandarmów austriackich, gdyż poczynali sobie brutalnie z ludnością cywilną. Wysyłamy specjalne patrole po 5 ludzi, które wyrzucają z miasteczka Austrjaków. Ludność widzi to i jest nam wdzięczna za tą opiekę. Mamy wrażenie, że na tym kawałku gruntu istnieje Polska niepodległa, gdzie możemy nie dać krzywdzić rodaków przez starych i nowych najeźdźców. Niestety pójdziemy stąd i Austriacy z Niemcami zniszczą to, czego nie zdołali spalić Moskale.

Życzliwy stosunek ludności do nas przejawiał się w czasie dzisiejszej mszy polowej.

Ksiądz kapelan Żytkiewicz odprawił dzisiaj mszę, na którą przyszli żołnierze i ludność cywilna. Wszyscy byli czyści i odświętnie ubrani. Zebrało się paręset ludzi. Miejsce było osłonięte przed okiem Moskali. W czasie kazania księdza ludzie płakali. Po nabożeństwie, w myśl odwiecznego zwyczaju, kobiety miejscowe zebrały się na rynku, obok pompy, którą stale ostrzeliwują Moskale. Zapominając o wojnie, wszczeły swe pogadanki, zaczynające się od: „Moiściewy kumo“..., gdy każdej chwili Moskale mogli zacząć strzelać z karabinów maszynowych. Dopiero patrole nasze musiały rozpraszać to zgromadzenie „po kościele“, które mogło sprowadzić na nas ogień Moskali.

Po południu zaczął padać deszcz. Może więc Moskale, cofając się, nie będą mogli tyle spalić, co dotąd przy ładnej pogodzie. Wieczorem strzela nasza artylerja do okopów moskiewskich.

21 lipca. — Kolonja Dobrowola, w Komendzie pułku. — Pada drobny deszczyk. Pogoda kwaśna i humory chłopców kwaśne po opuszczeniu Urzędowa, gdzieśmy byli tydzień, a jak na wojnę, to bardzo długo. Kolonja Dobrowola cała prawie spalona, a ludność wypędzona przez Moskale.

Przyszliśmy tu w sposób następujący. Całą noc, z 18 na 19 lipca, Moskale strzelali mocno ze swych okopów

z karabinów a nawet z karabinów maszynowych. O świcie, 19 lipca, nasze patrole bez przeszkody doszły do pustych już okopów.

Zaraz też zaczął się ruch odmarszowy. W mglisty, deszczowy poranek zaczęliśmy szykować się do opuszczenia Urzędowa. Ludność wie, że za nami przyjdą żandarmi austriaccy, którzy zaczną ją uciskać, żegna więc nas z wielkim żalem. Przed odmarszem przychodzą do mnie żydzi i katolicy, mieszkający razem u kowala, bym ich rozsądził w zawilej kwestji używania kuchni i podziału kątów w izbie, którą wspólnie zajmują. Jak umiem, tak rozsądzam ich właśnie, przyczem z wzajemnych przymówek mych „podsądnych“ dowiaduję się, że kowal, u którego mieszkają, zdjął w ostatniej chwili ucieczki Moskali piękne, stare dzwony z wieży kościelnej. Gdyby nie jego „gorliwość“ dzwony by ocalały, bo Moskałe nie umieli sami ich odkręcić. Zrobił to podobno za pieniądze. Wartoby się zająć tym gagatkiem, ale niema czasu, gdyż zbliża się nasz odmarsz. Obywatel sierżant Ramułt zwija mój punkt opatrunkowy, ładując kufry na wóz. Siwutek i Dziunek już pod siodłami, czekają przy urzędzie gminnym. O godzinie 8 i pół rano przeszła przez miasteczko kawalerja, 1-y pułk Śmigłego i artylerja. My mamy ruszyć niedługo.

Miasteczko przepełnione scenami pożegnań. Wszystkie utajone sympatje wychodzą teraz na jaw w chwili rozstania. Jestem już gotów do odmarszu i siedzę w izbie urzędu gminnego przed otwartem oknem. Pada drobny deszczyk, jest zimno i kożuszek zarzucony na ramiona bynajmniej nie jest zbyt gorący.

Za krzakiem bzu widzę jedną ze scen pożegnalnych. Biorą w niej udział: dziewczyna, żołnierz i karabin.

Najsmutniejszy jest karabin, który leży i moknie na gałązkach bzu. Obok stoi strzelec w płaszczu narzuconym na plecak. Z pod płaszcza wyglądają dwie głowy: jedna o bladej twarzy — to głowa strzelca, druga o buziaku krągłym i rumianym — to główka panny Basi.

Kontrast kolorów twarzy występuje tem jaskrawiej, że dwie głowy przylepione są do siebie w ostatnich pożegnalnych pocałunkach.

Wreszcie, gdy już słysząc okrutne: „Zbiórka!“, padają bezładnie wyrazy:

Legjonista: No niech mię panna Basia chociaż na ostatek pocałuje.

Panna Basia: Ee, nacałował się pan już aż zanadto, przez te wszystkie wieczory!

Legjonista: Ale panna Basia, sama, nie pocałowała mię ani razu.

Panna Basia: I nie pocałuję. Ja pocałuję pierwszy raz mojego narzeczonego, na śmierć i życie, który będzie potem moim mężem.

Legjonista (z żalem): To czegoś pozwalała mi się całować?!

Panna Basia: To co innego, to tak, z sympatji tylko, że pan polski żołnierz.

Głos matki z za zgliszcz komina, spalonego domu: „Baasia! Basiaa!!“.

Twarze legjonisty i panny Basi, instynktownie, stykają się jedna z drugą w ostatnim długim pocałunku.

Panna Basia: Pocałuję pana i sto razy (wyrывa się, i biegnąc do matki, krzyczy) jak pan przyjdzie po wojnie!

Legjonista zostaje sam, w mokrym płaszczu, który smutnie zwisa w miejscu, gdzie przed chwilą prężyło się ciepłe ciało dziewczyny. Błady żołnierz patrzy w kierunku, gdzie zniknęła jasna bluzka panny Basi, potem dostrzega jej włos na płaszczu. Zdejmuje go delikatnie i... puszcza na wiatr. Wreszcie, bierze karabin i wyciera go troskliwie połą płaszcza, poczem idzie ciężkim krokiem do swej „czwórki“, na rynku miasteczka.

Około godziny dziesiątej rano ruszamy wreszcie, przy mrzącym deszczyku. Mieszkańcy odprowadzają nas do ostatnich domów miasteczka. Kilku chłopców

z miasteczka w ostatniej chwili wstępuje w nasze szeregi.

Już miesimy błoto, mijając kolejno wsie: Ludwinów, Leszczyna, Zakęcie, Białowoda, Ryczydół, kolonia Dobrowola. Ryczydół i Dobrowola całe prawie spalone (jak ludność twierdzi przez Austrjaków), tak, że z kwaterami bardzo skąpo, a tu cały dzień jak na złość kropi deszczyk.

Zaraz za Urzędowem beliniacy złapali praporszczyka rosyjskiego, który bryczką w parę karych koni, jechał z piekarni korpusu na pozycję i zbłądził. Gdy dostrzegł zdaleka naszych, kazał woźnicy zawracać i zaczęli uciekać. Beliniacy postrzelili w pościgu woźnicę i złapali obu. Cieszą się więcej z pięknych koni, niż z jeńców.

W Ludwinowie uciekinierzy, których Moskale musieli zostawić, gdyż wieli zbyt szybko, opowiadali, że posiłki moskiewskie idące na pozycję zostały już wczoraj zawrócone z drogi.

W czasie marszu obywatel porucznik Spława znalazł papiery rosyjskie porzucone w odwrocie. Wynika z nich, że Moskale mają mało amunicji karabinowej i artyleryjskiej, że wystrzelali jej za dużo w zeszłym tygodniu, że ogień karabinowy wolno otwierać dopiero z odległości 1000 kroków. Dobrze wiedzieć i to.

Na nocleg, z 19 na 20 lipca zatrzymaliśmy się we wsi Ludwinów. Pod Komendę pułku zajęliśmy największą chałupę. W godzinę po naszym przybyciu, odstępujemy naszą chatę dla Sztabu Brygady, a sami przenosimy się do innej.

Niestety, „pech kwaterunkowy“ prześladowe nas tego wieczora. Oto, gdy już zabieramy się do spania nadchodzi rozkaz, że kwatery nasze ustąpić musimy czwartemu pułkowi legjonów, który nadszedł i ma walczyć obok naszej brygady.

Z Komendy brygady przyszedł surowy rozkaz, by natychmiast opróżnić kwatery, oddać je w porządku 4-mu pułkowi i przemaszerować na noc do wsi Leszczyny. Trzeba budzić naszych żołnierzy. Zaczyna się oddawanie kwater. Czwartacy stoją kolumną w ulicy wioski. Nasi chłopcy robią zbiórkę obok. Są oburzeni, że muszą oddawać kwatery żołnierzom, którzy nie byli jeszcze w bitwie. Trzeba im tłumaczyć, że taka jest wola Komendanta. Wtedy milkną.

W ciemności, między dwiema kolumnami, nawiązują się zaczepki słowne. Czwartacy są ubrani „prosto z igły” i mają z tyłu na czapkach naszyte białe kawałki płótna. Dali im to przy ekwipowaniu, na skutek ogólnego przepisu Austrjaków, by po białych kartkach artylerja mogła odróżniać lepiej w terenie linję tyraljerską. Naturalnie, jest to jeszcze jeden poroniony pomysł austriacki i nasi chłopcy wołają do czwartaków: „Obywatelu, pozwólcie waszą wizytówkę”. W ciemności kawałki płótna wyglądają jak karteczki papieru. Czwartacy nie są dłużni w odpowiedzi i to pierwsze nocne spotkanie nie odznacza się specjalnie przyjacielskim nastrojem. Za chwilę czwartacy zwyczajem znikają w drzwiach „naszych” oświetlonych chałup, a my na deszczysku wsiakamy w ciemności jakichś parowów.

Noc czarna, choć oko wykol. Przewodnik, najęty za 2 korony, prowadzi nas z latarką naprzelaj — po jakichś polach, laskach i parowach, mówiąc co chwila, że „Lescyny ino widać!”. Chłopcy potykają się na brózdach i korzeniach, włączają na krzewy i tu, już nie krępując się, kląną czwartaków, którzy w tej chwili śpią już na kwaterach. Wreszcie, jakiś głęboki parów, po wyjściu z którego widzimy światelka. To Leszczyna. Drapiemy się na górę. Wchodzimy do stojącej tam chaty i zasypiamy snem kamiennym na naszej kwaterze, trzeciej już tego wieczora.

Następnego dnia, 20 lipca, śpimy do godziny 11 rano, czyli do chwili wydawania obiadu. Budzi nas gorące lipcowe słońce. Z deszczu wczorajszego ani śladu. Na niebie ani chmurki. Jesteśmy wypoczęci i czujemy się znacznie lepiej, niż wczoraj. Okazuje się, po dniu, że dom nasz nie stoi na górze, tylko drapaliśmy się do niego z parowu, którym przyprowadził nas przewodnik.

Wraz z dobrą pogodą, wyspaniem i najedzeniem się, humor wraca do naszych szeregów. Chłopcy wybaczą już czwartakom nasze nocne przejścia i, nawet, bratają się z oddziałem, który kwateruje niedaleko nas.

Wybuchają jednak zatargi kompetencyjne między szarżami, szczególnie między starymi sierżantami naszej brygady, którzy dawno powinni być oficerami, — a młodymi chorążymi 4-go pułku. Szarży takiej u nas wogóle niema. Taki zatarg wybuchł między sierżantem Dorkiem z naszego pułku a chorążym z 4-go. Poszło im o jakieś porządki przy kwaterze. Chorąży opierał się na swej szarży, a sierżant Dorek mówił, że „taki chorąży nie byłby u nas i kapralem“. Poza tem nasi mówią sobie „obywatelu“, a czwartacy „panie“. Ale zgrzyty są coraz słabsze w miarę jak ubywa dnia. Już szeregowcy i oficerowie poznali się wzajemnie. Tarcia między podoficerami a chorążymi trwają.

Chłopcy porozkładali wszystkie swoje rzeczy na murawie i suszą je na słońcu. Ja proszę obywatela majora o pozwolenie wyjazdu do Komendy brygady do doktora Roupperta w sprawach służbowych.

Jadę drogą, którą przebyliśmy w nocy. Po dniu, z Leszczyny do Ludwinowa i, jeszcze w dodatku konno, wydaje się zupełnie blisko. Trafiam na chwilę, gdy w Komendzie brygady saperzy budują pawilon, w którym ma być przyjęcie dla Roji i sztabu jego puł-

ku. Jednocześnie wyszedł rozkaz Obywatela Komendanta Głównego o połączeniu się naszym z braterskim 4-ym pułkiem piechoty.

Pod wieczór, 1-y pułk miał wspólny alarm z 4-ym pułkiem, gdyż będąca przed nami linja bojowa była zagrożona. To jednak przewaga artylerji austriackiej nad rosyjską sprawiła jeszcze raz, że Moskale musieli się cofnąć i atak został poniechany.

Białe kawałki płótna zaczynają znikać z czapek czwartaków.

Poszliśmy tego dnia spać, wypoczęci i pogodzeni z losem, mając na dzień następny rozkaz wymarszu o godzinie 3-ciej rano, znowu, niestety, jako rezerwa brygady.

Rzeczywiście dzisiaj, 21 lipca, rano wyszliśmy z Lezczyny o godzinie 3 i pół i, pod deszczykiem, rżniemy naprzód. Na miejscu napotykanym wsi, znajdujemy tylko dymiące zgliszcza. Takie zgliszcza przedstawia wieś Ryczydół i kolonja Dobrowola. W jednej, z nielicznych ocalonych chałup mieści się Komenda pułku, gdzie też i piszę te wrażenia z dni poprzednich w czasie odpoczynku obiadowego w marszu.

Przedwczoraj, 19 lipca, kozacy w przeważającej liczbie zaatakowali nagle patrol beliniaków i zmusili do ucieczki. Jeden z beliniaków, który miał kiepskiego konia, nie zdołał uciec i kozacy go złapali. Pewnie już nie żyje, biedak.

Wyszedł rozkaz Komendanta, by każdy z naszych pułków dał obiad dla jednego bataljonu czwartaków, celem dalszego zbliżenia się między pułkami. Tak, Komendant łamie nasze pułkowe przesady o „starszeństwie“.

23 lipca. — Wieś Łączki. —

Po odpoczynku z Dobrowoli przedwczoraj popołudniu maszerowaliśmy już przy wyjaśnionem niebie do Marjanowa. Płaszcze i rynsztunek chłopców schły

na słońcu, tak, że para unosiła się nad maszerującą zajęliśmy dworek, pod Komendę pułku. Żołnierze zajęliśmy dworek, pod komendę pułku. Żołnierze zamieszkali ciasno w chałupach obok.

Wieczorem już nadjechał do wsi 13-y pułk austriackich dragonów i usiłował zająć dworek dla komendy swego pułku. Dragoni bezczelnie wjechali na podwórze, ilu ich weszło i zatarasowali w jednej chwili końmi całe obejście koło dworku. Zaczęli już wypędzać ze stodoł naszych ordynansów. Adjutant pułku zaalarmował najbliższą kwaterującą kompanię. Nie przeszło i dwie minuty, jak wzdłuż dworku stanęła kompania w rozwiniętym. Połowa chłopców była w gaciach i boso, gdyż suszyli swoje rzeczy, ale wszyscy mieli pasy i ładownice. Gdy wzięli „bagnet na broń“, z wyraźnym zamiarem „oczyszczenia“ dziedzińca z Austriaków, ci, klęcząc, zaczęli wyprowadzać zpowrotem na drogę swoje konie. Oficerowie ich, którzy stojąc konno na drodze czekali aż im oczyszczą kwatery, ruszyli kolumnę jeźdźców i pojechali do diabła. Chłopcy wesoło wrócili na kwatery, radzi z łatwego zwycięstwa.

Na tych kwaterach suszyliśmy się i odpoczywaliśmy cały dzień 22 lipca. Tu, we wsi wezwali mnie do chorego, którego stan wydał mi się podejrzany, gdyż przypominał cholere. Natychmiast przeniosłem gdzie indziej kwaterujący tam pluton, a koło domu ustawiłem wartę, by nikt tam nie wchodził ani nie wychodził. Pod wieczór wypędziłem z jednej chałupy austriackiego „freitra“, który chciał zabrać ostatnie zboże biednym pogorzałcom.

Dzisiaj, 23 lipca, maszerujemy od rana do Łączek. Pod Borzechowem mijamy szereg okopów moskiewskich z potrójnym rzędem drutów, bronionych uparcie przez Moskali.

Jest to jedno z największych pobojoisk, jakie widziałem. W okopach wielka ilość łusek od naboju, strzę-

pów ubrań i porzuconych karabinów. W okolicy Łączek, w ogromnych dołach zakopują setki trupów żołnierzy austriackich i rosyjskich. Kładą ich rzędem po kilkudziesięciu do długich dołów, przypominających doły do kopcowania ziemniaków. Tu walczyły austriackie pułki, złożone z Polaków. W miejscach, gdzie była walka na bagnety, gryka jest zupełnie wdeptana w ziemię. Za tem polem, znów dużo trupów i karabinów rosyjskich powbijanych bagnetami w ziemię. Tu Moskale już się poddawali gromadnie. Obok trupa jednego z żołnierzy rosyjskich leży porzucona pocztówka. Podnoszę ją. Jest to widok soboru w Kostromie. Na kartce — życzenia wielkanocne powrotu do domu.

Poza tem na polu bitwy leży porozrzucana wielka ilość listów i książeczek żołnierskich różnych pułków. Dalej znajduję ilustrowaną: „Modlitwę przed bitwą“. Jest to ładnie ułożony zbiór obrazków, przedstawiający kolejno: 1) młody żołnierz, trzymając przepisowo karabin i czapkę modli się wśród strasznego ognia bitwy; 2) święty męczennik, Jerzy Zwycięzca, zabija smoka; 3) krzyż Św. Jerzego w wieńcu liści laurowych; 4) rozwinięty sztandar z napisem: „za Szipku“, a poniżej: „z nami Bóg!“. I te wszystkie „moralne czynniki“ zwycięstwa — porzucone w ucieczce z pola walki!

Do tej walki alarmowano przedwczoraj na szczęście napróżno 1-y i 4-y pułki. Mijamy to pole śmierci, i cudnym wieczorem dochodzimy do Łączek, gdzie zostajemy na noc. Piszę to przed pójściem spać.

24 lipca. — Odmaszerowaliśmy wieczorem z Łączek. Sztab pułku wstąpił na pół godziny do Zakładu Sanitarnego Brygady, gdzie napiliśmy się herbaty i pogadailiśmy. Przez ten czas kolumna nasza maszeruje. Dopełdzamy ją z łatwością, jadąc kłusa, w ciągu kwadransa. Koło północy przychodzimy do celu naszego marszu. Jest to mały dworek, stojący na skrzyżowaniu drogi z Radawczyka do Czołny i bocznej wąskiej drogi polnej, odchodzącej do Strzeszkowic. Przy świetle księży-

ca i łunie pożarów wokoło, już po północy, zajmujemy nasz dworek. Obok czernieje las, w którym stoi rezerwa 4-go pułku. Cała wieś Strzeszkowice jest ewakuowana z ludności przez Moskali. We wsi Czołna stoi komenda austriackiej dywizji. Wszystkich tych szczegółów dowiaduję się jeszcze w nocy, nawiązując osobiście łączność z lekarzami bataljonowymi.

W dworku zastajemy nocującego lekarza austriackiego, jadącego do dywizji w Czołnie. Prosi on o pozwolenie zostania na noc, gdyż nie zna drogi. Otrzymuje pozwolenie od obywatela majora i śpi z nami. O świcie — dyskretnie wyjeżdża.

25 lipca. — Nie zaszło nic nowego. Mieszkam w tym samym pokoju z księdzem kapelanem. Na obiad chodzimy do Komendy pułku.

Mam kłopot z „podwodziarzami“. Chodzi o to, że w wyniszczonym przez Moskali kraju, nie znajdujemy już wiele ludności, a tem bardziej podwód. Musimy więc, wbrew najlepszym chęciom, ciągnąć naszych biednych podwodziarzy po parę tygodni, nim dostaniemy nowych.

Podwozy muszę mieć, gdyż inaczej w razie nagłego starcia z Moskalami nie będę miał czem wywieźć rannych. Biedni podwodziarze, często gdy tracą już kontakt ze znajomą okolicą, gdy nie wiedzą już nawet, jak wracać do domu, wołą zostać i iść dalej z nami, niż wracając, wpaść w łapy Niemców lub Austriaków, którzy wcale ich nie puszcza do domu. Niektórzy zostają u znajomych w odległych okolicach. Niektórzy bezpłatnie zabierają jadących służbowo na tyły naszych żołnierzy, bo gdy wiozą wojskowego, są pewni dojechania do domu.

W domu, wyznają, „już łatwi“: konie chowają w lesie, a wozy rozkładają i koła topią w gnojówce. Nim się taki wóz zbierze, to już wojsko pójdzie, jak przyszło. Niektórzy wreszcie wracają do domu nocą, przyczajając się na dzień w lasach. Póki blisko domu, to dla pod-

wodziarza jeszcze życie. Naje się, wyśpi, a i konie krzywdy nie mają.

Podwodziarz, gdy jedzie w kolumnie, mniej szanuje zboże w polu, a nawet w stodole, niż żołnierz. Zabiera wszystko dla swoich koni. To też wozy pod rannych często do połowy wypełnione są pokarmem dla koni.

Otóż jeden z podwodziar, rozdrażniony długim ciąganiem go za nami, pokłócił się z moim sanitariuszem Baczyńskim. Ten, czupurny, ubliżył chłopu w obecności innych cywilów. Zaczęli gadać: „To, to takie polskie wojsko!” i t. d. Przyszedłem na tą scenę, zbadalem sprawę i kazałem żołnierzowi Baczyńskiemu przeprosić podwodziarza przy chłopach, w obecności których go obraził. Rozkaz został wykonany i sprawił na chłopach wielkie wrażenie, że wogóle żołnierz przeprosił „cywila”!

Okupanci nie przyzwyczaili ich do tego. Rozchodzili się mówiąc: — „Juści, polskie wojsko, to co inszego!”.

26 lipca, w Komendzie pułku. —

Mieszkamy w domku obok lasu, z jamą nakrytą belkami, przeznaczoną na telefon polowy (dzieło Austriaków). Podobno Pułtusk i Rożan zostały zdobyte przez Niemców. Otaczają więc Warszawę od południa i północy.

Nasz pułk cały zajmuje front następujący: od szosy do Lublina na południe Strzeszkowic, wzdłuż rzeczki do drogi do Radawczyka. Utrzymujemy żywy kontakt z Moskalami. Jeden kapral z V bataljonu, ranny ciężko na patrolu, wpadł w ręce Moskali. Zato VI bataljon bierze do niewoli czterech Moskali, którzy wyszli na patrol do Strzeszkowic Dużych i zajęli się zbyt gorliwie łapaniem kur. Na tej „rycerskiej rozrywce” nakryli ich nasi patrolowcy.

Przedwczoraj przeszło przez nasz front czterech wywiadowców, którzy poszli za front rosyjski wysadzać linję kolejową na przestrzeni Lublin — Łuków, celem utrudnienia Moskalom komunikacji na tyłach.

Z czwartym pułkiem stosunki ciągle jeszcze nie układają się, jak należy. Nasi żołnierze pokłócili się z czwartakami o podwoje i o ule, które wybierał jeden z nich. Tak, codzień, coś mąci harmonję.

30 lipca. — Wieś Płuszwice, wieczór. — Wokoło łuny pożarów, rozpalonych przez cofających się Moskali. Jesteśmy bardzo znużeni dwoma ostatnimi dniami. Wczoraj rano robiliśmy demonstrację celem podtrzymania ataku na Moskali, przeprowadzanego na prawo i lewo od nas. W tym celu o godzinie 4 rano artylerja zaczęła rżnąć w okopy moskiewskie, a piechota wyszła, słabemi zresztą siłami, za Radawczyk i Strzeszkowice. Strat nie mieliśmy, ale Moskale utrzymali się aż do dziś rana. Nad ranem, jak zwykle, zwiiali.

Na punkcie opatrunkowym obudził nas do odmarszu goniec z Komendy pułku. Ksiądz Żytkiewicz, obywatel Marjan Dąbrowski i ja zrywamy się radośnie i szykujemy do drogi. Obywatel Marjan Dąbrowski odgrywa w naszym pułku rolę korespondenta wojennego.

Odmarsz nastąpił koło 9 rano, gdyż dużo czasu zajęło ściąganie pułku z linii. Bardzo ucieszyli się z naszego odmarszu uciekinierzy z Jastkowa. Mają nadzieję wrócić do siebie.

Maszerujemy przez Radawczyk, kolonję Radawczyk, Teresin i stacyjkę kolei Stasin do Płuszwic, gdzie to piszę. Na noc VI bataljon ubezpiecza odcinek od drogi, wiodącej do Jastkowa — do wschodniego brzegu lasu za wsią Dąbrowice. Moskale, podobno, trzymają się w Jastkowie i Sieprawicach.

Cały czas maszerujemy i kwaterujemy obok czwartego pułku. Znów wynikają drobne powody do sporów. Wczoraj jeden z czwartaków, widząc księdza Żytkiewicza w płaszczu gumowym, jadącego na małej kłaczce Baśce, a nie wiedząc, kto to jest, powiedział że to „typ podejrzany“. Nasi żołnierze, bardzo przywiązani do księdza kapelana, zwymyślali czwartaka. Ten odgryzał się jak umiał.

Takie ot przepierania się dwóch sąsiedzkich oddziałów, które się jeszcze nie żyły ze sobą i nie poznały w boju.

3 sierpnia. — Piszę to, siedząc w rowie szosy, idącej do Lublina przy folwarku Baraki, przed Jastkowem. Stoimy już dłuższy czas, gdyż na szosie jest nagromadzenie kolumn wojska, taborów, artylerji i zakładów sanitarnych. Gdzieś przed nami nastąpiło widocznie skrzyżowanie się kolumn i stąd stoimy.

Wojna nauczyła nas cierpliwości. Nikt nie rwie się naprzód, jak to było na początku wojny, gdy każdy bał się, że bez niego wojnę skończą!

Mówią: „stać“, no to zaraz włązi się do rowu i człowiek wypoczywa na zakurzonej murawie. Zresztą, należy nam się jaki-taki spokój, po dwóch dniach ostatnich. Nie były one wcale łatwe ani przyjemne. Byliśmy w walkach prawie bez przerwy od rana 31 lipca.

Z Płuszców wymaszerowaliśmy o godzinie 2.30 w nocy do Dąbrowic. Tu VI bataljon poszedł na linię bojową, a V został w rezerwie. Ja mieszkalem w Dąbrowicach w małej chatce u dziadusia z babcią.

Dziadus był kucharzem w wojsku rosyjskiem jeszcze za czasów Aleksandra II. Dlatego uważa nas za swoich kolegów, i chcąc wyrazić swą solidarność z nami i wyższość nad cywilami, powtarza często: „Ja żołdat, ja służbu znaju!“.

W ten sposób wyraża swoją szczerą zupełnie sympatię dla nas, żołnierzy polskich. Babcia, chociaż ledwie chodzi, czuje, że tu coś jest nie w porządku i strofuje dziadusia: „I, cichoj byś był, co ty ta stary wis!“. Oboje są bardzo sympatyczni i gościnni.

Rodzina dziadusia jest trochę zruszczona. Wnuczka jego mówi po polsku, ale... liczy po rosyjsku. Wpływ szkoły widocznie.

Przez półtora dnia były tylko drobne utarczki, tak, żeśmy mieli względny spokój. Pogoda piękna. Jest

strasznie gorąco w izbie, sypiam więc na słomie, w drwalni za obórką.

Pod wieczór 31 lipca atakowaliśmy Moskali, ale bez wyniku mimo przygotowania ataku. Otrzymałem w tej sprawie w południe następującą kartkę z Komendy pułku, podpisaną przez obywatela porucznika Bratrę, adjutanta:

3-ci pułk.

31.VII.1915 r.

Do Ob. dr. por. Składkowskiego!

Nasza brygada rozpocznie o godz. 7-ej wieczorem atak na pozycje rosyjskie. Punkt opatrunkowy pułku we rosi (wedle dotychczasowych instrukcji doktora). Proszę się jeszcze skomunikować z k-mdą pułku i k-mdą brygady telefonicznie.

(—) Bratro por.

(Owalna pieczęć: Komenda 3 pułku I Brygady Legionów Polskich).

Zgłosił się do mnie na ochotnika miejscowy chłopak Roman Turko. Przyszedł prosić, że chce „iść” z nami. Spytałem go, czy potem nie będzie żałował, czy nie ucieknie do wsi. Odpowiedział, że — pójdzie wszędzie.

Wobec tego „przyjąłem” go do wojska. Obywatel sierżant, prof. Cierniak, nasz podoficer ewidencyjny, wypisał Turkowi śliczną kartę wojskową, a z taborów wydobyliśmy mu czapkę z orzełkiem i ubranie. Otoczyliśmy chłopaka, by obserwować, jaka zajdzie zmiana w jego wyglądzie w chwili przebrania się w mundur. Przypinając orzełka do czapki, Turko pocałował go i powiedział: „To jest nasz „nastojaszczy” orzełek!”. W kieszeniach swego starego ubrania znalazł talję kart do gry. Widocznie uważał, że niegodne są munduru żołnierza polskiego, bo zmiął je i podarł na strzępy, mówiąc: „To już Polska, kiedy rus posed!”.

Jednemu z żołnierzy wyrwało się: „Te, cholero, to ty karty drzesz?“, ale go zgromił i podtrzymałem zapal nowozaciężnego Turka.

Po przebraniu chłopaka oddałem go pod „opiekę“ szeregowca Baczyńskiego, żeby go nauczył salutowania i meldowania się. Musiałem mitygować zapał instruktora, bo nauczając, tak wymyślał biednemu Turce, jakby chciał dokumentnie z jego głowy wypędzić i myśl o Polsce, i chęć do wojaczki.

Turko zobaczył odrazu, jak trudny jest początek kariery wojskowej, i ile, ile będzie musiał pracować nad sobą, by stać się godnym obcowania z obywatelem Baczyńskim, który był przełożonym... jucznego kucyka sanitarnego — Dziunka!

Po południu 1 sierpnia wzmogła się strzelanina na froncie, a pod wieczór wyszedł rozkaz ataku na odrutowane pozycje moskiewskie. Obok nas ma atakować 4-y pułk.

W oczekiwaniu większych strat dostałem od Zakładu Sanitarnego Brygady 7 fur pod rannych, i umieściłem je w Dąbrowicach za murowanym domem szewca, będącym przy drodze polnej, idącej na pozycję. Sam przeniosłem się z moim materiałem lekarskim na punkt opatrunkowy VI bataljonu, będący o pół kilometra za linią.

Niema tu żadnego wgłębienia w terenie. Jesteśmy za małym wzgórzem, które wcale nie chroni od kul. Punkt opatrunkowy jest pod gołym niebem, gdyż niema tu chałup. Rozpięliśmy tylko wielką płachtę namiotową dla rannych. Pracujemy: dr. Hedinger, ja i ksiądz kapelan Żytkiewicz.

Wieczorem o zmroku ogień artyleryjski i karabinowy zaczyna szaleć. Jest nerwowy, przypomina bulgotanie ziemniaków pod pokrywą. Znam to z poprzednich bitew — to dowód, że nasi poszli już do ataku. Ogień, niestety, nie ustaje, lecz wzmacnia się na sile i nerwowości. Atak więc nie musi iść bardzo szybko naprzód. Wkrótce zaczynają napływać pierwsi ranni.

Opowiadają oni, że atak załamuje się tuż pod drutami Moskali. Nasi nie mieli dosyć nożyc do cięcia dru-

tów. Obok nas zaciekle walczą czwartacy. Nie było czasu i możliwości zbratać się z nimi przy stole biesiadnym w myśl polecenia Komendy Brygady, gdy oto bratamy się na polu bitwy.

Ranni opowiadają, że komendant 4-go pułku, Roja, prowadził ich w ogień konno. Szli jak na paradzie. Mieli ciężki odcinek. Wpadli w ogień flankowy redutki rosyjskiej pod Jastkowem i wielu z nich legło w rowie szosy Lublin — Puławy. Opatrujemy czwartaków razem z naszymi chłopcami. Już nie patrzą na siebie krzywo. Wspólna niedola połączyła ich więzami krwi, przelanej za Ojczyznę.

Pracujemy całą noc, a rannych nie ubywa. Każdy przywieziony ranny opowiada, że dużo ich jeszcze leży pod samemi drutami rosyjskimi. Jest już druga w nocy, za godzinę będzie widno. Jeżeli ich nie wyniesiemy teraz, to zginą, gdyż niepodobna iść we dnie pod druty okopów moskiewskich.

W tej chwili ksiądz kapelan Żytkiewicz siada na swego konika, którego podprowadził mu ordynans. Na pytanie nasze dokąd jedzie, odpowiada, że jedzie pod druty rosyjskie, szukać rannych. Jest zbyt słaby, by iść o własnych siłach, jedzie więc konno. Na nasze przedstawienia, że to niema sensu jechać konno pod druty, nie odpowiada nic, cmoka na konika i rusza z miejsca, machając swą witką. Wkrótce wsiąka w mrok nocy...

Ranni, przyniesieni nad ranem, opowiadają, że jakiś „pan“ w cywilnym płaszczu przyprowadził do nich patrol sanitarny. Był to, oczywiście, ksiądz Żytkiewicz, który w swoim płaszczu gumowym, jeździł o 100 kroków od okopów rosyjskich i kierował tam pracą patroli sanitarnych, wyszukując rannych. Koło czwartej rano wrócił zmęczony, ale spokojny, jak zwykle.

O świcie strzelanina ustała. Straty naszego pułku wynoszą 45 opatrzonych rannych. Nie wiem, ilu zabitych zostało na rżysku pod drutami. Czwarty pułk okupił swój chrzest bojowy znacznie ciężiej.

To też, mimo że idziemy w tej chwili, gdy to piszę naprzód, mimo że pogoda jest ładna, w kolumnie naszej cicho i sennie. Gdy przechodził obok nas pułk czwarty, nasi patrzyli na czwartaków, już jak koledzy na kolegów bez zastrzeżeń.

Tak znikły nasze swary i nieporozumienia w ogniu pierwszej bitwy.

4 sierpnia. — Piszę to pod moim namiotem, w lesie pod Majdanem, gdzie spędziłem noc. Pierwszy raz rozbiłem tu swój namiot. Wczoraj byliśmy parę godzin na kwaterach w Jastkowie. Ludność wracała z lasów po bitwie, ciesząc się, że Moskale nie spalili wsi.

Potem maszerowaliśmy do tego lasu na nocleg, idąc w rezerwie.

Moskale wieczorem zatrzymali się na północ od Majdanu, skąd zwieli dzisiaj koło 4 rano.

Obecnie jest godzina 8. Za chwilę — odmarsz. Już obywatel Dudoń ściaga mi namiot z nad głowy. Siwutek stoi już osiodłany.

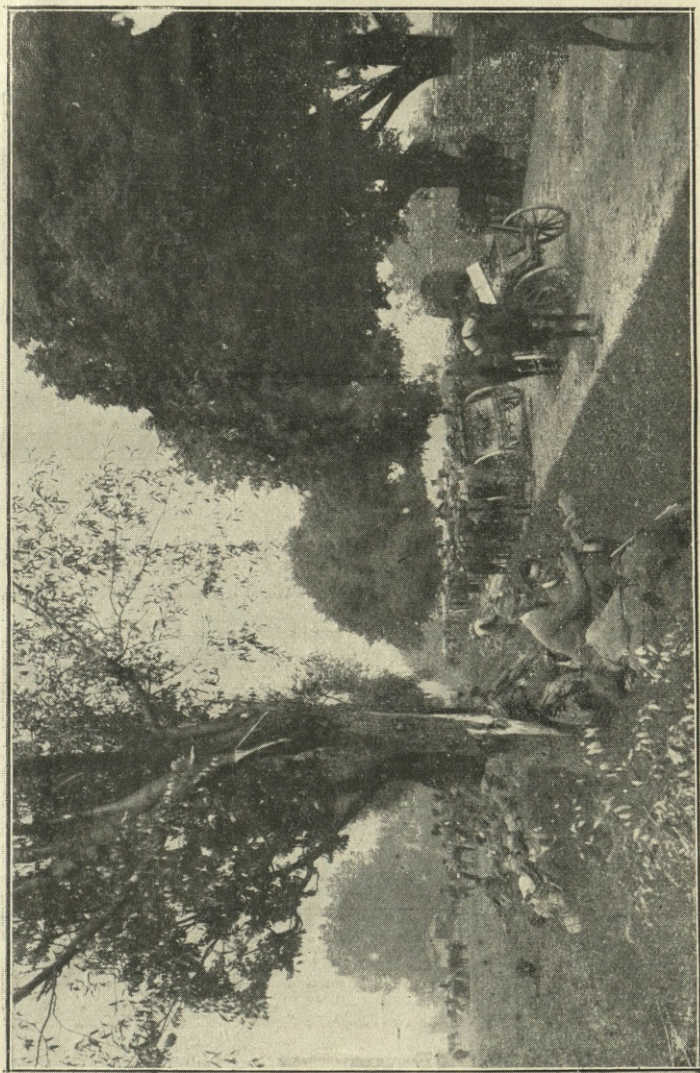
5 sierpnia. — Godzina 11 w nocy. W chałupie na skraju wsi Samokłeski. — Pułk stoi na linji, na północ od lasku, obok wsi. Ciągłe utarczki z Moskalami, to też na linji słyszać strzały i widzieć światła rakiet.

Marsz, którym tu przyszliśmy był: Jabłków; las gdzie nocowaliśmy; Majdan Krasienicki. Dalej, ślicznym traktem, obsadzonym lipami, doszliśmy do wsi Krasieniec z kościołem. Potem była Wola Krasienicka i spoczynek w lesie koło Biadaczki.

W czasie marszu spotkaliśmy generała Durskiego, konno, ze sztabem Komendy Legjonów. Gdzie tylko się pojawili, chłopcy ryczeli na nutę „Jeszcze Polska”: „Marsz, marsz Piłsudski, prowadź na bój krwawy“..

Mijali nas szybko, wznosząc tumany kurzu. Chłopcy krzyczą za nimi: „Dać mu rumu!“.

Tak „prześladowany“ jest każdy oficer Komendy Legjonów, jadący wzdłuż kolumny. Nienawisć chłopców do „c. k. menty“ jest zemstą za trudności, które usiłu-



„Ofenzywny“ natłok na szosie lubelskiej po bitwie pod Jastkowem.

ją Austriacy przez Komendę Legjonów robić Komentantowi.

W Lublinie np. mamy 600 chłopaków, którzy chcą iść „do pierwszej brygady”. pod Komendanta, a Komenda Legjonów chce ich zabrać dla siebie. Oni znów gdzie indziej nie chcą iść. Wszyscy kpią z Komendy Legjonów. Zato pogodziliśmy się ostatecznie z czwartakami i agitujemy ich przeciw Komendzie Legjonów.

Dzisiaj mamy znów dzień austriackich uroczystości. Dwa razy grzmiały salwy honorowe artylerji (oczywiście wycelowane na wroga), z powodu zdobycia przez Niemców Warszawy i „Iwangorodu”.

Co wieczór naokoło nas — łuny pożarów. Tak samo i dzisiaj. Kilka wsi jednak zostało nietkniętych.

Za Biadaczką teren falisty kończy się, a zaczynają się stawy, groble i moczary.

6 sierpnia. Wieś Samokłęski, po południu. — Moskale nie tylko się nie cofnęli, ale strzelają z armat na drogę we wsi, w której są rozłożone rezerwy nasze — 2-i pułk Berbeckiego. Rypią również ciężkimi kuferkami w dwór, będący obok mej chałupy, w której mam punkt opatrunkowy. Jest to wcale niewesołe. Bezpieczniej jest na linji, gdzie obustronne cykanie z karabinów jest dość powściągliwe. Na szczęście nie mamy rannych. Był tylko popłoch koni taborowych we wsi. Nad ranem dzisiaj wrócili z Lublina obywatel major Trojanowski i obywatel Bratro.

Wyszedł rozkaz Komendanta z powodu rocznicy wyjścia na wojnę. W końcu rozkazu Komendant wzywa nas: „Chłopcy! Naprzód! Na śmierć, czy na życie, na zwycięstwo, czy na klęskę! idźcie czynem wojennym budzić Polskę do zmartwychpowstania!”.

7 sierpnia. — Ta sama jeszcze wieś, Samokłęski, 1 godzina po południu. — W tej chwili nasze: V i VI bataljony wtargnęły do okopów moskiewskich i fasują jeńców aż trzeszczy. Mianowicie, dzisiaj przed południem, austriacka brygada przełamała na prawo od nas front

rosyjski koło Nowodworu. Na tą wiadomość obywatel major Trojanowski zarządził atak na okopy moskiewskie. Atak, wykonany ostro, udał się całkowicie. W V bataljonie mamy kilku rannych od szrapneli, gdyż Moskale ostrzeliwali nasz atak z Rudki, dokąd jeszcze nie potrafili się dostać stojący na lewo od nas Austriacy z 31-go p. p. Gdyby atakowali tak, jak nasi, wyszlibyśmy bez strat. Nasz VI bataljon zajął już wzgórze 149. W tej chwili ciągniemy tam nasze karabiny maszynowe by ostrzelać Rudkę, w której ciągle siedzą jeszcze Moskale. Na prawo od nas idzie naprzód Berbecki, i w tej chwili zajmuje Kamionkę. Piszę to wszystko przy pokoju telefonistów, dzięki czemu mogę czytelnikowi moich pamiętników dać „najświeższe wieści“ z pierwszej ręki. Za ścisłość — gwarancja!

Tego samego dnia, godzina 4 po południu. Musiałem odejść od telefonu, by opatrzyć naszych rannych. Teraz spokój, więc piszę dalej.

Otóż 2-gi pułk Berbeckiego doszedł już do wsi Ciemno. Nasz trzeci pułk, nareszcie, doczekał się Austriaków i zetknął się swem lewem skrzydłem z 31-ym pułkiem piechoty w zdobytej Rudce. Artylerja rosyjska nie daje za wygraną i rypie do naszych linii bojowych i do wsi Samokłęski z kierunku wsi Aleksandrówek. Przed moim punktem opatrunkowym zabity został szrapnelem żołnierz austriacki.

O mało nie rozjechała mnie we wsi nasza baterja, zmieniająca galopem pozycję, gdy przenosiłem przez drogę po błocie rannego. Jakoś jednak zwieliśmy.

Nasi tymczasem nabrali jeńców. Nasz pułk zdobył ich 136. Pułk Berbeckiego później zaczął fasować, i zabrał — tylko 20.

Jeńcy to nie byle jacy i z porządných pułków. Cały pluton, np. z 11-go pułku grenadjerów rosyjskich. Pełny tytuł tego pułku brzmi tak nieprzystępnie, tak bohater-sko, że aż strach bierze. Jest to: 11-y Grenadjerski Fagnagoryjski, Generalissimusa księcia Suworowa, obecnie

Jego Cesarskiej Wysokości Wielkiego Księcia Dymitra Pawłowicza pułk.

To nie byle co. A przez kogóż to zostali wzięci do niewoli grenadjerzy, tak „świątecznego“ pułku? Przez żołnierzy naszego skromnego pułku, który w I brygadzie nazywa się trzeci, a wogóle, „oficjalnie“ nie istnieje, a gdyby istniał, to musiałby nazywać się: pułk siódmy.

To jest też tytuł długi, ale znacznie mniej szumny i napuszony.

Prócz grenadjerów wzięliśmy „niewolnika“ z pułku połtawskiego, a nawet czterech artylerzystów.

9 sierpnia. — Wieś Rudzianka, obok Michowa, w chacie Komendy pułku. — Wczoraj rano przed odmarszem z Samokłesk odesłałem do Zakładu Sanitarnego Brygady biednego Müllera, rannego w brzuch, gdyż nie miałem go przy kim zostawić. Zameldowałem się u obywatela majora, który noc spędził z pułkiem w lesie, po czym cały nasz pułk zmęczony i niewyspany po wczorajszym ataku i ściganiu wroga ruszył w nakazany marsz.

Pod drobnym deszczykiem szliśmy „za Moskalami“ przez Aleksandrówkę, Rudno (gdzie w tej chwili kwateruje Komenda Brygady), wreszcie doszliśmy do Rudzianki.

W Komendzie Brygady dowiedziałem się, że dr. Roupert wyjechał do Warszawy z Obywatelem Komendantem. Zastępuje go dr. Piestrzyński z 2-go pułku Berbeckiego. Brygadą dowodzi obywatel Szefer Sosnkowski.

Na kwaterę w Rudziance przyszlismy wczoraj po południu. Kwatery tak brudne po Moskalach, że przez parę godzin ordynansi musieli wymiatać z izb zmierzwioną słomę i wypędzać muchy, które w ogromnej ilości żerowały na tych śmieciach. My przez ten czas wyjechalismy konno z obywatelem majorem do miasteczka Michowa, leżącego tuż obok. Zaszliśmy do księdza, by dowiedzieć się czegoś o Moskalach i nastrojach ludności. Ksiądz przyjemny i gościnny. Wyjaśnił nam, że cała

inteligencja miasteczka, jak aptekarz, pisarz sądu i gminy, wszyscy uciekli za Moskalami, w obawie przed okrucieństwami Niemców, o których wiele opowiadali Moskale. Został tylko sam ksiądz, nie chcąc opuszczać kościoła i parafjan.

Gdyśmy tak gwarzyli o dawnych najeźdźcach, zjawili się nowi. Oto Węgrzy wtargnęli na podwórko księdza proboszcza, otworzyli drzwi stodoły, wynieśli stamtąd snopy niemiłconego jeszcze zboża i kładli je na cmentarzu, z zamiarem spędzenia tam nocy. Obywatel major wyszedł przed dom, wezwał do siebie ich dowódcę, kapitana Uhlricha i kazał im oddać niemiłcone zboże. Usłuchali, acz niechętnie i całkiem poszli z plebanji.

Ksiądz podziękował nam za pomoc, a obywatel major po powrocie na uprzątnięte już kwatery w Rudziance polecił księdzu kapelanowi Żytkiewiczowi jechać do proboszcza w Michowie, by mu pomóc w razie potrzeby. Ksiądz kapelan wyjechał po kolacji. My znużeni poszliśmy spać na świeżej słomie i spaliśmy pysznie po trudach dni ostatnich.

Dzisiaj, godzina 11 rano, jeszcze tu wypoczywamy.

Rozeszła się plotka, że 4-a armja, do której jesteśmy przydzieleni, ma iść na front włoski, a my mamy, podobno, odejść do Prusaków.

10 sierpnia. — Wieś Przytoczna, godzina 7 rano. — Wczoraj rano wyszliśmy z Rudzianki. Minęliśmy Michów, mieszkańcy którego wylegli na nasz widok, przy czem śpiewaliśmy wesołe piosenki. Zaraz jednak za miasteczkiem umilkliśmy, gdyż wpadliśmy w straszne piachy na drodze do Elźbiecina. Zbliżyliśmy się do przeprawy przez rzekę Wieprz, dokąd zdąża wiele kolumn wojska i taborów. Stąd co chwila trzeba czekać.

W Elźbiecinie (wieś opuszczona przez mieszkańców), czekamy do 2 nad ranem. Chaty tak zanieczyszczone, że wolę spać pod namiotem.

Koło północy zbudziły nas śpiewy. To nadszedł dla nas bataljon uzupełniający, złożony ze 130 nowozaciecz-

nych chłopców z Lublina. Śpiewali oni już nasze piosenki żołnierskie. Ledwie posnęliśmy, gdy o godzinie 2 nad ranem — wymarsz. Kierujemy się na wieś Drewnin, gdzie jest przeprawa przez rzekę Wieprz, dokąd koncentrycznie zdąża wiele kolumn wojska. Widzimy się wzajemnie już zdaleka na bocznych drogach, wreszcie wchodzimy na wąską drogę, wiodącą do mostu. Tu panuje tłok i ścisk nieopisany. Szczęście że cała ta masa wojska idzie w jednym kierunku.

Dawne okopy austriackie leżą o 800 kroków od rzeki. Mijamy je, przechodzimy słaby drewniany mostek na odnodze rzeki, poczem bokiem drogi rżniemy szybko w piachu, koło czekających swej kolei kolumn, artylerji do mostu pontonowo-palowego, zbudowanego tuż poniżej stałego mostu, spalonego przez Moskali. Przy samym moście czekamy długi czas na przejście kawalerji i artylerji. Wreszcie mijamy most w porannych oparach mgły nad rzeką.

W Łysobykach czekamy znowu na deszczu pod karczmą, niestety, pustą. Drogę tarasują, zdążający w przeciwnym niż my kierunku, biedni uciekinierzy, którym udało się zwać od Moskali. Czekają oni na możność przejścia przez most. Biedacy będą tu czekać najmniej dwa dni, póki nie przejdą kolumny taborów, których końca nie widać.

Dalej idziemy przez opuszczone wsie Pieńki i Ruda, mijamy spaloną wieś Karolina, potem las Jadwiga. Nadciąga wieczór a z nim łuny na horyzoncie, gdzie palą Moskale nasze wsie. My śpimy znów całą noc w lesie.

13 sierpnia. — Wieś Żakowa Wola. —

Dnia zeszłego przemaszerowaliśmy przez wsie: Oszczepalin, Wienatowice, i na noc doszliśmy do wsi Kozły. Dzisiaj przez Konkowolnicę doszliśmy do Żakowej Woli, gdzie to piszę.

Tu, za Wieprzem krajobraz zmienił się odrazu. Niema mowy o wzgórzach Lubelszczyzny. Maszerujemy już piaskami i grobelkami wśród bagien. Po bokach drogi

blota i laski. Ludność przeciąga swą mowę, ale cieszy się na nasz widok i wita sympatycznie. Zaczynają się po wsiach unici.

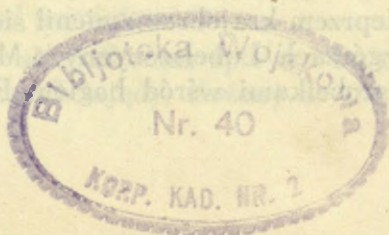
Siwutek oparzył sobie tylną nogę w pęcinie, gdy nieostrożnie wjechał na nim we wsi Karolina na popielisko po spalonej kuźni.

Zwierzchu popiół zdawał się zimny, a pod spodem były gorące węgle drzewne. Biedny Siwutek wyskoczył z popiołu, jak oparzony. O mało z niego nie spadłem. Jeden dzień szedł nieźle, ale dzisiaj zaczął tak kuleć i utykać na swą „reumatyczną“ nogę, że owinąłem mu pęcinę oliwą i kazałem zdjąć siodło. Dudoń ciągnie Siwutka na kantarze za wozem z bagażem sztabowym. Całe szczęście, że drogi tu piaszczyste i jedziemy nogą za nogą. Biedny Siwutek unosi swą chorą nogę wysoko w górę, poczem z rozmachem stawia ją w piach. Jest w złym humorze, i nawet za kawałek cukru nie chce pokazać, jak „piesek s..... robi“. Opatrunek spada mu parę razy z pęciny. Poprawiam go starannie za każdym razem. Sam jadę na koniu jednego z ordynansów.

Tym smutnym dla mnie i dla Siwutka faktem dzisiaj, 13 sierpnia, kończę pierwszy rok mego pobytu w „brygadzie“, i jednocześnie trzeci zeszyt mego „Pamiętnika“.

Jeżeli ktoś, kiedyś będzie czytał te kartki, niech nie myśli o mnie; niech współczuje biednemu Siwutkowi!

Koniec Pierwszego Tomu.





T. 1

31961/2